

Trzej muszkietierowie, tom pierwszy





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ALEKSANDER DUMAS (OJCIEC)

Trzej muszkieterowie

TŁUM. NIEZNANY

TOM I

ŻYCIE I DZIEŁO ALEKSANDRA DUMASA

Alexandre Davy de la Pailleterie Dumas urodził się dnia 24 lipca 1803 r.¹ w Villers-Cotterêts, w departamencie Aisne. W jego żyłach złączyła się błękitna krew francuskiego szlachcica z burzliwą krwią Murzynki z San Domingo². Ojciec, piastujący w armii francuskiej godność generała, osierocił chłopca wcześniej, nie zostawiając rodzinie środków do życia, ponieważ nieustanne konflikty z Napoleonem stały na przeszkodzie jego karierze materialnej. Aleksander odziedziczył po nim atletyczną strukturę³, żelazne zdrowie, usposobienie szerokie, radosne, fantazję i wielki spryt. Matka-wdowa nie mogła ponieść kosztów wykształcenia chłopca; jeżeli młody Dumas rozporządzał pewnymi wiadomościami z dziedziny historii i językoznawstwa, to jest to wyłącznie zasługą pastora Abbé Grégaine. Zresztą chłopiec nie okazywał zamiłowania do umysłowej pracy, mało interesował się nauką, jeszcze mniej literaturą, pociągały go natomiast wolne przestrzenie pól i rozległe obszary lasów, był zapalonym fehmistrzem⁴ i nieporównanym strzelcem, opanował wszystkie sporty, wszystkie rodzaje cielesnych ćwiczeń. Poza tym żył wesołym życiem hulaki i nieroba. Punktem wyjścia dla jego kariery literackiej stała się przyjaźń z młodym, zdolnym Szwedem, Adolfem de Leuven, który rzucił propozycję napisania do spółki kilku sztuk teatralnych. Dumas się zgodził: rzecz jasna, że pierwsze twory jego młodzieńczej muzy nie znalazły uznania w oczach paryskich dyrektorów.

Tymczasem położenie majątkowe rodziny pogorszyło się znacznie. W r. 1822 Aleksander zbiera dokumenty, pozostawione w spuściźnie przez ojca, zaopatruje się w polecające listy i wyjeżdża do Paryża, tam też znajduje posadę w kancelarii księcia Orleanu⁵. Zarabia 1500 franków rocznie, zdobywa mocną pozycję materialną, sprowadza do siebie matkę. Równocześnie zdaje sobie sprawę ze swego niedostatecznego wykształcenia, bierze się energicznie do pracy, czyta, studiuje, robi plany, chodzi do teatru — obserwuje efekty sceniczne, poczyną się orientować w budowie sztuki teatralnej. Ogromne wrażenie wywierają na nim Szekspir⁶ i Schiller⁷, ulega wpływom niemieckich romantyków. Wreszcie sam wstępuje w krąg działalności dramatycznej. Sztuką *Henryk IV i jego dwór*⁸ zdobywa sobie publiczność, usuwając czasowo w cień młodego Wiktora Hugo⁹. Od tej chwili spod pióra Dumasa wychodzi jeden dramat za drugim. Najpopularniejsze są: *Christine, Antony, Napoleon Bonaparte, Richard Darlington* itd. Jako powieściopisarz wystąpi dopiero później.

W międzyczasie wydaje szereg szkiców podróżniczych, olśniewających grotesek, wypełnionych po brzegi najefektowniejszymi nieprawdopodobieństwami: z podziwu godną beczelnością zdaje szczegółowe relacje o krajach, w których nigdy nie był. Następnie rzuca na rynek księgarski kilka tomów nowel, za którymi idą powieści. *Rycerz z Hermentalu*, romans wydany w roku 1843, pasuje go na mistrza powieści historycznej. *Hrabia de Monte Christo* i *Trzej Muszkietierowie* zdobywają mu wielką sławę.

Nieprawdopodobne rozmiary jego dzieła (napisał 1200 tomów) dają pole dla sporów o autentyczność wielu spośród najlepszych jego powieści. Są podstawy, aby sądzić, że miał szereg współpracowników, którym powierzał opracowywanie swych potężnych po-

¹urodził się dnia 24 lipca 1803 r. — Aleksander Dumas urodził się 24 lipca, ale w roku 1802. [przypis edytorski]

²San Domingo (fr. *Saint-Domingue*) — dawna francuska kolonia (1659–1804) w zach. części karaibskiej wyspy Hispaniola; obecnie terytorium Republiki Haiti. [przypis edytorski]

³struktura — tu: budowa ciała. [przypis edytorski]

⁴fehmistrz — mistrz fechtunku, czyli sztuki walki bronią białą (szablą, szpadą, floretem); mistrz szermierki. [przypis edytorski]

⁵książę Orleanu — chodzi o Ludwika Filipa (1773–1850): ostatniego króla Francji z dynastii Burbonów, który panował w latach 1830–1848. [przypis edytorski]

⁶Szekspir, William, właśc. *Shakespeare, William* (1564–1616) — angielski poeta, dramaturg i aktor, jeden z najwybitniejszych pisarzy literatury angielskiej oraz reformatorów teatru. [przypis edytorski]

⁷Schiller, Friedrich (1759–1805) — niemiecki poeta, filozof, historyk i dramaturg, autor *Ody do radości*. [przypis edytorski]

⁸Henryk IV i jego dwór — prawidłowa nazwa tej sztuki to: *Henryk III i jego dwór*. [przypis edytorski]

⁹Hugo, Wiktor (1802–1885) — francuski pisarz, poeta, dramaturg i polityk, czołowy prozaik francuskiego romantyzmu, autor m.in. *Nędzników*. [przypis edytorski]

mysłów, podobnie jak wielki malarz powierza wykonanie draperii lub mało znaczących grup uczniom. Umysł Dumasa był nazbyt rozległy, aby gubić się w drobiazgowej pracy, temperament nazbyt żywy, aby jednemu zagadnieniu poświęcić więcej niż jedną chwilę.

Rzecz jasna, że tak olbrzymi dorobek literacki dawał wielkie dochody, ale te były niczym wobec wydatków. Wydatki były niczym wobec potrzeb, a potrzeby przewyższały wytrzymałość tego herkulesowego¹⁰ organizmu. W roku 1870 autor *Trzech Muszkieterów*, zniszczony życiem, wyczerpany pracą, umiera w Puys, w posiadłości ziemskiej swego syna, przeżywszy lat 68.

Obok dramatów, komedii, podróży i powieści, obejmuje spuścizna literacka Dumasa także: kilka pamiętników, w których z dochodzącą nieraz do cynizmu szczerością opowiedziane są karkołomne przygody autora. Jakim był w życiu, takim pozostał w dziełach: człowiekiem bujnym, beztroskim, zaczepnym, pełnym fantazji i humoru, siły i przedsiębiorczości, człowiekiem żywym. Jego postacie są pełnokrwiste, takim też jest jego język. Konstrukcja powieści Dumasa wyrosła z jego dramatu, jak kwiat wyrasta z łodygi, nie więc dziwnego, że dramat ten swoją wartością nieskończenie przewyższa. W perspektywie historycznej Dumas jest pierwszym romantykiem francuskim, jakkolwiek romantyzm ten ogranicza się tylko do zewnętrznego ujęcia wydarzeń. Jądro jego dzieła to ani romantyzm, ani klasycyzm, tylko życie.

ROZDZIAŁ I. CZYM STARY D'ARTAGNAN WYPOSAŻA SY- NA NA DROGĘ?

Pewnego kwietniowego poniedziałku roku 1625 w miasteczku Meung¹¹ panował ruch tak niezwykle, jak gdyby na przykład wtargnęli doń¹² hugenoci¹³ i zamierzali powtórzyć tego rodzaju krwawą sceny jak w La Rochelle¹⁴.

Wielu mieszczan widząc, jak kobiety uciekają w stronę ulicy Wielkiej, słysząc, jak dzieci wrzeszczą w drzwiach domów, co prędzej przywdziało pancerze i pokrzepiwszy swoją wątpliwą odwagę muszkietem¹⁵ lub halabardą¹⁶, podążyło w kierunku oberży¹⁷ „Pod Wolnym Młynarzem”, dokąd zbiegały się z głośniejszym zgłębkiem coraz większe, przejęte ciekawością tłumy.

W owych czasach popłoch tego rodzaju był chlebem powszednim. Żaden dzień nie mijał bez wypadku. To panowie darli się między sobą, to król z kardynałem wojował, to Hiszpan wojował z królem. Wreszcie poza tymi wojnami, głuchymi lub głośnymi, jawnymi lub tajnymi, byli jeszcze złodzieje, żebracy, hugenoci, wilki i lotrzy, rzucający się na wszystkich. Mieszczanie musieli ciągle uzbrajać się przeciw złodziejom i wilkom, często przeciw panom i hugenotom, a czasami nawet przeciwko królowi; ale przeciw kardynałowi i Hiszpanowi nie chwytały za broń nigdy. Dlatego też, w ów pierwszy kwietniowy poniedziałek 1625 roku, mieszczanie, usłyszawszy krzyki, a nie widząc ani czerwonożółtych żandarmów, ani barw księcia de Richelieu¹⁸, które by ich przestraszały, rzucili się śpiesznie ku oberży „Pod Wolnym Młynarzem”. Dopiero na miejscu każdy mógł zobaczyć i zrozumieć przyczynę zamieszania.

Wojna

¹⁰herkulesowy — taki jak u Herkulesa, mitycznego starożytnego bohatera słynącego z nadludzkiej siły i dokonania wielu niezwykłych czynów. [przypis edytorski]

¹¹Meung, właśc. *Meung-sur-Loire* — miejscowość i gmina w środkowej Francji. [przypis edytorski]

¹²doń (daw.) — do niego. [przypis edytorski]

¹³hugenoci a. *hugonoci* — protestanci francuscy, wyznawcy kalwinizmu. Po okresie domowych wojen religijnych na mocy edyktu nantejskiego (1598) mieli zapewnioną swobodę wyznania. Za panowania Ludwika XIV, od 1681, zaczęto ich brutalnie prześladować w celu zmuszenia do przejścia na katolicyzm (dragonady), co spowodowało emigrację wielu hugenotów jeszcze przed oficjalnym odwołaniem w 1685 edyktu nantejskiego. Swobodę wyznania i prawa cywilne odzyskali dopiero w 1787, zaś rewolucja roku 1789 przyniosła im pełne równouprawnienie z katolikami. [przypis edytorski]

¹⁴La Rochelle — miasto w zach. Francji nad Zatoką Biskajską, od XII w. także port morski; od połowy XVI w. przez kilkadziesiąt lat polityczny i militarny ośrodek hugenotów. [przypis edytorski]

¹⁵muszkiet — ciężka strzelba lontowa, gładkolufowa, ładowana odprzodowo. [przypis edytorski]

¹⁶halabarda — broń kłująca na długim drzewcu. [przypis edytorski]

¹⁷oberża (daw.) — zajazd przy głównym trakcie, oferujący podróżnym posiłek i nocleg. [przypis edytorski]

¹⁸Richelieu, *Armand-Jean du Plessis de* (1585–1642) — francuski książę, kardynał, od 1624 pierwszy minister Francji; faktycznie kierował polityką państwa; w latach 1625–1628 prowadził wojnę z hugenotami. [przypis edytorski]

Był to młodzieniec... nakreśliłmy jego wizerunek jednym pociągnięciem pióra. Wyobraźcie sobie Don Kichota¹⁹ w osiemnastym roku życia, Don Kichota bez pancerza i nagolenników, Don Kichota w kaftanie wełnianym, którego kolor niebieski przeszedł w odcienie to brudnozielonkawę, to brudnobłękitne. Twarz pociągła i śniada, kości na policzkach wystające, wymowny znak przebiegłości, szczęki nadmiernie rozwinięte, nieomylna wskazówka pochodzenia gaskońskiego²⁰, oko rozwarte i rozumne, wreszcie nos zagięty, lecz o liniach wykwintnych, za duży na młokosa, na człowieka zaś dojrzałego za mały. Mniej wprawnemu oku wydałby się on może podróżującym synem zagrodnika²¹, gdyby nie długa szpada, która zwieszona na skórzanym pasie biła go po nogach, i gdyby nie wierzchowiec z najeżoną sierścią, którego dosiadał.

Bo młodzieniec nasz miał wierzchowca, i to tak niezwyklego, że zwracał powszechną uwagę: był to podjezdek²² bearnijski²³, mający już dwanaście do czternastu lat, maści żółtej, z ogonem pozbawionym włosa, którego brak nagradzały suto zarośnięte pęciny²⁴. Ten wspinały rumak, choć głowę nosił niżej kolan, mógł jednak przebyć z osiem mil francuskich²⁵ dziennie. Niestety, wszelkie zalety tej szkapy były tak ukryte pod sierścią niezwyklej barwy, tak były zamaskowane jego dziwaczną postawą, ani trochę nieczyniącą zadość wymaganiom regularności kształtów, że w owych czasach, kiedy wszyscy znali się na koniach, zjawienie się takiego podjezdka w Meung, od strony Beaugency, sprawiło wrażenie źle usposabiające i względem samego jeźdźcy.

A wrażenie to tym przykrzejsze było dla młodego d'Artagnana (tak się bowiem nazywał ten nowy Don Kichot na swoim Rosynancie²⁶), iż czuł dobrze, że zabawny wierzchowiec ośmieszał nawet tak dzielnego jeźdźcę jak on. Wzdychał też okrutnie w głębi ducha, przyjmując ten dar od pana d'Artagnana ojca. Wiedział, iż bydlę warte było najwyższej dwadzieścia liwrów²⁷, lecz słowa ojcowskie towarzyszące temu darowi posiadały nieskończenie wyższą cenę.

— Synu mój — prawil szlachcic gaskoński tym narzeczem²⁸ czysto bearnijskim, którego nawet Henryk IV²⁹ nigdy nie zdołał się pozbyć — synu mój, koń ten zrodzony jest w domu ojca twojego, będzie temu trzynaście lat, i dotąd w nim przebywał, więc kochać powinienś to zwierzę. Nigdy się z nim nie rozstawaj, dozwól mu spokojnie i uczciwie umrzeć ze starości; a jeśli na wojnę z nim pójdiesz, oszczędzaj go, jakbyś starego sługę oszczędzał. Przy dworze — ciągnął dalej stary pan d'Artagnan — jeżeli tylko będziesz miał szczyt tam się dostać, do czego daję ci prawo twoje stare szlachectwo, godnie utrzymaj imię szlachcica, które przez przodków twoich szlachetnie było noszone od pięciuset przeszło lat. Nie ustępuj nikomu, nikomu nic nie puszczaj płazem, prócz panu kardynałowi i królowi. Odwagą tylko, rozumiesz mnie, tylko odwagą szlachcic dziś sobie toruje drogę. Kto stchórzy na jedną sekundę, na zawsze wymyka mu się los, jaki mu zsyła fortuna. Młody jesteś i winienś być waleczny dla dwóch powodów: najpierw, że jesteś Gaskończykiem, po wtóre, że jesteś moim synem. Okazji nie unikaj, goń za przygodami. Kazałem ci wyćwiczyć we władaniu szpadą; żelazną masz nogę, a dłonie ze stali; bij się o byle co, bij się tym bardziej, że pojedynki są zakazane, więc z tego wynika, że aby się bić, trzeba mieć podwójną odwagę. Na drogę, mój synu, mogę ci dać tylko

Koń

Rycerz, Szlachcic, Odwaga,
Koń

¹⁹*Don Kichot* — tytułowy bohater powieści Miguela de Cervantesa; szlachcic, który motywowany wzniosłymi ideami postanawia ruszyć w świat i wcielić w życie średniowieczny ideał rycerski, jest jednak pozbawiony poczucia rzeczywistości, przez co często naraża się na śmieszność (zasłynął m.in. walką z wiatrakami, który wydawał mu się olbrzymem). [przypis edytorski]

²⁰*pochodzenia gaskońskiego* — z Gaskonii: krainy historycznej w pld.-zach. Francji. [przypis edytorski]

²¹*zagrodnik* (daw.) — ubogi gospodarz wiejski, właściciel jednej zagrody. [przypis edytorski]

²²*podjezdek* (daw.) — niewielki koń wierzchowy używany przez służbę obozową i posłańców. [przypis edytorski]

²³*bearnijski* — przym. od *Béarn*: historyczna prowincja w pld.-zach. Francji, która z czasem weszła w skład Gaskonii. [przypis edytorski]

²⁴*pęcina* — część kończyny konia nad kopytem. [przypis edytorski]

²⁵*mila francuska* — dawna miara odległości równa ok. 4 km. [przypis edytorski]

²⁶*Rosynant* — koń Don Kichota. [przypis edytorski]

²⁷*liwr* — dawna srebrna moneta francuska. [przypis edytorski]

²⁸*narzecze* — odmiana języka mówionego charakterystyczna dla określonej grupy społecznej, używana na pewnym terytorium. [przypis edytorski]

²⁹*Henryk IV* (1553–1610) — król Nawarry (od 1572), następnie król Francji (od 1589), pierwszy z dynastii Burbonów. [przypis edytorski]

piętnaście talarów³⁰, mego konia i te rady, których wysłuchałeś. Matka twoja daje ci jeszcze przepis na balsam, który od Cyganki dostała, a ma on cudowną własność gojenia wszelkich ran, które nie dosięgły serca. Korzystaj z tego wszystkiego i żyj szczęśliwie przez długie lata. Już nic mi nie pozostaje ci udzielić, chyba dorzucić jeszcze ten przykład, wprawdzie nie z mego życia, bo ja nigdy na dworze nie byłem. Mówię tu o panu de Tréville³¹, który ongiś³² był moim sąsiadem, a dzieckiem już miał zaszczyt dzielić zabawy z królem naszym Ludwikiem XIII³³ — niech go Bóg najdłużej nam zachowa! Niekiedy zabawy te w bitwę się przeistaczały, a król nie zawsze był silniejszy. Szturchańce, które odbierał, przejmowały go wielkim szacunkiem i przyjaźnią dla pana de Tréville. Później, w podróży swej do Paryża, pan de Tréville pojedynkował się aż pięć razy; od czasu śmierci starego króla aż do pełnoletności młodego, nie licząc wojen i oblężeń, w których brał udział, bił się jeszcze siedem razy; no a od czasu pełnoletności swej aż do dziś bił się razy ze sto! Dlatego, widzisz, dzisiaj, pomimo wszelkich zakazów królewskich, pomimo rozporządzeń i wyroków na pojedynkujących się, jest on kapitanem muszkietierów³⁴, co tyle znaczy, jak gdyby był wodzem legionu³⁵ cesarów³⁶, i król go wielce ceni, a strachem przejmuje on nawet kardynała, który, jak wszystkim wiadomo, niełatwo czego się złęknie. Co więcej, pan de Tréville doszedł do dziesięciu tysięcy talarów rocznego dochodu, zatem jest panem nie lada. A zaczynał tak jak ty dzisiaj. Otóż przedstaw mu się z tym listem i wzoruj się na panu de Tréville, abyś, jak on, pokierował się w życiu.

To rzekłszy, pan d'Artagnan ojciec własną ręką przypasał mu szpadę, ucałował czule w oba policzki, dodając błogosławieństwo ojcowskie.

Wychodząc z pokoju, młodzieniec zastał matkę czekającą nań³⁷ z ową słynną receptą zbawienego balsamu.

Tutaj pożegnania były czulsze i przeciągnęły się, nie dlatego, aby pan d'Artagnan nie kochał syna, który był jego jedynym potomkiem, ale że jako mąż³⁸ stateczny uważałby za niegodne siebie dać się opanować wzruszeniu. Pani d'Artagnan zaś była tylko kobietą, a nadto była matką. Wylewała więc łzy obfite. I przyznać musimy na pochwałę pana d'Artagnan syna, że chociaż silił się być niewzruszony, jak na przyszłego muszkietera przystało, wzięło w nim górę uczucie wrodzone i łzy rzęsiste puściły się z jego oczu, a ledwie połowę ich udało mu się ukryć.

Jeszcze tego dnia młodzieniec wyruszył w drogę zaopatrzony w trzy ojcowskie dary składające się, jak powiedzieliśmy, z piętnastu talarów, konia i listu do pana de Tréville; rady zaś uważamy za dodatek do nich.

Z podobnym „vadecum”³⁹ d'Artagnan stał się dokładną kopią bohatera Cervantesa⁴⁰, z którym przy naszkicowaniu portretu porównaliśmy go, jak nakazywał nam obowiązek historyka. Don Kichot brał wiatraki za olbrzymów, a za armię stado owiec, d'Artagnan postanowił poczytywać każdy uśmiech za zniewagę, a każde spojrzenie za wyzwanie. Z tego wynikało, że przez całą drogę od Tarbes aż do Meung trzymał zaciśnięte pięści i bez ustanku sięgał do rękojeści swej szpady, wszelako pięścią nie natrafił na żadną szczękę, a szpada ani razu nie była z pochwy dobyta. Nie znaczy to, aby na widok niefortunnego żółtego podjezdka nie wykwitał uśmiech na obliczach przechodniów; ponieważ jednak ponad tą szkapą pobrzękiwała szabla poważnego wyglądu, a ponad nią świeciły oczy

Błogosławieństwo, Ojciec,
Matka, Syn, Rozstanie

³⁰talar — duża moneta srebrna, bita w Europie od XV w. [przypis edytorski]

³¹pan de Tréville — pierwowzorem tego bohatera była postać francuskiego oficera, hrabiego de Troisville (1598–1672). [przypis edytorski]

³²ongis (daw.) — kiedyś. [przypis edytorski]

³³Ludwik XIII, zw. *Sprawiedliwym* (1601–1643) — król Francji (od 1610), syn Henryka IV z dynastii Burbonów; do czasu jego pełnoletności realne rządy sprawowała jego matka, Maria Medycejska, potem kardynał Richelieu, który stał się twórcą systemu rządów absolutnych. [przypis edytorski]

³⁴muszkietier — żołnierz oddziałów specjalnych francuskiej gwardii królewskiej w XVII- i XVIII-wiecznej Francji. [przypis edytorski]

³⁵legion — podstawowa i największa jednostka taktyczna armii rzymskiej, licząca 5000–6000 żołnierzy. [przypis edytorski]

³⁶cezar — jeden z tytułów władców państwa rzymskiego, pierwotnie rodowe miano Gajusza Juliusza Cezara oraz Oktawiana, jego adoptowanego syna i pierwszego cesarza rzymskiego. [przypis edytorski]

³⁷nań — na niego. [przypis edytorski]

³⁸mąż — tu: mężczyzna. [przypis edytorski]

³⁹vadecum (z łac.) — przewodnik. [przypis edytorski]

⁴⁰Cervantes, Miguel de (1547–1616) — hiszpański pisarz renesansowy, autor *Don Kichota*. [przypis edytorski]

bardziej dzikie niż dumne, powściągano uśmiechy, a gdy wesołość brała górę nad przezornością, usiłowano przynajmniej śmiać się półgębkiem tylko, na podobieństwo masek starożytnych. Tak d'Artagnan, pomimo drażliwości, w nienaruszonym majestacie swoim dobił do nieszczęsnego miasta Meung.

Gdy zsiadał z konia przed bramą „Wolnego Młynarza”, a nie było tam nikogo, ani stajennego, ani gospodarza, by strzeżenie mu przytrzymał, d'Artagnan spostrzegł przy otwartym oknie na dole szlachcica postawy pięknej i wyniosłej, z twarzą nieco pomarszczoną, który rozmawiał z dwiema osobami słuchającymi go z widocznym szacunkiem. Rzecz prosta, iż według przyjętego zwyczaju d'Artagnan zaraz pomyślał, że on jest przedmiotem tej rozmowy. Słuchał więc. Tym razem pomylił się tylko do połowy, albowiem nie o niego, lecz o jego konia tam chodziło. Szlachcic wyliczał swoim słuchaczom wszystkie jego przymioty, a jak już mówiliśmy, słuchacze wyglądali na przejętych niemalym szacunkiem dla opowiadającego i co chwila wybuchali śmiechem. Jeden półuśmiech, jak wiemy, wystarczał do rozbudzenia zapalczowości młodego d'Artagnana, łatwo pojmujemy więc, jakie sprawiła na nim wrażenie ta hałaśliwa wesołość.

Najpierw jednak d'Artagnan zapragnął zobaczyć, jak wygląda impertynent⁴¹, który pozwala sobie stroić z niego żarty. Utkwił w nieznajomym dumne spojrzenie i zauważył, iż był to mężczyzna od czterdziestu do czterdziestu pięciu lat, o oczach czarnych i przenikliwych, cerze bladej, z nosem mocno wydatnym i czarnymi, pięknie ułożonymi wąsami; miał on na sobie kaftan i spodnie fioletowe z plecionkami tegoż koloru, bez żadnej ozdoby prócz zwykłych naciąg na rękawach, przez które przeglądała koszula. Ubranie to, jakkolwiek nowe, zmięte było tak, jak gdyby długo spoczywało w walizie podróźnej. D'Artagnan uczynił to spostrzeżenie szybko, ale drobniaczkowo, jak gdyby przeczuwając, że osobistość owa ma w przyszłości wywrzeć wielki wpływ na jego życie.

Gdy wpatrywał się w szlachcica w fioletowym ubraniu, ten był zajęty najuczciwszym i najbieglejszym wskazywaniem przymiotów bearnieńskiego podjezdka, zaś dwaj słuchacze śmiali się hałaśliwie, a dokoła ust opowiadającego, wbrew zwyczajowi, zarysował się widoczny, acz blade jeszcze uśmiech. Tym razem nie zachodziła już żadna wątpliwość, d'Artagnan był istotnie znieważany. Przeświadczony o tym najzupełniej, beret na oczy nacisnął i usiłując naśladować ruchy wielkopańskie, podpatrzone w Gaskonii u przejeżdżających dostojników, zbliżył się z ręką na rękojeści szpady, a drugą wspartą na biodrze. Na nieszczęście, w miarę jak podchodził bliżej, gniew go zaślepił coraz gwałtowniej i zamiast pełnej godności przemowy, którą przygotował sobie dla rzucenia wyzwania, nie znalazł na końcu języka nic prócz obelgi grubiańskiej, z towarzyszeniem gestu wściekłości.

— Hej! Panie — zawołał — panie, co się tam za okiennicą chowasz! Powiedz mi, jeśli łaska, co cię tak bardzo śmieszy, a pośmiejemy się razem!

Zagadnięty przeniósł spokojnie wzrok z wierzchowca na jeźdźcę, jak gdyby potrzebował pewnego czasu dla zrozumienia, że ta dzika przymówka jest skierowana do niego, następnie, gdy znikła wszelka wątpliwość, jego brwi naciągnęły się lekko i po dość długim milczeniu, tonem ironii i nieopisanego zuchwalstwa, odpowiedział:

— Nie do ciebie mówię, mój panie.

— Ale ja mówię do ciebie, ja! — krzyknął chłopak, zrozpaczony tym połączeniem czelności i pięknych manier, konwenansu i pogardy.

Nieznajomy jeszcze chwilę popatrzył na niego i oddalając się od okna, powoli wyszedł z zajazdu i stanął przed koniem o parę kroków od d'Artagnana. Spokój i drwiący wyraz jego twarzy podwoiły wesołość towarzyszy pozostałych przy oknie.

D'Artagnan widząc, że się zbliża, chwycił szpadę i do połowy obnażył ją z pochwy.

— Koń ten stanowczo jest, a raczej był, barwy jaskra polnego — ciągnął nieznajomy, zwróciwszy się do swoich słuchaczy z okna i jakby nie widząc d'Artagnana albo wcale nie zważając na niego. — Kolor ten jest bardzo znany w botanice, lecz u koni, przynajmniej jak dotąd, był nader rzadki.

— Łatwo to z konia się śmiać, na to nie trzeba takiej odwagi, jak śmiać się z jego pana! — wykrzyknął z wściekłością współzawodnik pana de Tréville.

Pojedynek, Honor, Koń,
Odwaga, Gniew, Obcy

Śmiech, Koń

⁴¹ *impertinent* — człowiek zachowujący się arogancko, obraźliwie wobec kogoś. [przypis edytorski]

— Ja nieczęsto się śmieję, mój panie — odrzekł nieznajomy — możesz to odgadnąć z mej twarzy; ale śmieję się wtedy, kiedy mi się podoba.

— A ja — krzyknął d'Artagnan — nie pozwalam, aby się śmiano wtedy, gdy ja nie chcę i gdy mi się nie podoba.

— Doprawdy? — ciągnął nieznajomy z większym niż dotąd spokojem. — A to najzupełniej słuszne.

I wykręciwszy się na pięcie, zmierzał z powrotem ku bramie zajazdu, gdzie stał jego osiodłany koń.

Lecz czyż d'Artagnan mógł puścić płazem takie drwiny? Porwał za szpadę i popędził za nieznajomym, krzycząc:

— Obróć no się, obróć, panie wesoły, bo mogę cię wypadkiem uderzyć z tyłu.

— Ty chcesz mnie uderzyć! — odparł ten, naraz zwracając się do młodzieńca szybko z miną zdziwioną, a zarazem wzgardliwą. — Zwariowałeś widocznie, mój kochanku! — Potem dodał do siebie półgłosem: — Szkoda wielka! Pyszny byłby nabytek dla Jego Królewskiej Mości, który ze wszystkich stron szuka takich śmiałków do swoich muszkietierów.

Zaledwie domawiał te słowa, kiedy d'Artagnan tak gwałtownie na niego natarł, że gdyby nagle nie uskoczył w tył, byłby prawdopodobnie żartował po raz ostatni w swym życiu. Wtedy nieznajomy zrozumiał, że to już przechodzi granicę żartów, dobył więc szpady i przesadnie kłaniając się przeciwnikowi, stanął w pogotowiu, lecz w tejże chwili owi dwaj słuchacze wspomagani przez gospodarza wpadli na d'Artagnana, z całych sił łomocąc go kijami, pogrzebaczami i szczypcami kuchennymi. Napad ten tak dalece zmienił postać rzeczy, że kiedy d'Artagnan odwrócił się, aby stawić czoło temu gradowi pocisków, jego przeciwnik z tą samą przesadą schował szpadę do pochwy i z aktora walki, którym o mało co nie został, stał się tylko widzem i z roli tej wywiązując się ze zwykłą sobie obojętnością, mruczał tylko przez zęby:

— Niech ich powietrze ogarnie, tych Gaskończyków! Wpakujcie go na tego pomarańczowego konia i niechaj jedzie z Bogiem.

— Nie prędzej, aż cię zatłukę, nikczemniku! — wrzeszczał d'Artagnan, nie ustępując ani kroku napastnikom nacierającym na niego ze wszystkich stron.

— Zawsze ta gaskonada⁴²! — mruknął szlachcic. — O! Na honor, Gaskończycy zawsze są niepoprawni. Kończcie już ten taniec, kiedy chce koniecznie. On wam sam powie, jak będzie miał dosyć.

Ale nie wiedział, z jakim zapaleńcem ma do czynienia; d'Artagnan był z tych, co nie ustępują nikomu ani na krok. Walka trwała jeszcze kilka chwil; na koniec, wyczerpany, upuścił szablę, którą uderzenie kijów przełamało na dwoje. Od innego znów uderzenia jednocześnie zraniony w czoło padł na wznak skrwawiony i prawie zemdlony.

Wtedy to właśnie nadbiegano ze wszystkich stron na miejsce, gdzie się ta scena rozgrywała. Oberżysta⁴³, lękając się głośniejszej awantury, przeniósł przy pomocy stajennych rannego do kuchni, gdzie go zaraz opatrzone.

Szlachcic zaś wrócił na dawne miejsce u okna i z pewnym rozdrażnieniem przypatrywał się tej tłuszczy⁴⁴, która jakby go gniewała niepomieranie.

— I cóż?! Jak się miewa szaleniec? — zapytał, zwracając się do oberżysty, który przyszedł go o zdrowie zapytać.

— Czy nic się Waszej Ekscelencji nie stało? — odezwał się oberżysta.

— Ja się zupełnie dobrze czuję, gospodarzu kochany, ale pytam właśnie, co się dzieje z naszym młokosem.

— Już mu lepiej — odrzekł gospodarz — ale wprzód zupełnie omdlał.

— Doprawdy? — pochwycił szlachcic.

— Lecz przed zemdleniem, zebrawszy wszystkie siły, wymyślał i odgrażał się panu.

— Toż ten śmiałek to widocznie diabeł wcielony — zawołał nieznajomy.

— O nie, ekscelencjo, on diabłem wcale nie jest — odparł oberżysta z pogardliwym skrzywieniem — bo kiedy zrewidowaliśmy go, zanim odzyskał przytomność, w jego zawiniątku znaleźli tylko jedną koszulę, a w torbie marne dwanaście talarów. Nie

⁴²gaskonada — pyszałkowatość. [przypis edytorski]

⁴³oberżysta — właściciel oberży. [przypis edytorski]

⁴⁴tłuszcza (pogard.) — zgraja. [przypis edytorski]

przeszkodziło mu to jednak przed zemdleniem powiedzieć, że gdyby to było w Paryżu, pożalowałbyś pan tego zaraz, lecz co się odwlecze, to nie uciecze.

— Więc to musi być jakiś przebrany książę — odrzekł nieznajomy chłodno.

— I ja tak myślę, dostojny panie — odrzekł oberżysta. — I powinienes się mieć na baczności.

— A czy w gniewie jakiego nazwiska nie wymienił?

— I owszem, uderzał się po kieszeni i mówił: „Zobaczmy, co powie pan de Tréville na zniewagę, jaką wyrządzono jego protegowanemu”.

— Pan de Tréville? — podchwycił nieznajomy z zajęciem. — Uderzał się po kieszeni, wymawiając nazwisko pana de Tréville?... Słuchaj, gospodarzu, pewny jestem, że nie omieszkales przetrząsnąć tej kieszeni, kiedy był zemdlony. Co tam w niej było?

— List do pana de Tréville, kapitana muszkietierów.

— Doprawdy?

— Tak jak to powiedziałem Waszej Ekscelencji.

Oberżysta, zbytnią bystrością nieobdarzony, nie zauważył wyrazu, jaki jego słowa wywołały na obliczu nieznajomego. Ten zaś, opuszczając okno, o którego framugę był oparty, zmarszczył brwi z wyrazem niepokoju.

— Co, u diabła? — syknął przez zęby. — Czyżby Tréville nasłał mi tego Gaskończyka? Młokos to, co prawda! Pchnięcie szpady jednak nie przestaje być pchnięciem, bez względu na wiek tego, który je zadaje; a na dzieciaka mniej się zwykle uważa niż na kogo innego!... Czyż nieraz drobna na pozór przeszkoda nie pokrzyżowała wielkich zamiarów?

I nieznajomy pograżył się w zamyśleniu.

— Słuchaj, gospodarzu — rzekł — czy nie mógłbyś uwolnić mnie od tego zapaleńca? Co prawda zabić go nie mogę, a jednak — dodał z groźnym spokojem — a jednak zawadza mi. Gdzież on jest?

— W pokoju mojej żony, na pierwszym piętrze, opatrują go tam.

— Czy są przy nim jego łachmany i zawiniątko? Czy nie zdjął kaftana?

— Przeciwnie, w kuchni na dole wszystko to się znajduje. Lecz skoro panu ten szaleniec zawadza...

— Bez wątpienia. Jest on w twoim zajęździe przyczyną awantury z ludźmi przyzwitymi. Wracaj do siebie, przygotuj rachunek i uprzedź mego służącego.

— Jak to?! Pan już nas opuszcza?

— Widzisz to przecie⁴⁵, skoro dałem ci rozkaz osiedlać mego konia. Czy nie zrobiono tego jeszcze?

— I owszem, i, jak to Wasza Ekscelencja mogła zauważyć, koń Jego stoi w bramie, gotowy do podróży.

— Zrób zatem, co ci mówiłem.

„U! — rzekł w duchu oberżysta. — Miałżeby⁴⁶ on istotnie bać się tego chłopaka?”

Lecz groźne spojrzenie nieznajomego zbiło go z tropu. Skłonił się nisko i wyszedł.

— Nie trzeba, ażeby milady⁴⁷ była przez tego dudka⁴⁸ widziana — rzekł do siebie nieznajomy. — Powinna by tu już niedługo nadjechać; spóźnia się nawet trochę. Najlepiej będzie, gdy wsiądę na konia i pojedę na jej spotkanie... Gdybym tylko mógł wiedzieć, co zawiera ten list do Tréville’a!

I mrucząc tak, skierował się do kuchni.

Oberżysta tymczasem, nie przypuszczając, by obecność młodego chłopca wypędzała nieznajomego z zajazdu, zaszedł do swojej żony, gdzie zastał d’Artagnana już najzupełniej przytomnego. Dał mu więc do zrozumienia, że mógłby mieć jakąś nieprzyjemność z policją za szukanie przezeń zaczepki z wielkim panem, gdyż, według oberżysty, nieznajomy był niezawodnie magnatem. Przekładając to wszystko, gospodarz oberży wreszcie namówił go tak, że młodzieniec, pomimo osłabienia, powstał, by puścić się w dalszą drogę. D’Artagnan, na pół ogluszony, z owiazaną głową i bez kaftana, ruszył się z miejsca i nagłony przez gospodarza, zwałował się powoli ze schodów, lecz pierwszą osobą, którą

⁴⁵przecie (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

⁴⁶miałżeby — dawna konstrukcja z partykułą -że-; znaczenie: czyżby miał. [przypis edytorski]

⁴⁷milady (ang.) — dawny tytuł grzecznościowy używany wobec arystokratek. [przypis edytorski]

⁴⁸dudek (pot.) — głupiec. [przypis edytorski]

spozstrzegł, wszedłszy do kuchni, był jego wróg rozmawiający najspokojniej w świetle przy drzwiczkach karety podróżnej zaprzężonej w dwa wielkie konie normandzkie.

Kobieta, z którą rozmawiał, a której główka wyglądała z okna pojazdu, jak w ramki oprawna, mogła mieć dwadzieścia do dwudziestu dwóch lat najwyżej.

Mówiliśmy już o tym, z jaką szybkością baczne oko d'Artagnana zdawało sobie sprawę z każdego oblicza, więc od razu spozstrzegł on też, że kobieta jest młoda i piękna. Piękność ta tym więcej go uderzyła, iż nie miała nic wspólnego z południową prowincją, gdzie dotąd zamieszkiwał.

Była to blondynka, blada, z długimi włosami w lokach, spadającymi na jej cudne ramiona, o dużych a smętnych niebieskich oczach; ręce miała śnieżnej białości, a usta jak świeżo rozkwitła róż. Rozmawiała z nieznajomym, wielce ożywiona.

— Jego Eminencja zatem rozkazuje mi... — mówiła.

— Niezwłocznie powrócić do Anglii i donieść mi bezpośrednio, czy książę wyjeżdżał z Londynu.

— A co do innych zleceń? — zapytała piękna podróżna.

— Są one zawarte w tym oto pudełku, które pani otworzy, ale dopiero po tamtej stronie kanału.

— Dobrze... a co pan ze sobą zrobi?

— Ja powracam do Paryża.

— Nie ukarawszy tego zuchwałego chłopaka? — zapytała dama.

Nieznajomy zabierał się do odpowiedzi, lecz zanim otworzył usta, d'Artagnan, który słyszał to wszystko, skoczył i stanął na progu.

— Oto jest właśnie ten zuchwały chłopak, który sam innych karze — zawołał — a jak na teraz mam nadzieję, że ten, którego ukarać powinien, nie wymknie mu się jak za pierwszym razem.

— Czy tak? — odparł nieznajomy, marszcząc brwi.

— Nie, nie śmiałyś wobec kobiety uciekać, tak przypuszczam przynajmniej.

— Zastanów się — krzyknęła milady, widząc, że szlachcic już chwyta za szpadę — pomyśl, że najmniejsza zwłoka może wszystko zgubić.

— Masz słuszość — zawołał — jedźmy więc, każde w swoją stronę.

I skinąwszy jej głową na pożegnanie, skoczył na konia, a jednocześnie woźnica karety śmignął potężnie batem nad swoim zaprzęgiem. Ruszyli galopem, każde z nich pędząc w przeciwnym kierunku.

— Hej! Hej! A rachunek niezapłacony — wrzeszczał gospodarz, którego względy dla podróżnego we wzgardę się zamieniły, na widok, że odjeżdża, nie zapłaciwszy należności.

— Zapłać, gamajdo⁴⁹! — krzyknął w pełnym galopie podróżny na swego pacholka⁵⁰, który rzuciwszy parę sztuk srebra pod nogi oberżysty, podążył za swoim panem.

— A! Łotr. A! Łajdak, szlachcicem podszyty! — krzyczał d'Artagnan, goniąc za obydwoma.

Lecz ranny nie odzyskał jeszcze o tyle sił, ażeby wytrzymać podobne wstrząśnienia. Zaledwie ubiegł kilka kroków, poczuł szum w uszach, świat zawirował mu przed oczami, nareszcie krwawa chmura zasłoniła mu oczy i padł na środku drogi, wołając jeszcze:

— Podły! Podły! Podły!...

— To prawda, że podły — mamrotał oberżysta, podeszedłszy do d'Artagnana i próbując jemu się teraz przypodobać i pogodzić się z biedakiem, jak owa czapla ze ślimakiem w bajce.

— Podły! Podły!... — powtarzał d'Artagnan. — Ale ona bardzo piękna!

— Co za ona? — zapytał oberżysta.

— Milady — wybełkotał d'Artagnan i zemdlął po raz drugi.

— A! I tej milady nie mam — rzekł do siebie gospodarz. — Ha! Chociaż ten mi pozostaje z pewnością, na kilka dni co najmniej. W każdym razie jedenaście talarów w zysku.

Wiadomo, że taka suma znajdowała się w sakiewce d'Artagnana.

Oberżysta liczył na jedenaście dni choroby, czyli po talarze na dobę.

Uroda, Piękno, Kobieta

⁴⁹gamajda — ciamajda, osoba powolna i przesadnie łagodna. [przypis edytorski]

⁵⁰pacholek (daw.) — człowiek spełniający różne posługi lub pomocnik. [przypis edytorski]

Ale osoby chorego nie wziął wcale w rachubę.

Nazajutrz o piątą z rana d'Artagnan podniósł się, zeszedł sam do kuchni, zażądał, prócz innych rzeczy, których spis nie doszedł do nas, wina, oliwy, rozmarynu i z receptą macierzyńską w ręce sporządził sobie balsam, którym namaściwszy swoje liczne rany, sam je opatrywał, nie chcąc dopuścić żadnego lekarza. Dzięki zbawiennym skutkom balsamu cygańskiego, a być może i nieobecności lekarzy, stanął na nogi jeszcze tego wieczora, a nazajutrz był już prawie wyleczony.

Kiedy przyszło płacić za rozmaryn, wino i oliwę, jego jedyny wydatek, sam bowiem zachował najściślejszą dietę, gdy przeciwnie żółty konik, jak dowodził oberżysta, zjadł trzy razy więcej, niż można było przypuścić, d'Artagnan znalazł wprawdzie w kieszeni swój podarty woreczek aksamitny z jedenastoma talarami, lecz list adresowany do pana de Tréville zniknął bez śladu. Począł więc z największą cierpliwością poszukiwać listu, po dwadzieścia razy wywracał kieszenie, szperał po mniejszych kieszonkach, grzebał w zawiniątku, otwierał i zamykał woreczek; ale gdy nabrał przekonania, że trzeba uważać list za stracony, wpadł w trzeci paroksyzm⁵¹ gniewu, co omaal znów nie spowodowało powtórnego użycia wina i oliwy rozmarynowej, bo na widok tego zapaleńca grożącego, że wszystko, co napotka w domu, potłucze w drobne kawałki, jeżeli nie znajdzie listu, gospodarz znowu pochwycił za oszczep, jego połowica⁵² za miotłę, a parobcy za kije, te same, które poprzedniego dnia były w robocie.

— List! Mój list polecający! — krzyczał d'Artagnan. — Albo klnę się, że wszystkich nadzieję na szpadę jak jarzabki na rożen.

Nieszczęściem jednak pewna okoliczność sprzeciwiała się spełnieniu tej groźby, bo w pierwszej walce jego szpada, jak mówiliśmy, została złamana na dwoje, o czym najzupełniej zapomniał. Z tego wynikło, że gdy d'Artagnan chciał ją wydobyć z pochwy, znalazł się uzbrojony, lecz tylko w odłamek na sześć czy osiem cali⁵³ długi, który gospodarz najstaranniej wsunął mu do pochwy, resztę obciętej klingi⁵⁴ dla siebie sprzątnął i potem obrócił na szpikulec.

Prawdopodobnie jednak rozczarowanie to nie byłoby powstrzymało młodego zapaleńca, gdyby nie uwaga uczyniona przez oberżystę, że jego gość słusznie tak ubolewa nad utratą listu:

— Ale, to prawda — odezwał się, opuszczając oszczep — gdzie może być ten list?

— Tak, gdzie ten list? — krzyczał d'Artagnan. — Powiadam wam, że to list do pana de Tréville i musi się znaleźć, już on na to poradzi! No! On na to poradzi!...

Groźba ta ostatecznie opamiętała oberżystę. Bo po królu i kardynale pan de Tréville był człowiekiem, którego imię najczęściej powtarzali zarówno wojskowi, jak i mieszczenie. Wprawdzie Ojciec Józef⁵⁵ żył jeszcze, lecz jego imię tylko po cichu wymawiano, taką grozą przejmowała szara eminenca⁵⁶, jak nazywano samego kardynała. Odrzuciwszy więc oszczep na stronę i zalecając żonie, aby to samo uczyniła z miotłą, a parobkom z kijami, oberżysta pierwszy dał przykład szukania zatraconego listu.

— Czy ten list zawiera coś ważnego? — spytał po chwili nadaremnych szperań.

— Spodziewam się! — krzyknął Gaskończyk, który miał nadzieję utorować nim sobie drogę do dworu. — List ten stanowi o moim losie.

— Może w nim były obligi⁵⁷ hiszpańskie? — pytał zaniepokojony oberżysta.

— Obligi na osobisty skarbiec królewski — odparł d'Artagnan, który obiecując sobie przy pomocy listu wejść do służby Jego Królewskiej Mości, sądził, iż śmiało mógł tak odpowiedzieć.

— Tam do diabła! — jęknął zrozpaczony oberżysta.

List, Kradzież, Gniew

⁵¹paroksyzm — nagle wystąpienie lub zaostrenie się objawów chorobowych; atak, napad; w odniesieniu do uczuć: krótki, gwałtowny i silny przejaw jakichś przeżyć. [przypis edytorski]

⁵²połowica (żart.) — żona. [przypis edytorski]

⁵³cal — dawna jednostka miary długości, równa ok. 2,5 cm. [przypis edytorski]

⁵⁴klinga — część broni siecznej, od rękojeści w dół, służąca do kłucia lub cięcia. [przypis edytorski]

⁵⁵Ojciec Józef a. François Joseph Le Clerc du Tremblay (1577–1638) — francuski duchowny, kapucyn, poeta, bliski doradca kardynała Richelieu. [przypis edytorski]

⁵⁶szara eminenca — osoba mająca wpływ na ważne decyzje lub kierująca czymś z ukrycia. [przypis edytorski]

⁵⁷oblig (daw.) — zobowiązanie, zwłaszcza na piśmie. [przypis edytorski]

— Mniejsza o to — kończył d'Artagnan z zacięciem cechującym jego pochodzenie — pieniądze to jeszcze nie! Wolalbym stracić tysiąc pistoli⁵⁸ aniżeli to pismo.

Tak samo mógł powiedzieć o dwudziestu tysiącach, lecz wstrzymała go nieśmiałość młodzieńcza.

Zmożonemu poszukiwaniami oberżyscie nagle myśl strzeliła do głowy.

— Ten list wcale nie zginął — zawołał.

— A! — odezwał się d'Artagnan.

— Nie, on tylko został zabrany.

— Zabrano! A to przez kogo?

— A przez tego wczorajszego szlachcica. On był w kuchni i to sam jeden, a kaftan pański tam leżał. Założyłbym się, że to on ukradł.

— Tak myślisz? — odparł d'Artagnan, słabo jednak przekonany, bo lepiej niż kto inny znał rzeczywistą doniosłość listu i nie widział w nim nic takiego, co by mogło obudzić cudzą pożydlwość. Bo cóż by kto, czy to z pacholków, czy z podróżnych, zyskać mógł na posiadaniu tego świstka.

— Mówisz zatem — ciągnął d'Artagnan — iż tego grubiańskiego szlachcica posadzysz...

— Mówię panu, bo jestem tego pewny — kończył oberżysta. — Kiedy mu oznajmiłem, że Wasza Dostojność jest protegowanym pana de Tréville i że nawet posiadasz list do tego znakomitego męża, wielce się zaniepokoił, pytając, gdzie może znajdować się ten list, po czym niezwłocznie udał się do kuchni, gdzie leżał pański kaftan.

— Więc to on jest tym złodziejem, który mnie okradł — odparł d'Artagnan. — Poskarżę ja się panu de Tréville, a ten poskarży się królowi. — Potem, z miną majestatyczną, wydobyl z kieszeni dwa talary i dał je oberżyscie, który z kapeluszem w ręce odprowadził go do drzwi. Tam d'Artagnan dosiadł żółtego rumaka, który już bez żadnego wypadku doniósł go do bramy Saint-Antoine w Paryżu, gdzie został sprzedany przez swego właściciela za trzy talary, co znaczyło, że zapłacony był dobrze, bo d'Artagnan pędził go niemiłosiernie od ostatniego popasu. Handlarz koni, który go nabył, nie ukrywał też, że taką sumę daje tylko dla jego niezwykłej maści.

Teraz, bez konia, d'Artagnan wszedł do Paryża piechotą, z węzełkiem⁵⁹ pod pachą, i póty chodził, aż znalazł pokój do wynajęcia, odpowiedni do jego szczupłych funduszy. Siedziba ta była rodzajem poddasza i znajdowała się przy ulicy des Fossoyeurs, w pobliżu Luksemburga⁶⁰. Skoro tylko dał zadatek, zajął swoje mieszkanie i resztę dnia przepędził na zaszywaniu kaftana i naszywaniu spodni galonami⁶¹, które matka odpruła od kaftana starego pana d'Artagnana i dała mu po kryjomu. Następnie udał się na bulwar de la Ferraillle po nową klingę do szpady; zawrócił potem do Luwru⁶², aby się wywiedzieć od pierwszego lepszego muszkietera, gdzie się znajduje dom pana de Tréville, a dom ten, jak usłyszał, stał przy ulicy du Vieux-Colombier, to jest w bliskim sąsiedztwie siedziby d'Artagnana, co tenże poczytał za dobrą wróżbę dla swych przyszłych losów.

I, zadowolony ze swego zachowania w Meung, bez wyrzutów sumienia z przeszłości, ufny w teraźniejszość i pełen nadziei na przyszłość, legł na posłaniu i zasnął snem sprawiedliwego. Ów czysto parafiański jeszcze sen wytrzymał go do godziny dziewiątej rano, więc d'Artagnan zerwał się szybko, by podążyć do sławnego pana de Tréville, trzeciej osoby w królestwie, według klasyfikacji pana d'Artagnana ojca.

ROZDZIAŁ II. PRZEDPOKÓJ PANA DE TRÉVILLE

Pan de Troisville, jak mieniła się jego rodzina w Gaskonii, albo de Tréville, jak wreszcie sam się przezwiał w Paryżu, zaczynał tak samo jak d'Artagnan, czyli bez grosza przy duszy, ale z zapasem śmiałości, dowcipu i sprytu, które sprawiają, iż najuboższy szlachetka gaskoński otrzymując je w spuściźnie po przodkach, staje się bogatszy niż najzamożniejszy

⁵⁸pistol — francuska nazwa dublona, złotej monety hiszpańskiej. [przypis edytorski]

⁵⁹węzełek — pakunek, tobiół. [przypis edytorski]

⁶⁰Luksemburg — tu: Ogród Luksemburski w Paryżu, park miejski przy pałacu księcia de Luxembourg. [przypis edytorski]

⁶¹galon — naszywka ze złotej lub srebrnej taśmy. [przypis edytorski]

⁶²Luwru — dawny pałac królewski w Paryżu, obecnie jedno z największych muzeów sztuki na świecie. [przypis edytorski]

perigordzki⁶³ szlachcic, dziedziczący dostatki po swoim rodzicu. Zuchwały, nieustraszony, szczęśliwy dzięki wypadkom, które jak grad padały w owych czasach, wyniesiony na szczyt stromej drabiny, jaka się zwie łaską na dworze, również z pomocą wypadków, przeskakiwał na niej od razu po cztery szczeble.

Był przyjacielem króla, który, jak wiadomo, czcil niezmiennie pamięć swego ojca Henryka IV. Ojciec pana de Tréville służył mu wiernie w wojnach przeciwko Lidze⁶⁴, także przy braku gotówki, a brakło jej przez całe życie Henrykowi Bearnieńczykowi⁶⁵, który zwykle płacił długi jedyną monetą, jakiej pożyczać nie potrzebował nigdy, to jest własnym dowcipem, zatem, przy braku gotówki dla wynagrodzenia mu zasług, król upoważnił go, po poddaniu się Paryża, do wzięcia sobie na herb złotego lwa na czerwonej tarczy z godłem *fidelis et fortis*⁶⁶. Zaszczytu wiele, lecz korzyści materialnych trochę za mało. Kiedy też znakomity towarzysz wielkiego Henryka umarł, zostawił w spadku synowi tylko godło i szpadę. Dzięki tej podwójnej spuściźnie, z dodatkiem nieskazitelnego imienia, pan de Tréville został dopuszczony do dworu młodego księcia, gdzie, wierny godłu swemu, tak dzielnie szpadą mu służył, że Ludwik XIII, jeden z lepszych szermierzy swego królestwa, mawiał, iż gdyby miał przyjaciela, któremu przysłoby pojedynkować się, radziłby mu wziąć na świadka najpierw Ludwika, a potem pana de Tréville, a nawet może wpierw jeszcze wybrałby tego ostatniego.

Ludwik XIII miał też szczere przywiązanie do pana de Tréville, przywiązanie królewskie wprawdzie, samolubne, ale bądź co bądź zawsze przywiązanie. Bo w owych nieszczęsnych czasach usilnie starano się otaczać takimi ludźmi jak pan de Tréville.

Wielu bowiem mogło szczyć się godłem *silny*, lecz mało szlachty mogło zasłużenie nosić dewizę *wierny*. Do ostatnich jednak należał de Tréville. Był to człowiek rzadki, z posłuszeństwem psa, odwagą ślepą, okiem bystrym i potężną dlonią, któremu wzrok dany był jakby tylko po to, aby dojrzeć niezadowolenie królewskie z jakiejś osoby, a ręką, aby winowajcę uderzyć, chociażby nim był Besme, Maurevers, Poltrot, de Méré czy Vitry. Potrzeba mu było tylko sposobności; czyhał na nią i obiecywał sobie ją pochwycić choćby za jeden włos, skoro nawinęłaby się mu pod rękę.

Król zrobił go też wodzem muszkietierów, którzy w przywiązaniu posuniętym do fanatyzmu byli dla Ludwika XIII tym, czym przyboczna straż dla Henryka III⁶⁷, a straż szkocka dla Ludwika XI⁶⁸.

Kardynał zaś i pod tym względem nie chciał ustępować królowi. Gdy ujrzał tych groźnych wybrańców, którymi otoczony był Ludwik XIII, zapragnął także posiadać swoją straż. Miał więc i on swoich muszkietierów, i można było widzieć, jak te dwie współzawodniczące ze sobą potęgi w swój poczet ze wszystkich prowincji francuskich, a nawet spod cudzoziemskich rządów, rekrutowały ludzi sławnych z dzielności rycerskiej. Król i kardynał też często wieczorami przy szachach wszczynali sprzeczki o zalety swoich obrońców.

Jak jeden, tak drugi wychwalał postawę i męstwo tych, którzy należeli do niego; i obaj, potępiając w zasadzie pojedynki i burdy, sami podzegli ich z cicha do zaczepiek, odczuwając prawdziwy żal lub radość niepomiarłą z porażki lub zwycięstwa swoich ludzi. Tak przynajmniej głoszą pamiętniki człowieka, który w zapasach tych pokonany bywał czasami, lecz najczęściej stawał się zwycięzcą.

Tréville, poznawszy słabą stronę swego pana, zawdzięczał tej przebiegłości długotrwałą i niezmierną łaskę króla, który nie pozostawił po sobie pamięci zbyt wiernego w przyjaźni. Wiedząc, czym się przypodobać Ludwikowi, popisywał się filuternie swymi muszkietierami przed kardynałem Armandem du Plessisem, na co jeżyły się ze złości siwe wąsiki Jego Eminencji.

Tréville pojmował należycie ducha swojej epoki, kiedy się żyło kosztem, jeżeli nie

Wierność, Siła, Rycerz, Król

Żołnierz, Obyczaj

⁶³perigordzki — przym. od *Périgord*: kraina historyczna w pld.-zach. Francji, w pñ. Akwitanii. [przypis edytorski]

⁶⁴Liga Świąta — antyfrancuska i antyturecka koalicja państw europejskich organizowana przez papieża w Europie w okresie od końca XV do początku XVIII w. [przypis edytorski]

⁶⁵Henryk Bearnieńczyk — chodzi o Henryka IV. [przypis edytorski]

⁶⁶*fidelis et fortis* (łac.) — wierny i silny. [przypis edytorski]

⁶⁷Henryk III (1551–1589) — pierwszy elekcyjny król Polski w latach 1573–1574, od 1574 do śmierci król Francji jako Henryk III (ostatni władca Francji z dynastii Walezjuszów). [przypis edytorski]

⁶⁸Ludwik XI (1423–1483) — król Francji od 1461, z dynastii Walezjuszów. [przypis edytorski]

swoim, to własnych ziomek⁶⁹. Jego żołnierze to był legion diabłów, tylko jemu ulegli, tylko dla niego znali karność⁷⁰.

Rozczochrani, podpici, pokiereszowani muszkietierowie króla, a raczej pana de Trévillle, rozpraszali się po szynkach⁷¹, spacerach, miejscach publicznych, hałasując, podkręcając wąsa, brzęcząc ostrogami⁷², potrącając straż kardynalską z bezgraniczną rozkoszą, dobywając szpady z żarcikami nieskończonymi przy pierwszym spotkaniu i pośrodku ulicy, bo pewni byli, że w razie śmierci niechybnie zostaną oplakiwani i pomśczeni; często nawet zabijali przeciwników z najzupełniejszym spokojem, wiedząc dobrze, że nie zgniją za to w więzieniu, był bowiem jeszcze pan de Trévillle, który umiał się za nimi wstawić. Jakże też go na wszystkie tony wychwalali ci ludzie, jak go uwielbiali, i choć przeważnie byli to nicponie i włóczędzy, drżeli przed nim jak żacy⁷³ przed nauczycielem, posłuszni na każde skinienie, gotowi dać się zabić, byleby oczyścić się przed nim z najmniejszego zarzutu.

Używał on też tej potężnej dźwigni, najpierw dla króla i jego stronników, potem dla siebie i swoich przyjaciół. Zresztą w żadnym z ówczesnych pamiętników, a niemało ich pozostało, nie ma śladu najmniejszego zarzutu przeciw temu zacnemu szlachcicowi, nawet ze strony jego nieprzyjaciół, których liczył sporo pomiędzy ludźmi zarówno pióra, jak broni. Przy genialnych zdolnościach do intryg, stawiających go na równi z najpotężniejszymi, pozostał człowiekiem uczciwym. Co więcej, pomimo cięć, które szpecą ciało, i ciężkich ćwiczeń, które je nużą, stał się jednym z najpożądańszych gości w towarzystwach kobiecych, najwykwintniejszym zalotnikiem i najbardziej wyrafinowanym dowcipnisiem swojego czasu; mówiono o zwycięstwach buduarowych⁷⁴ Trévillle'a tak jak przed dwudziestu laty o Bassompierre⁷⁵, a to znaczyło niemało. Dowódca muszkietierów był zatem podziwiany; lękano się go i kochano zarazem, co stanowi najwyższy szczyt powodzenia ludzkiego.

Ludwik XIV⁷⁶ pochłaniał mniejsze gwiazdy dworu w promieniach swojej jasności; jego ojciec zaś, jako słońce *pluribus impar*⁷⁷, pozostawiał blask osobisty każdemu z ulubieńców swoich, każdemu z dworzan własną jego wartość. Oprócz przyjęć porannych u króla i kardynała liczono owego czasu w Paryżu przeszło dwieście innych, także wyszukanych. Spośród nich najbardziej ubiegano się o przyjęcie u de Trévillle.

Dziedziniec jego pałacu przy ulicy du Vieux-Colombier był podobny do obozu, latem już od godziny szóstej z rana, zimą od ósmej. Pięćdziesięciu do sześćdziesięciu muszkietierów luzowało⁷⁸ się tam ciągle, aby każdy widział ich w tak potężnej liczbie, a przy tym zawsze zbrojnych i gotowych na wszystko. Wzdłuż wielkich schodów, w których klatce dzisiejsza cywilizacja mogłaby zbudować cały dom, mijali się bezustannie ci i owi interesanci paryscy, przychodzący z przeróżnymi prośbami, szlachta z prowincji, pragnąca być przyjęta w poczet muszkietierów, i służba wszelkiej barwy, wygalowana⁷⁹, przynosząca panu de Trévillle listy od swoich panów. W przedpokoju na ławkach pod ścianami rozsiedli się wybrańcy, czyli ci, którzy zostali wezwani. Od rana do wieczora było tam gwarno, a tymczasem pan de Trévillle przyjmował wizyty w gabinecie obok przedpokoju, słuchał zażaleń, wydawał rozkazy i jak królowi na balkonie w Luwrze, tak jemu dość było stanąć w oknie, ażeby odbyć przegląd swoich ludzi i broni.

W dniu, kiedy znalazł się tam d'Artagnan, zebranie było imponujące, zwłaszcza dla parafianina⁸⁰ przybyłego z prowincji; co prawda był on Gaskończykiem, a w owych cza-

Obcy, Walka, Żart, Zabawa

⁶⁹ziomek — ktoś, kto pochodzi z tej samej okolicy. [przypis edytorski]

⁷⁰karność — dyscyplina. [przypis edytorski]

⁷¹szynk (daw.) — podrzędny lokal sprzedający alkohol. [przypis edytorski]

⁷²ostroga — element metalowy przypinany do butów jeźdźcy, służący do ponagłania konia, ułatwiający jeźdźcowi prowadzenie wierzchowca. [przypis edytorski]

⁷³żak (daw.) — student lub uczeń. [przypis edytorski]

⁷⁴buduarowy (daw.) — przym. od *buduar*: kobiecy pokój przeznaczony do odpoczynku. [przypis edytorski]

⁷⁵Bassompierre, François de (1579–1646) — francuski wódz i dyplomata; faworyt Henryka IV, służył także Ludwikowi XIII; mianowany marszałkiem Francji za zasługi w wojnie z hugenotami; brał udział w oblężeniu La Rochelle. [przypis edytorski]

⁷⁶Ludwik XIV (1638–1715) — król Francji (od 1643), zwany „Królem Słońce”, panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej. [przypis edytorski]

⁷⁷*pluribus impar* (łac.) — nawiązanie do dewizy Ludwika XIV: „nec pluribus impar” (pol. żadnego innego podobnego). [przypis edytorski]

⁷⁸luzować się — tu: zmieniać się (szczególnie: na warcie). [przypis edytorski]

⁷⁹wygalowany — ubrany na galowo. [przypis edytorski]

⁸⁰parafianin (daw.) — człowiek zacofany, ograniczony. [przypis edytorski]

sach szczególnie jego ziomkowie nie tracili przy byle czym swej junackiej⁸¹ fantazji, lecz wejście to onieśmieliłoby niejednego. Po przedostaniu się przez ciężką, nabijaną wielkimi gwoźdźmi bramę, wpadało się od razu pomiędzy zbrojne zastępy snujące się po dziedzińcu, wyzywające się na słowa, sprzeczące się i swawołące zarazem wesoło. By utorować sobie przejście pośród tych wirujących fal, trzeba było być oficerem, wielkim panem lub ładną kobietą.

Otóż pośród takiej wrzaskliwej zgrai i zamieszania nasz młodzieniec przebiegał się z bijącym sercem, przyciskając swój długi rapier⁸² do chudych nóg, rękę trzymając przy kapeluszu, z półuśmiechem, zwykłym u parafianina chcącego dodać sobie pewności. Gdy się przecisnął przez jedną gromadkę, oddychał wtedy swobodniej, lecz czuł, że oglądano się za nim, i po raz pierwszy w życiu on, który dotąd miał dobre wyobrażenie o sobie, wydawał się sobie śmieszny.

Jeszcze gorzej było, gdy doszedł do schodów: na pierwszych stopniach stało czterech muszkietierów, fechtujących⁸³ się z sobą dla rozrywki, a dziesięciu czy dwunastu ich towarzyszy, zajmując platformę schodową, oczekiwało na swoją kolej w szermierze.

Jeden z czterech pierwszych, stojąc ze szpadą w ręce na wyższym stopniu schodów, nie pozwalał trzem innym podejść bliżej.

Ci trzej zaś z prawdziwą zręcznością napadali na niego szpadami.

D'Artagnan wziął zrazu⁸⁴ broń tę za florety⁸⁵ z gałkami, lecz przekonał się wkrótce po zadrażnieniu, że była to broń spiczasta i należyście wyostrzona, a za każdym zadrażnieniem nie tylko widzowie, lecz i szermierze sami śmiali się jak szaleni.

Stojący na wyższym stopniu z zadziwiającą zręcznością trzymał swoich przeciwników w oddaleniu.

Otoczono ich kołem: warunek był taki, że ugodzony winien był odstąpić od partii. W ciągu pięciu minut było trzech drażnionych przez obrońcę schodów, który w tych ćwiczeniach pozostał bez najmniejszego szwanku: jeden w rękę, drugi w broń, trzeci zaś po ucho. Zręczność ta dawała mu prawo, według umowy, po trzykroć z kolei bronić swojego stanowiska.

Jakkolwiek d'Artagnan postanowił nie dziwić się byle czemu, przeczuwając, że zobaczy wiele rzeczy zupełnie nowych dla siebie, rozrywka ta zastanowiła go jednak. Widział on na swojej prowincji, gdzie głowy są tak łatwo zapalne, dużo ćwiczeń szermierskich, lecz gaskonada tych czterech fehmistrzów wydała mu się najdoskonalszą, o jakiej kiedykolwiek mógł usłyszeć nawet w Gaskonii. Zdawało mu się więc, że jest przeniesiony w owe bajeczne kraje olbrzymów, gdzie ongi⁸⁶ dostał się Guliwer⁸⁷. A jednak na tym nie koniec: pozostawała mu jeszcze platforma i przedpokój.

Tam już się nie bito, lecz opowiadano sobie anegdoty o kobietach, w przedpokoju zaś dworskie historyjki. Na platformie rumieniec wystąpił na lica d'Artagnana, w przedpokoju młodzieniec zadrżał.

Jego wyobraźnia, rozbudzona i nieokiełznana, która czyniła go postrachem dla dziewcząt pokojowych, a niekiedy i dla ich młodych pań, w chwilach szału nawet nie śniła tych cudów miłosnych i zwycięstw spotęgowanych najbardziej znanymi imionami i najjaśniejszymi szczegółami. Lecz jeżeli jego obyczajność została zadrażniona na platformie schodów, w przedpokoju jego szacunek dla kardynała został niesłychanie nadwerżony.

Tam ze zdumieniem usłyszał głośnie krytykę polityki, która trzęsła całą Europą, zaś życie prywatne kardynała, za roztrząsanie którego tyłu możnych i wielkich było już ukaranych, życie tego wielkiego człowieka, tak czczonego przez pana d'Artagnana ojca, tutaj służyło za pośmiewisko muszkietierom pana de Tréville, którzy szydzili z jego pałako-

⁸¹junacki — właściwy junakowi, dzielny, śmiały. [przypis edytorski]

⁸²rapier — broń biała, dłuższa od szabli, o prostej, obusiecznej kłindze, z osłoną dłoni (koszem). [przypis edytorski]

⁸³fechtować się — uprawiać szermierkę, walczyć na broń białą, np. szpady, szable. [przypis edytorski]

⁸⁴zrazu (daw.) — początkowo. [przypis edytorski]

⁸⁵floret — broń szermiercza. [przypis edytorski]

⁸⁶ongi (daw.) — niegdyś, kiedyś dawniej. [przypis edytorski]

⁸⁷Guliwer — bohater powieści Jonathana Swifta *Podróż Guliwera*; jedną z podróży bohater odbywa do krainy Brobdingnag, w której mieszkają olbrzymy. [przypis edytorski]

watych⁸⁸ nóg i wypukłych pleców, a nawet śpiewali piosnki o pani d'Aiguillon — jego kochance, i o siostrzenicy — pani de Combalet, gdy inni znowu namawiali się przeciw pażom i straży przybocznej księcia-kardynała.

Jednakże gdy niechcący imię królewskie wyrwało się komuś niespodzianie wśród tego kardynalskiego bigosu, wnet jakby knebel zamykał na chwilę drwiące usta; spoglądano z wahaniem dokoła, jakby lękając się zdrady ściany oddzielającej ich od gabinetu pana de Tréville; wkrótce też najmniej znaczące słówko zwracało rozmowę na Eminencję i koncepty zaczynały się na nowo, nie szczędząc światła dla wszystkich jego postępów.

„O! Wszyscy ci niezawodnie pójdą do więzienia, a potem na szubienicę — myślał ze zgrozą d'Artagnan — a może i ja z nimi razem, bo skoro ich słuchałem i słyszę, uważany będę za ich współnika. Co by na to powiedział mój ojciec, on, który mi cześć dla kardynała tak usilnie zalecał, co by powiedział, gdyby mnie zobaczył w tej pogańskiej kompanii?”

Nikt nie będzie powątpiewać o tym, że d'Artagnan nie ośmielił się wmieszać do rozmowy. Otworzył tylko oczy i uszy, chciwie wytyżając pięć zmysłów, aby pochwycić wszystko, i pomimo zalecań ojcowskich czuł w sobie ochotę nie ganić, lecz raczej chwalić rzeczy niesłychane, które się tam odbywały.

Ponieważ jednak był zupełnie obcy tej zgrai dworaków pana de Tréville i widziano go tam po raz pierwszy, zapytano zaraz, czego chce. Na zapytanie to d'Artagnan skromnie wymówił swoje nazwisko, przekonawszy o pochodzeniu swym jako ich współziomka, i prosił pokojowca⁸⁹, który go właśnie pytał, aby zachował dlań chwilę posłuchania u pana de Tréville, co tenże przyrzekł uczynić we właściwym czasie.

Przyszedłszy trochę do siebie z pierwszego oszołomienia, d'Artagnan począł rozglądać się swobodnie, badając po trosze ubiory i twarze.

Punkt środkowy najbardziej ożywionej gromadki stanowił muszkieter wzrostu wysokiego, z obliczem wyniosłym i w dziwacznym stroju, który zwracał ogólną uwagę.

Nie miał na sobie kaftana, który zresztą nie był obowiązkowy w owej epoce, w owych czasach nie tyle swobody, ile niezależności. Nosił na sobie obcisły żupan⁹⁰ błękitny, zbla-
kły i wytarty nieco, na którym połyskiwała wspaniała szarfa szeroka, haftowana złotem i mieniąca się blaskiem jak powierzchnia wody na słońcu. Aksamitny płaszcz karmazy-
nowy⁹¹ z wdziękiem opuszczał mu się z ramion, z przodu odsłaniając tylko świetną szarfę, przy której zwieszał się ogromny rapier.

Muszkieter powracał właśnie z warty i skarżył się, że jest mocno zakatarzony, kaszląc od czasu do czasu z przesadą. Dlatego też okrył się płaszczem, jak głosił dokoła, a mówiąc to z miną wyniosłą, dumnie pokręcał węża, gdy tymczasem podziwiano z zapalem szarfę haftowaną, a d'Artagnan podziwiał jeszcze bardziej niż wszyscy.

— Cóż chcecie — mówił muszkieter — moda taka nastaje; wiem, że to głupstwo, ale modne. Zresztą trzeba przecież wydać na coś pieniądze z rodzinnej sukcesji⁹².

— O, Portosie! — wykrzyknął jeden z obecnych. — Nie próbuj nawet wmówić nam, że szarfa ta dostała ci się z rodzicielskiej hojności; prędzej ofiarowała ci ją ta zakwefiona⁹³ dama, z którą spotkałem cię zeszłej niedzieli przy bramie Saint-Honoré.

— Nie, na honor, słowo szlacheckie daję, że sam ją kupiłem za własne pieniądze — odparł ten, którego Portosem nazwano.

— Tak — odezwał się inny muszkieter — tak samo jak ja kupiłem ten woreczek nowy za to, co moja luba włożyła mi do starego.

— Mówię prawdę — podchwycił Portos — a najlepszy dowód, że powiem wam, ile za nią zapłaciłem: dwanaście pistoli.

Zachwyt spotęgował się, wątpliwość jednak jeszcze pozostała.

— Wszak prawda, Aramisie? — zapytał Portos, zwracając się do innego muszkietera.

Ten stanowił jego zupełne przeciwieństwo. Był to chłopiec młody, od dwudziestu dwóch do dwudziestu trzech lat zaledwie, z obliczem łagodnym i niewinnym, ze słod-

⁸⁸paląkowaty — (o nogach) wykrzywiony; częsta przypadłość ludzi spędzających dużo czasu na koniu. [przypis edytorski]

⁸⁹pokojowiec (daw.) — służący, pilnujący porządku w pokoju pana. [przypis edytorski]

⁹⁰żupan — męska suknia z długimi rękawami w żywym kolorze, zapinana na rząd guzików. [przypis edytorski]

⁹¹karmazynowy — intensywnie czerwony. [przypis edytorski]

⁹²sukcesja — spadek. [przypis edytorski]

⁹³zakwefiony — mający twarz osłoniętą kwefem, tj. zasloną z tkaniny. [przypis edytorski]

kim spojrzeniem czarnych oczu, z twarzą różową i zdobną w lekki puszek jak brzoskwinia w jesieni. Zgrabny wąsik rysował mu nad ustami linię najregularniejszą; ręce jakby obawiały się opuszczać ku dołowi, by na nich nie nabrzmiały żyły; od czasu do czasu szczyphał się w uszy dla utrzymania na nich lekkiego i przejrzystego szkarłatu. Mówił zazwyczaj mało i powoli, kłaniał się często, śmiał się głośno, pokazując piękne zęby, o które, jak i o całą swą osobę, widocznie dbał niepomiernie.

Na pytanie przyjaciela odpowiedział potwierdzającym skinieniem głowy.

Potwierdzenie to jednak jakby jeszcze bardziej umacniało wszelkie powątpiewania co do szarfy; podziwiano ją ciągle, lecz nie mówiono już o niej, a rozmowa przeszła na inny przedmiot.

— Co myślicie o opowiadaniu koniuszego⁹⁴ pana de Chalais⁹⁵? — zapytał inny znowu muszkieter, nie zwracając się do nikogo wyłącznie, lecz do wszystkich w ogólności.

— A cóż on opowiada? — zapytał Portos wyniosłym tonem.

— Opowiada, że spotkał w Brukseli Rocheforta, tę duszę zaprzędaną kardynałowi, a spotkał go w przebraniu kapucyńskim, dzięki któremu oszukał tego dudka, pana de Laigues.

— Prawdziwego dudka — wtrącił Portos. — Ale czy to pewne?

— Dowiedziałem się o tym od Aramis — odparł muszkieter.

— Doprawdy?

— E! Wiesz przecie sam o tym, Portosie — odezwał się Aramis — wczoraj ci to opowiadałem, nie mówmy już o tym.

— Nie mówmy już o tym? Tak sądzisz? — odparł Portos. — Nie mówmy! O! Ty diable, szybko załatwiasz się ze wszystkim! Jak to? Kardynał każe szpiegować szlachcica, przejmować zdrajcy, rozbójnikowi, wisielcowi jego korespondencję; i dla owej korespondencji ścinają głowę panu de Chalais, pod głupim pozorem, że chciał zabić króla i brata królewskiego ożenić z królową!... Dotąd nikt ani trochę nie rozumiał tej zagadki, tyś ją odkrył nam wczoraj, z wielkim zadowoleniem dla nas wszystkich, a kiedy jeszcze nie możemy opamiętać się ze zdziwienia, dzisiaj powiadasz: nie mówmy już o tym!

— Ha! To mówmy, kiedy sobie tego życzysz — odparł z całą cierpliwością Aramis.

— O! Gdybym był koniuszym tego biedaka de Chalais — zawołał Portos — Rochefort miałby się z pyszna⁹⁶.

— A ty od Czerwonego Księcia — zauważył Aramis.

— A! Czerwony Książę! Brawo! Brawo! — podchwycił Portos, klaszcząc w dłonie i przytakując głową. — Pyszny jest ten Czerwony Książę. Puszczę ja twój koncept w obieg, możesz być tego pewny. Jakiż ten Aramis dowcipny! Co za szkoda, żeś nie poszedł za swoim powołaniem, rozkoszny byłby z ciebie książętek.

— O! To tylko chwilowa zwłoka — odparł Aramis. — Wiesz przecie dobrze, że nie przestaję uczyć się teologii.

— Wcześniej czy później stanie się tak, jak mówi — dodał Portos potakująco.

— Wcześniej — podchwycił Aramis.

— On tylko na jedną rzecz czeka, która by go skłoniła ostatecznie do przywdziania sutanny — odezwał się jeden z muszkieterów.

— A na cóż czeka? — zapytał inny.

— Na to, aż królowa obdarzy spadkobiercą koronę francuską.

— Nie żartujmy z tego, panowie — rzekł Portos. — Królowa, dzięki Bogu, jest w tym wieku, że może Francję obdarzyć potomkiem.

— Mówią, że pan de Buckingham⁹⁷ jest we Francji — odparł Aramis z przebiegłym uśmieszkiem, który tym na pozór zupełnie zwyczajnym słowom nadał trochę podejrzane znaczenie.

⁹⁴koniuszy — urzędnik zarządzający królewskimi stadninami i stajniami. [przypis edytorski]

⁹⁵pan de Chalais, właśc. *Henri de Talleyrand-Périgord* (1599–1626) — faworyt Ludwika XIII; oskarżony o spisek przeciwko kardynałowi Richelieu i skazany na śmierć przez dekapitację. [przypis edytorski]

⁹⁶mieć się z pyszna — tu: znaleźć się z własnej winy w kłopotliwej sytuacji. [przypis edytorski]

⁹⁷Buckingham, właśc. *George Villiers* (1592–1628) — angielski arystokrata, faworyt królów Anglii Jakuba I i Karola I; wysłał angielską flotę na pomoc Francuzom oblegającym hugenotów w La Rochelle. [przypis edytorski]

— Aramisie, mylisz się tym razem, mój przyjacielu — przerwał mu Portos — żyłka dowcipkowania za daleko cię ponosi... i gdyby cię usłyszał pan de Tréville, przekonałby cię, że bardzo nie w porę żartujesz.

— Cóż to?... Chcesz mi dawać nauki?... Portosie! — krzyknął Aramis, a w jego łagodnych oczach zapłonęły błyskawice.

— Mój drogi, bądźże muszkietierem albo opatem⁹⁸, ale nigdy jednym i drugim jednocześnie — odpowiedział Portos. — Powiem, co ci Atos kiedyś powiedział: ty jadasz ze wszystkich żłobów⁹⁹. O! Nie gniewaj się, proszę... byłoby to daremne, wiesz przecie, jaką umowę mamy między sobą: ty, Atos i ja. Ty chodzisz do pani d'Aiguillon i umizgujesz się do niej; bywasz także u pani Bois-Tracy, krewnej pani de Chevreuse¹⁰⁰, i powiadają, iż bardzo posunięty jesteś w łaskach u tej pani. O! Nie przyznawaj się do swego szczęścia, nikt nie żąda twojej tajemnicy, bo znana jest twoja delikatność. Skoro jednak posiadasz tę cnotę, czemuż, u diabła, nie robisz z niej użytku i względem Jej Królewskiej Mości? Niech kto chce i jak chce zajmuje się królem i kardynałem; lecz królowa jest świętością i jeżeli mówić o niej, to mówić dobrze.

— Portosie, jesteś przesadny i zarozumiały jak narcyz, ostrzegam cię — odrzekł Aramis. — Morałów nienawidzę, chyba tylko, gdy Atos je prawi. Co do ciebie, mój drogi, masz zanadto wspaniałą szarfę, abyś w tej sztuce moralizatorskiej był mocny. Będę opatem, jeśli mi się spodoba; tymczasem jednak jestem muszkietierem; a z tej racji mówię, co mi się podoba, a obecnie podoba mi się powiedzieć, że niecierpliwisz mnie.

— Aramisie!

— Portosie!

— E! Panowie! Panowie!... — zawołano ze wszystkich stron.

— Pan de Tréville czeka na pana d'Artagnana — odezwał się pokojowiec, otwierając drzwi od gabinetu.

Na słowa te, przy których drzwi zostały otwarte, wszyscy zamilkli i wśród tej ciszy ogólnej młody Gaskończyk przeszedł całą długość przedpokoju i stanął przed wodzem muszkietierów, winszując sobie z całego serca, że w samą porę uniknął końca tej osobliwej sprzeczki.

ROZDZIAŁ III. POSŁUCHANIE

Pan de Tréville był właśnie w jak najgorszym usposobieniu. Pomimo to grzecznie powitał młodzieńca, który skłonił mu się do ziemi i uśmiechnął się na przemówienie, w którym akcent bearnieński przypominał mu jego młodość i kraj. Wspomnienie to jest zawsze miłe każdemu człowiekowi. Jednocześnie jednak, podchodząc do przedpokoju, skinął w stronę d'Artagnana ręką, jakby prosił go o pozwolenie załatwienia się z innymi, zanim wda się z nim w rozmowę, i zawołał po trzykroć, a za każdym razem głos potęgując się, przechodził z tonu rozkazującego w mocno zagniewany.

— Atos! Portos! Aramis!...

Dwaj muszkietierowie, z którymi zawarliśmy już znajomość, wysunęli się z gromadki, a skoro przestąpili próg gabinetu, drzwi zaraz się za nimi zamknęły. Ich postawa, jakkolwiek niezbyt pewna siebie, wyrazem pełnym godności i uszanowania wprawiła d'Artagnana w zachwyt, który widział w tych ludziach półbogów, a w ich wodzu Jowisza¹⁰¹ olimpijskiego, zbrojnego we wszystkie pioruny.

Kiedy już dwaj muszkietierowie weszli, a drzwi się za nimi zamknęły i gwar w przedpokoju, podsycony zapewne tym wezwaniem, wszczął się też na nowo, pan de Tréville, milczący, z brwiami ściągniętymi, przemierzył kilkakrotnie wielkimi krokami gabinet, mijając za każdym razem Portosa i Aramisa, jak struny wyciągniętych, i zatrzymał się raptem przed nimi, patrząc zagniewanym wzrokiem.

— Czy wiecie, co mi król powiedział? — wrzasnął. — I to wczoraj wieczorem. Czy wiecie, panowie?

⁹⁸opat — przełożony w męskim zakonie kontemplacyjnym. [przypis edytorski]

⁹⁹żłób — koryto. [przypis edytorski]

¹⁰⁰pani de Chevreuse, właśc. Marie de Rohan (1600–1679) — francuska arystokratka i awanturka. [przypis edytorski]

¹⁰¹Jowisz a. Jupiter (mit. rzym.) — najwyższy bóg, bóstwo światłości, piorunów i błyskawic, odpowiednik greckiego Zeusa. [przypis edytorski]

Żołnierz, Ksiądz

Konflikt, Przywódca,
Gniew, Hańba, Żołnierz

— Nie — odpowiedzieli po chwili milczenia obaj muszkietierowie — nie, panie, nie wiemy.

— Ale spodziewamy się, że pan zrobi nam zaszczyt i powie — dodał Aramis miękkim głosem, z towarzyszeniem najwdzięczniejszego ukłonu.

— Powiedział mi, że odtąd swoich muszkietierów będzie zaciągać z gwardii kardynalskiej.

— Z gwardii pana kardynała! A to dlaczego? — żywo zapytał Portos.

— Bo uważa, iż lura¹⁰² jego potrzebuje być wzmocniona dobrym winem.

Dwaj muszkietierowie zaczerwienili się aż po białka oczu. D'Artagnan, nie wiedząc, co to znaczy, rad byłby o sto łokci¹⁰³ znaleźć się pod ziemią.

— Tak, tak — mówił dalej pan de Tréville, unosząc się — Jego Królewska Mość ma słuszość, bo, na honor, prawdą jest, że muszkietierowie bardzo kiepsko przedstawiają się na dworze. Wczoraj podczas gry z królem kardynał opowiadał z miną pełną współczucia, która nie przypadła mi do smaku, że ci potępieńcy muszkietierowie, ci diabli... mówił, kładąc nacisk na każdym słowie, z miną ironiczną, która jeszcze więcej mi się nie podobała... ci rębacze, dodał, spoglądając na mnie kocio-tygrysim okiem, wywołali zamieszki w szynku przy ulicy Fêrou i patrol z gwardii kardynalskiej — myślałem, że mi się w nos roześmieje — zmuszony był aresztować tych wichrzycieli porządku. Do diabła, musicie wiedzieć coś o tym. Aresztować muszkietierów! Wyście tam byli i inni, nie brońcie się, poznano was, kardynał wymienił was po nazwisku. Moja w tym wina, tak, moja wina, bo to ja ludzi moich wybieram. Słuchaj, Aramisie, czemu żądałeś ode mnie kaftana, kiedy ci w sutannie było tak dobrze? Słuchaj, Portosie, czyż tylko po to masz złotą szarfę, aby na niej słomianą szpadę zawiesić? Atos! Nie ma tu Atosa? Gdzież on jest?

— Panie — smutno odpowiedział Aramis — Atos jest chory, bardzo chory.

— Bardzo chory, powiadasz? A na jakąż to chorobę?

— Obawiam się, ażeby to nie była ospa — odpowiedział Portos, chcąc także należeć do rozmowy.

— Ospa! Bajki mi pleciesz, Portosie! W jego wieku na ospę chorować? Co nie, to nie!... Pewnie raniony, a może zabity. O, gdybym o tym wiedział!... Na rany boskie! Panowie muszkietierowie, nie chcę słyszeć o tym, by chodzono do miejsc podejrzanych, robiono burdy uliczne i bito się w zaułkach. Nie chcę, byście się stali pośmiewiskiem gwardii kardynalskiej, składającej się z ludzi porządných, spokojnych, śmiałych i nie takich, których aresztują, bo zresztą aresztować się nie dadzą, jestem tego pewny. Oni daliby się raczej zabić na miejscu niż na krok jeden ustąpić. Bo tylko muszkietierowie królewscy uważają za stosowne uciekać.

Portos i Aramis trzęśli się ze wściekłości. Byliby chętnie zdusili pana de Tréville, gdyby nie czuli, że właśnie wielka miłość dla nich wkładała mu w usta te słowa. Gnietli kobierzec¹⁰⁴ nogami, usta przygryzali do krwi, z całych sił przyciskając rękojeści szpady. W przedpokoju usłyszano to wołanie Atosa, Portosa i Aramisa po nazwisku i odgadnięto po głosie pana de Tréville, że się gniewa niechybnie. Dziesięć głów ciekawych, opartych o cienką ścianę, blade z wściekłości, bo uszy ich, do drzwi przyklepione, ani jednej sylaby nie straciły z tego, co było mówione, a usta powtarzały jedno za drugim słowa dowódcy, ubliżające wszystkim muszkietierom zebranym w przedpokoju.

W jednej chwili, poczuwszy od drzwi gabinetu aż do bramy, cały pałac zawrzał.

— A! Muszkietierowie królewscy dają się aresztować gwardii pana kardynała — ciągnął pan de Tréville, zarówno jak jego żołnierze wzburzony wewnętrznie, lecz przeszywając ich słowami, które zatapiał jedno po drugim jak sztylety w sercach swoich słuchaczy.

— Tak! Sześciu gwardzystów Jego Eminencji aresztuje sześciu muszkietierów Jego Królewskiej Mości! Do wszystkich diabłów! Jużem się namyślił! Jadę natychmiast do Luwru, podam się do dymisji z dowództwa nad muszkietierami królewskimi i poproszę, ażeby mi dano miejsce w gwardii kardynała, a jeżeli mi odmówią, tam do licha! Zostanę księdzem.

¹⁰²lura (pot.) — napój rozwodniony, bez smaku. [przypis edytorski]

¹⁰³łokieć — dawna jednostka miary, nieco ponad pół metra. [przypis edytorski]

¹⁰⁴kobierzec — gruba tkanina, którą ozdabiano ściany lub przykrywano podłogi. [przypis edytorski]

Na te słowa gwar zewnątrz gabinetu w wybuch się zamienił: wszędzie słychać tylko było wykrzykniki i przekleństwa. *Morbleu!*¹⁰⁵ *Sangdieu!*¹⁰⁶ Do wszystkich diabłów! — krzyżowały się w powietrzu jak grad gnany wichrem. D'Artagnan szukał kąta, gdzie by się mógł ukryć, i czuł nieprzepartą chęć schowania się pod stół.

— A więc tak! Mój wodzu!... — odezwał się Portos, nie posiadając się ze wzburzenia — Tak!... Prawdą jest, że sześciu przeciw sześciu nas było, lecz zostaliśmy napadnięci znienacka i zanim zdążyliśmy wydobyć szpady, dwóch z nas padło zabitych, zaś ranny Atos nie więcej wart był od tamtych. Znasz przecie Atosa, kapitanie. Dwa razy usiłował powstać i po dwakroć upadł bezsilny. Nie poddaliśmy się jednak, o nie! Wzięto nas przemocą. O Atosie myślano, że nieżywy, i zostawiono go na polu walki. Oto cała historia. Ale, do diabła, panie kapitanie, nie wszystkie bitwy się wygrywa. Wielki Pompeusz¹⁰⁷ przegrał pod Farsalos, a król Franciszek I¹⁰⁸, który, jakem słyszał, nie ustępował mu w niczym, został jednak pobity pod Pawią¹⁰⁹.

— A ja mam honor zapewnić pana kapitana, iż jednego z nich własną jego szpadą zabiłem — odezwał się Aramis — bo moja przy pierwszym zetknięciu na dwoje trzasła. Tak, panie, zabiłem czy zasztylowałem, jak się panu podoba.

— O tym nic nie wiedziałem — odparł pan de Tréville łagodniej. — Jak widzę, pan kardynał przesadzał.

— Zmiłuj się, kapitanie — ciągnął dalej Aramis, widząc, że Tréville zaczyna się uspokajać — zmiłuj się, nie daj poznać Atosowi, iż wiesz, że jest raniony. W rozpacz byłby, gdyby do uszu królewskich to doszło, a ponieważ rana jest niebezpieczna, bo przez ramię do piersi dosięgła, można się obawiać...

W tejże chwili podniosła się portiera¹¹⁰ i piękna, szlachetna głowa, tylko biała straszliwie, ukazała się spoza draperii¹¹¹.

— Atos! — wykrzyknęli dwaj muszkietierowie.

— Atos! — powtórzył de Tréville.

— Wzywał mnie pan — rzekł Atos do de Tréville głosem osłabionym, lecz zupełnie spokojnym — wzywał mnie pan, jak mi mówili koledzy, więc śpieszę stawić się na rozkazy pańskie. Oto jestem, czego sobie życzysz, kapitanie?

I z tymi słowami muszkietier w galowym mundurze pewnym krokiem wszedł do gabinetu. Pan de Tréville, do głębi poruszony tym dowodem odwagi, rzucił się ku niemu.

— Mówiłem właśnie tym panom — odezwał się — że zabraniam muszkietierom moim narażać życie bez żadnej potrzeby, bo tacy dzielni ludzie drodzy są królowi, a król wie o tym, iż muszkietierowie jego są najwaleczniejsi na świecie. Podaj mi rękę, Atosie.

I nie czekając, uchwycił jego prawą dłoń, ściskając ją z całych sił. Nie spostrzegł jednak, że Atos, pomimo panowania nad sobą, drgnął z bólu, blednąc jeszcze bardziej.

Drzwi pozostały uchylone po wejściu Atosa, a chociaż jego rana miała być trzymana w najgłębszej tajemnicy, wszystkim była wiadoma, i dlatego okrzyk zadowolenia powitał ostatnie słowa kapitana i kilka głów, zapalem pociągniętych, ukazało się pomiędzy fałdami portiery. Pan de Tréville byłby niezawodnie ostrymi słowami zgał to wykroczenie przeciw prawom etykiety, gdyby nie poczuł, że dłoń Atosa ściąga się kurczowo w jego ręce. Spojrzał wtedy bacznie na niego i dostrzegł, że bliski jest zemdlenia. I w jednej chwili Atos, walczący z niesłychanym wysiłkiem dla pokonania srogiego bólu, zwyciężony nim nareszcie, padł jak nieżywy na ziemię.

¹⁰⁵*Morbleu!* (fr.) — do licha! [przypis edytorski]

¹⁰⁶*Sangdieu!* (fr.) — cholera! [przypis edytorski]

¹⁰⁷*Pompeusz*, właśc. *Gnaeus Pompeius Magnus* (106–48 p.n.e.) — wybitny rzymski polityk i wódz; w 60 p.n.e. razem z Juliuszem Cezarem i Markiem Krassusem zawiązał tzw. I triumwirat, tajne, nieoficjalne przymierze polityczne, którego celem było wspólne sprawowanie rządów w republice rzymskiej; po rozpadzie triumwiratu konflikt między nim i Cezarem przerodził się w otwartą wojnę domową, zakończoną bitwą pod Farsalos, w której Pompeusz odniósł druzgocącą klęskę. [przypis edytorski]

¹⁰⁸*Franciszek I* (1494–1547) — król Francji od 1515. [przypis edytorski]

¹⁰⁹*bitwa pod Pawią* — stoczona 24 lutego 1525, decydująca bitwa wojny włoskiej 1521–1526, w której oblegające Pawię siły francuskie Franciszka I Waleczusza zostały pokonane przez przybyłą z odsieczą cesarską armię Karola V Habsburga. W zacięłym starciu w obronie króla Francji poniosło śmierć wielu wysokiej rangi oficerów, sam król po utracie konia walczył pieszo; otoczony, został wzięty do niewoli. [przypis edytorski]

¹¹⁰*portiera* — zasłona u drzwi lub okna z grubego, ciężkiego materiału, chroniąca przed przeciągami. [przypis edytorski]

¹¹¹*draperia* — tkanina ułożona w dekoracyjne fałdy. [przypis edytorski]

— Chirurga! — krzyknął pan de Tréville. — Mojego, królewskiego, najlepszego chirurga! Na rany boskie! Bo mój dzielny Atos skona!...

Na krzyki pana de Tréville wszyscy wpadli do jego gabinetu, bowiem nie przyszło mu do głowy zamykać przed kimkolwiek drzwi. Rannego otoczono z wielkim współczuciem. Na nic by jednak wszystko to się nie przydało, gdyby lekarz nie znalazł się był¹¹² w pałacu. Przebił się on przez tłum, zbliżył się do zemdlonego wciąż Atosa, a ponieważ hałas i zamieszanie przeszkadzały mu bardzo, zażądał najpierw, aby muszkietier mógł być przeniesiony do przyległego pokoju. Pan de Tréville sam otworzył drzwi, wskazując Portosowi i Aramisowi drogę, ci zaś swojego kolegę, jak dziecko, nieśli w ramionach. Za nimi postępował chirurg, a za chirurgiem drzwi się zamknęły.

Wtedy gabinet pana de Tréville, to miejsce zwykle tak szanowane, chwilowo stał się dalszym ciągiem przedpokoju.

Każdy rozprawiał, gadał głośno, klnąc, pomstując, posyłając do wszystkich diabłów kardynała wraz z jego gwardią.

Chwilę później Portos i Aramis powrócili, zaś chirurg i pan de Tréville sami pozostali przy rannym. Powrócił i pan de Tréville nareszcie. Ranny odzyskał przytomność; chirurg oznajmił, że stan muszkietera nie przedstawia nic niepokojącego dla przyjaciół, osłabienie było po prostu następstwem znacznego upływu krwi.

Na skinienie pana de Tréville wyszli wszyscy z wyjątkiem d'Artagnana, który nie zapomniał wcale, że miał mieć posłuchanie, i z zaciętością prawdziwego Gaskończyka stał w miejscu jak wryty.

Gdy zamknięto za wszystkimi drzwiami, pan de Tréville obróciwszy się, znalazł się sam na sam z młodzieńcem. Wypadek, który się przed chwilą wydarzył, po części przerwał mu myśli. Zapytał więc, czego sobie młodzieniec życzy. Wtedy d'Artagnan wymienił swe nazwisko, a pan de Tréville od razu przypomniał sobie jego przyjście.

— Przepraszam cię — rzekł doń z uśmiechem — wybacz, mój drogi ziomku, zapomniałem zupełnie o tobie. Lecz cóż chcesz! Dowódca jest ojcem rodziny, i to jeszcze większą odpowiedzialnością obarczony aniżeli prawdziwy ojciec. Żołnierze to duże dzieci; a ponieważ chcę, by rozkazy królewskie były spełniane, a pana kardynała nade wszystko...

D'Artagnan nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Spostrzegłszy to, pan de Tréville zrozumiał, że nie z naiwnym ma do czynienia i nagłym zwrotem rozmowy przystąpił do rzeczy.

— Pańskiego ojca bardzo kochałem — rzekł doń. — Więc cóż dla jego syna mogę uczynić? Śpiesz się, bo czas mój nie do mnie należy.

— Panie — odezwał się d'Artagnan — wyjeżdżając z Tarbes i przybywszy tutaj, miałem zamiar prosić cię, w imię tej przyjaźni, której w swej pamięci nie zatraciłeś, o kaftan muszkieterski; lecz po wszystkim, na co tu od dwóch godzin patrzę, pojmuję, że taka łaska byłaby nadmierna i lękam się, iż na nią nie zasługuję.

— W rzeczy samej, młodzieńcze, jest to łaska — odrzekł pan de Tréville — może ona jednak nie być ponad twoją wartość, jak sądzisz. Wszelako wobec postanowienia Jego Królewskiej Mości z żalem ci oznajmiam, iż nikt nie może zostać muszkietierem bez uprzedniej próby w kilku wojnach, bez dokonania czynów rozgłośnych lub służby dwuletniej w innym pułku, mniej od naszego uprzywilejowanym.

D'Artagnan skłonił się w milczeniu; tym goręcej jednak zapragnął wdziać mundur muszkieterski, odkąd dowiedział się, iż otrzymanie go połączone jest z takimi trudnościami.

— Ale — ciągnął dalej de Tréville, przeszywając ziomka wzrokiem tak przenikliwym, jakby chciał sięgnąć do głębi serca — ale przez pamięć na twojego ojca, mego dawnego kolegi, jak ci mówiłem, pragnę uczynić coś dla ciebie, młodzieńcze. Nasi Bearneńczycy zwykle nie są bogaci i wątpię, by od czasu mojego wyjazdu z prowincji postać rzeczy bardzo się zmieniła. Pieniądze zapewne ci się nie przelewają.

D'Artagnan wyprostował się z dumną miną, która wyrażała, że nikogo o jałmużnę nie prosi.

Duma, Żołnierz, Honor

Pieniądz, Duma

¹¹²nie znalazł się był — konstrukcja dawnego czasu zaprzeczonego, tj. wyrażająca czynność wcześniejszą od tej wyrażonej zwykłym czasem przeszłym; znaczenie: nie znalazł się wcześniej, uprzednio. [przypis edytorski]

— To dobrze, młodzieńcze, to dobrze — mówił dalej de Tréville — znam ja tę dumę; i ja przybyłem do Paryża z czterema dukatami¹¹³ w kieszeni, a byłbym się bił z każdym, kto by mi powiedział, iż nie jestem w stanie kupić Luwru.

D'Artagnan prostował się coraz bardziej; dzięki sprzedaży konia rozpoczynał on karierę z czterema dukatami więcej aniżeli pan de Tréville.

— Otóż winienes zachować to, co masz, chociażby to była suma niepoślednia¹¹⁴; lecz potrzebujesz zapewne doskonalić się w ćwiczeniach, które szlachcicowi przystoją. Dziś zaraz napiszę list do dyrektora Akademii Królewskiej, a od jutra zostaniesz tam przyjęty bez najmniejszej zapłaty. Nie odmawiaj tej małej ulgi. Nasza szlachta, najlepiej urodzona i najbogatsza, prosi o nią nieraz, nie mogąc jej otrzymać. Nauczysz się jazdy konnej, fechtunku¹¹⁵ i tańca; wejdiesz tam w dobre znajomości, a od czasu do czasu będziesz mnie tu odwiedzał, abym wiedział, jak ci się wiedzie i czy będę mógł zrobić coś dla ciebie.

Jakkolwiek obcy dworskim obyczajom, d'Artagnan odczuł chłód tego przyjęcia.

— Niestety — rzekł — widzę teraz dobrze, jak mi zbywa na liście polecającym, który mi ojciec dla pana powierzył.

— W istocie — odpowiedział de Tréville — dziwi mnie, że przedsięwziąłeś tak daleką podróż bez tego niezbędnego wiatyku¹¹⁶, jedynej ucieczki naszej, jako Bearnńczyków.

— Miałem go, panie, i to w pięknej formie, dziękować Bogu — wykrzyknął d'Artagnan — lecz wydarto mi go podstępem.

I opowiedział całe zajście w Meung, z najdrobniejszymi szczegółami odmalował nieznajomego szlachcica, a wszystko to z zapałem i prawdą, które oczarowały de Tréville.

— A to osobliwe — powiedział w zamyśleniu. — Mówiłeś więc o mnie, i to głośno?

— Tak, panie, i popełniłem bez wątpienia niedorzeczność, lecz cóż pan chcesz, imię takie jak pańskie miało mi służyć w podróży za puklerz¹¹⁷, osądź więc panie, czy chroniłem się za nie zbyt często.

Pochlebstwo to było na swoim miejscu, a pan de Tréville lubił kadzenie¹¹⁸ jak król i kardynał. Nie mógł się więc powstrzymać od uśmiechu zadowolenia, lecz uśmiech ten zatarł się wkrótce i de Tréville powrócił znów do awantury w Meung.

— Powiedz mi — ciągnął dalej — czy ten szlachcic nie miał czasem bliźny nieznaczej na policzku?

— Tak, jakby od zadrażnienia kulą.

— Czy był to człowiek pięknej postawy?

— Tak.

— Wzrostu wysokiego?

— Tak.

— Bladej cery, o włosach czarnych?

— Tak, tak, zupełnie tak samo. Więc pan zna tego człowieka? O panie, jeżeli spotkam go kiedy, a spotkać go muszę, przysięgam, że znajdę go choćby w piekle...

— Cekał na przyjazd kobiety? — badał dalej de Tréville.

— Tak. I porozumiewszy się z tą, na którą czekał, odjechał.

— Czy nie wiesz o czym rozmawiali?

— Dał jej pudełko, mówiąc, że zawiera ono zlecenie, i mówił, aby otworzyła je dopiero w Londynie.

— Czy ta kobieta była Angielką?

— Nazywał ją „milady”.

— To on! — wyszeptał de Tréville. — To on! Sądziłem, że jest jeszcze w Brukseli.

— O! Panie, jeżeli wiesz, kim on jest — wykrzyknął d'Artagnan — wskaż mi go, a rzekam się wszystkiego, nawet twojej obietnicy przyjęcia mnie do muszkietierów, bo przede wszystkim pragnę się zemścić.

¹¹³dukat — złota moneta używana w Europie do XIX w. [przypis edytorski]

¹¹⁴niepośledni (daw.) — nie byle jaki. [przypis edytorski]

¹¹⁵fechtunek — szermierka. [przypis edytorski]

¹¹⁶wiatyk — w chrześcijaństwie (zwł. w katolicyzmie) komunია podawana choremu na łożu śmierci. [przypis edytorski]

¹¹⁷puklerz — rodzaj okrągłej tarczy. [przypis edytorski]

¹¹⁸kadzenie — schlebianie. [przypis edytorski]

Imię

Tajemnica, Próżność,
Pochlebstwo

— Strzeż się, młodzieńcze — zawołał de Tréville. — Przeciwnie, jeżeli zobaczysz go na tej samej stronie ulicy, przejdź na drugą! Nie potrącaj o taką skałę, strzaskalaby cię jak szklankę.

— To nie przeszkadza, że jeżeli go kiedy odnajdę...

— Ale tymczasem nie szukaj go, jeżeli mogę ci radzić.

Naraz de Tréville zamilkł, tknięty nagłym podejrzeniem. Straszna nienawiść, jaką młody podróżny tak głośno objawiał dla tego człowieka, który niezbyt prawdopodobnie miał mu list ojca wydrzeć, czyż nie kryła w sobie jakiegoś podstępu? Czy sam ten młodzieniec nie był przez Eminencję nasłany i nie przychodził po to, aby zastawić na niego sidła? A może ten rzekomy d'Artagnan jest szpiegiem kardynalskim, którego usiłują wprowadzić do jego domu, aby zyskawszy zaufanie, następnie zgubił de Tréville, jak się to już tysiące razy zdarzało.

Więc zmierzył d'Artagnana jeszcze bystrzejszym okiem niż za pierwszym razem. Wzrost tej twarzy tryskającej dowcipem, przebiegłej i pełnej przesadnej pokory uspokoił go nieco.

„Wiem dobrze, że to Gaskończyk — pomyślał — lecz może być nim tak dobrze dla kardynała, jak dla mnie. Zobaczmy, weźmy go na próbę”.

— Mój przyjacielu — przemówił wolno do niego — ponieważ chcę wierzyć w historię zgubionego listu, jako synowi mojego dawnego przyjaciela, pragnę ci wynagrodzić moje chłodne przyjęcie, które zauważyłeś od razu, i odkryję ci tajemnice naszej polityki. Król i kardynał są najlepszymi przyjaciółmi, a jeżeli zdarzają się pozorne zajścia między nimi, to jedynie, aby oszukać głupców. Nie życzę sobie, by mój ziomek, młodzieniec przyzwyczajony i dzielny, stawiał swoje pierwsze kroki pośród tych wszystkich komedii i, jak jakiś dudek, sam się dał złapać, gdy w ten sposób tylu innych już się zgubiło. Wiedz zatem, że jestem oddany tym dwom panom wszechwładnym i że wszelkie moje postęпки nie mają innego celu niż służyć królowi i panu kardynałowi, temu najświetniejszemu geniuszowi, jakiego kiedykolwiek wydała Francja. A teraz, młodzieńcze, stosuj się do tego, a jeśli, czy to z rodziny, czy ze stosunków, czy choćby z instynktu samego, masz jakąś niechęć do kardynała, taką, jaką widzimy objawiającą się u szlachty, pożegnaj mnie i najlepiej rozstańmy się od razu. Spodziewam się, iż moją otwartością w każdym razie zyskam w tobie przyjaciela, gdyż dotąd jesteś jedynym młodzieńcem, z którym mówię tak otwarcie.

De Tréville myślał sobie jednocześnie: jeżeli młody lisek jest wysłańcem kardynała, tenże, wiedząc, jak dalece go nie cierpię, nie omieszkiał z pewnością powiedzieć swojemu szpiegowi, że najlepszym sposobem przypodobania mi się jest wygadywanie na niego w mojej obecności rzeczy niestworzonych; więc niezawodnie, pomimo moich zapewnień, to przebiegłe ziółko będzie się popisywało przede mną wstrętem do Eminencji.

Ale wbrew oczekiwaniom de Tréville d'Artagnan odpowiedział z największą prostotą:

— Przybywam do Paryża z tymi samymi zamiarami. Ojciec mój zalecał mi, aby nikomu nic nie przepuścić, nie znieść nic od nikogo, z wyjątkiem króla, kardynała i ciebie, panie, których uważa za najpierwsze osoby we Francji.

Zwracamy uwagę, iż d'Artagnan z własnego pomysłu dodał do pierwszych dwóch jeszcze pana de Tréville, bo sądził, że ten dodatek nie powinien zaszkodzić.

— Mam zatem cześć najwyższą dla pana kardynała — ciągnął dalej — i uznanie najgłębsze dla wszystkich jego czynów. Tym lepiej dla mnie, jeżeli pan, jak słyszę, przemawiasz do mnie otwarcie, bo widzę, że w takim razie miałbym zaszczyt dzielić pańskie zdanie na ten temat; jeśli żywi pan dla mnie nieufność, bardzo zresztą naturalną, czuję, iż mówiąc tę prawdę, gubię się w pańskich oczach. Cóż robić, pocieszam się tylko tym, że nie będziesz pan mógł nie mieć dla mnie szacunku, a na tym świecie o to najbardziej mi chodzi.

Pan de Tréville był do najwyższego stopnia zdziwiony. Taka przenikliwość i otwartość zarazem w zachwyt go wprawiały, doszczętnie jednak nie usuwały jeszcze wątpliwości. Im bardziej chłopiec ten wydawał się wyższy od innych swoich rówieśników, tym niebezpieczniejszy się stawał w razie, gdyby tylko grał komedię. Pomimo to de Tréville uściśnął dłoń d'Artagnana i rzekł:

— Dzielny z ciebie chłopiec, na teraz jednak nic więcej zrobić nie mogę dla ciebie prócz tego, z czym ci się ofiarowałem przed chwilą. Mój dom zawsze będzie dla ciebie

otwarty. Później zaś, mając zawsze do mnie przystęp, a więc możliwość korzystania z każdej sposobności, otrzymasz prawdopodobnie to, czego tak pragniesz.

— To znaczy — odpowiedział d'Artagnan — że czekasz pan, aż stanę się tego godny. O! Bądź spokojny, panie — dodał z poufałością czysto gaskońską — długo czekać nie będziesz.

I skłonił się, aby odejść, jakby reszta zgola od niego tylko zależała.

— Ależ zaczekaj — rzekł, zatrzymując go, de Tréville — wszak obiecałem ci list do dyrektora Akademii. Byłabyś za dumny na to, aby go przyjąć, mój młody szlachcicu?

— Nie, panie — odparł d'Artagnan — zaręczam panu, że z tym nie będzie jak z tym. Strzec go będę dobrze i przysięgam, że dojdzie według swojego adresu, a biada temu, kto by usiłował mi go wydrzeć!

Pan de Tréville uśmiechnął się na tę przechwałkę i zostawiając młodego ziomka we framudze okna, gdzie razem rozmawiali, usiadł przy stole i począł pisać przyobiecany list polecający. D'Artagnan tymczasem, nie mając nic lepszego do roboty, zaczął bębnić na szybach marsza, przypatrując się wychodzącym kolejno muszkieterom i śledząc ich oczami, dopóki nie zniknęli na zakręcie ulicy.

Pan de Tréville napisał list, zapieczętował go i podniósłszy się, podszedł do młodzieńca, aby mu go oddać. Jednak w chwili, gdy wyciągnął rękę, pan de Tréville ze zdziwieniem ujrzał, jak jego protegowany podskoczył i czerwony ze złości wybiegł z gabinetu jak strzała, krzyząc:

— O! Na rany boskie! Teraz mi się nie wymknie.

— Kto taki? — zapytał de Tréville.

— On, ten złodziej! — odparł d'Artagnan. — O! Podły!

I zniknął.

— To diabeł wcielony! — mruknął de Tréville. — A może — dodał — jest to tylko zręczny manewr z jego strony... Uciekł, widząc, że w łeb wzięły wszystkie jego zamiary.

ROZDZIAŁ IV. RAMIĘ ATOSA, SZARFA PORTOSA I CHUSTKA ARAMISA

D'Artagnan, rozpędziwszy się, przebył przedpokój w trzech susach i wypadł na schody, które w mgnieniu oka zamysłał przeskoczyć, nie licząc ich bynajmniej, gdy sadząc z głową wyciągniętą naprzód, natknął się na muszkietera wychodzącego od pana de Tréville bocznymi drzwiami i tak go uderzył czołem w ramię, że ten ryknął z bólu.

— Przepraszam — rzekł, chcąc pędzić dalej — przepraszam, bardzo mi się śpieszy.

Zaledwie jednak postąpił krok, gdy żelazna dłoń schwyciła go za przepaskę i powstrzymała w miejscu.

— Śpieszy ci się? — krzyknął muszkieter, blady jak całun śmiertelny. — I dlatego potrącasz mnie, mówiąc: „Przepraszam”, i myślisz, że to mi wystarcza? O! Nie tak bardzo, mój młokosie. Czy sądzisz, że skoro słyszałeś dzisiaj pana de Tréville ostro do nas przemawiającego, to możesz już traktować nas tak, jak on się do nas odzywa? Mylisz się, mój kochany, bo ty nie jesteś panem de Tréville!... O, co nie, to nie!

— Na honor — odparł d'Artagnan, poznając Atosa, który po opatrunku dokonany przez doktora wracał do mieszkania — na honor, nie zrobiłem tego umyślnie, mówię więc: „Przepraszam”, i to mi się wydaje dostateczne. A zwracam uwagę pana — powtórzył — że, słowo honoru, śpieszy mi się, i to bardzo śpieszy. Puszczaj mnie pan, proszę.

— Panie — rzekł Atos, puszczając go — jesteś nieokrzesany. Widać z daleka przybywasz.

D'Artagnan już ze cztery stopnie był przeskoczył, ale na słowa Atosa stanął jak wryty.

— Do kaduka!¹¹⁹ — zawołał. — Skądkolwiek przybywam, nie do ciebie jednak należy, mój panie, uczyć mnie gładkiego obejścia.

— A jednak nie jest to zbyt cenne — odezwał się Atos.

— O! Gdyby nie to, że się tak śpieszę — zawołał d'Artagnan — gdybym za kimś nie gonił!...

— O! Mnie znajdziesz, nie goniąc, rozumiesz pan?

— A gdzie to, jeżeli łaska?

¹¹⁹Do kaduka! (przestarz.) — do diabła! [przypis edytorski]

— Przy karmelitach bosych¹²⁰.
— O której godzinie?
— Około południa.
— Dobrze, stawię się.
— Postaraj się pan tylko, abym nie czekał, bo kwadrans po dwunastej uszy ci obetnę po drodze.

— Dobrze! — krzyknął mu d'Artagnan. — Będę tam dziesięć minut przed dwunastą. I popędził, jak gdyby diabli go nieśli, w nadziei spotkania nieznanego, którego miarowy chód nie mógł zaprowadzić daleko.

Lecz w bramie od ulicy Portos rozmawiał z żołnierzem z gwardii. Rozmawiających dzieliła przestrzeń akurat na objętość człowieka.

D'Artagnan sądząc, iż się tam zmieści, śmignął między nich jak strzała. Nie brał jednak wiatru w rachunek. W chwili gdy miał się prześlizgnąć, wiatr rozdał szeroki płaszcz Portosa i d'Artagnan najniespodziewaniej znalazł się pod połą.

Nic dziwnego, że Portos nie chciał pozbyć się tej najważniejszej dla siebie części ubrania, bo zamiast puścić swobodnie połę, pociągnął ją ku sobie tak, że d'Artagnan zaplątał się w aksamity płaszcz.

Chcąc wywikłać się z płaszczu zasłaniającego mu oczy, usiłował wydobyć się spomiędzy fałd, bojąc się zarazem uszkodzić owej wspaniałej szarfy. Gdy jednak otworzył nieśmiało oczy, przekonał się, że nosem utknął na samych plecach Portosa, a więc i na przepyszej szarfic.

Jak jednak wszystkie rzeczy na tym świecie najczęściej mają tylko złudne pozory, tak i szarfa jedynie z przodu lśniła złotem, a z tyłu była z najprostszej skóry. Pełen próżności Portos, nie mogąc mieć szarfy całej ze złota, miał ją przynajmniej w połowie — tym się tłumaczy obecność kataru i niezbędność płaszcz.

— A! Do kroćset diabłów! — krzyknął Portos, usiłując odczepić się od chroboczącego mu po plecach d'Artagnana. — Czyś się wściekł, że się tak rzucasz na ludzi?

— Przepraszam — odezwał się d'Artagnan, wysadzając mu głowę spod pachy — ale śpieszy mi się bardzo, biegnę za pewną osobą i...

— Dobrze, że biegniesz, ale czy nie zapomniałeś wziąć ze sobą oczu? — zapytał Portos.

— Nie — odparł urażony d'Artagnan — i dlatego widzę nawet to, czego inni nie widzą.

Czy zrozumiał Portos przymówkę, czy też nie, dość, że wpadł w gniew wściekły.

— Mój panie — rzekł doń — skórę podrzesz na sobie, jeżeli o muszkietarów tak się będziesz ocierał.

— Tego, mój panie, zanadto — odparł d'Artagnan.

— W sam raz jak na człowieka przywykłego patrzeć nieprzyjaciółom w oczy.

— O! Do licha, aż nazbyt pewien jestem, że i do swoich nie stajesz pan plecami.

I zachwycony tym dowcipem szedł w dalszą drogę, śmiejąc się na całe gardło.

Portos, piniąc się ze złości, poskoczył za nim.

— Później, później — krzyknął d'Artagnan — wtedy, jak pan będziesz bez płaszcz.

— Więc o pierwszej za Pałacem Luksemburskim¹²¹.

— I owszem — odkrzyknął mu tenże, niknąc na rogu ulicy.

Lecz i tam nikogo już nie było. Jakkolwiek nieznanomy szedł powoli, miał jednak czas go wyprzedzić znacznie, a może wstąpił do któregoś z domów.

D'Artagnan wymijał przechodniów, zszedł aż do promu na rzece, wrócił przez ulicę de Seine i La Croix-Rouge, lecz i to było daremne. Goniłwa ta jednak nie była bez korzyści, gdyż w miarę jak jego czoło zlewało się potem, serce stopniowo chłodziło.

Zaczął więc wszystko rozważać. Wypadki były liczne i opłakane. Zaledwie wybiła jedenasta, a poranek ten przyniósł mu niełaskę pana de Tréville, który nie omieszkiał się pewnie obrazić tym wariackim sposobem, w jaki się z nim rozstał.

¹²⁰karmelici bosi — pełna nazwa: Zakon Braci Karmelitów Bosych Najświętszej Maryi Panny z Góry Karmel; odłam męskiego zakonu karmelitów o surowszej regule. [przypis edytorski]

¹²¹Pałac Luksemburski — pałac w Ogrodzie Luksemburskim w Paryżu, zaprojektowany przez Salomona de Brosse dla Marii Medycejskiej, małżonki Henryka IV; budowany w latach 1610–1630. [przypis edytorski]

Nadto ściągnął na siebie dwa pojedynki z dwoma ludźmi zdolnymi zabić trzech takich d'Artagnanów; z muszkietierami, o których miał wyobrażenie tak wysokie, że stawiał ich w myśli i sercu ponad wszystkich ludzi.

Prawdopodobny rezultat mógł być nader smutny. Przekonany był, że Atos zabije go, bo Portosa nie bardzo się obawiał.

Ponieważ jednak nadzieja jest uczuciem, które najdłużej tli się w ludzkim sercu, krzepił się otuchą, że zostanie przy życiu, poraniony, rozumie się, okrutnie. Na wszelki też wypadek sam się w duchu strofował:

„Jakiż ze mnie półgłówkę i bałwan! Ten dzielny i nieszczęśliwszy Atos jest ranny w ramię, w które ja właśnie walę jak baran. To tylko dziwne, że nie zabił mnie na miejscu. Miałby zupełne prawo, gdyż ból, który mu sprawiłem, musiał być okrutny”.

Co się tyczy Portosa, to co innego. Z nim, szczerze mówiąc, to całkiem zabawna sprawa.

I mimo woli począł się śmiać, patrząc wszelako, czy ten śmiech, którego przyczyna nie była nikomu znana, nie obrazi kogoś z przechodniów.

— Z Portosem zabawna historia; ale w każdym razie jestem ostatnim roztrzępalcem. Jak można tak wpadać na ludzi, nie ostrzegłszy ich pierwszej¹²² i szukać im pod płaszczem tego, czego tam wcale nie ma! Byłby mi przebaczył z pewnością, gdybym mu nie wspomniał o tej szarfię przeklętej. Słuchaj, d'Artagnanie, mój przyjacielu — dodał z całą dla siebie życzliwością — jeżeli wykręcisz się teraz, co mi się nie wydaje prawdopodobne, trzeba być na przyszłość niezmiernie grzecznym, aby cię za przykład stawiano, by cię uwielbiano wszędzie. Być uprzedzającym i gładki, to nie znaczy poniżać się. Spójrz na Aramis, wszak to uosobienie słodyczy i wdzięku. A czyżby znalazł się taki, co by go tchórzem nazwał? Z pewnością, że nie. I odtąd postanawiam wzorować się na nim. A otóż i on — Aramis.

D'Artagnan, idąc i rozprawiając tak z sobą samym, doszedł do pałacu d'Aiguillon i tam spostrzegł Aramisa rozmawiającego wesoło z kilku panami z gwardii królewskiej. Ten również go zobaczył, ponieważ jednak pamiętał, że właśnie przy nim pan de Tréville tego ranka uniósł się srogim gniewem, więc świadek wyrzutów, które usłyszeli muszkietierowie, nie mógł być żadną miarą dlań przyjemny, i Aramis udał, że go nie widzi.

D'Artagnan przeciwnie, przejęty na wskroś postanowieniem zostania uprzejmym i miłym, podszedł do czterech młodzieńców, z uśmiechem najwdzięczniejszym składając im ukłon głęboki. Aramis z miną poważną odpowiedział mu lekkim skinieniem głowy, lecz wszyscy czterej przerwali w tej chwili rozmowę.

D'Artagnan, nie w ciemną bitą¹²³, zrozumiał, że jego obecność nie jest tu na rękę, lecz miał za mało obycia światowego, aby wybrnąć zręcznie z drażliwego położenia, w jakim znajduje się każdy w towarzystwie mało sobie znanym, gdy toczy się rozmowa, która pod żadnym względem nie może go obchodzić. Głowił się więc, jak się wycofać zręcznie, gdy spostrzegł, że Aramis upuścił chusteczkę i, przez nieuwagę zapewne, nogą na nią nastąpił. Sądząc, że nadeszła teraz chwila, aby okazać się grzecznym, schylił się i z wdziękiem, na jaki tylko mógł się zdobyć, wyciągnął chustkę spod stopy muszkietera, pomimo wszelkich wysiłków tegoż, aby ją przytrzymać, i oddając mu ją, rzekł:

— Zdaje się, iż ta chusteczka do pana należy, a zapewne nie chciałby pan jej zgubić.

Chusteczka była wyhaftowana bogato z koroną i herbem na rogu.

Aramis cały spąsował i wyrwał ją nieledwie¹²⁴ z rąk Gaskończyka.

— O! O! — zawołał jeden z gwardzystów. — Może powiesz jeszcze, skryty Aramis, że nie jesteś w dobrych stosunkach z panią de Bois-Tracy, skoro ta uprzejma dama zaszczyca cię pożyczaniem chusteczek?

Aramis przeszył d'Artagnana spojrzeniem, które mówiło, iż tenże kupił w nim sobie śmiertelnego wroga, a następnie z miną słodziutką rzekł:

— Mylicie się, panowie, chusteczka ta nie do mnie należy i nie wiem doprawdy, co temu panu do głowy przyszło, żeby mnie, a nie komu z was ją oddać. Najlepszy daję wam dowód, iż swoją mam w kieszeni.

Nadzieja

¹²²pierwej (daw.) — najpierw. [przypis edytorski]

¹²³nie w ciemną bitą — sprytny. [przypis edytorski]

¹²⁴nieledwie (daw.) — prawie, niemal. [przypis edytorski]

I mówiąc to, wyjął rzeczywiście chusteczkę, również elegancką, z cieniutkiego batystu¹²⁵, który w owych czasach był bardzo drogi, lecz bez haftów i herbów, tylko z cyfrą właściciela.

Tym razem d'Artagnan ani pisnął, zrozumiał bowiem, że nie w porę się wyrwał, lecz przyjaciele Aramis nie dali za wygraną i jeden z nich, zwracając się do muszkietera, rzekł z udaną powagą:

— Jeżeli jest tak, jak utrzymujesz, będę zmuszony prosić cię o jej zwrot, mój drogi Aramisie, bo wiesz przecie, że jestem w ścisłych stosunkach z de Bois-Tracy i nie życzę sobie, aby rzeczy jego żony służyły komuś za godła.

— Twoje żądanie nie jest dość właściwe — odparł Aramis — bo jakkolwiek w zasadzie uznaję całą jego słuszność, odmówiłbym mu ze względu na formę.

— Tak, przyznaję — wtrącił się nieśmiało d'Artagnan — że nie widziałem, jak wypadała chustka z kieszeni pana Aramisa. Nogę tylko na niej trzymał, sądziłem więc, że do niego należy.

— I byłeś w błędzie, mój drogi panie — chłodno odrzekł Aramis, wcale niewzruszony tą pokorą. Następnie zaś, zwracając się do tego, który się podawał za przyjaciela pana de Bois-Tracy, rzekł: — Zresztą dochodzę do wniosku, mój ty przyjacielu pana de Bois-Tracy, że jestem jego przyjacielem niemniej niż ty; chusteczka zatem mogła wypaść tak samo z twojej, jak i z mojej kieszeni.

— Nie, na honor! — zawołał gwardzista Jego Królewskiej Mości.

— Ty klniesz się na honor, a ja na słowo moje, widoczne więc jest, iż jeden z nas kłamie. Słuchaj, Montaranie, najlepiej będzie, gdy się nią podzielimy.

— Wybornie — zawołali dwaj inni — prawdziwy sąd Salomona¹²⁶. O Aramisie, pełen jesteś mądrości.

Młodzieńcy zaśmiali się głośno i zdawać by się mogło, że cała sprawa została skończona. Po chwili rozmowa się urwała i gwardziści wraz z muszkieterem, uściśnawszy się serdecznie za ręce, rozeszli się każdy w swoją stronę.

„Wypada mi teraz z tym miłym chłopcem się pogodzić — pomyślał d'Artagnan, stojący na uboczu podczas ostatniej rozmowy”.

I w najlepszych zamiarach podszedł do Aramisa, który oddalał się już, bynajmniej na niego nie zwracając uwagi.

— Mam nadzieję, iż mi pan wybaczysz...

— O! Mój panie — przerwał mu Aramis — pozwól sobie powiedzieć, iż w tym razie nie postąpiłeś tak, jak przystało na przyzwoitego człowieka.

— Jak to, pan przypuszcza...

— Przypuszczam, mój panie, że nie jesteś głupcem i wiesz o tym dobrze, jakkolwiek z Gaskonii przybywasz, iż bez przyczyny nie depcze się po chustkach od nosa. Do diabła! Paryż nie jest zabrukowany batystem.

— Panie, źle robisz, chcąc mnie urazić — odezwał się d'Artagnan, którego kłótniwe usposobienie zaczynało brać górę nad postanowieniami pokojowymi. — Żem Gaskończyk, to prawda, a skoro wiesz o tym, nie potrzebuję ci mówić, że Gaskończycy niełatwo potrafią to znieść, zatem skoro kogoś proszą o przebaczenie, choćby za głupstwo nawet, przekonani są, iż czynią więcej, niż powinni.

— Nie mówię tego panu bynajmniej dla wywołania sprzeczki — odrzekł Aramis. — Dzięki Bogu, zabijaką nie jestem, i będąc tylko tymczasowym muszkieterem, biję się jedynie, skoro do tego jestem zmuszony, a zawsze z niemalą odrazą. Tym razem jednak sprawa jest zbyt ważna, bo przez pana skompromitowana została kobieta.

— Chcesz pan powiedzieć, przez nas — zawołał d'Artagnan.

— Czemu tak niezręcznie oddałeś mi pan chustkę?

— A po co pan tak niezręcznie upuściłeś ją na ziemię?

— Powiedziałem panu i raz jeszcze powtarzam, że ta chusteczka nie pochodziła z mojej kieszeni.

¹²⁵batyst — cienka tkanina z bawełny lub z lnu. [przypis edytorski]

¹²⁶sąd Salomona — nawiązanie do decyzji Salomona, słynnego z mądrości króla Izraela. Gdy przyszły do niego dwie kobiety z dzieckiem kłócące się o to, do której z nich ono należy, Salomon rozkazał przeciąć malca na pół i dać część każdej z kobiet; prawdziwa matka zaprotestowała z płaczem, aby ocalić swe dziecko, i król w ten sposób poznał, która z kobiet jest oszustką. [przypis edytorski]

— Podwójnie więc skłamałeś, mój panie, bo ja to dobrze widziałem!
— O! Tak zaczynasz śpiewać, panie Gaskończyku? Poczekaj, nauczę ja cię życia.
— A ja do mszy cię zapędzę, panie opacie! Dobywaj szpady, jeśli łaska, natychmiast!
— O nie, mój piękny, nie tutaj przynajmniej. Czyż nie widzisz, że stoimy przed pałacem d'Aiguillon, pełnym zauszników¹²⁷ kardynalskich? Kto mi zaręczy, że to nie Eminencja polecił ci, abyś mu dostarczył mojej głowy? Wiedz, że dbam o nią aż do śmieszności, bo jak mi się zdaje, bardzo dobrze pasuje mi ona do ramiona. Z przyjemnością zabiję cię, bądź spokojny, lecz zabiję cię pomalutku, w miejscu ustronnym i zamkniętym, tam, gdzie przed nikim nie będziesz mógł się swoją śmiercią pochwalić.

— I owszem, ale nie licz na to zbyt wiele, a zabierz ze sobą chusteczkę, czy to twoja lub nie, może ci się przydać do opatrunku.

— Pan jesteś Gaskończykiem? — zapytał Aramis.

— Tak. Pan, spodziewam się, nie odkłada spotkania przez przezorność?

— Przezorność, mój panie, zawsze jest cnotą przydatną muszkietierom, a nieodzowną dla sług kościoła. Ponieważ zaś jestem muszkietierem czasowym, pragnę pozostać przezornym! O drugiej będę miał zaszczyt oczekiwać w pałacu pana de Tréville. Tam wskażę panu właściwe miejsce.

Dwaj młodzieńcy pożegnali się ukłonem. Aramis puścił się ulicą prowadzącą do Luksemburga, d'Artagnan zaś widząc, że już dość późno, skierował swe kroki w stronę karmelitów bosych, mówiąc do siebie:

— O! Ani chybi, cało z tego nie wyjdę; ale przynajmniej, jeżeli zginę, umrę z ręki muszkietera.

ROZDZIAŁ V. MUSZKIETEROWIE KRÓLA I GWARDZIŚCI PANA KARDYNAŁA

D'Artagnan nie miał w Paryżu żywej duszy znajomej. Stawił się więc na spotkanie z Atosem bez sekundanta¹²⁸. Miał zresztą zamiar niewzruszony wytłumaczyć się dzielnemu muszkietierowi przyzwoicie, lecz bez żadnej uległości. Lękał się rezultatu pojedynku, który zwykle bywa niemiły, gdy silny i młody ma za przeciwnika rannego, a zatem pozbawionego sił. Wtedy bowiem zwyciężony zmniejsza triumf nieprzyjaciela, zwycięzca zaś posądzany bywa o zbrodnię i fałszywą odwagę. Zresztą, czytelnicy zauważyli zapewne, że d'Artagnan nie był człowiekiem pospolitym. Powtarzając więc sobie, że nie uniknie śmierci, nie był wszelako zrezygnowany zejść z tego świata jak baranek, czemu inny na jego miejscu, z mniejszym zasobem odwagi, poddałby się niezawodnie.

Rozważał charakter tych, z którymi miał stanąć do walki, i położenie przedstawiło mu się jaśniej. Dzięki szlachetnemu tłumaczeniu miał nadzieję zyskać w Atosie przyjaciela; jego pańska i wyniosła postawa mocno mu przypadła do serca.

Cieszył się na myśl nastraszenia Portosa wypadkiem z szarfą, bo jeżeli nie będzie od razu zabity, rozgłosi to powszechnie, a zręczne i składne opowiadanie może tamtego okryć śmiesznością. Wreszcie skryty Aramis nie przejmował go strachem i w przypuszczeniu nawet, że z nim odbędzie pojedynek, obiecywał sobie płać¹²⁹ go przez twarz, jak Cezar¹³⁰ zalecał żołnierzom zrobić z Pompejuszem¹³¹, aby zniweczyć na zawsze tę piękność, o którą był tak zazdrosny.

W duszy d'Artagnana tkwiło niezłomne postanowienie wszczęte radami ojca: nikomu nie przepuścić, od nikogo nic nie znieść, prócz od króla, kardynała i pana de Tréville.

¹²⁷zausznik — powiernik i osoba dostarczająca informacji. [przypis edytorski]

¹²⁸sekundant — świadek osoby biorącej udział w pojedynku. [przypis edytorski]

¹²⁹płać — ciąć na płaty, zadawać ranę ciętą. [przypis edytorski]

¹³⁰Cezar, Gajusz Juliusz (100–44 p.n.e.) — rzymski dowódca wojskowy, polityk, dyktator i pisarz; zdobywca Galii; odegrał kluczową rolę w wydarzeniach, które doprowadziły do upadku republiki i początku cesarstwa w państwie rzymskim. [przypis edytorski]

¹³¹jak Cezar zalecał żołnierzom zrobić z Pompejuszem — nawiązanie do wojny domowej o władzę w starożytnym Rzymie toczącej się w latach 49–45 p.n.e. pomiędzy Gajuszem Juliuszem Cezarem, prokonsulem i zdobywcą Galii, a Gnejuszem Pompejuszem Wielkim, konsulem rzymskim. [przypis edytorski]

Leciał więc jak na skrzydłach w stronę karmelitów bosych, których klasztor był budynkiem bez okien, a otaczało go tylko zeschłe błonie¹³². Był tu punkt spotkania i pojedynków ludzi niemających czasu do stracenia.

Kiedy mógł już objąć okiem błonia roztaczające się u stóp klasztoru, ujrzał Atosa oczekującego tam od pięciu minut, a zegar właśnie wydzwaniał południe. Był zatem słowny jak samarytanka¹³³ i najsurowiej przestrzegający warunków pojedynkowych nie miałby mu nic do zarzucenia.

Atos, któremu rana dopiekała straszliwie, choć była świeżo opatrzona przez chirurga pana de Tréville, siedział na kamieniu przydrożnym z tą dystynkcją i spokojem pełnym godności, jakie go nie odstępowały nigdy. Na widok d'Artagnana powstał i z grzecznością postąpił kilka kroków ku niemu. Ten zaś szedł ku przeciwnikowi z kapeluszem w ręce, pióro od niego wlokąc po ziemi.

— Panie — rzekł Atos — zawiadomiłem moich dwóch przyjaciół, którzy będą służyć za świadków, lecz jeszcze ich nie widać. Dziwi mnie to, bo nie mają zwyczaju się spóźniać.

— Ja sekundantów nie mam — odparł d'Artagnan — wczoraj dopiero przybyłem do Paryża i nikogo tu nie znam prócz pana de Tréville, a polecony mu zostałem przez mojego ojca, który ma zaszczyt liczyć się do jego przyjaciół.

Atos się zamyślił.

— I nikogo pan nie znasz prócz pana de Tréville? — zapytał.

— Tak, panie, nikogo.

— No to jeżeli cię zabiję — kończył Atos, raczej mówiąc do siebie niżli do d'Artagnana — jeżeli cię zabiję, mogę wyglądać na pożerającego dzieci!

— O! Niezupelnie, mój panie — odparł z dumnym ukłonem d'Artagnan. — Niezupelnie, skoro mnie zaszczytasz dobywaniem szpady pomimo rany, która niemało ci musi zawadzać.

— O! I bardzo zawadza, na honor, i przyznać muszę, żeś mi piekielnego narobił bólu, ale to mniejsza; lewej użyję ręki, jak zwykle to czynię w takich razach. Nie myśl wcale, abym ci ustępstwo robił, ja zarówno obydwoma władam rękami; to może być dla pana nawet niekorzystne, bo mańkut¹³⁴ dla nieprzyzwyczajonych osób bywa niebezpieczny. Żałuję nawet, iż wcześniej nie uprzedziłem pana o tym.

— Doprawdy — odrzekł z ukłonem d'Artagnan — jesteś pan tak rycersko grzeczny, iż nie wiem, jak mam ci być za to wdzięczny.

— Zawstydzasz mnie pan — odparł Atos z miną pańską — mówmy o czym innym, proszę, jeżeli ci się podoba. A! Do licha, toś mi bólu narobił, aż pali mnie to ramię.

— Jeżeli pan pozwolisz... — zaczął nieśmiało d'Artagnan.

— Co takiego?

— Mam cudowny balsam na rany, balsam, który dała mi moja matka, a którego efekty wypróbowałem już na sobie.

— Więc cóż?

— Więc pewny jestem, iż za trzy dni najdalej byłbyś pan wyleczony zupełnie, a wtedy, panie, za honor sobie poczytam służyć ci w każdej chwili.

D'Artagnan wypowiedział to z prostotą czyniącą mu zaszczyt, bez ujmy dla jego odwagi.

— Doprawdy — odrzekł Atos — podoba mi się ta propozycja, nie dlatego, abym ją miał przyjąć, lecz że o miłą czuję ją szlachcicem. Tak przemawiali i postępowali owi dzielni rycerze z czasów Karola Wielkiego¹³⁵, których dzisiejsi winni brać sobie za wzór. Niestety, to nie czasy wielkiego monarchy, tylko kardynała, za trzy dni ogłoszono by już naszą tajemnicę, choćby najściślej była zachowana, wiedziano by, mówię, że bić się zamierzamy i przeszkodzono by temu. Lecz cóż to, czy już nie przyjdą te włóczęgi?

¹³²błonie a. błoni (daw.) — łąka, pastwisko; rozległa przestrzeń porośła trawą. [przypis edytorski]

¹³³samarytanka (przen.) — miłosierna kobieta, śpiesząca z pomocą rannym, chorym i słabym. [przypis edytorski]

¹³⁴mańkut (pot.) — osoba leworęczna. [przypis edytorski]

¹³⁵Karol Wielki (ok. 742/747–814) — król Franków i Longobardów, stworzył pierwsze europejskie imperium od czasu upadku Cesarstwa Zachodniorzymskiego, koronował się na cesarza rzymskiego w Rzymie w 800. [przypis edytorski]

— Jeżeli panu pilno — odezwał się d'Artagnan z tą samą prostotą, z jaką proponował przed chwilą odłożenie na trzy dni pojedynku — jeżeli panu pilno i życzysz sobie załatwić się ze mną zaraz, nie krępuj się, proszę.

— I to mi się bardzo podoba — rzekł Atos z wyrazem twarzy okazującym zadowolenie — tak nie odzywa się półgłówek... tylko człowiek męznego serca potrafi tak mówić. Przepadam za ludźmi takiego usposobienia jak pańskie i jeżeli nie pozabijamy się teraz, będę miał prawdziwą przyjemność rozmawiać z panem później. Zaczekajmy na tych panów, proszę, nie brak mi czasu, a przynajmniej wszystko odbędzie się prawidłowo. A! Otóż i jeden z nich.

W głębi ulicy Vaugirard ukazał się olbrzymi Portos.

— Jak to?... — zawołał d'Artagnan. — Portos jest pana świadkiem?

— Tak. Czyś pan temu nierad?

— O! Bynajmniej.

— Ot, jest i drugi.

D'Artagnan obejrzał się i poznał Aramis.

— Jak to? — wykrzyknął z jeszcze większym zdziwieniem. — To drugim świadkiem jest Aramis?

— A naturalnie, alboż kto kiedy widział, abyśmy razem nie byli? Atos, Portos i Aramis to trzej nierozłączni, jak nas nazywają wszędzie. Pan jednak, co przybywasz z Honolulu¹³⁶ czy z Kochinchiny¹³⁷...

— Z Tarbes — poprawił go d'Artagnan.

— Wolno panu nie znać tych szczegółów — dokończył Atos.

— Na honor — odrzekł d'Artagnan — nazwano was znakomicie, moi panowie, i jeżeli przygoda moja nabędzie rozgłosu, przekona, że w związku waszym nie brak wam łączności.

Portos nadszedł tymczasem i ręką powitał Atosa; obejrzawszy się następnie na d'Artagnana, stanął zdziwiony.

Dodajmy nawiasem, iż szarfę zmienił i był bez płaszcza.

— A! Co to takiego? — zapytał.

— Z tym panem właśnie mam się potykać — rzekł Atos, wskazując z ukłonem d'Artagnana.

— Ależ i ja biję się z nim — odparł Portos.

— I ja również z tym panem mam się pojedyńkować — odezwał się Aramis, docho-
dząc do miejsca.

— Lecz dopiero o drugiej — z zimną krwią zauważył d'Artagnan.

— Ale o co się bijesz, Atosie? — zagadnął Aramis.

— Na honor, nie wiem tak bardzo... w ramię mnie uraził. A ty, Portosie?

— Biję się, bo się biję — odparł Portos, czerwieniąc się.

Baczny na wszystko Atos podchwycił złośliwy uśmiech na ustach Gaskończyka.

— Mieliśmy sprzeczkę o ubranie — wtrącił młodzieniec.

— A ty, Aramisie? — pytał dalej Atos.

— Ja biję się o teologię — odrzekł Aramis, spoglądając prosząco na d'Artagnana, by zachował w tajemnicy powód pojedynku.

Atos dostrzegł drugi uśmiech d'Artagnana.

— Doprawdy?... — podchwycił Atos.

— Tak, nie mogliśmy się zgodzić na pewien ustęp ze świętego Augustyna¹³⁸ — ode-
zwał się Gaskończyk.

— Widocznie sztuka z niego nieglupia — mruknął Atos.

— A teraz, panowie, skoroście się zebrali — rzekł d'Artagnan — niech mi będzie wolno wytłumaczyć się wam.

Na słowo *wytłumaczyć* chmura przemknęła po czole Atosa, uśmiech wzgardliwy po ustach Portosa, a przeczące skinienie było odpowiedzią Aramisa.

¹³⁶ Honolulu — stolica i największe miasto amerykańskiego stanu Hawaje. [przypis edytorski]

¹³⁷ Kochinchina — dawna nazwa położonej najbardziej na południe części Wietnamu, stanowiącej część francuskiej kolonii Indochin. [przypis edytorski]

¹³⁸ Augustyn z Hippony (354–430) — filozof i teolog chrześcijański, autor licznych traktatów, m.in. *Państwo Boże*, oraz autobiograficznych *Wyznań*; jeden z tzw. ojców i doktorów Kościoła. [przypis edytorski]

— Nie rozumiecie mnie, panowie — rzekł d'Artagnan, podnosząc głowę, a na jego oblicze padły promienie słoneczne, złocąc jego szlachetne i śmiałe rysy — pragnę się wytłumaczyć na wypadek, jeżeli nie będę w możności¹³⁹ wszystkim trzem spłacić mego długu, pierwszemu bowiem panu Atosowi służy prawo zabicia mnie, a to odbiera dużo wartości zadaniu pana Portosa, a twoje, panie Aramisie, nieledwie niweczy zupełnie. A teraz powtarzam, wybaczenie mi, panowie, ale to tylko jedynie, i baczność!

Z tymi słowami, ruchem najpyszniej rycerskim, d'Artagnan wydobył szpadę.

Krew wrzątkiem uderzyła mu do głowy i w chwili tej rzuciłby się był na cały zastęp muszkieterów z taką samą odwagą jak na tych trzech obecnie.

Było już trochę z południa. Słońce dobiegało do zenitu, a miejsce wybrane na pojedynek zostało wystawione na jego palące promienie.

— Piekielnie gorąco — rzekł Atos, dobywając szpady — nie chciałbym jednak zdejmować kaftana, gdyż czuję w tej chwili, iż rana mi się krwawi, a pragnę nie sprawić panu przykrości widokiem krwi dobytej nie twoim żelazem.

— To prawda — odrzekł d'Artagnan. — A czy dobytą byłaby przeze mnie, czy przez kogo innego, zawsze z prawdziwym żalem będę patrzeć na krew tak dzielnego szlachcica, więc i ja będę się bić w kaftanie.

— Dalej, dalej — odezwał się Portos — dosyć już tych grzeczności, pomyślcie, że czekamy na naszą kolej.

— Sam za siebie mów, Portosie, kiedy masz się tak grubiańsko odzywać — przerwał Aramis. — Co do mnie, słowa tych panów uważam za właściwe i godne takich szlachetnych ludzi jak oni.

— Służę panu — odrzekł Atos, zasłaniając się szpadą.

— Jestem na rozkazy — odparł d'Artagnan, krzyżując swoją.

Zaledwie dwa rapiery zetknęły się ze szczęką, gdy oddział gwardii Jego Eminencji pod dowództwem pana de Jussac ukazał się spoza węgla¹⁴⁰ klasztoru.

— Gwardziści kardynalscy! — krzyknęli jednocześnie Portos i Aramis. — Panowie! Szpady do pochwy! Panowie!

Lecz było już za późno. Dwaj walczący widziani byli w postawie niepozostawiającej żadnej wątpliwości o ich zamiarach wojowniczych.

— Hola! — krzyknął Jussac, zbliżając się do nich i dając żołnierzom swoim znak, aby uczynili to samo. — Hola! Panowie muszkieterzy, bijecie się tutaj? A zakaz?... Cóż mi na to powiecie?

— O! Bardzo szlachetni jesteście, panowie gwardziści — odrzekł Atos pełen skrytej nienawiści, bo Jussac był najpierwszym z tych, którzy go atakowali w przeddzień. — My, gdybyśmy was widzieli bijących się, zaręczam, iż nie przeszkadzalibyśmy wam bynajmniej. Zostawcie więc swobodę, a będziecie mieli przyjemność, nie doznając żadnego trudu.

— Panowie — odparł Jussac — z żalem muszę wam oświadczyć, iż to rzecz niemożliwa do spełnienia. Obowiązek przede wszystkim. Szpady do pochwy, jeżeli łaska, i proszę za nami.

— Panie — odezwał się Aramis, przedrzeźniając Jussaca — z wielką przyjemnością posłobyśmy za waszą uprzejmą radą, gdyby to od nas zależało, ale niestety to niemożliwe: pan de Tréville zabronił nam tego. Idźcie więc w swoją drogę, to będzie dla was najlepiej.

Drwiny te doprowadziły Jussaca do rozpaczy.

— Siłą was zaprowadzimy ze sobą, skoro nie chcecie nas słuchać.

— Pięciu ich jest — rzekł półgłosem Atos — a nas tylko trzech. Znowu będziemy pobici i trzeba nam będzie życie tu położyć, bo oświadczam, że jeśli zostaniemy pokonani, nie pokażę się kapitanowi na oczy.

Atos, Portos i Aramis zbliżyli się do siebie w chwili, gdy Jussac ustawiał swych żołnierzy w szeregu.

Chwila ta wystarczyła d'Artagnanowi do namysłu, że nastręczała mu się jedna ze sposobności stanowiących o życiu człowieka; należało więc uczynić wybór między królem i kardynałem i należało w nim wytrwać. Bić się — znaczyło to nie słuchać prawa, narażać

Honor, Pojedynek

Obowiązek

Przyjaźń, Walka,
Bohaterstwo, Honor,
Żołnierz

¹³⁹nie będę w możności — dziś: nie będę mógł. [przypis edytorski]

¹⁴⁰węgiel — narożnik budynku. [przypis edytorski]

głowę — znaczyło to na samym wstępie zrobić sobie nieprzyjaciela z ministra, potężniejszego nawet niż sam król. Wszystko to przewidywał młodzieniec, dodajmy jednak na pochwałę jego, iż nie zawahał się ani na chwilę. I rzekł, zwracając się do Atosa i jego przyjaciół:

— Panowie! Pozwólcie mi w słowach waszych małą uczynić poprawkę. Powiedzieliście, że trzech tylko jesteście, a mnie się wydaje, iż nas jest tutaj czterech.

— Przecież pan nie należysz do naszych — zauważył Portos.

— To prawda — odrzekł d'Artagnan — ale jeżeli nie ubiorem, to duszą do was należę. Czuję to, iż serce mam muszkieterskie i ono pociąga mnie do was.

— Na bok! Młodzieńcze — wrzasnął Jussac, który po ruchach i wyrazie twarzy odgadywał zamiary d'Artagnana — pozwalam ci się oddalić. Uciekaj, pókiś¹⁴¹ cały.

D'Artagnan ani drgnął.

— Dzielnny chłopiec z ciebie — powiedział Atos, ściskając mu rękę.

— No, dalej! — wołał Jussac.

Atos, Portos i Aramis spojrzeli na młodzieńca.

Wszystkim trzem tkwiła w myśli młodość d'Artagnana i lękali się jego braku doświadczenia.

— I tak trzech by nas tylko było, z których jeden ranny, bo to dziecko jeszcze — mówił Atos — pomimo to powiedzą, iż było nas czterech.

— Tak, lecz cofać się!... — odpowiedział Portos.

— Trudno — dodał Atos.

D'Artagnan zrozumiał ich wahanie.

— W każdym razie wypróbujcie mnie, panowie, a przysięgam wam na moją cześć, że jeżeli będziemy zwyciężeni, nie ruszę się z tego miejsca.

— Jak się nazywasz, mój zuchu? — zapytał Atos.

— D'Artagnan.

— Dalejże! Atos, Portos, Aramis i D'Artagnan, naprzód! — krzyknął Atos.

— I cóż, panowie, czy usłuchacie mnie? — zawołał po raz trzeci Jussac.

— Stało się, panowie — rzekł Atos.

— Cóż więc zamierzacie uczynić? — pytał Jussac.

— Będziemy mieli zaszczyt przystąpić z wami do walki — odpowiedział Aramis, jedną ręką unosząc kapelusz, drugą wyciągając szpadę.

— A! Opieracie się więc! — krzyknął Jussac.

— Do licha! To pana dziwi?

Po czym dziewięciu walczących rzuciło się na siebie, z wściekłością nieprzekraczającą jednak zasad szermierki.

Atos wybrał niejakiego Cahusaca, ulubieńca kardynalskiego, Portos miał Bicarata, Aramis znalazł się wobec dwóch przeciwników. D'Artagnan zaś padł na samego Jussaca.

Serce młodego Gaskończyka biło jak młotem, zdawało się, że rozsadzi mu piersi. Nie ze strachu, broń Boże, nie było go tam ani cienia, lecz dlatego, że w męstwie nie chciał się okazać od innych gorszy, bił się jak rozjuszony tygrys, ze wszystkich stron napastując przeciwnika i zmieniając kilkakrotnie pozycję. Jussac był mistrzem w tej sztuce, bo dużo już praktykował, jednak trudnym zadaniem była dla niego obrona przed przeciwnikiem, który, zręczny i rzutki, zmieniał co chwila metodę, napadając prawie ze wszystkich stron jednocześnie, a sam zasłaniając się jak człowiek, który ma najwyższą cześć dla swojej skóry.

Walka ta doprowadziła Jussaca do utraty cierpliwości. Wściekłość go ogarnęła, iż ten, którego za dzieciaka uważał, trzyma go w szachu. Zaperzony¹⁴² więc zaczął popełniać błędy. D'Artagnan zaś w braku doświadczenia posiadał głęboką teorię i przeto¹⁴³ jeszcze zwinniej się sprawiał. Jussac, chcąc raz już skończyć, wymierzył od dołu straszny cios przeciwnikowi; ten natychmiast się zasłonił i w chwili, gdy Jussac prostował się, przemknął pod szpadą jego jak wąż i na wylot go przebił. Jussac runął jak kłoda. Wtedy d'Artagnan szybkim i niespokojnym wzrokiem objął pole walki.

¹⁴¹pókiś — przykład konstrukcji z czasownikiem „być” skróconym do końcówki fleksyjnej dodanej do spójnika; znaczenie: póki jesteś. [przypis edytorski]

¹⁴²zaperzony (daw.) — rozgniewany. [przypis edytorski]

¹⁴³przeto (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

Aramis zabił już jednego ze swoich przeciwników, lecz drugi ostro nań nacierał. Położenie jego nie było niebezpieczne, mógł się bowiem obronić.

Bicarat i Portos szpikowali się wzajemnie. Portos dostał pchnięcie w ramię, a Bicarat w udo. Ponieważ jednak ani jedna, ani druga rana nie była głęboka, coraz zjadle napadali na siebie.

Ale Atos, raniony na nowo przez Cahusaca, okrywał się coraz większą błądzą, chociaż się ani na krok nie cofnął z miejsca; przełożył tylko broń do innej ręki, z równą zręcznością władając lewą.

Według praw pojedynkowych z tamtej epoki d'Artagnan mógł jednemu z nich przyjść z pomocą i gdy szukał oczami, którego z towarzyszy wypadłoby wesprzeć, pochwycił spojrzenie Atosa, a było ono zadziwiająco wymowne.

Atos wołałby umrzeć niż zawołać o pomoc, mógł jednak patrzeć, a spojrzeniem tym żądał poparcia. Odgadł to d'Artagnan i dopadł z boku Cahusaca, krzycząc strasznym głosem:

— Ze mną teraz sprawa! Zabiję cię, panie gwardzisto!

Cahusac odwrócił się w sam czas. Atos, którego podtrzymywała jedynie nieczwornana odwaga, upadł na jedno kolano.

— Na rany boskie, nie zabijaj go, młodzieńcze, błagam — wołał na d'Artagnana. — Mam ja dawną sprawę z nim do załatwienia, jak się tylko wygoję. Rozbrój go tylko, wytrąć mu szpadę. O! Tak! Dobrze! Wyśmienicie!

Ten okrzyk Atosa spowodował wytrącenie szpady z ręki Cahusaca; wyrzucona w powietrze padła o jakieś dwadzieścia kroków.

D'Artagnan i Cahusac razem rzucili się, aby ją pochwycić, lecz zwinniejszy d'Artagnan pierwszy postawił na niej nogę.

Cahusac poskoczył do gwardzisty zabitego przez Aramisa, wyrwał mu rapier i powracał, aby na nowo rozpocząć walkę z d'Artagnanem, jednak na drodze spotkał Atosa, który w tej przerwie miał już czas trochę odetchnąć i w obawie, aby d'Artagnan nie zabił wroga, sam stanął przed nim do walki.

D'Artagnan pojął, iż ściągnąłby na siebie niezadowolenie Atosa, gdyby zechciał mu przeszkodzić. Stało się też, że zaledwie w kilka sekund Cahusac padł z gardłem przeszytym szpadą.

Jednocześnie Aramis przyłożył koniec szpady do piersi leżącego na ziemi przeciwnika, zmuszając go do poddania się.

Pozostawał jeszcze Portos i Bicarat. Portos podrwiwał zawzięcie, zapytując Bicarata, która mogła być godzina, i winał mu oddziału, który jego brat dostał w pułku Nawarry¹⁴⁴; tymi drwinkami jednak niewiele udało mu się wskórać, bowiem Bicarat należał do tych żelaznych ludzi, którym ręka opada, lecz tylko po śmierci.

Należało wszakże położyć temu kres! Lada chwila patrol mógł nadciągnąć i zabrać walczących, rannych i całych, zarówno królewskich, jak i kardynalskich.

Atos, Aramis i d'Artagnan otoczyli Bicarata, wzywając go, aby się poddał. Jakkolwiek jeden na czterech i z udem przebitym szpadą Bicarat nie myślał ustąpić. Był on, jak d'Artagnan, Gaskończykiem; udawał głuchego, a śmiejąc się i zasłaniając żwawo, znalazł nawet czas, aby końcem szpady wskazać miejsce na ziemi.

— Tu — rzekł, parodiując ustęp biblijny¹⁴⁵ — tu umrze Bicarat, sam jeden przeciw wszystkim.

— Ależ czterech ich jest przeciw tobie jednemu — zawołał Cahusac — skończ raz, rozkazuję ci.

— O! Rozkazujesz, to rzecz inna — odrzekł Bicarat — jako swemu brygadierowi winienem ci posłuszeństwo.

I uskokczywszy w tył, złamał na kolanie szpadę, kawałki przerzucił przez mur klasztorny i skrzyżowawszy ręce na piersiach, zagwizdał piosnkę gwardzistów kardynalskich.

¹⁴⁴Nawarra — kraina historyczna w zach. części Pirenejów, na pograniczu Hiszpanii i Francji. [przypis edytorski]

¹⁴⁵rzekł, parodiując ustęp biblijny — nawiązanie do ustępu biblijnego: „Żarliwością rozpalilem się o chwałę Pana, Boga Zastępów, gdyż Izraelici opuścili Twoje przymierze, rozwalili Twoje ołtarze i Twoich proroków zabili mieczem. Tak że ja sam tylko zostałem, a oni godzą jeszcze i na moje życie” (1 Krl 19, 10). [przypis edytorski]

Waleczność wzbudza szacunek nawet w nieprzyjacielu. Muszkietierowie pokłonili się Bicaratowi szpadami i włożyli je do pochwy. To samo uczynił d'Artagnan, następnie z pomocą Bicarata, który jeden tylko ze wszystkich kardynalskich gwardzystów trzymał się na nogach, zaniósł pod bramę klasztorną Jussaca, Cahusaca i tego z przeciwników Aramis, który tylko był ranny; czwarty, jak wiadomo, już nie żył. Złożywszy ich tam, uderzyli w dzwon klasztorny, zabrawszy cztery szpady na pięć, i upojeni radością podążyli do pałacu pana de Tréville.

Szli tak, splótłszy się ramionami, zajmując całą szerokość ulicy i pociągając za sobą każdego napotkanego muszkietera, tak że w końcu orszak ten zmienił się w pochód triumfalny. Serce d'Artagnana rozpychało się z rozkoszy; siedł pomiędzy Atosem i Portosem, ściskając ich czule.

— Choć nie jestem jeszcze muszkietierem — powiedział do nowych przyjaciół, przestąpiwszy próg pałacu pana de Tréville — ale zostałem przyjęty na praktykanta, nieprawdaż?

ROZDZIAŁ VI. JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ — LUDWIK XIII

Cała ta sprawa narobiła wrzawy, pan de Tréville nagniewał się głośno na muszkietierów, a pochwalił ich po cichu. Ponieważ jednak nie było czasu do stracenia, popędził sam do Luwru, aby uprzedzić o tym króla. Spóźnił się wszakże, bo powiedziano mu, iż król zamknął się z kardynałem, pracuje i nikogo przyjąć nie może w tej chwili.

Stawił się więc wieczorem w zwykłych godzinach gry. Król wygrywał, a jako strasznie skąpy, był w przepysznym humorze. Skoro więc zobaczył nadchodzącego de Tréville, odezwał się do niego:

— Proszę tutaj, panie kapitanie, proszę, muszę cię wylajać. Czy wiesz, że Jego Eminencja skarżył mi się na twoich muszkietierów i to z takim rozdrażnieniem, że aż chory jest dzisiaj. O! Ależ to diabły wcielone, ci twoi muszkietierowie!

— Nie, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział de Tréville, widząc od razu, na co się zanoszą — nie, przeciwnie, to stworzenia dobre, łagodne jak baranki i dają moją szyję, iż tylko jedno pragnienie mają, aby dobywać szpady jedynie na usługi Waszej Królewskiej Mości. Cóż jednak począć, jeśli gwardziści pana kardynała wiecznie szukają zwady? Biedni młodzieńcy muszą się bronić dla samego honoru swego zgromadzenia.

— Posłuchajcie no tego de Tréville! Posłuchajcie! Można by sądzić, że on tu mówi o zgromadzeniu religijnym. Doprawdy, kapitanie drogi, wielka ochota mnie bierze, aby odebrać ci patent i dać go pannie de Chemerault, której przyobiecałem opactwo. Nie myśl jednak, abym ci uwierzył na słowo. Nie darmo nazywają mnie Ludwikiem Sprawiedliwym, zaraz cię o tym przekonam.

— Ponieważ najzupełniej ufam tej sprawiedliwości, Najjaśniejszy Panie, z uległością i spokojem zdaję się na łaskę Waszej Królewskiej Mości.

Szczęście się odwróciło i król zaczął przegrywać to, co wygrał, więc było mu na rękę — użyjemy tego wyrażenia — zwinąć chorągiewkę. Wstał też po chwili i chowając do kieszeni pieniądze leżące przed nim, których znaczną część stanowiła wygrana, rzekł:

— La Vieuville¹⁴⁶, siadaj na moim miejscu, a ja muszę pomówić z panem de Tréville w bardzo ważnej sprawie. A!... Było tam osiemdziesiąt luidorów¹⁴⁷ przede mną; połów odpowiednią sumę, aby krzywdy nie mieli przegrani. Sprawiedliwość przede wszystkim.

Potem obrócił się do de Tréville, pociągając go do framugi okna.

— A zatem, mój panie — ciągnął dalej — mówisz, że to gwardziści Jego Eminencji szukają zaczepki z twymi muszkietierami?

— Tak, Najjaśniejszy Panie, jak zwykle.

— Jakżeż to się stało? Zobaczmy... Bo wiesz przecie, kapitanie, że sędzia winien wysłuchać obie strony.

— Mój Boże! W najprostszy i najzwyczajniejszy sposób. Trzech moich najlepszych żołnierzy, których Wasza Królewska Mość zna z imienia i miał sposobność ocenić ich

Sprawiedliwość

Sędzia

¹⁴⁶La Vieuville, Charles de (1582–1653) — francuski szlachcic, urzędnik odpowiedzialny za finanse Francji w latach 1623–1624 oraz 1651–1653, doradca Ludwika XIII. [przypis edytorski]

¹⁴⁷luidor (z fr. Louis d'or: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791. [przypis edytorski]

wierność wobec siebie, trzech tych żołnierzy, mówię, panowie: Atos, Portos i Aramis, udali się na wycieczkę z pewnym młodym Gaskończykiem poleconym im z rana przeze mnie. Celem wycieczki miało być podobno Saint-Germain, a miejscem spotkania karmelici bosi. Otóż tę przyjemność spaceru zakłócili im panowie: de Jussac, Cahusac, Bicarat i dwóch innych gwardzistów, którzy nie przyszliby tam pewnie w takiej liczbie, gdyby nie mieli złych zamiarów.

— Oh! O! Dajesz mi do myślenia — odrzekł król — bez wątpienia, oni tam przyszl się bić.

— Ja ich nie oskarżam, lecz sąd pozostawiam Waszej Królewskiej Mości, bo po cóż aż pięciu ludzi zbrojnych przybyło w miejsce tak ustronne jak okolice klasztoru karmelitów bosych?...

— Tak, masz słuszość, de Tréville, masz słuszość.

— Zobaczywszy moich muszkietierów, zmienili zamiar i zapomnieli o swojej prywatnej nienawiści na rzecz nienawiści do naszego zgromadzenia... bo wiadomo Waszej Królewskiej Mości, że muszkietierzy, którzy do króla należą, do króla wyłącznie, są naturalnymi nieprzyjaciółmi gwardzistów należących do kardynała...

— Tak, mój de Tréville, tak — powiedział melancholijnie król. — I wierzę mi, iż to bardzo smutne widzieć dwie takie partie we Francji, taką dwugłową monarchię. Skończy się to jednak, skończy. Mówisz więc, że to gwardziści zaczęli muszkietierów?

— Mówię, że prawdopodobnie tak się rzeczy miały, lecz nie przysięgam, Najjaśniejszy Panie. Wasza Królewska Mość wie, jak trudno poznać prawdę, a kto nie jest obdarzony tym uczuciem zadziwiającym, dzięki któremu nazwano Ludwika XIII Sprawiedliwym...

— Masz słuszość, de Tréville, ale ci twoi muszkietierowie nie byli tam sami, mieli ze sobą jakiegoś dzieciaka.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, dzieciaka i jednego rannego; tak... trzech muszkietierów królewskich, z których jeden ranny, a z nimi jeden dzieciak, nie tylko stawili czoło pięciu najstraszniejszym gwardzistom pana kardynała, lecz nadto czterech powalili na ziemię.

— Ależ to zwycięstwo, zwycięstwo zupełne — zawołał król, promieniając radością.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, zwycięstwo zupełne.

— Mówisz więc, że czterech ludzi, z nich jeden ranny, a jeden dziecko nieledwie...

— Wyrostek, ale sprawiał się tak dzielnie w tej potrzebie, że pozwolę sobie polecić go Waszej Królewskiej Mości.

— Jak on się nazywa?

— D'Artagnan, Najjaśniejszy Panie, syn jednego z moich najdawniejszych przyjaciół, syn człowieka, który walczył przeciwko Lidze z twoim wielkiej pamięci ojcem, Najjaśniejszy Panie.

— Mówisz, że chłopak ten sprawiał się dzielnie? Opowiedz mi to, Tréville, wiesz, jak lubię opowiadania o bitwach i potyczkach.

Mówiąc to, Ludwik XIII dumnie pokręcił wężą, przybierając postawę rycerską.

— Najjaśniejszy Panie — zaczął de Tréville — pan d'Artagnan, jak rzekłem, jest jeszcze prawie dzieckiem, a nie mając zaszczytu być muszkietierem, ubrany był po mieszczkańsku; gwardziści pana kardynała widząc jego młodość, a co więcej, iż nie należy do zgromadzenia, zażądali, aby się usunął, zanim uderzą na naszych.

— Widzisz więc, de Tréville, że to oni pierwsi zaczęli.

— Tak właśnie, Najjaśniejszy Panie, nie ma najmniejszej wątpliwości; wezwali go więc, aby się usunął, na co odpowiedział, że sercem jest muszkietierem, oddanym całą duszą Jego Królewskiej Mości, i pozostanie z panami muszkietierami.

— Dzielny chłopiec! — mruknął król.

— I został, a Wasza Królewska Mość ma w nim tak walecznego stronnika... on to właśnie wpakował Jussacowi pchnięcie, które pana kardynała o tak straszny gniew przypawilo.

— To on ranil Jussaca? — wykrzyknął król. — On?... Ten dzieciak?... Ależ to nie do uwierzenia, de Tréville!...

— A jednak, tak jak miałem zaszczyt powiedzieć Waszej Królewskiej Mości.

— Jussaca, najdzielniejszego rębacza w królestwie?...

— Trafiła kosa na kamień, Najjaśniejszy Panie.

Odwaga, Rycerz, Król,
Walka, Poświęcenie,
Bohaterstwo

— O! Chcę go poznać, de Tréville, chcę go widzieć i jeżeli da się coś zrobić dla niego, zajmijmy się nim zaraz.

— Kiedy Wasza Królewska Mość raczy go przyjąć?

— Jutro w południe.

— Czy mam go samego przyprowadzić?

— Nie, przyprowadź mi wszystkich czterech. Chcę im podziękować. Wierne serca są rzadkością, de Tréville, wierność należy nagradzać.

— Najjaśniejszy Panie, w południe stawimy się w Luwrze.

— O! Tylko, de Tréville, pamiętaj, bocznymi schodami, tak, bocznymi; nie trzeba, aby kardynał o tym wiedział.

— Słucham, Najjaśniejszy Panie?

— Pojmiesz, de Tréville; zakaz zakazem, bo koniec końców bicie się jest zabronione.

— Ale, Najjaśniejszy Panie, spotkanie to przekracza wszelkie formy pojedynkowe, to bójka po prostu, napaść, boć¹⁴⁸ pięciu gwardzistów kardynalskich było przeciw trzem muszkieterom i panu d'Artagnanowi.

— Słusznie — odparł król — ale w każdym razie przyjdźcie bocznymi schodami.

De Tréville uśmiechnął się. Ponieważ jednak było wielką rzeczą to, co otrzymał od tego dziecka buntującego się przeciw swojemu panu, ukłonił się królowi z uszanowaniem i oddalił się za jego zezwoleniem.

Jeszcze tego wieczoru trzej muszkieterowie zostali zawiadomieni o zaszczytce, jakiego mieli dostąpić. A że jednak znali króla od dawna, niezbyt czuli się tym podnieceni, ale d'Artagnan, ze swoją wyobraźnią gaskońską, widział w tym swoje szczęście w przyszłości i całą noc roił sny złote. Nazajutrz też o ósmej z rana był już u Atosa. Zastał go w mundurze galowym, gotowego do wyjścia. Ponieważ ułożyli się wspólnie z Portosem i Aramisem, że pójdą na piłkę do pewnego domu gry tuż przy stajniach Pałacu Luksemburskiego, Atos zaprosił go do towarzystwa, a d'Artagnan, jakkolwiek nie znał zabawy tego rodzaju, przyjął zaproszenie, nie wiedząc, co robić z czasem od dziewiątej rano aż do południa. Dwaj muszkieterowie byli już na miejscu i rzucali piłką do siebie. Atos, biegły we wszystkich ćwiczeniach ciała, stanął z d'Artagnanem po przeciwnej stronie, wyzywając ich do gry. Lecz za pierwszym rzutem, jakkolwiek dokonany lewą ręką, poczuł, że na podobne ćwiczenia jego rana była jeszcze za świeża.

D'Artagnan pozostał sam, ponieważ jednak oznajmił, że za mało zna się na zasadach gry, poprzestano więc na rzucaniu piłką, nie licząc punktów. Piłka, wyrzucona herkulesową ręką Portosa, przemknęła tuż koło twarzy d'Artagnana tak, że gdyby zamiast pójść bokiem trafiła w niego, audjencia, pomyślał sobie, prawdopodobnie byłaby dziś stracona, bo z guzem nie mógłby przecież pokazać się królowi. Skoro zaś w jego wyobraźni gaskońskiej cała przyszłość zależała od posłuchania, ukłonił się grzecznie Portosowi i Aramisowi, oznajmiając, że nie będzie grał, dopóki nie potrafi im dorównać, i odszedł, aby zająć miejsce wśród widzów.

Na nieszczęście między widzami znajdował się pewien gwardzista Jego Eminencji, który, wzburzony jeszcze wczorajszą porażką swoich towarzyszy, przyrzekł sobie cześcić się pierwszej sposobności do pomśzczenia kolegów. Sądząc, że nadeszła stosowna chwila, zwrócił się do sąsiada, mówiąc:

— Nic dziwnego, że ten młodzik przeląkł się piłki, pewno to czeladnik muszkieterski.

D'Artagnan drgnął jak ukąszony przez żmiję i przeszył wzrokiem gwardzistę, który się wyrwał z tym grubiaństwem.

— O! — ciągnął tenże dalej, zawadiacko pokręcając wąsa. — Patrz na mnie, ile ci się podoba, mój paniczku, a ja co powiedziałem, to powiedziałem.

— A ponieważ to, co powiedziałeś, jest jasne aż nadto i nie potrzebuje objaśnień — odparł d'Artagnan zniżonym głosem — będę pana prosił, abys poszedł ze mną.

— Kiedy? — zapytał gwardzista tym samym drwiącym tonem.

— Natychmiast, jeśli łaska.

— Wiesz pan pewno, kim jestem?

— Wcale nie wiem i nie obchodzi mnie to bynajmniej.

— Źle robisz, bo gdybyś znał moje imię, nie śpieszyłbyś tak może.

¹⁴⁸boć (daw.) — bo. [przypis edytorski]

— Więc jak się pan nazywasz?
— Bernajoux, do usług.
— A zatem, panie Bernajoux — spokojnie rzekł d'Artagnan — czekam na ciebie przy bramie.

— Idź pan, przyjdę za tobą.
— O! Nie śpiesz się pan zbyt, aby nas razem wychodzących nie dostrzeżono; pojmujesz, iż przeszkadzałoby nam widzowie.

— Dobrze — odrzekł gwardzista zdziwiony, że swoim nazwiskiem nie sprawił na młodzieńcu większego wrażenia.

Rzeczywiście, Bernajoux był znany wszystkim, z wyjątkiem d'Artagnana. Był on jedynym z tych, co brali udział w codziennych bójkach, które nie przestawały się odbywać pomimo zakazów króla i kardynała.

Portos i Aramis byli tak zajęci grą, a Atos przypatrywał się im z taką uwagą, że nie spostrzegli wyjścia młodego towarzysza, który jak zapowiedział gwardziście, czekał na niego w bramie, gdzie i ten wkrótce się zjawił. Nie mając czasu do stracenia, w związku z audiencją u króla wyznaczoną na godzinę dwunastą, d'Artagnan rozejrzał się dokoła, a widząc, że ulica jest pusta, rzekł:

— Na honor, twoje wielkie szczęście, choć nazywasz się Bernajoux, że masz do czynienia tylko z czeladnikiem muszkieterskim. Bądź jednak spokojny, postaram się, jak umiem najlepiej. Baczność!

Bernajoux nie dał sobie dwa razy powtórzyć podobnej grzeczności, w mgnieniu oka spada błysnęła mu w dłoni i rzucił się na przeciwnika, tusząc¹⁴⁹ sobie, że młokosa onieśmieli od razu.

Lecz d'Artagnan odbył szkołę w przeddzień, więc świeżo ośmielony zwycięstwem, dumny ze swego przyszłego, zdecydowany był nie ustąpić na krok. Spoili się więc dwa ostrza aż po rękojeść, a że d'Artagnan trzymał się jak wrosły w miejscu, jego przeciwnik zatem musiał uskoczyć w tył. D'Artagnan w lot uchwycił sposobność, bo gdy skutkiem tego ruchu spada Bernajoux zesła z linii, trzepnął w nią z boku i złożywszy się, ugodził przeciwnika w ramię. Niezwłocznie potem zrobiwszy krok w tył, d'Artagnan wzniosł szpadę do góry, lecz Bernajoux krzyknął, że to tylko fraszka¹⁵⁰, i na oślep rzucając się na d'Artagnana, sam się natknął na jego szpadę. Ponieważ jednak trzymał się na nogach i nie uznał się za zwyciężonego, cofał się tylko ku pałacowi pana de la Trémouille, u którego jego krewniak był w służbie; d'Artagnan przeto sam nie mógł wiedzieć, jak mocno go zranił, nacierał nań ostro i dobyłby był przeciwnika za trzecim pchnięciem, gdyby wzmagająca się na ulicy wrzawa nie była doszła do sali gry. Dwaj przyjaciele gwardzisty słyszeli jego sprzeczkę z d'Artagnanem, a ponieważ widzieli ich obydwóch wychodzących, domyślili się, co zaszło, i nadbiegłszy z dobytą bronią, wpadli na zwycięzcę.

Atos, Portos i Aramis także prawie jednocześnie się tam znaleźli i w chwili gdy dwaj gwardziści rzucali się na młodzieńca, zostali przez nich zmuszeni do zmiany frontu.

Wtedy Bernajoux upadł. A ponieważ gwardziści byli w mniejszej liczbie, poczęli wołać w stronę pałacu de la Trémouille. Wszystko, co żyło w pałacu, wyległo na ten krzyk, waląc się hurmem¹⁵¹ na czterech towarzyszy, którzy ze swej strony wołali:

— Do nas, muszkietrzy!

Podobne krzyki nierzadko dawały się słyszeć. Znano muszkietarów jako nieprzyjaciół Eminencji i za nienawiść, jaką żywili dla kardynała, kochano ich powszechnie. Dlatego straż z innych oddziałów, nienależących do Czerwonego Księcia, jak go mianował Aramis, była w ogólności po stronie muszkietarów króla. Z trzech też żołnierzy z oddziału pana des Essarts, którzy przechodzili tamtędy, dwóch nadbiegło na pomoc walczącym, gdy trzeci popędził w stronę pałacu pana de Tréville, krzycząc:

— Do nas, muszkietrzy, do nas!

Jak zwykle, dom pana de Tréville był pełen żołnierzy, którzy nadbiegli na ratunek kolegom. Zamieszanie stało się ogólne, a przeważająca siła była po stronie muszkietarów. Gwardziści kardynała i ludzie pana de la Trémouille schronili się więc do pałacu, pozamykawszy za sobą bramy w sam czas, by przeszkodzić nieprzyjacielowi wtargnąć tam

Pojedynek, Honor,
Zwycięstwo

¹⁴⁹tuszyć (daw.) — spodziewać się czegoś. [przypis edytorski]

¹⁵⁰fraszka (daw.) — błahostka, drobnostka, drobiazg. [przypis edytorski]

¹⁵¹hurmem — tłumnie. [przypis edytorski]

jednocześnie z nimi. Od razu zaś przeniesiony tam został ranny Bernajoux, i to w stanie bardzo niebezpiecznym.

Wzburzenie pomiędzy muszkietierami i ich sprzymierzeńcami doszło do najwyższego stopnia, naradzano się już pomiędzy sobą, czyby dla ukarania zuchwalstwa domowników pana de la Trémouille, którzy rzucili się na muszkietierów królewskich, nie podłożyć ognia pod jego pałac. Myśl ta została podjęta z zapalem, gdy na szczęście wybiła godzina jedenasta, przypominając d'Artagnanowi i jego towarzyszom o posłuchaniu u króla, a ponieważ przykro by im było, gdyby tak piękny czyn odbył się bez ich współudziału, namówili wszystkich do zaniechania zemsty.

Poprzestano też na rzuceniu kilku kamieni w bramy pałacu, bez skutku jednak — bramy nie ustąpiły. Pierwszy impet opuścił już atakujących, tym bardziej że ci, których mieli za swoich przywódców, odłączyli się od oblegających, podążając w stronę pałacu pana de Tréville, który, powiadomiony o awanturze, już na nich oczekiwał.

— Prędko, co tchu, do Luwru!... — zawołał. — Do Luwru!... Ani chwili nie tracić. Postarajmy się z królem zobaczyć, zanim uprzedzi nas kardynał; opowiemy zdarzenie to królowi jako dalszy ciąg sprawy wczorajszej i razem się to połączy.

Pan de Tréville z czterema młodzieńcami wyruszyli więc do Luwru, lecz jakież było zdziwienie kapitana muszkietierów, gdy oznajmiono, że król wyjechał do lasku Saint-Germain, aby polować na jelenie. Po dwakroć kazał sobie powtórzyć tę wiadomość i za każdym razem jego towarzysze widzieli, jak mu się twarz zachmurzała.

— Czy Jego Królewska Mość już wczoraj miał zamiar być na polowaniu?

— Nie, Ekscelencjo — odrzekł pokojowiec — lecz główny nadzorca sfor¹⁵² królewskich oznajmił mu rano, iż dzisiejszej nocy odkryto legowisko jelenia. Zrazu odpowiedział, że nie pojedzie, później nie mógł się oprzeć przyjemności, jaką obiecywało polowanie, i zjadłszy obiad, pojechał.

— A czy widział się król z kardynałem?

— Prawdopodobnie — odparł pokojowiec — bo rano zauważyłem zaprzężoną karetkę Jego Eminencji i mówiono mi, że jedzie do Saint-Germain.

— Upprzedzono nas... — rzekł pan de Tréville. — Panowie, ja będę dziś u króla wieczorem, ale wam nie radzę tego próbować.

Przestroga była rozumna, nade wszystko, że pochodziła od człowieka aż nadto dobrze znającego króla, więc czterej młodzieńcy mogli jej zawierzyć. Pan de Tréville polecił im wrócić do siebie i oczekiwać od niego wiadomości, a sam, powróciwszy do domu, wpadł na myśl, że należałoby jemu pierwszemu zanieść skargę. Wysłał jednego z domowników z listem do pana de la Trémouille, w którym prosił go o wydalenie swych ludzi za zuchwalstwo, jakiego się dopuścili względem muszkietierów. Lecz pan de la Trémouille, uprzedzony już przez koniuszego, który był krewnym Bernajoux, kazał mu odpowiedzieć, że ani panu de Tréville, ani muszkietierom nie należy się skarżyć, ale przeciwnie jemu, na którego ludzi napadli muszkietierowie, a jego pałac chcieli puścić z dymem. Ponieważ rokowania pomiędzy dwoma panami przewlec by się mogły za długo, gdyż każdy obstawał przy swoim zdaniu, pan de Tréville wymyślił inny sposób załatwienia sprawy. Postanowił sam się udać do pana de la Trémouille.

Pojechał więc natychmiast i kazał się oznajmić.

Dwaj dostojnicy powitali się grzecznie, bo choć nie byli przyjaciółmi, szanowali się wzajemnie. Obydwaj byli ludźmi zacnymi i honorowymi; a że pan de la Trémouille jako protestant i nieczęsto widujący króla nie należał do żadnego stronnictwa, nie powodował się też w stosunkach towarzyskich w ogólności żadnymi uprzedzeniami. Tym razem jednak przyjęcie, jakkolwiek grzeczne, było chłodniejsze niż zwykle.

— Panie — rzekł de Tréville — obaj sądzimy, że mamy sobie coś do wyrzucenia, sam więc przychodzę, abyśmy wspólnie wysłietlili tę sprawę.

— Jak najchętniej — odpowiedział pan de la Trémouille — ale uprzedzam pana, iż dobrze jestem powiadomiony, a cała wina spada na pańskich muszkietierów.

— Zanadto sprawiedliwym jesteś pan człowiekiem i zanadto rozumnym — rzekł pan de Tréville — abyś nie przyjął propozycji, jaką mam mu uczynić.

— Mów pan, słucham.

¹⁵²*sfora* — psy myśliwskie. [przypis edytorski]

— Jak się miewa pan Bernajoux, krewny koniuszego pańskiego?
 — Ależ, panie, źle bardzo. Prócz pchnięcia rapierem w ramię, niezbyt zresztą groźnego, ma jeszcze płuca przebite tak, że doktor bardzo na to kręci głową.
 — Czy ranny zachował przytomność?
 — Najzupełniej.
 — I mówi?
 — Z trudnością, jednakże mówi.
 — Chodźmy zatem do niego i zaklinijmy go na Boga, przed którego sądem niedługo może stanąć, aby wyznał prawdę. Gotów jestem wziąć go na sędziego we własnej jego sprawie, a w to, co powie, uwierzę święcie.

Pan de la Trémouille zastanowił się chwilę. Później, skoro nie było rozumniejszej propozycji niż ta, zgodził się na nią.

Zeszli obydwaj do pokoju, gdzie leżał ranny. Ten, skoro ujrzał dwóch wielkich panów przychodzących do niego, usiłował podnieść się na łóżku, lecz słaby, wyczerpany wysiłkiem, opadł na posłanie prawie nieprzytomny.

Pan de la Trémouille podszedł do niego i dał mu powąchać soli, które go otrzeźwiły. Wtedy pan de Tréville, nie chcąc, aby go posądzano, że chce wpływać na chorego, prosił pana de la Trémouille, aby sam go wybadał.

Stało się tak, jak pan de Tréville przewidział. Zawieszony pomiędzy życiem i śmiercią, Bernajoux ani na chwilę nie myślał zataić prawdy i opowiedział dokładnie wszystko, jak się odbyło.

Niczego też więcej nie mógł pan de Tréville żądać; życząc zatem Bernajoux prędkiego wyzdrowienia, pożegnał pana de la Trémouille, powrócił do domu i dał znać czterem przyjaciółom, że czeka na nich z obiadem.

Pan de Tréville przyjmował u siebie towarzystwo wyborowe, przede wszystkim przeciwnikardynalskie. Łatwo więc pojąć, iż w ciągu całego obiadu rozmowa toczyła się o porażkach gwardzystów Jego Eminencji. Nadto, ponieważ bohaterem ostatnich dwóch dni był d'Artagnan, wszystkie więc pochwały spadły na niego. Atos, Portos i Aramis pozostawili mu używanie ich w pełni, nie tylko jako dobrzy koledzy, lecz jako ludzie, dla których pochwały nie były rzadkością.

Około szóstej pan de Tréville oznajmił, iż nadszedł czas udać się do Luwru. Ponieważ wszakże minęła już godzina oznaczona na posłuchanie przez Najjaśniejszego Pana, zamiast więc wejść bocznymi schodami, podążył wraz z czterema młodymi ludźmi przez przedpokój.

Król nie powrócił jeszcze z polowania. Gdy już pół godziny czekali pośród tłumnie zebranych dworzan, wszystkie drzwi rozwarły się nareszcie i oznajmiono Jego Królewską Mość. Dreszcz do szpiku przejął d'Artagnana. Zbliżała się chwila mająca stanowić o jego życiu. Przerazone spojrzenie utkwiał w drzwiach, w których król miał się ukazać.

Pierwszy wszedł Ludwik XIII w stroju myśliwskim, pokryty pyłem; na nogach miał długie buty, a w ręce trzymał harapnik¹⁵³. D'Artagnan poznał na pierwszy rzut oka, że w umyśle królewskim zanościło się na burzę.

Jakkolwiek usposobienie to jawne było u Jego Królewskiej Mości, nie przeszkodziło dworakom ustawić się w rząd przy jego przejściu. W przedpokojach królewskich lepiej jest być widzianym bodaj zagniewanym wzrokiem niż nie być widzianym wcale.

Trzej muszkietierowie bez wahania wystąpili naprzód, przeciwnie d'Artagnan — pozostał za nimi ukryty. Król, chociaż osobiście znał Atosa, Portosa i Aramisa, przeszedł, nie patrząc na nich, nie odzywając się, jakby ich nie znał i nie widział nigdy. De Tréville zaś, gdy oczy królewskie spoczęły na nim przez chwilę, spojrzenie ich tak śmiało wytrzymał, że zmusił króla do odwrócenia się od niego; po czym Jego Królewska Mość, mruczając gniewnie, wszedł do swoich apartamentów.

— Kiepska sprawa — rzekł Atos z uśmiechem — tym razem nie zrobiliśmy nas jeszcze kawalerami orderu¹⁵⁴.

¹⁵³harapnik (przestarz.) — harap, bicz z krótką rękojeścią i długim plecionym rzemieniem. [przypis edytorski]

¹⁵⁴kawaler orderu — tytuł członków zakonów rycerskich oraz odznaczonych orderem. [przypis edytorski]

— Poczekaście tu dziesięć minut — rzekł pan de Tréville. — Jeśli po upływie tego czasu nie ujrzycie mnie z powrotem, wracajcie do mego pałacu, bowiem na próżno czekalibyście na mnie.

Czekali więc dziesięć minut, kwadrans, dwadzieścia minut, a widząc, że pan de Tréville nie pokazuje się, wyszli zaniepokojeni mocno tym, co mogło wyniknąć.

Pan de Tréville śmiało wszedł do gabinetu króla i zastał go w bardzo złym humorze, siedzącego w fotelu i bijącego się po butach ręką i pięścią. Nie przeszkodziło mu to wszakże z największą flegmą¹⁵⁵ zapytać o zdrowie Jego Królewskiej Mości.

— Nietęgę, mój panie, nietęgę — odrzekł król — nudzę się!

Była to w rzeczywistości najgorsza choroba Ludwika XIII, który często brał swoich dworzan i prowadził do okna, mówiąc: „Panie taki a taki, ponudźmy się razem”.

— Jak to! Nudzi się Wasza Królewska Mość? Czyż Najjaśniejszy Pan nie używał dziś przyjemności polowania?

— Piękna mi przyjemność! Wszystko wyradza¹⁵⁶ się, mój panie, i nie wiem, na honor, czy to zwierzyzna tropu nie zostawia, czy psy już węchu nie mają. Szczujemy rogacza o dziesięciu gałęziach, sześć godzin upędzamy się za nim i kiedy go już mamy niedłwie, a Saint-Simon przytyka róg do ust, by pojedźnego¹⁵⁷ zatrzeć, trach! cała sfora leci w inną stronę i puszcza się za dwulatkiem. Zobaczysz, iż zmuszony będę wyrzec się polowania z psami, jak wyrzekłem się polowania z sokołami. O! Jestem nieszczęśliwym królem, panie de Tréville! Jednego tylko sokoła miałem, i ten zdechł mi przedwczoraj.

— Pojmuję tę rozpacz, Najjaśniejszy Panie, wielkie to nieszczęście, lecz o ile mi się zdaje, pozostało jeszcze sporo jastrzębi i kobuzów¹⁵⁸.

— A żywej duszy nie ma, aby ich uczyła. Brak już sokolników¹⁵⁹, pozostałem tylko ja jeden znający tę sztukę. Jak mnie nie stanie¹⁶⁰, już będzie po wszystkim, polować będą za pomocą siatek i dołów. Gdybym miał czas wykształcić uczniów! A tak!... Od czegoż pan kardynał, który mi obecnie ani chwili spoczynku nie pozostawia i prawi mi o Hiszpanii, o Austrii, o Anglii! Ale, ale! Co do pana kardynała, panie de Tréville, jestem z ciebie niezadowolony!

Pan de Tréville oczekiwał tego zwrotu. Znał on króla na wylot; zrozumiał, że wszystkie te skargi były tylko przedmową, rodzajem bodźca dla dodania sobie odwagi i że skończy on na tym, na czym chciał zakończyć.

— Czymże miałbym nieszczęście nie zadowolić Waszej Królewskiej Mości? — zapytał de Tréville, udając najgłębsze zdziwienie.

— Tak to, mój panie, spełniasz swój obowiązek? — ciągnął dalej król, nie odpowiadając na pytanie pana de Tréville. — Na toż mianowałem cię kapitanem muszkietierów, aby mordowali oni człowieka, podburzali dzielnicę i chcieli spalić Paryż? Spodziewam się, iż wicherzyciele siedzą już w więzieniu i przychodzisz oznajmić mi, że sprawiedliwość została wymierzona.

— Najjaśniejszy Panie — spokojnie odpowiedział de Tréville — przeciwnie, przychodzę domagać się jej od ciebie.

— A przeciw komu? — wykrzyknął król.

— Przeciw potwarcom¹⁶¹.

— A! To coś nowego!... — odezwał się król. — Może mi powiesz, że trzech tych potępieńców, muszkietierów twoich — Atos, Portos i Aramis — wraz z owym bearneskim młokosem, nie napadło jak wściekli na biednego Bernajoux i nie sponiewierało go tak, że prawdopodobnie kona już w tej chwili? Powiesz mi może, że nie obiegli następnie pałacu księcia de la Trémouille i nie chcieli go spalić, co nie byłoby wielkim nieszczęściem w czasie wojny, boć to gniazdo hugenotów, lecz w czasie pokoju... przykład paskudny. Może zaprzeczysz temu wszystkiemu?

— Krótz to ułożył tę piękną bajkę, Najjaśniejszy Panie? — zapytał spokojnie de Tréville.

Nuda

Polowanie

Król, Kapłan, Bóg

¹⁵⁵flegma — powolność i spokojność charakteru, zimna krew. [przypis edytorski]

¹⁵⁶wyradzać się — zdegenerować się. [przypis edytorski]

¹⁵⁷pojedźny — grana na trąbkach melodia oznaczająca koniec polowania. [przypis edytorski]

¹⁵⁸kobuz — ptak drapieżny z rodziny sokołów. [przypis edytorski]

¹⁵⁹sokolnik — treser ptaków drapieżnych używanych do polowania na mniejsze zwierzęta. [przypis edytorski]

¹⁶⁰nie stawać (przestarz.) — brakować. [przypis edytorski]

¹⁶¹potwarca (daw.) — oszczerca. [przypis edytorski]

le.

— Kto mi ją opowiedział? A któż by, jeżeli nie ten, który czuwa, gdy ja zasypiam; pracuje, gdy ja się bawię; który wszystkim kieruje wewnątrz i zewnątrz w królestwie, we Francji, jako też i w Europie?

— Wasza Królewska Mość mówi o Bogu zapewne — rzekł de Tréville — gdyż znam tylko jednego Boga, który potęgą przewyższa władzę Waszej Królewskiej Mości.

— Nie panie, ja tu mówię o podporze państwa, o jedynym słudze moim, przyjacielu, o panu kardynale.

— Jego Eminencja nie jest przecież Jego Świątobliwością, Najjaśniejszy Panie.

— Co pan przez to rozumiesz?

— Że tylko papież jest nieomylny, a nieomyślność nie rozciąga się na kardynałów.

— Chcesz przez to powiedzieć, że mnie oszukuje i zdradza? Oskarżasz go? Słuchaj, powiedz mi, wyznaj szczerze, że go oskarżasz.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, ja tylko mówię, że on sam się myli. Mówię, że jest źle powiadomiony, że pilno mu było oskarżyć muszkietierów Waszej Królewskiej Mości, dla których jest bardzo niesprawiedliwy, i dlatego z nieczystych źródeł czerpał wiadomości.

— Oskarżenie wyszło od pana de la Trémouille, od niego samego. I cóż mi na to odpowiesz?

— To tylko mógłbym odpowiedzieć, Najjaśniejszy Panie, że nadto jest on zainteresowany w tej kwestii, aby być w niej bezstronnym świadkiem. Lecz daleki jestem od tego, znam go jako szlachcica prawego i najzupełniej zdaję się nań, lecz pod jednym warunkiem, Najjaśniejszy Panie.

— Pod jakim?

— Iż Wasza Królewska Mość wezwie go do siebie, sam wybada bez świadków, w cztery oczy, i że po odejściu księcia odwiedzę Was niezwłocznie, Najjaśniejszy Panie.

— Niech i tak będzie — odburknął król niechętnie. — I zgodzisz się na to, co powie pan de la Trémouille?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Zdajesz się na jego sąd?

— Najzupełniej.

— La Chesnaye! — zawołał król. — La Chesnaye!

Zaufany pokojowiec Ludwika XIII, zawsze stojący u drzwi, wszedł.

— La Chesnaye — rzekł doń król — posłać natychmiast po pana de la Trémouille. Dziś jeszcze mam z nim do pomówienia.

— Czy daje mi Wasza Królewska Mość słowo, iż z nikim nie będzie się widzieć pomiędzy bytnością moją a pana de la Trémouille?

— Z nikim, słowo szlacheckie.

— Zatem, Najjaśniejszy Panie, do jutra.

— Do widzenia, panie de Tréville.

— O której godzinie, jeżeli łaska Waszej Królewskiej Mości?

— O której ci się podoba.

— Przyjściem za wczesnym obawiam się obudzić Waszą Królewską Mość.

— Obudzić?... Mnie? Alboż ja kiedy śpię? Nie śpiam już teraz, mój panie; drzemie czasami i na tym koniec. Przyjdź więc, jak chcesz rano, choćby o siódmej; ale strzeż się, jeżeli muszkietierowie twoi zawinili!...

— Jeżeli są winni, Najjaśniejszy Panie, będą oddani w ręce Waszej Królewskiej Mości i postąpisz z nimi, jak uznasz za właściwe. Czy Wasza Królewska Mość ma jeszcze co mi rozkazać? Słucham i jestem gotów spełnić.

— Nie, panie, nie i nie bez racji nazwano mnie Ludwikiem Sprawiedliwym. Do jutra zatem, panie, do widzenia.

— Niechaj Bóg strzeże Waszą Królewską Mość.

Jakkolwiek nietęgo sypiał król, pan de Tréville jeszcze gorzej spał tej nocy. Wieczorem kazał zawiadomić trzech muszkietierów i ich towarzysza, aby stawili się u niego o wpół do siódmej z rana. Zabrał ich ze sobą, za nic nie rękując, nic nie obiecując i nie ukrywając wcale, że o łaskę królewską dla nich i dla niego kości zostały rzucone.

Przyszedłszy do schodów bocznych, kazał im się zatrzymać. W razie gdyby król trwał w gniewie na nich, odeszliby niewidziani; jeżeli zaś zgodzi się ich przyjąć, lepiej, że będą pod ręką.

Wszedłszy do prywatnego przedpokoju króla, pan de Tréville zobaczył La Chesnaye'a, który oznajmił mu, że wczoraj wieczorem nie zastano pana de la Trémouille w domu, a powrócił za późno, aby stawić się w Luwrze, więc przyszedł dopiero teraz i jest właśnie u króla. Okoliczność ta była bardzo na rękę panu de Tréville, upewniło go to bowiem, że żaden wpływ obcy nie wślizgnął się pomiędzy nim a zeznaniem pana de la Trémouille.

Upłynęło zaledwie dziesięć minut, drzwi od gabinetu królewskiego otworzyły się i wyszedł pan de la Trémouille, a zobaczywszy pana de Tréville, zbliżył się do niego i rzekł:

— Panie, Jego Królewska Mość posłał po mnie, aby wypytać, jak się rzeczy miały wczoraj rano w moim pałacu. Opowiedziałem mu prawdę, czyli że wina była po stronie moich ludzi i gotów jestem wytłumaczyć się panu. Ponieważ spotykam pana, zechciej proszę przyjąć moje oświadczenie i uważać mnie za jednego ze swoich niezmiennych przyjaciół.

— Mości książę — odpowiedział de Tréville — tak mocno ufałem w twoją prawosć, że nie chciałem innego obrońcy przed królem prócz ciebie samego. Widzę, że nie łudziłem się bynajmniej i dzięki ci za to, że jest jeszcze we Francji człowiek, o którym śmiało można powiedzieć to, co o panu mówię.

— Dobrze, dobrze — odezwał się wtem król, który słuchał tej grzecznej rozmowy, stojąc we drzwiach — powiedz mu tylko, de Tréville, ponieważ mieni się twoim przyjacielem, że i ja także chciałbym zaliczać się do jego przyjaciół, lecz on mnie zaniedbuje, blisko trzy lata go nie widziałem i widzę tylko wtedy, kiedy sam po niego posłę. Powiedz mu to ode mnie, bo są to rzeczy, których król sam nie powinien mówić.

— Dzięki, Najjaśniejszy Panie, dzięki — odpowiedział książę — lecz proszę wierzyć, nie mówię tu o panu de Tréville, proszę wierzyć, że nie ci, których Wasza Królewska Mość o każdej godzinie dnia widuje, najwięcej są mu oddani.

— A! Usłyszałeś, com powiedział, tym lepiej — podchwycił król, stając we drzwiach. — Jak się masz, de Tréville, gdzieś są twoi muszkietierowie? Powiedziałem ci przedwczoraj, żebyś mi ich przyprowadził, czemużes tego nie uczynił?¹⁶²

— Są na dole, Najjaśniejszy Panie, i za twoim zezwoleniem La Chesnaye powie im, aby tu weszli.

— Dobrze, dobrze, niech przyjdą tu zaraz; niedaleko już ósma, a o dziewiątej czeka mnie wizyta. Idź już, mości książę, ale przede wszystkim powracaj. Chodź, de Tréville.

Książę skłonił się i wyszedł. W chwili kiedy otwierał drzwi, trzech muszkietierowie z d'Artagnanem ukazali się na schodach.

— Pójdźcie tu!¹⁶³, zuchy, pójdźcie, muszę was wyląjać — odezwał się król.

Muszkietierowie zbliżyli się z ukłonami; za nimi postępował d'Artagnan.

— Cóż, u diabła — ciągnął dalej król — czterech was jest, a w przeciagu dwóch dni uczyniliście już siedmiu gwardzystów Jego Eminencji niezdolnymi do walki. To za wiele, panowie, za wiele. Gdyby tak poszło dalej, Jego Eminencja za trzy tygodnie byłby zmuszony starać się o nowe uzupełnienie swoich zastępów, a ja obostrzyć moje rozkazy. Nie mówię, gdyby tak jeden gwardzista przypadkiem, ale siedmiu w przeciagu dwóch dni to za wiele, powtarzam, za wiele.

— Oni też, Najjaśniejszy Panie, przychodzą, pełni smutku i żalu, usprawiedliwić się przed Waszą Królewską Mością.

— Pełni smutku i żalu! Hm! — odezwał się król. — Wcale ja nie wierzę tym obłudnikom, a nade wszystko temu obliczu gaskońskiemu. Chodź no tu, mój panie.

D'Artagnan rozumiał, że to się do niego stosuje, i podszedł, przybierając najrozpaczliwszą minę, jaką można.

— Cóżes mi mówił, że to młodzieniec? To dzieciak, de Tréville, istny dzieciak! I to on tak pokiereszował Jussaca?

— I po dwakroć tak pięknie naszpikował Bernajoux.

¹⁶²czemużes tego nie uczynił — konstrukcja z partykulą wzmacniającą -że; znaczenie: czemu tego nie uczyniłeś? [przypis edytorski]

¹⁶³pójdźcie tu — w znaczeniu: podejdźcie tu. [przypis edytorski]

— Doprawdy!

— Nie licząc już tego — wtrącił Atos — że gdyby nie był mnie wyrwał z rąk Bicarata, z pewnością nie miałbym w tej chwili zaszczytu, by złożyć najuniżeńszy pokłon Waszej Królewskiej Mości.

— Ależ to szatan wcielony z tego Bearneńczyka! Do stu par kaduków, panie de Tréville, jak by to powiedział król, mój ojciec. Przy takim rzemiośle musi się siłę kaftanów dziurawić i siłę rapierów łamać. A wiadomo, iż Gaskończycy zawsze są goli, nieprawdaż?

— Najjaśniejszy Panie, muszę to powiedzieć, że nie odkryto jeszcze kopalni złota w ich górach, jakkolwiek cud ten należałby im się od Stwórcy, w nagrodę za mężne popieranie sprawy ojca Waszej Królewskiej Mości.

— To znaczy, że Gaskończycy i mnie królem zrobili, nieprawdaż, de Tréville, skoro jestem synem swojego ojca? Ha! Niech i tak będzie, nie przeczę. La Chesnaye, idź no zobacz, czy przetrząsnąwszy wszystkie moje kieszenie, znajdziesz czterdzieści pistoli. A jeżeli je znajdziesz, to mi je przynieś. A teraz słuchaj, młodzieńcze, tak z ręką na sercu, jakże to było?

D'Artagnan opowiedział wypadki poprzedniego dnia ze wszelkimi szczegółami: jak nie mogąc zasnąć z radości na myśl oglądania Jego Królewskiej Mości, przyszedł do swoich przyjaciół na trzy godziny przed posłuchaniem; jak udali się razem do domu gry i jak dlatego, że obawiał się uderzenia piłką w twarz, został wyszydzony przez Bernajoux, i wreszcie, jak tych swoich drwinek o mało co życiem nie przyplacił, a pan de la Trémouille, który niczym nie zawinił, o mało co nie postradał pałacu.

— To dobrze — mruknął król — tak, i książę opowiadał to samo. Biedny kardynał! Siedmiu ludzi w przeciągu dwóch dni, i to najdroższych swoich, ale dosyć już tego. Panowie, słyszycie! Dosyć. Zapłaciliście sobie za ulicę Férou i powinniście już być zadowoleni.

— Jeśli Wasza Królewska Mość jest zadowolona — rzekł de Tréville — to i my także.

— Tak, jestem zadowolony — rzekł król, biorąc garść złota z ręki La Chesnaye'a i kładąc je do ręki d'Artagnana. — A oto — rzekł — dowód mojego zadowolenia.

W owych czasach pojęcia godności, dziś tak rozpowszechnione, nie były jeszcze w modzie. Szlachcic brał pieniądze królewskie, bynajmniej nie czując się upokorzony. D'Artagnan więc bez żadnych ceregieli schował pieniądze do kieszeni, rozwodząc się w podziękowaniach dla Jego Królewskiej Mości.

— No — rzekł król, spoglądając na zegar — a teraz, kiedy jest już wpół do dziewiątej, oddalcie się, bo, jak wam mówiłem, oczekuję kogoś o dziewiątej. Dziękuję za wasze przywiązanie, panowie. Wszak mogę na nie liczyć, nieprawdaż?

— O! Najjaśniejszy Panie — wykrzyknęli jednym głosem trzej towarzysze — na ćwierci porąbać się damy dla Waszej Królewskiej Mości.

— Dobrze, dobrze, pozostaniecie jednak cali, to lepiej, bo będziecie mi użyteczni. De Tréville — dodał król półgłosem, kiedy tamci czterej oddalili się — skoro nie masz miejsca w muszkietkach, a zresztą postanowiliśmy, że dla wejścia do tego zgromadzenia trzeba odbyć nowicjat, umieść tego młodzieńca w kompanii pana des Essarts, twojego szwagra. A! Do licha! De Tréville, jak ja się cieszę na myśl o krzywej minie kardynała; będzie wściekły, ale wszystko mi jedno, jestem w swoim prawie.

I pożegnał skinieniem ręki pana de Tréville, który dopędził swoich muszkietarów i zastał ich dzielących się z d'Artagnanem czterdziestoma pistolami. A kardynał, jak powiedział król, rzeczywiście był wściekły, tak wściekły, że przez cały tydzień nie był na szachach u króla, co temu ostatniemu nie przeszkadzało najuprzejmiej uśmiechać się do niego i przy każdym spotkaniu najpieszczotliwszym głosem zapytywać:

— I cóż, panie kardynale, jak się miewają ten twój biedak Bernajoux i ten nieszczęśliwy Jussac?

ROZDZIAŁ VII. MUSZKIETEROWIE U SIEBIE

Wyszedłszy z Luwru, D'Artagnan zasięgnął rady przyjaciół, jaki użytek powinien by zrobić z pozostałej dla niego części czterdziestu pistoli. Atos radził mu, aby wyprawił ucztę w gospodzie „Pomme de Pin”¹⁶⁴; Portos, aby przyjął lokaja; Aramis zaś, aby postarał się o milutką kochankę.

¹⁶⁴*pomme de pin* (fr.) — szyszka. [przypis edytorski]

Jeszcze tegoż dnia odbyła się uczta, a lokaj już usługiwał do stołu. Potrawy dysponował Atos, Portos nastroczył lokaja. Był nim Pikardyjczyk¹⁶⁵ najęty na poczekaniu przez pełnego próżności muszkietera, który zdybał¹⁶⁶ go na moście de la Tournelle, gdy zabawił się robieniem kółek na wodzie, plując na jej powierzchnię. Portos utrzymywał, że takie zajęcie dowodzi umysłu zastanawiającego się, rozważnego i sprowadził go bez żadnej innej rekomendacji. Wspaniała postać szlachcica, który, jak się zdawało lokajowi, przyjął go dla siebie, mocno zachęciła Plancheta — tak się nazywał Pikardyjczyk — wszakże doznał lekkiego rozczarowania, gdy ujrzał, że miejsce przy szlachcicu było już zajęte przez innego sługusa, nazwiskiem Mousqueton, i gdy Portos dał mu do zrozumienia, że jakkolwiek swój dom prowadzi na wielką skalę, nie potrzebuje dla siebie dwóch służących, a dla niego jest służba u d'Artagnana, rad nierad tę służbę jednak przyjął. Wszelako, gdy usługiwał przy obiedzie, który wydawał jego pan, i zobaczył, jak ten przy placeniu sypie złotem z kieszeni, uwierzył, że ma już los zapewniony i dziękował niebu, że dostał się do takiego krezusa¹⁶⁷; w tym przekonaniu trwał aż do końca uczty, której resztkami wynagrodził sobie długą i przymusową wstrzemięźliwość. Gdy jednak wieczorem przyszło mu posłać łóżko dla swego pana, pierzchył złudzenia Plancheta. Jedynym sprzętem w mieszkaniu było łóżko, apartament zaś składał się z pokoju sypialnego i przedpokoju. W tym ostatnim Planchet położył się na kołdrze wyciągniętej z łóżka d'Artagnana, bez której jego biedny pan musiał się odtąd obchodzić.

Co do Atosa, miał on pachołka, którego sam wykształcił do usług w sposób sobie właściwy, a zwał się on Grimaud.

Atos był zwykle milczący. Żył w najściślejszej przyjaźni ze swymi kolegami, Portosem i Aramisem, a od blisko sześciu lat widzieli często uśmiech na jego ustach, lecz śmiechu nie słyszeli nigdy. Jego mowa była zwięzła i jasna, wyrażająca tylko to, co chciał powiedzieć, ale nigdy więcej, bez żadnych ubarwień, omówień ani przenośni.

Chociaż miał zaledwie trzydzieści lat i był piękny umysłem i ciałem, nikt nigdy nie słyszał, aby miał kiedykolwiek kochankę. O kobietach nie mówił nigdy. Nie przeszkadzał gawędom o nich w swej obecności, jednak łatwo było spostrzec, że ten rodzaj rozmowy wcale mu się nie podoba i jeżeli wtrącił słówko, to pełne goryczy i zniechęcenia. Ta skrytość, dzikość i milczenie czyniły go nieledwie starcem. Ażeby też nie uchybić swoim zwyczajom, nauczył Grimauda spełniać rozkazy za jego najmniejszym gestem lub poruszeniem ust. Mówił do niego, lecz tylko w wyjątkowych okolicznościach.

Grimaud, który bał się pana jak ognia, pomimo szczerego przywiązania do jego osoby i czci, nieraz sądząc, że jak najlepiej rozumie jego życzenia, pędził za rozkazem, spełniając go wprost przeciwnie. Wtedy Atos wzruszał ramionami i bez gniewu brał się do ćwiczenia Grimauda. W tych razach język mu się trochę rozwiązywał.

Portos, jak można było zauważyć, miał usposobienie zupełnie odmienne i nie tylko mówił dużo, ale i głośno, a oddajmy mu tę sprawiedliwość, że nie obchodziło go wcale, czy go ktoś słucha, czy nie. Paplanie sprawiało mu samo przez się przyjemność i z upodobaniem sam siebie słuchał. Rozprawiał o wszystkim z wyjątkiem nauk, objawiając do nich zaszczepioną od dzieciństwa, jak mówił, nienawiść, którą żywił także i do uczonych. Jego powierzchowność nie dorównywała w dystynkcji Atosowi i w początkach znajomości poczucie własnej niższości często czyniło go niesprawiedliwym względem tego szlachcica, którego następnie usiłował przewyższyć świetnością ubioru. Lecz Atos, w prostym kaftanie muszkieterskim, z odrzuconą w tył głową i nogą wyciągniętą naprzód, w jednej chwili zabierał przynależne mu miejsce, usuwając na drugi plan nadętego Portosa. Pocięszał się on jednak, napełniając przedpokój pana de Tréville i koszarę Luwru rozgłosem swoich miłosnych awantur, o jakich Atos nie mówił nigdy. Teraz Portos, przerzuciwszy się od mieszczańki do baronowej, już chwalił się cudzoziemską księżną, która mu jakoby okazywała bezgraniczne względy.

Stare przysłowie mówi: jaki pan, taki sługa. Przejdźmy więc od pachołka Atosa do lokaja Portosa, od Grimauda do Mousquetona.

Pan, Sługa

¹⁶⁵Pikardyjczyk — mieszkanie Pikardii: krainy historycznej położonej w północnej części Francji, nad kanałem La Manche. [przypis edytorski]

¹⁶⁶zdybać — przyłapać lub spotkać kogoś. [przypis edytorski]

¹⁶⁷krezus — bogacz. [przypis edytorski]

Był to Normandczyk¹⁶⁸, który przez swego pana został przechrzczony z Bonifacego na Mousquetona, dla lepiej brzmiącego imienia. Przyjął on służbę u Portosa z warunkiem, że dostanie tylko mieszkanie i będzie wspaniale ubierany, zaś dla siebie żądał wyłącznie dwóch godzin dziennie, które poświęcał tajemniczemu przemysłowi mającemu służyć na jego inne potrzeby. Portos przyjął warunek, jako nader dogodny dla siebie. Kazał mu sporządzić nowe ubranie ze swoich starych kaftanów i nicowanych¹⁶⁹ płaszczy, a dzięki sprytnemu krawcowi, który z tych łachmanów robił nowe rzeczy i miał żonę, dla której podobno Portos pozbywał się arystokratycznych nawyków, Mousqueton przy boku swego pana wyglądał wcale¹⁷⁰ pokaźnie.

Co do Aramisa, którego charakter przedstawiliśmy dostatecznie, a z biegiem wypadków poznamy go, jak i jego kolegów, jeszcze lepiej, służący jego zwał się Bazin. Dzięki nadziei, z jaką pan jego nie rozstawał się nigdy, iż zostanie księdzem, nosił się zawsze czarno, jak przystało na domownika osoby duchownej. Był to Berryjczyk¹⁷¹ trzydziestopięcioletni, łagodny, cichy, tłusciutki, spędzający wolne chwile na czytaniu ksiąg świętych, dostarczanych mu przez pana, i sumiennie zjadający dwa obiady zamiast jednego, składające się z niewielu, lecz obfitych potraw. Zresztą na wszystko ślepy, głuchy i wierności wypróbowanej.

Gdyśmy poznali, powierzchownie przynajmniej, panów i sługi, przejdźmy do mieszkań przez nich zajmowanych.

Atos mieszkał przy ulicy Férou w pobliżu Luksemburga. Jego apartament składał się z dwóch schludnie urządzonych pokoiów w umeblowanym domu, którego właścicielka, jeszcze dość młoda i piękna, nadaremnie robiła słodkie oczy do lokatora. Kilka zabytków świetnej przeszłości świeciło na ścianach tego skromnego mieszkanka; szpada, na przykład, złotem i srebrem bogato nabijana, kształtem sięgająca epoki Franciszka I, a sama rękojeść, wysadzana bogato perłami i drogimi kamieniami, mogła mieć wartość co najmniej dwustu pistoli, jednakże Atos nigdy nie chciał zastawić ani sprzedać tej broni, nawet w najkrytyczniejszych chwilach życia.

Na szpadę tę Portos przez długi czas łykał szlankę, marzył o posiadaniu jej, choćby kosztem dziesięciu lat życia.

Pewnego razu, gdy miał schadzkę z jakąś księżną, zaproponował Atosowi, aby mu ją pożyczył. Ten, nie mówiąc nic, wypróżnił swe kieszenie, zebrał wszystkie kosztowności, woreczki, spinki i złote łańcuszki i ofiarował Portosowi; ale szpada, rzekł, przymocowana jest do miejsca i ruszona z niego nie będzie, dopóki jej pan nie opuści tego mieszkania. Prócz szpady był tam jeszcze wizerunek przedstawiający wielkiego pana z czasów Henryka III, wytwornie ubranego, z Orderem Świętego Ducha¹⁷² na piersiach. Wizerunek ten miał z Atosem pewne podobieństwo rysów, podobieństwo rodzinne, które zdradzało, że ten wielki pan, kawaler orderu króla, był jego przodkiem.

Na koniec skrzyneczka przepysznej roboty jubilerskiej, z tymi samymi herbami co szpada i portret, zdobiła środek gzymsu kominka, stanowiąc rażący kontrast z innymi ozdobami. Atos nie rozstawał się z kluczykiem od niej. Pewnego razu otworzył ją w obecności Portosa, a ten zobaczył wtedy, że owa skrzyneczka zawiera jedynie listy i dokumenty: listy miłosne i papiery rodzinne zapewne.

Portos zajmował obszerny i nader wspaniale wyglądający apartament przy ulicy du Vieux-Colombier. Ile razy przechodził z przyjaciółmi pod swymi oknami, gdzie Mousqueton w liberii¹⁷³ wyglądał jednym z nich, Portos podnosił w górę głowę i rękę, mówiąc: „Oto moje mieszkanie!”

Lecz zastać go w domu nigdy nie było można, nikogo nie zapraszał i nikt nie miał pojęcia, ile rzeczywistych bogactw zawierała ta pozorna wspaniałość.

¹⁶⁸Normandczyk — mieszkaniec Normandii: krainy we Francji, położonej nad kanałem La Manche. [przypis edytorski]

¹⁶⁹nicowany — poddawany poprawkom krawieckim polegającym na odwracaniu materiału spodnią, nieużywaną stroną do wierzchu i ponownym przesywaniu. [przypis edytorski]

¹⁷⁰wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

¹⁷¹Berryjczyk — mieszkaniec Berry: krainy historycznej w pln.-śr. Francji. [przypis edytorski]

¹⁷²Order Świętego Ducha — najwyższy order Francji, ustanowiony 31 grudnia 1578 przez Henryka III Walezego. [przypis edytorski]

¹⁷³liberia — rodzaj munduru noszonego przez służbę. [przypis edytorski]

Aramis zajmował małe mieszkanko, składające się z buduaru, sali jadalnej i sypialni, która, jak i inne pokoje, znajdowała się na parterze i wychodziła na ogródek świeży, zielony, cienisty i nieprzenikniony dla oczu sąsiadów.

O d'Artagnanie wiemy już, jak mieszkał, a z jego pacholkiem, jegomościem panem Planchetem, także zawarliśmy znajomość.

D'Artagnan był z natury bardzo ciekawski, jak wszyscy ludzie zdolni do intryg, więc dokładał wszelkich starań, by dowiedzieć się, kim są w rzeczywistości Atos, Portos i Aramis. Bowiem pod tymi pseudonimami każdy z nich ukrywał nazwisko szlacheckie, szczególnie Atos, od którego czuć było wielkiego pana; zwrócił się więc do Portosa z pytaniem o Atosa i Aramisa, Aramisa zaś zagadnął o Portosa.

Niestety Portos nic pewnego nie wiedział o życiu milczącego towarzysza. Mówiono, że był srodze nieszczęśliwy w sprawach miłosnych i że okrutna zdrada na zawsze zatruliła mu życie. Jaka była ta zdrada? Nikt o tym nie wiedział. Co do Portosa, z wyjątkiem nazwiska, które było wiadome tylko panu de Tréville, tak samo jak i dwóch pierwszych, jego życie było łatwe do poznania. Próżny i papla, jak szkło było go można przejrzeć. Badacz mógł zostać zbity z tropu tylko wtedy, gdyby wierzył wszystkim jego przechwałkom.

Aramis znowu, wyglądający jak by nie miał nic skrytego, był — przeciwnie — chłopcem na wskroś przesiąkniętym tajemnicami. Zbywał półsłówkami zapytania o innych, a wymijał te, które się do niego stosowały. Pewnego razu po długich wypytywaniach o Portosa d'Artagnan dowiedziawszy się o pogłosce obiegającej co do miłosnych awantur muszkietera z jakąś księżną, zechciał się dowiedzieć o podobnych sprawkach Aramisa.

— A ty, drogi kolego — rzekł doń — co ty mówisz o tych baronowych, hrabinach, księżniczkach?

— Przepraszam — przerwał mu Aramis — mówiłem, bo sam Portos to mówił, roztrąbił już te wszystkie piękne rzeczy przed wszystkimi i przede mną. Lecz wierzyć mi, drogi panie d'Artagnanie, że gdybym słyszał to z innego źródła lub choćby on sam mi się zwierzył, nie byłoby spowiednika dyskretniejszego ode mnie.

— Nie wątpię — odparł d'Artagnan — zdaje mi się jednak ostatecznie, że sam także jesteś dość oswojony z herbami, o czym świadczy owa haftowana chusteczka, której zawdzięczam zaszczyt znajomości z tobą.

Tym razem Aramis nie rozgniewał się, przybrał tylko jak najskromniejszą minę:

— Mój drogi, nie zapominaj, że mam zamiar wstąpić do stanu duchownego i że unikam wszelkiej światowości. Chusteczka, którą widziałeś, nie była mi powierzona, lecz zapomniana została u mnie przez jednego z moich przyjaciół. Zmuszony byłem zabrać ją, aby nie skompromitować jego i damy, którą kocha. Co do mnie, nie mam i nie chcę mieć kochanki, za przykładem Atosa, który postępuje tak samo jak ja.

— Lecz cóż, u diabła! Księdzem nie jesteś, skoro jesteś muszkietierem.

— Muszkietierem tymczasowym, mój drogi, jak mówi pan kardynał, muszkietierem wbrew mojej woli, a w sercu jestem sługą kościoła, wierzyć mi. Atos i Portos wpakowali mnie tu, aby mnie zająć, bo w chwili wyrzeczenia się ślubów miałem nieporozumienie małeńkie z... lecz ciebie to nie obchodzi wcale i czas ci tylko zabieram.

— Bynajmniej, przeciwnie, to mnie zajmuje mocno, a na teraz nie mam nic a nic do roboty.

— Tak, ale ja muszę odmówić modlitwy z brewiarza¹⁷⁴ — odrzekł Aramis — potem ułożyć kilka wierszy na żądanie pani d'Aiguillon, a następnie pójść na ulicę Saint-Honoré, aby kupić róż dla pani de Chevreuse. Widzisz więc, drogi przyjacielu, że jeżeli tobie niepilno, mnie się bardzo śpieszy.

Uściskał z czułością rękę przyjaciela i wyszedł.

D'Artagnan daremnie trzymał się, aby się czegoś więcej dowiedzieć o swoich trzech nowych znajomych. Postanowił zatem uwierzyć na razie w to, co o ich przeszłości mówiono, spodziewając się pewniejszych i szczegółowszych odkryć w przyszłości. Tymczasem

¹⁷⁴brewiarz — książka zawierająca modlitwy i czytania dla duchownych na każdy dzień tygodnia. [przypis edytorski]

Atosa uważał za Achillesa¹⁷⁵, Portos był w jego wyobraźni Ajaksem¹⁷⁶, Aramis zaś biblijnym Józefem.

Zresztą życie młodzieńców płynęło wesoło: Atos grywał, lecz zawsze nieszczęśliwie, ale jednego grosza nie pożyczał od przyjaciół, choć jego kieszeń nieustannie była na ich usługi; a gdy zdarzyło mu się grać na słowo, budził swego wierzyciela o szóstej z rana, aby zapłacić mu wczorajszy dług.

Na Portosa przychodziły burzliwe chwile; wówczas, jeżeli wygrywał, stawał się nieustraszony i wspaniały, a gdy szczęście go zawiodło, znikał bez śladu na kilka dni, po czym zjawiał się znowu z twarzą wymizerowaną i wydłużonym nosem, ale z kieszeniami pełnymi pieniędzy.

Aramis nie grywał nigdy. Był z niego muszkietier nieszczególny i współbiesiadnik najmniej wesoły pod słońcem. Zawsze miał jakąś pracę lub zajęcie. Czasami w połowie obiadu, gdy każdy podochocony winem i podniecony rozmową liczył, że dwie lub trzy godziny zostanie jeszcze u stołu, Aramis spoglądał na zegarek, wstawał z wdzięcznym uśmiechem i żegnał towarzystwo, aby pójść, jak mówił, na naradę z pewnym kazuistą¹⁷⁷, z którym miał się spotkać. Innym razem znowu powracał do siebie, aby pisać rozprawę i prosił przyjaciół, by mu nie przeszkadzali.

Atos uśmiechał się na to z czarującym wyrazem melancholii, tak przypadającym do jego szlachetnego oblicza, a Portos pociągał z kieliszka, klnąc się, że Aramis nie będzie niczym innym niż prostym plebanem wiejskim.

Planchet, pacholek d'Artagnana, ze spokojem znosił swoje położenie. Dostawał trzydzieści su¹⁷⁸ dziennie i przez cały miesiąc wracał do domu wesoły jak czyżyk¹⁷⁹ i uległy wobec swego pana. Kiedy jednak przeciwny wiatr począł dąć na ognisko domowe przy ulicy des Fossoyeurs, czyli gdy czterdzieści pistoli króla Ludwika XIII zostały prawie zjedzone, począł tak jęczeć i skarżyć się, że Atosa przyprawił o nudności, Portosa oburzył, a u Aramisa wywołał uśmiech wzgardliwego politowania.

Atos radził d'Artagnanowi, aby tego gburę odprawił; Portos nalegał, aby przedtem oćwiczyl; Aramis dowodził, że pan od swego sługi powinien wymagać tylko uprzejmości.

— Łatwo wam to mówić — odparł d'Artagnan — tobie, Atosie, który na migi rozumiesz się z Grimaudem, zabraniasz mu gadać, więc i złego słowa nie usłyszysz; łatwo tobie, Portosie, bo prowadzisz świetne życie i dlatego jesteś bóstwem dla swego Mousquetona; Aramis znowu, zatopiony zawsze w studiach teologicznych, natchnął głęboką czcią swego sługę Bazina, człowieka łagodnego i pobożnego. Ale ja, niemający ani stanowiska, ani środków, ja, który nie jestem ani muszkietierem, ani gwardzystą, cóż pocznę, by natchnąć przywiązaniem albo przejęć grozą lub szacunkiem mojego Plancheta?

— Rzecz to niemałej wagi — odpowiedzieli trzej przyjaciele — z lokajami tak samo, jak z kobietami; od razu należy postawić ich na tej stopie, na jakiej pozostać powinni. Musisz się więc zastanowić.

D'Artagnan zastanowił się i postanowił wygrzmocić Plancheta na zapas, co zostało wykonane sumiennie, jak wszystko, co zamierzył spełnić. Wreszcie, kiedy go już należycie oćwiczyl, zabronił mu opuszczać służbę bez pozwolenia.

— Bo — dodał d'Artagnan — przyszłość nie może mnie zawieść, oczekuję niechybnie lepszych czasów dla siebie. Jeżeli więc zostaniesz przy mnie, twój los jest zapewniony, a znaną ci jestem, abym ci miał w tym przeszkodzić, dając ci żadaną odprawę.

Ten sposób postępowania wzbudził w muszkietierach wielki szacunek dla dyplomacji d'Artagnana. Ze swej strony i Planchet uczuł się przejęty uwielbieniem i o rozstaniu nie było już mowy.

Młodość, Mężczyzna,
Obyczaje, Pieniądz, Gra

Sługa, Kobieta, Władza,
Obyczaje

Sługa, Obyczaje, Pozycja
społeczna, Pan

¹⁷⁵Achilles (mit. gr.) — legendarny bohater grecki, syn Peleusa, króla Ftyi, i Tetydy, boginki morskiej, najdzielniejszy z Greków walczących w wojnie trojańskiej; był odporny na wszelkie ciosy, a jego jedynym słabym punktem była pięta; zginął trafiony w nią strzałą Parysa. [przypis edytorski]

¹⁷⁶Ajaks a. *Ajas* (mit. gr.) — uczestnik wojny trojańskiej, najdzielniejszy po Achillesie wojownik achajski. [przypis edytorski]

¹⁷⁷kazuista — człowiek stosujący kazuistykę: drobiazgowo rozważanie szczegółowych problemów, najczęściej moralnych lub prawnych, poprzez podciąganie ich pod zasady ogólne, pot.: pokrętne argumentowanie w celu uzasadnienia założonej z góry tezy. [przypis edytorski]

¹⁷⁸su, właśc. *sous* (fr.) — dawna drobna moneta francuska. [przypis edytorski]

¹⁷⁹czyżyk — mały ptak z zielonawożółtym upierzeniem. [przypis edytorski]

Relacje czterech młodzieńców stały się braterskie; d'Artagnan, jako przybysz z dalekiej prowincji, wrażliwy jak zwykle natury młode i żywe, przyswoił sobie prędko nawyknięcia nowego otoczenia.

Wstawano o godzinie ósmej w zimie, o szóstej latem i udawano się po zlecenia na bieżący dzień oraz po nowiny do pana de Tréville. Jakkolwiek d'Artagnan nie był muszkietierem, pełnił jednak służbę z gorliwością godną uznania. Zawsze był na warcie, bo nie odstępował nigdy tego z trzech przyjaciół, który ją odbywał.

Znano go w pałacu muszkietierów i uważano za dobrego kolegę. Pan de Tréville, który go na pierwszy rzut oka ocenił, prawdziwie przywiązał się do niego i nie przestawał polecać królowi. Trzej muszkietierowie też bardzo kochali młodego towarzysza. Przyjaźń łącząca tych czterech ludzi sprawiała, że musieli widywać się trzy lub cztery razy dziennie, czy to chodziło o pojedynek, czy o inną sprawę, czy o jakąś przyjemność; dość, że widziano ich goniących siebie jak cienie i spotykano odwiedzających się ustawicznie w drodze z Luksemburga na plac Saint-Sulpice, to znowu z ulicy du Vieux-Colombier do Luksemburga. Tymczasem pan de Tréville nie zaniedbywał przyrzeczeń. Pewnego pięknego poranka król wydał rozkaz panu des Essarts przyjęcia d'Artagnana jako kadeta do swojej kompanii. Biedak wzdychając, przywdział mundur kadecki, który rad był kosztem choćby dziesięciu lat życia zamienić na kaftan muszkieterski. Pan de Tréville przyrzekł mu tę łaskę, lecz dopiero po dwóch latach nowicjatu, który mógłby być skrócony wreszcie, gdyby się nadarzyła d'Artagnanowi sposobność oddania jakiejś przysługi królowi lub spełnienia jakiegoś świętego czynu. Wysłuchawszy tej obietnicy, oddalił się i nazajutrz rozpoczął swoją służbę.

Odtąd Atosowi, Portosowi i Aramisowi przyszło odbywać wartę z d'Artagnanem za każdym razem, kiedy był na nią przeznaczony. W ten sposób kompania pana des Essarts zyskała czterech ludzi zamiast jednego.

ROZDZIAŁ VIII. INTRYGA DWORSKA

Jednakże czterdzieści pistoli króla Ludwika XIII, równie jak wszystkie rzeczy tego świata mające swój początek, musiały mieć i koniec, a sprawił on, że czterej towarzysze wpadli w kłopoty. Z początku Atos podtrzymywał stowarzyszenie własnymi funduszami. Po nim nastąpił Portos i dzięki jednemu z tych zniknięć, które nie dziwiły już nikogo, starczyło na potrzeby ogólne przez blisko dwa tygodnie. Na koniec przyszła kolej na Aramisa, z której wywiązał się jak najchętniej, mówiąc, że dopomogło mu do tego sprzedanie kilku ksiąg teologicznych, za które otrzymał kilka pistoli. Po wyczerpaniu tych środków udano się jak zwykle do pana de Tréville o udzielenie zaliczki na pensję; zaliczki takie nie mogły jednak daleko zaprowadzić trzech muszkietierów, mających moc zaległych rachunków, i kadeta, który nie mógł jeszcze ich mieć wcale.

Gdy nareszcie zaskoczyła ich zupełna pustka, ostatnim wysiłkiem zgromadzono osiem czy dziesięć pistoli na grę dla Atosa. Niestety i gra go zawiodła: przegrał, co miał, a resztę, dwadzieścia pięć pistoli, na słowo.

Wtedy kłopot zmienił się w prawdziwą klęskę. Widziano ich zgłodniałych, uwijających się wraz z pacholkami po bulwarach i koszarach, czyhających na obiady swoich dalszych przyjaciół; bo, według Aramisa, w powodzeniu powinno się sypać ucztami na prawo i na lewo, aby choć cząstkę ich można zebrać w niedoli.

Atos został zaproszony cztery razy i za każdym razem prowadził ze sobą przyjaciół z ich pacholkami. Portosowi trafiło się sześć podobnych okazji, z których dał korzystać również swoim towarzyszom. Aramis miał aż osiem. Był to człowiek cichy, ale będący w stanie bez hałasu dużo zrobić. D'Artagnan zaś, nie znając w stolicy nikogo, znalazł tylko jedno śniadanie, i to składające się jedynie z czekolady, u księdza — swojego współziomka, i u pewnego korneta¹⁸⁰, który pysznie wystąpił, ale cóż, kiedy, jak powiedział Planchet, raz się tylko je, choćby się przy tym najobficiej jadło. D'Artagnan czuł się więc nieco upokorzony, że miał tylko półtorej uczty do ofiarowania towarzyszom, boć czekoladę u księdza można było liczyć tylko za połowę. Sądził więc, że jest dla nich ciężarem, zapominając w dobrej wierze młodzieńczej, że to on właśnie żywił całe towarzystwo przez

¹⁸⁰kornet (hist.) — dawny stopień wojskowy w kawalerii, odpowiadający randze chorążego piechoty. [przypis edytorski]

Przyjaźń

Głód, Jedzenie

cały miesiąc. Jego skłopotany umysł począł pracować pilnie. Rozważył, że koalicja czterech ludzi młodych, walecznych, przedsiębiorczych i czynnych winna mieć inny cel prócz włóczenia się, prócz lekcji fechtunku i wybryków mniej lub więcej rozsądnych.

Rzeczywiście, czterech ludzi takich jak oni, oddanych sobie, zaczawszy od kieszoni, a skończywszy na życiu, wspomagających się nieustannie, niecofających się nigdy przed niczym, wykonujących osobno lub razem postanowienia powzięte wspólnie; cztery ramiona grożące czterem pięściom kardynalskim — wszystko to powinno być bądź skrycie, bądź jawnie, podstępnie czy przebojem, finieżą czy siłą, otworzyć sobie drogi do pożądanego celu, choćby był najbardziej daleki i najbardziej zakazany. To jedno tylko dziwiło d'Artagnana, że jego towarzysze dotąd o tym nie pomyśleli.

Pomyślał więc sam, i to bardzo poważnie, jaki nadać kierunek tej sile, w czwórnasób¹⁸¹ pomnożonej, w którą nie wątpił jak Archimedes¹⁸² w swój lewar do poruszenia ziemi w jej posadach, gdy wtem usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Zbudził Plancheta i rozkazał mu otworzyć, ale nie należy przypuszczać, że działo się to w nocy i do dnia było jeszcze daleko. Nie! Biła właśnie czwarta po południu, a dwie godziny wcześniej Planchet przyszedł do swego pana domagać się obiadu, ten zaś odpowiedział mu przysłowiem: kto śpi, ten obiaduje. Planchet zatem obiadował, śpiąc.

Wszedł człowiek wyglądający dość pospolicie, z miną mieszczanina.

Planchet na deser rad by był usłyszeć chociaż rozmowę, lecz mieszczanin oświadczył d'Artagnanowi, że ma mu coś ważnego do powiedzenia i pragnie pomówić z nim sam na sam.

D'Artagnan odprawił więc Plancheta i poprosił gościa, aby usiadł.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której tych dwóch ludzi patrzyło na siebie, jak gdyby chcąc poznać się na wstępie, po czym d'Artagnan skłonił się na znak, że jest gotów wysłuchać tego, z czym gość przychodzi.

— Słyszałem o panu, d'Artagnanie, jako o dzielnym młodzieńcu — odezwał się mieszczanin — a rozgłos, jakiego pan używasz, słusznie skłania mnie do powierzenia ci pewnej tajemnicy.

— Proszę pana — rzekł d'Artagnan, instynktownie przewachując coś korzystnego.

Mieszczanin znowu przerwał, następnie począł mówić dalej:

— Mam żonę, która ma nadzór nad bielizną¹⁸³ u królowej, a nie zbywa jej ani na rozsądku, ani na piękności. Ożeniłem się z nią, będzie temu trzy lata wkrótce, choć bardzo niewiele miała, ale ją proteguje ojciec chrzestny, pan de La Porte, szatny¹⁸⁴ królowej.

— Cóż dalej? — zapytał d'Artagnan.

— Otóż! — począł znowu mieszczanin. — Otóż! Mój panie, wczoraj z rana żona moja została porwana, w chwili gdy wychodziła z pracowni.

— A któż porwał pańską żonę?

— Na pewno nie wiem, lecz podejrzewam kogoś.

— Kogóż pan podejrzewasz?

— Mężczyznę, który krok w krok chodzi za nią od dawna.

— Do diabła!

— Ale pozwól pan sobie powiedzieć — ciągnął dalej mieszczanin — iż przekonany jestem, że w tym wszystkim mniej jest miłości niż polityki.

— Mniej miłości niż polityki — podjął d'Artagnan z miną zamyśloną. — A co pan przypuszczasz?

— Nie wiem, czy powinienem mówić to panu...

— Ależ pozwól pan zwrócić sobie uwagę, że ja od ciebie nic zgoła nie żądam. Pan tu przychodzisz i pan powiedziałeś, iż chcesz mi powierzyć tajemnicę. Rób więc, jak ci się podoba, możesz się pan jeszcze cofnąć.

Głód, Jedzenie, Pan, Sługa,
Sen

¹⁸¹w czwórmasób — czterokrotnie. [przypis edytorski]

¹⁸²Archimedes (ok. 287–212 p.n.e.) — największy matematyk, fizyk, inżynier i wynalazca starożytności; twórca podstaw statyki i hydrauliki; odkrywca zasady dźwigni, znany z powiedzenia „Daj mi punkt oparcia (poza Ziemią), na którym mógłbym stanąć, a poruszę Ziemię”. [przypis edytorski]

¹⁸³bielizna — wyroby z tkaniny, zazwyczaj białej, używane w gospodarstwie domowym. [przypis edytorski]

¹⁸⁴szatny (daw.) — służący zajmujący się ubraniami. [przypis edytorski]

— Nie, nie, wyglądasz pan na uczciwego młodzieńca i czuję do pana zaufanie. Otóż sądzę, że moja żona została porwana nie z powodu miłości swoich, lecz z powodu miłości większej damy niż ona.

— Ho! Ho! Czy nie chodzi tu przypadkiem o panią de Bois-Tracy? — odezwał się d'Artagnan, chcąc przed mieszczaninem popisać się, że wtajemniczony jest w sprawy dworskie.

— Wyżej, panie, wyżej!

— Panią d'Aiguillon?

— Jeszcze wyżej.

— Panią de Chevreuse?

— Wyżej, znacznie wyżej.

— O!... — d'Artagnan się zatrzymał.

— Tak, panie — odpowiedział przerażony mieszczanin, tak cicho, że zaledwie można go było dosłyszeć.

— Z kim?

— A z kimże, jeśli nie z księciem de... Tak, panie! — odparł mieszczanin, nadając głosowi swojemu jeszcze bardziej głuche brzmienie.

— Lecz w jaki sposób wiesz pan o tym wszystkim?

— A! W jaki sposób?

— Zapewne. Tylko bez półślówek, albo rozumiesz pan...

— Wiem od mojej żony.

— Która wie o tym... od kogo?

— Od pana de La Porte. Nie mówiłem panu, że jest jego córką chrzestną, a pan de La Porte posiada zaufanie królowej? Umieścił ją zatem przy Jej Wysokości, aby nasza biedna królowa miała przynajmniej zwierzyć się komuś, będąc opuszczona przez króla, szpiegowana przez kardynała i zdradzana przez wszystkich.

— O! Zaczyna się to wyjaśniać — odezwał się d'Artagnan.

— Otóż cztery dni temu moja żona przyszła do mnie, panie. Mogła mnie odwiedzać dwa razy tygodniowo, a, jak miałem zaszczyt panu powiedzieć, ona mnie bardzo kocha. Tymczasem żona zwierzyła mi się, że królowa ma wielkie obawy w tych czasach.

— Doprawdy?

— Tak. Pan kardynał widocznie śledzi ją i prześladuje więcej niż kiedykolwiek. Nie może jej przebaczyć historii z sarabandą¹⁸⁵. Pan zna tę historię?

— Oczywiście, że znam! — odparł d'Artagnan, który nic zgola nie wiedział, lecz udawał wtajemniczonego.

— I teraz nienawiść zamieniła się w zemstę.

— Doprawdy?

— I królowa jest przekonana...

— O czym?

— Że napisano w jej imieniu do księcia Buckingham.

— W imieniu królowej?

— Tak, ażeby ściągnąć go do Paryża i uwikłać w jakieś sidła.

— Lecz cóż, u diabła, ma z tym wspólnego pańska żona?

— Znają jej przywiązanie do królowej i chcą od jej pani usunąć lub zmusić, aby zdradziła tajemnicę Jej Wysokości i służyła za szpiega.

— Być może — odrzekł d'Artagnan. — Ale czy znasz pan człowieka, który ją porwał?

— Mówiłem już panu, iż zdaje mi się, że go znam.

— Jak się nazywa?

— Nie znam jego nazwiska, wiem tylko to, że to figura zaprzędana kardynałowi.

— Widziałeś go pan?

— Żona mi go pokazywała kiedyś.

— A ma on w sobie coś szczególnego, po czym można by go poznać?

— O! Zapewne. Jest to mężczyzna postawy wyniosłej, brunet ogorzały z oczami przenikliwymi, białymi zębami i blizną na skroni.

— Z blizną na skroni! — krzyknął d'Artagnan. — Wszak to mój człowiek z Meung!

¹⁸⁵sarabanda — hiszpański taniec dworski, emanujący erotyzmem. [przypis edytorski]

— Pan go znasz?

— Tak, tak, ale to nie należy do rzeczy. E! Mylę się, to ją bardzo upraszcza, jeżeli bowiem obydwaj mamy z nim porachunki, dwie sprawy dadzą się załatwić za jednym zamachem. Gdzie można tego pana złapać?

— Nie wiem.

— I nie masz pan żadnych wskazówek, gdzie mieszka?

— Żadnych. Pewnego razu, gdy odprowadzałem żonę do Luwru, wychodził stamtąd i właśnie wtedy mi go pokazała.

— Do diabła!... — mruknął d'Artagnan. — Wszystko to bardzo niejasne!... Od kogo dowiedziałeś się pan o porwaniu żony?

— Od pana de La Porte.

— Czy opowiedział panu jakieś szczegóły?

— Nie, żadnych.

— A skądinąd nic się pan nie dowiedziałeś?

— I owszem, odebrałem...

— Co takiego?

— Nie wiem doprawdy, czy nie popełniam wielkiej niedorzeczności...

— Znowu to samo!... Pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę pańską, że teraz cofać się już za późno.

— Ja się też nie cofam, do licha!... — zawołał mieszczanin, klnąc dla dodania sobie animuszu. — Zresztą, słowo uczciwości Bonacieux...

— Pan się nazywasz Bonacieux? — przerwał d'Artagnan.

— Tak, panie, to moje nazwisko.

— Przepraszam, że przerywam, lecz zdaje mi się, że jest mi ono znane.

— Być może, panie. Jestem właścicielem tego domu.

— O! O! — odezwał się d'Artagnan, na wpół powstając z siedzenia i z ukłonem. — Właścicielem tego domu?

— Tak, panie, tak... A ponieważ trzy miesiące już mieszkasz u mnie i, zatopiony pewnie w swoich ważnych zajęciach, zapomniałeś zapłacić mi komornego, a ja wcale cię o to nie niepokoiłem ani na chwilę, myślałem, że będziesz miał wzgląd na moją delikatność...

— A jakże, drogi panie Bonacieux — odparł d'Artagnan — wierząc mi, iż jestem przejęty wdzięcznością za podobne postępowanie i mówię, że skoro mogę ci być w czymś użyteczny...

— Wierzę panu, wierzę i, jak powiedziałem, słowo uczciwości Bonacieux, ufam ci zupełnie.

— Dokończ pan więc, co zacząłeś mówić.

Mieszczanin dobył z kieszeni papier i podał d'Artagnanowi.

— List! — odezwał się tenże.

— Który odebrałem dziś z rana.

D'Artagnan otworzył go, a ponieważ poczynąło się ściemniać, zbliżył się do okna. Mieszczanin postąpił za nim.

— „Nie szukaj żony twojej — czytał d'Artagnan — odzyskasz ją, gdy nie będę jej już potrzebować. Jeżeli zrobisz jeden krok dla odnalezienia jej, jesteś zgubiony”. To dosyć stanowcze! — ciągnął d'Artagnan. — Lecz koniec końców jest to tylko pogróżka.

— Tak... lecz pogróżka ta przeraża mnie. Ja, panie, nie jestem wcale rycerzem i boję się Bastylii¹⁸⁶.

— Hm! — odezwał się d'Artagnan. — I mnie tyleż obchodzi Bastylia, co i pana. Gdyby tu tylko szło o machnięcie szpadą, mniejsza, ale...

— Jednakże ja na pana bardzo liczyłem w tym razie...

— Doprawdy?

— Widząc cię otoczonego nieustannie muszkietierami wspaniałej powierzchowności i poznawszy, że to muszkietierowie pana de Tréville, a zatem nieprzyjaciele kardynała, myślałem, że pan i pańscy towarzysze, ujmując się za królową, będziecie zachwyceni wypłataniem figła Jego Eminencji.

— Bez wątpienia.

¹⁸⁶ *Bastylia* — twierdza wybudowana w XIV w. pod Paryżem, późniejsze więzienie. [przypis edytorski]

— Zresztą myślałem, że pan, będąc mi dłużny za trzymiesięczne komorne, o które się nie upominałem...

— Tak, tak, już mi pan wspomniałeś o tym i uznaję ten powód za dostateczny.

— Co więcej, że jeżeli uczynisz mi zaszczyt pozostania dłużej w moim domu, nigdy na przyszłość ani słówka o tym nie pisnę.

— Bardzo dobrze.

— W dodatku, jeśli będzie potrzeba, gotów jestem dać panu z pięćdziesiąt pistoli, jeżeli, czego nie przypuszczam, znajdziesz się w chwilowych kłopotach.

— Wyśmienicie, ależ pan widocznie bogaty jesteś, drogi panie Bonacieux?

— Mam się niezgorzej¹⁸⁷, mój panie, mogę to powiedzieć. Zebrałem sobie coś około dwóch czy trzech tysięcy talarów dochodu na handlu drobiazgami, a nade wszystko umieściwszy trochę grosza w przedsiębiorstwie słynnego podróżnika morskiego Jeana Mocqueta¹⁸⁸. W ten sposób, pojmuje pan... O! O! — wykrzyknął nagle mieszczanin.

— Co takiego? — zapytał d'Artagnan.

— Co ja widzę?

— Gdzie?

— Na ulicy, na wprost pańskich okien, we framudze tamtych drzwi... mężczyzna w płaszczu.

— To on!... — zawołali razem d'Artagnan i mieszczanin, poznając jednocześnie człowieka, o którego chodziło obydwom.

— O, teraz mi już nie ujdzie!... — krzyknął d'Artagnan, chwytając szpadę.

I dobywszy ją z pochwy, wybiegł z mieszkania.

Na schodach spotkał Atosa i Portosa, idących go odwiedzić; przemknął pomiędzy nimi jak strzała.

— Człowiek z Meung!... — rzekł d'Artagnan i zniknął.

D'Artagnan niejednokrotnie opowiadał przyjaciółom zajście z nieznajomym, jako też i zjawienie się pięknej podróżnej, której człowiek ten powierzył tak ważne zadanie.

Zdaniem Atosa d'Artagnan mógł być zgubić ów list w zamieszaniu. Według niego szlachcic, jak go opisał d'Artagnan, nie mógł być zdolny do popełnienia takiej podłości jak kradzież listu. Portos zaś widział w tym jedynie schadzke miłosną wyznaczoną przez damę kawalerowi lub też na odwrót — schadzke, którą zakłóciła obecność d'Artagnana i żółtego konika.

Aramis utrzymywał znowu, że skoro wypadki takie osłonięte są tajemnicą, byłoby najlepiej ich nie zgłębiać.

Zrozumieli zatem z kilku słów d'Artagnana, o co mu chodziło, a ponieważ byli przekonani, że czy dopędzi nieznajomego, czy też go z oczu straci, ostatecznie powróci do siebie, szli więc dalej. Gdy weszli do pokoju d'Artagnana, nie zastali nikogo. Właściciel, lękając się następstw spotkania pomiędzy młodzieńcem a nieznajomym, osądził za właściwe i za najbezpieczniejsze umknąć do swego mieszkania.

ROZDZIAŁ IX. D'ARTAGNAN DZIAŁA

Jak przewidziano, d'Artagnan po upływie pół godziny powrócił. I tym razem nieznajomy wymknął mu się jeszcze, zniknąwszy jak zaczarowany.

Młodzieniec przebiegł sąsiednie ulice ze szpadą w ręce, lecz nie spotkał nawet nikogo podobnego do tego, którego szukał, i powrócił wreszcie tam, skąd winien był zacząć. Zastukał do drzwi, o które nieznajomy stał oparty, nadaremnie jednak uderzał w nie młotkiem, nikt nie odpowiedział, a sąsiedzi, zwabieni hałasem, wybiegłszy przed dom lub nosy do szyb przykleiwszy, zapewniali go, że ten dom, zamknięty na wszystkie strony, był zupełnie pusty przeszło od pół roku.

W czasie poszukiwań d'Artagnana Aramis podążył za towarzyszami do mieszkania młodzieńca, tak iż tenże wróciwszy do siebie, zastał grono muszkieterskie w całym kompiecie.

¹⁸⁷niezgorzej — całkiem dobrze. [przypis edytorski]

¹⁸⁸Mocquet, Jean (1576–ok. 1617) — francuski podróżnik i aptekarz królewski; odbył sześć długich podróży morskich i podjął próbę opłynięcia Ziemi, najprawdopodobniej w celu zebrania okazów roślin i zwierząt dla króla Henryka IV. [przypis edytorski]

— No i cóż?... — zapytali razem trzej muszkietierowie, ujrawszy d'Artagnana ze spoconym i gniewnie wzburzonym obliczem.

— A!... — krzyknął, rzucając szpadę na łóżko. — Ten człowiek jest chyba diabłem wcielonym, zniknął mi jak cień, jak duch, jak widmo.

— Ty wierzysz w duchy? — zagadnął Atos Portosa.

— Ja wierzę tylko w to, co widzę, a skoro nigdy nie widziałem duchów, nie wierzę w nie.

— Biblia — odezwał się Aramis — każe nam wierzyć w duchy. Cień Samuela¹⁸⁹ ukazał się Saulowi¹⁹⁰ i jest to jeden z artykułów wiary, przykro byłoby mi, gdybyś go podawał w wątpliwość, Portosie.

— W każdym razie człowiek ten czy diabeł, ciało czy cień, złudzenie czy rzeczywistość, człowiek ten urodził się na moje utrapienie, bo przez tę jego ucieczkę ominęła nas pyszna gratka, panowie, gratka, z której zyskałoby się sto, a może i więcej pistoli.

— W jaki sposób?... — zapytali razem Portos i Aramis.

Atos zaś, nie sprzeniewierzając się milczeniu, zadowolili się spojrzeniem.

— Planchecie — krzyknął d'Artagnan na sługę, który wyściubił głowę przez uchylone drzwi dla przysłuchania się rozmowie — idź do mojego gospodarza, pana Bonacieux, i powiedz mu, aby nam przysłał pół tuzina butelek wina z Beaugency, które nad wszystkie inne przedkładam.

— Cóż to, masz otwarty kredyt u swego gospodarza? — zapytał Portos.

— Tak — odparł d'Artagnan — od dzisiaj. I bądźcie spokojni, jeżeli wino będzie nietęgę, pošlemy do niego po inne.

— Trzeba używać, a nie nadużywać — odezwał się Aramis sentencjonalnie.

— Zawsze mówiłem, że d'Artagnan to najtęższa głowa z nas wszystkich — rzekł Atos i wygłosiwszy tę opinię, na którą d'Artagnan odpowiedział ukłonem, pogрузzył się natychmiast w zwykłym milczeniu.

— Ale koniec końców radzi byśmy wiedzieć, co to takiego? — zapytał Portos.

— Tak — dodał Aramis — powiedz nam, przyjacielu drogi, jeżeli tylko nie jest zaplątana w to cześć jakiejś damy, bo w takim razie lepiej by było, ażebyś milczał o wszystkim.

— Bądźcie spokojni — odparł d'Artagnan — nie ucierpi na tym niczyj honor ani cześć. — I opowiedział dosłownie przyjaciółom, co zaszło pomiędzy nim a gospodarzem, i że człowiek, który porwał żonę godnego właściciela domu, jest tym samym, z którym i on miał na pieńku.

— Niezła sprawa — rzekł Atos, ze znanstwem próbując wina i skinieniem głowy dając poznać, że mu smakuje — można będzie wyciągnąć z poczwierca pięćdziesiąt do sześćdziesięciu pistoli. A teraz należałoby się przekonać, czy dla takiej sumki warto narażać cztery głowy.

— Ależ zastanów się — zawołał d'Artagnan — tu chodzi o kobietę, o kobietę porwaną, której bez wątpienia grożą, zapewne torturują, za to jedynie, że jest wierna swej pani!

— Strzeż się, d'Artagnanie, ostrożnie! — odezwał się Aramis. — Moim zdaniem zanadto bierzesz sobie do serca los pani Bonacieux. Kobieta została stworzona na naszą zgubę, ona jest przyczyną naszych wszystkich nieszczęść.

Na tę sentencję Aramisa Atos ściągnął brwi i przygryzł wargi.

— Nie o panią Bonacieux ja się troszczę — zawołał d'Artagnan — ale o królową, zaniebaną przez króla, prześladowaną przez kardynała, która widzi, jak jedna po drugiej spadają głowy tych, którzy jej sprzyjają.

— A czemu kocha tych, których my najbardziej w świecie nienawidzimy?... Hiszpanów i Anglików?

— Hiszpania jest jej ojczyzną — odrzekł d'Artagnan — rzecz prosta, że kocha Hiszpanów jako dzieci jednej z nią ziemi. Co do drugiego zarzutu, jaki jej robicie, słyszałem, że ona kocha nie Anglików, tylko jednego Anglika.

— E!... Na honor — wtrącił Atos — trzeba przyznać, że ten Anglik godzien jest kochania. Wspanialszej od jego postawy nie widziałem nigdy.

Duch, Wiara

Kobieta

¹⁸⁹Samuel — prorok, kapłan, ostatni sędzia starożytnego Izraela. [przypis edytorski]

¹⁹⁰Saul — postać biblijna, pierwszy król Izraela, powołany przez proroka Samuela. [przypis edytorski]

— Dodajmy, że ubiera się jak nikt dotąd — podchwycił Portos. — Byłem w Luwrze, gdy rozrzucał perły i, doprawdy, podniosłem dwie z nich, które, rozumie się, sprzedałem po dziesięć pistoli. Ty, Aramisie, znasz go?

— Tak dobrze jak i wy, panowie; byłem bowiem jednym z tych, którzy przytrzymali go w ogrodzie w Amiens, gdzie wprowadził mnie pan de Putange, koniuszy królowej. Byłem wówczas w seminarium i zdarzenie to, ze względu na króla, wydało mi się okrutne.

— Co nie przeszkodziłoby mi jednak — odezwał się d'Artagnan — gdybym wiedział, gdzie się znajduje książę Buckingham, wziąć go za rękę i zaprowadzić do królowej, choćby tylko dlatego, ażeby kardynała doprowadzić do wściekłości. Bo, panowie, naszym niezaprzeczoną, jedyną, wiekuistą nieprzyjacielem jest tylko kardynał; i gdybyśmy byli w stanie wynaleźć sposób wypłatania mu potężnego figla, przyznaję, iż chętnie bym za to oddał własną głowę.

— I gospodarz ci mówił, d'Artagnanie — podjął Atos — że królowa przypuszcza, jakoby Buckingham został zwabiony fałszywym wezwaniem?

— Lęka się tego.

— Czekajcie! — odezwał się Aramis.

— Co takiego? — zapytał Portos.

— Mówcie swoje, a ja postaram się przypomnieć sobie niektóre okoliczności.

— Jestem przekonany — rzekł d'Artagnan — że porwanie kobiety należącej do służby królowej pozostaje w związku z wypadkami, o których mówimy, a może nawet i z obecnością pana Buckingham w Paryżu.

— Nasz Gaskończyk jest pełen pomysłów — rzekł z uwielbieniem Portos.

— Bardzo lubię go słuchać — rzekł Atos.

— Panowie!... — zaczął Aramis. — Słuchajcie!...

— Słuchajmy, co powie!... — odezwali się trzej przyjaciele.

— Byłem wczoraj u pewnego uczonego doktora teologii, u którego zasięgam niekiedy rad co do moich studiów...

Atos uśmiechnął się.

— Mieszka on w pustej dzielnicy — ciągnął dalej Aramis — jego upodobania, powołanie wymagają tego. Otóż w chwili, gdy wychodziłem od niego...

Tutaj Aramis zaciął się.

— Cóż dalej? — zapytali słuchacze. — W chwili, gdy wychodziłeś od niego...

Widocznie Aramis czynił wysiłek jak człowiek, który zapędziwszy się w kłamstwie, naraz widzi nieprzewidzianą przeszkodę. Lecz oczy trzech towarzyszy były w nim utkwiłone, słuch wyczerpany, nie mógł się już cofnąć.

— Doktor ten ma siostrzenicę — ciągnął dalej Aramis.

— A! Siostrzenicę!... — przerwał mu Portos.

— Osobę wielce czcigodną — rzekł Aramis.

Trzej przyjaciele wybuchnęli śmiechem.

— Jeżeli będziecie się śmiać lub wątpić, nie dowiecie się niczego.

— Jesteśmy pełni wiary jak wyznawcy Mahometa¹⁹¹ i niemi jak groby — rzekł Atos.

— Wracam zatem do rzeczy — począł Aramis. — Siostrzenica ta czasami odwiedza wuję; otóż wczoraj przypadkiem znalazła się tam jednocześnie ze mną, byłem więc zmuszony odprowadzić ją do karety.

— A! Siostrzenica doktora ma karetę? — przerwał mu Portos, którego jedną z licznych wad była ogromna niepowściągliwość języka. — To piękna znajomość, przyjacielu.

— Portosie — odparł Aramis — nieraz już zwracałem twoją uwagę, że brak ci zupełnie dyskrecji i to ci szkodzi u kobiet.

— Panowie, panowie — zawołał d'Artagnan, który uważał tę sprawę za coraz ważniejszą — to rzecz nie bez znaczenia i prosiłbym nie obracać jej w żarty. Kończ, Aramisie, kończ.

— Naraz mężczyzna wysoki, brunet, gładkiego obojścia... Wiesz co, d'Artagnanie, zupełnie w rodzaju twojego...

— Może to ten sam... — rzekł d'Artagnan.

¹⁹¹Mahomet (zm. 632) — twórca islamu. [przypis edytorski]

— Prawdopodobnie... — kończył Aramis. — Zbliżył się do mnie, a za nim szło kilku ludzi, i głosem uprzejmym odezwał się: „Mości książę, i pani także...” — dodał, zwracając się do damy, którą prowadziłem pod rękę...

— Do siostrzenicy doktora?

— Cicho bądź, Portosie! — odezwał się Atos. — Nieznośny jesteś.

— „Raczie wsiąść do tej karety, bez oporu i najmniejszego hałasu”.

— Wziął cię za Buckingham! — wykrzyknął d’Artagnan.

— Tak sędzę — odrzekł Aramis.

— A tę damę? — zapytał Portos.

— Wziął ją za królową! — podchwycił d’Artagnan.

— Nie inaczej — odparł Aramis.

— To diabeł z tego Gaskończyka! — zawołał Atos. — Nic nie ujdzie jego uwadze.

— To fakt — wtrącił Portos — że Aramis ma postawę i ułożenie pięknego księcia, lecz zdaje mi się, że ubiór muszkieterski...

— Miałem na sobie szeroki płaszcz — rzekł Aramis.

— W lipcu? Do diabła! — zauważył Portos. — Czy doktor nie obawia się przypadkiem, abyś nie został poznany?

— To jeszcze rozumiem — rzekł Atos — że szpieg mógłby się zwieść postawą, lecz twarz...

— Miałem wielki kapelusz — rzekł Aramis.

— Boże wielki! — wykrzyknął Portos. — Co tu ostrożności dla studiowania teologii!...

— Panowie, panowie — odezwał się d’Artagnan — nie traćmy czasu na drobnostki; rozbiegnijmy się na wszystkie strony i szukajmy żony gospodarza, w tym jest klucz całej intrygi.

— Przecież to kobieta niskiego pochodzenia, prawda, d’Artagnanie? — odezwał się Portos, wykrzywiając wzgardliwie usta.

— To chrześniaczka de La Porte, zaufanego sługi królowej, wszak mówiłem wam o tym, panowie? Wreszcie, może to jest przezorność Jej Wysokości, że w tym razie szuka pomocy niżej. Głowy sterczące wysoko są bardzo widoczne, a kardynał ma dobre oczy.

— A zatem — odezwał się Portos — najpierw potarguj się ze swym gospodarzem, a targuj się dobrze.

— To niepotrzebne — odparł d’Artagnan. — Sędzę bowiem, że jeżeli nam zapłaci, to bardzo dobrze będziemy wynagrodzeni.

W tejże chwili odgłos szybkich kroków rozległ się na schodach, drzwi otworzyły się z traskiem i nieszczęsny kramarz wpadł do pokoju, gdzie odbywała się narada.

— Panowie! — krzyknął. — Ratujcie, na imię Boskie!... Ratujcie mnie!... Czterech ludzi przyszło i chcą mnie uwięzić, ratujcie mnie, ratujcie!...

Portos i Aramis zerwali się z miejsca.

— Chwilkę, panowie — zawołał d’Artagnan, dając im znak, aby schowali szpady, na pół już wydobyte z pochew — chwilkę, potrzeba tutaj nie odwagi, lecz roztropności.

— O! — zawołał Portos. — Nie pozwolimy!...

— Pozwólcie działać d’Artagnanowi — rzekł Atos. — Raz jeszcze powtarzam, że to najtęższa z nas wszystkich głowa. Ja obowiązuję się słuchać go we wszystkim. Rób, jak chcesz, d’Artagnanie.

Czterech ludzi ze straży policyjnej ukazało się we drzwiach pokoju, ale na widok trzech muszkietarów ze szpadami u boku, stojących pośrodku, zawahali się, czy mają się dalej posunąć.

— Wejdźcie, panowie, wejdźcie — zawołał d’Artagnan — jesteście tutaj u mnie, a jak nas widzicie, wszyscyśmy wierni słudzy króla i pana kardynała.

— Zatem, panowie, nic nie będziecie mieli przeciw temu, abyśmy spełnili dane nam rozkazy? — zapytał ten, który wyglądał na dowódcę wyprawy.

— I owszem, nawet pomożemy wam, panowie, jeżeli tego będzie potrzeba.

— Co on gada?... — mruknął Portos.

— Cicho, gapiu! — szepnął Atos.

— A jednak obiecaliście mi... — cichutko wybąkał kramarz.

— Możemy cię ratować, gdy sami zostaniemy wolni — rzucił mu w ucho d'Artagnan — a jeżeli okażemy chęć bronięcia cię, wezmą nas razem z tobą.

— A jednak, zdaje mi się...

— Chodźcie, panowie, chodźcie — głośno powiedział d'Artagnan — nie mam żadnego powodu bronić tego pana. Pierwszy raz w życiu widziałem go dzisiaj, a przyszedł po to, ażeby się dopominać o komorne. Wszak prawda, panie Bonacieux? Odpowiadaj!

— Najczystsza prawda — zawołał gospodarz — lecz nie powiedział pan jeszcze...

— Ani słowa o mnie ani o moich przyjaciółach, a o królowej nade wszystko — szepnął mu — albo zaprzepaścisz wszystkich, a siebie nie zbawisz. No!... Panowie, dalej, zabierajcie tego jegomościa.

I d'Artagnan popchnął gospodarza ku straży, mówiąc:

— Jesteś bezwstydnym łotrem, mój drogi... Przychodzisz upominać się o pieniądze ode mnie, muszkietera! Do więzienia z nim!... Panowie, raz jeszcze powtarzam, zabierzcie go do więzienia i trzymajcie pod kluczem, jak można najdłużej, zyskam przynajmniej na czasie, aby mu zapłacić.

Śludzy policyjni, rozwodząc się w podziękowaniach, uprowadzili swą zdobycz.

W chwili gdy już wychodzili, d'Artagnan uderzył po ramieniu ich przywódcę, mówiąc:

— Może wypijemy za nasze wspólne zdrowie? — I napełnił dwa kubki winem z Beaugency, pochodzącym z hojności pana Bonacieux.

— Będzie to dla mnie niemałym zaszczytem — odparł tenże — i z wdzięcznością przystaję.

— Zatem do ciebie, panie... jakże się nazywasz?

— Boisrenard.

— Panie Boisrenard!

— Za twoje zdrowie, szlachetny panie. Jak pańska godność, jeżeli wolno zapytać?

— A nade wszystko — krzyknął d'Artagnan, jakby zapalem uniesiony — za zdrowie króla i kardynała.

Może być, iż miałby jakąś wątpliwość co do szczerości d'Artagnana, gdyby wino było liche, lecz że było wyborne, został więc przekonany zupełnie.

— Co za paskudztwo zrobiłeś, u diabła? — zapytał Portos, skoro wyszedł przywódca zbirów, gdy pozostali tylko we czterech. — Fe! Czterej muszkietierowie pozwalają aresztować w swojej obecności nieszczęśliwca, który woła o pomoc. Szlachcic trąca się kieliszkiem z pachółkiem więziennym.

— Portosie!... — odezwał się Aramis. — Atos ci dowiódł już, że jesteś gapiem, teraz i ja stoję po jego stronie. D'Artagnanie, jesteś wielki, i kiedy będziesz już na miejscu pana de Tréville, zamawiam sobie protekcję u ciebie, abym dostał opactwo.

— Doprawdy, nic nie pojmuję! — odrzekł Portos. — Wy pochwalacie to, co zrobił d'Artagnan?...

— Ja nie tylko pochwalam, ale mu winszuję — odezwał się Atos.

— A teraz, panowie — rzekł d'Artagnan, nie troszcząc się bynajmniej o wyjaśnienie swego postępowania Portosowi — wszyscy za jednego, jeden za wszystkich; to nasze hasło, nieprawdaż?

— Jednakże... — zaczął Portos.

— Ręka do góry i przysięgnij! — zawołali razem Atos i Aramis.

Zwyciężony przykładem, klnąc z cicha, Portos podniósł rękę i czterej towarzysze powtórzyli rotę przysięgi podyktowanej przez d'Artagnana.

„Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich”.

— Tak... dobrze, a teraz każdy niech idzie do domu — rzekł d'Artagnan tonem takim, jak gdyby całe życie rozkazy tylko wydawał — i baczność, bo od tej chwili idziemy z kardynałem w zapasy.

ROZDZIAŁ X. PUŁAPKA Z SIEDEMNASTEGO WIEKU

Ponieważ nasi czytelnicy nie są prawdopodobnie oswojeni z gwarą policji francuskiej, należy wytłumaczyć im, co to jest pułapka.

Jeżeli w jakimś domu zaaresztowano osobę podejrzaną o jakiś występki, aresztowanie pozostawało w najgłębszej tajemnicy. Kilku ludzi ukrywano w pierwszym pokoju i kto-

Pozycja społeczna, Hańba

Przysięga, Przyjaźń

Podstęp

kolwiek zapukał do tego mieszkania, wpuszczano go i także aresztowano. W ten sposób w ciągu dwóch lub trzech dni wszyscy członkowie rodziny i przyjaciele obwinionego domu wpadali w ręce policji.

Taka była owa pułapka.

Tym razem sporządzono pułapkę z mieszkania zajmowanego przez imię¹⁹² pana Bonacieux i każdy, kto się tam ukazał, był chwytyany i badany przez ludzi pana kardynała. Wejście do mieszkania d'Artagnana było oddzielne, zatem odwiedzający go byli wolni od wszelkiej kontroli.

Zresztą odwiedzali go tylko trzej muszkietierowie. Wszyscy oni i każdy z osobna rzucili się do poszukiwań i nic nie znaleźli, nic nie odkryli.

Atos zapytywał pana de Tréville, co ze względu na jego nieme usposobienie wielce zdziwiło kapitana. Pan de Tréville jednak nie wiedział nic, zauważył tylko, że gdy ostatnim razem widział kardynała, króla i królową, kardynał wyglądał na zgnębionego, król był niespokojny, a zaczerwienione powieki królowej zdradzały noce bezsenne lub łzy. Ostatnia okoliczność jednak mało go uderzyła; bowiem królowa od chwili swojego małżeństwa nigdy nie spała i wiele płakała.

Jednak na wszelki wypadek pan de Tréville polecił Atosowi gorliwą bacność względem króla, a nade wszystko względem królowej, prosząc, aby oznajmił to samo towarzyszom.

D'Artagnan tymczasem nie ruszył się z mieszkania. Swoją pokój zamienił w czatownię. Widział z okien tych wszystkich, którzy dali się złapać; następnie, wyjąwszy deskę z posadzki, wygrzebał dół w tym miejscu tak, że tylko cienki sufit przedzielał go od pokoju na dole, gdzie odbywały się badania. Słyszał więc wszystko, co działo się między badającymi i obwinionymi.

Badania dokonywane na osobach aresztowanych, poprzedzone najszczegółowszymi pytaniami, były zawarte mniej więcej w tych słowach:

— Czy pan Bonacieux nie wręczył ci czegoś dla żony lub dla kogokolwiek?

— Czy jedno lub drugie z nich nie uczyniło ci jakiegoś zwierzenia?

„Gdyby ci badający wiedzieli choć cośkolwiek, nie wypytywaliby tak gorliwie — pomyślał d'Artagnan. — A teraz o czym oni tak pragną się dowiedzieć? Czy nie ma czasami księcia Buckinghama w Paryżu i czy widział się lub ma się widzieć z królową?”

D'Artagnan zatrzymał się na tym domyśle, któremu, według tego, co słyszał, nie zbywało na prawdopodobieństwie. Tymczasem pułapka nie ustawała, ale i czujność d'Artagnana także.

Wieczorem następnego dnia po uwięzieniu biednego Bonacieux, gdy tylko Atos pożegnał d'Artagnana, by się udać do pana de Tréville, i zaledwie wybiła dziewiąta, a Planchet, nie posławszy jeszcze łóżka swojego pana, zabierał się do tej czynności, dało się słyszeć pukanie do drzwi od ulicy. Otwarto je i zatrzęsnięto natychmiast; znowu ktoś wpadł w pułapkę.

D'Artagnan rzucił się do dziury w podłodze, położył się na brzuchu i słuchał.

Wkrótce rozległy się krzyki, potem jęki, które widocznie usiłowano tłumić. O badaniach nie było mowy.

„Do diabła! — pomyślał d'Artagnan. — Zdaje mi się, że to kobieta... Rewidują ją, opiera się, używają przemocy... Nędznicy!”

Pomimo całej roztropności d'Artagnan o mało nie wyskoczył ze skóry, chcąc wnieść się w scenę rozgrywającą się na dole.

— Mówię wam, panowie, iż jestem panią tego domu, jestem panią Bonacieux; mówię wam, że należę do królowej! — wykrzykiwała nieszczęsna kobieta.

— Pani Bonacieux! — wyszeptał d'Artagnan. — Byłabym tak szczęśliwy, iż znalazłem to, czego tak szukają wszyscy?

— Na panią właśnie czekaliśmy — odpowiedzieli badający.

Głos stawał się coraz bardziej stłumiony, szamotanie rozległo się pomiędzy ścianami. Ofiara opierała się o tyle, o ile kobieta zdoła się opierać czterem mężczyznom.

— Łaski, panowie, łas... — szeptał głos urywanymi i niewyraźnymi dźwiękami.

¹⁹²imie (daw.) — wyrażenie grzecznościowe przeważnie przed nazwiskiem lub tytułem; skrót od: jego miłość.
[przypis edytorski]

— Zatykają jej usta i zawloką do więzienia! — krzyknął d'Artagnan, skoczywszy jak na sprężynie. — Szpady! Dobrze, mam ją u boku. Planchet!

— Słucham pana.

— Pędź co tchu po Atosa, Portosa i Aramis. Jeden z nich na pewno musi być u siebie, a może i wszyscy trzej już powrócili. Niech wezmą broń i przychodzą, niech się śpieszą. A! Przypominam sobie, Atos jest u pana de Tréville.

— Lecz pan dokąd idzie?... Dokąd?...

— Wychodzę oknem — zawołał d'Artagnan — pędź stanę na miejscu! A ty połóż deski, gdzie należy, zamieć podłogę, wyjdź drzwiami i pędź, gdzie ci kazałem.

— O! Panie, panie, zabijesz się jeszcze! — krzyczał Planchet.

— Milcz, durniu! — zawołał d'Artagnan. — Uchwycił się futryny okna i z pierwszego piętra, które na szczęście nie było zbyt wysokie, zsunął się bez najmniejszej szkody dla siebie. Natychmiast poszedł do drzwi zapukać, mrucząc pod nosem: — I ja także dam się wziąć w pułpkę, ale biada kotom, które się o taką myszkę obetrą.

Zaledwie rozległ się odgłos młotka pod ręką młodzieńca, zgiełk ustał natychmiast, było słychać zbliżające się kroki, drzwi się rozwarły i d'Artagnan ze szpadą obnażoną wpadł do mieszkania pana Bonacieux, a drzwi, będące widocznie na sprężynie, zatrzasnęły się za nim.

Bijatyka

Wtedy ci, którzy mieszkali w nieszczęsnym domu Bonacieux i najbliżsi sąsiedzi, usłyszeli przeraźliwe krzyki, bieganie, szczęk stali i przeciągły łoskot łamiących się sprzętów. Nareszcie, po niedługiej chwili, ci, których hałas zwabił do okien, mogli zobaczyć otwierające się gwałtownie drzwi i czterech ludzi czarno ubranych wyszło, a raczej wyleciało przez nie jak spłoszone kruki, pozostawiając na ziemi połamane pióra u kapeluszy i strzępy swego ubrania.

Należy przyznać, że d'Artagnan został zwycięzcą bez wielkiego trudu, bowiem tylko jeden policjant był uzbrojony i bronił się, lecz jedynie dla formy. Trzech innych próbowało wprawdzie zasypać d'Artagnana krzesłami, taboretami i całą masą garnków i rondli, lecz parę zadraśnięć wypolerowaną szpadą Gaskończyka przeraziło ich okrutnie. Dziesięć minut wystarczyło, aby zostali pokonani i d'Artagnan został panem placu bitwy.

Sąsiedzi, którzy pootwierali okna, z zimną krwią, właściwą mieszkańcom Paryża w owych czasach zaburzeń i nieustanych bójek, pozamykali je, gdy tylko ujrzeli uciekających czterech ludzi ubranych na czarno. Przeczucie mówiło im, że jak na teraz, wszystko było skończone. Zresztą noc już zapadała, a onego czasu, również jak i dziś, wcześniej zabierano się do snu w dzielnicy luksemburskiej.

D'Artagnan pozostał sam z panią Bonacieux i stanął przed nią. Biedna kobieta leżała na fotelu na wół zemdłona; obrzucił ją szybkim wejrzeniem.

Była to zachwycająca dwudziestopięcioletnia kobieta; brunetka z niebieskimi oczyma, z noskiem lekko zadartym, zębami prześlicznymi, z cerą zabarwioną lekkim szkarłatem, z odbłyskami opalu¹⁹³. Tu jednak był koniec oznakom, przy których mogła uchodzić za wielką damę; ręce jej były białe, lecz za mało drobne, nogi zaś nie zdradzały kobiety wyższego pochodzenia. Na szczęście d'Artagnan nie był jeszcze wybredny, więc szczegóły te nie zajmowały go wcale.

Gdy się tak wpatrywał w panią Bonacieux, stojąc tuż przed nią, dostrzegł leżącą na ziemi chusteczkę batystową, którą, według zwyczaju, podniósł, a na jej rogu poznał te same wyszyte litery jak na chusteczce, która o mało nie spowodowała śmiertelnego starcia z Aramisem. Nie ufał on odtąd chusteczkom z cyframi i herbami, schował ją więc w milczeniu do kieszeni pani Bonacieux.

Właśnie zemdłona zaczęła powracać do zmysłów. Otworzyła oczy i z przerażeniem wiodąc nimi dokoła, ujrzała zupełnie pusty pokój i zobaczyła, że znajduje się sama ze swym wybawcą. Wyciągnęła ku niemu ręce, uśmiechając się słodko. Pani Bonacieux miała najcudniejszy uśmieszek w świecie.

— O!... Panie — odezwała się — tyś mnie ocalił. Pozwól, niech ci podziękuję.

— Pani — odrzekł d'Artagnan — spełniłem to, co każdy szlachcic na moim miejscu byłby zrobił, wcale więc nie zasługuję na podziękowanie.

¹⁹³opal — kamień szlachetny o charakterystycznym, mieniającym się połysku. [przypis edytorski]

— O! Nie mów pan tak, a ja mam nadzieję, że będę mogła dowieść, iż przysługa twoja nie trafiła na niewdzięczną... — Ale cóż ci ludzie chcieli ode mnie?... Zrazu wzięłam ich za złodziei. A! Dlaczego nie ma tutaj pana Bonacieux?...

— Pani, ci ludzie byli niebezpieczniejsi od złodziei, to służalcy pana kardynała. A pani męża, pana Bonacieux, nie ma, bo wczoraj go stąd zabrano i zaprowadzono do Bastylii.

— Mego męża do Bastylii!... — krzyknęła pani Bonacieux. — O! Mój Boże! A cóż on zrobił, biedaczysko?... On, uosobiona niewinność?...

I coś na kształt uśmiechu zarysowało się na wystraszonej jeszcze twarzy młodej kobiety.

— Co zrobił? — podchwycił d'Artagnan. — Mnie się zdaje, że jego jedyną zbrodnią jest to, iż ma szczęście i zarazem nieszczęście być pani mężem...

— Więc pan wiesz...

— Wiem, że pani była porwana.

— A czy pan wiesz przez kogo? O! Jeżeli wiesz, powiedz mi, proszę.

— Przez człowieka czterdziestokilkuletniego, bruneta o ogorzałej¹⁹⁴ twarzy, z blizną na lewej skroni.

— Tak, tak. Ale jak się nazywa?

— O! Tego nie wiem wcale.

— A czy mój mąż wiedział coś o moim porwaniu?

— Dowiedział się o tym z listu, który sam napastnik do niego napisał.

— I podejrzewa przyczynę tego wypadku? — pytała pani Bonacieux z pewnym zaniepokojeniem.

— Zdaje mi się, iż przypisuje go powodom politycznym.

— Wiesz pan, i ja teraz tak myślę jak pan... A więc kochany Bonacieux nie posądzal mnie ani na chwilę.

— A! O sto mil był od takiej myśli!... On szczyti się pani zacnością, a nade wszystko miłością.

Drugi uśmieszek, niedostrzegalny prawie, przemknął po szkarłatnych usteczkach pięknej kobiety.

— Ale — kończył d'Artagnan — w jaki sposób zdołałaś pani uciec?

— Skorzystałam z chwili, w której pozostawiono mnie samą, a ponieważ od razu wiedziałam, co mam myśleć o moim porwaniu, za pomocą prześcieradeł zsunęłam się z okna; wtenczas, w przekonaniu, iż zastanę tu męża, podążyłam do niego.

— Aby szukać obrony?

— O! Nie, wiem, że nie jest do tego zdolny, biedaczysko drogi, ale mógłby nam być przydatny do czegoś innego, chciałam go więc uprzedzić.

— O czym?

— O! Tajemnica nie do mnie należy, nie mogę więc mówić o niej z panem.

— Zresztą — zauważył d'Artagnan — przepraszam panią, że, jakkolwiek młodszy od niej wiekiem, przypominam jej potrzebę ostrożności. Poza tym zdaje mi się, iż nie miejsce tutaj na zwierzenia. Ludzie, wygnani przeze mnie, powrócą niedługo w większej liczbie; jeżeli nas tu zastaną, jesteśmy zgubieni. Kazałem wprawdzie zawiadomić moich trzech przyjaciół, lecz kto wie, czy zastano ich w domu.

— Tak, tak... masz pan słuszość — wykrzyknęła pani Bonacieux z przerażeniem — uciekajmy, skryjmy się czym prędzej.

To mówiąc, wsunęła rączkę pod ramię d'Artagnana, pociągając go za sobą.

— Lecz dokąd uciekać? — pytał d'Artagnan. — Gdzie się schronić?

— Przede wszystkim oddalmy się z tego domu, a potem zobaczymy.

I oboje, nie zadając sobie nawet trudu, aby zamknąć za sobą drzwi, szybko przebiegli ulicę des Fossoyeurs, zboczyli w ulicę des Fossés-Monsieur-le-Prince i zatrzymali się dopiero na placu Saint-Sulpice.

— A teraz... co pocniemy z sobą? — zagadnął d'Artagnan. — Dokąd mam panią zaprowadzić?

— Przyznaję, iż nie wiem sama, co mam panu odpowiedzieć — odrzekła pani Bonacieux. — Miałam zamiar przez męża zawiadomić pana de La Porte, aby mógł powiedzieć

¹⁹⁴ogorzały — mocno opalony. [przypis edytorski]

nam dokładnie, co zaszło w ciągu trzech ostatnich dni w Luwrze i czy przyjsie moje nie grozi tam niebezpieczeństwem.

— To ja mogę zawiadomić pana de La Porte — rzekł d'Artagnan.

— Zapewne, ale na nieszczęście w Luwrze znają pana Bonacieux i jego by z łatwością wpuszczono, gdy pana nie znają wcale i drzwi przed panem zamkną.

— E! — odparł d'Artagnan. — Musisz pani mieć w Luwrze przychylnego odzwiernego, a dzięki umówionemu hasłu...

Pani Bonacieux bystro spojrzała na młodzieńca.

— A gdybym panu powiedziała to hasło?... — rzekła. — Czy zapomniałbyś je natychmiast potem?

— Słowo honoru! Słowo szlacheckie! — odrzekł d'Artagnan z taką szczerością w głosie, że niepodobna mu było nie ufać...

— Wierzę panu. Wyglądasz na uczciwego młodzieńca, zresztą, może w przyszłości spotka cię nagroda za dzisiejsze poświęcenie.

— I bez tych obietnic sumiennie spełnię wszystko, ażeby usłużyć królowi i stać się użytecznym królowej — rzekł d'Artagnan. — Rozporządzaj mną pani jak przyjaciele.

— A gdzie mnie pan przez ten czas podziejesz?

— Czy nie masz pani nikogo, skąd by cię mógł zabrać pan de La Porte?

— Nie, nikomu nie chcę się zwierzać.

— Zaraz — rzekł d'Artagnan — wszak jesteśmy przed drzwiami Atosa... Tak, nie mylę się.

— Któż to jest Atos?

— Jeden z moich przyjaciół.

— A jeżeli jest w domu i mnie zobaczy?

— Nie ma go, a gdy wprowadzę panią do jego mieszkania, zabiorę klucz ze sobą.

— A jeżeli powróci?

— Nie powróci. Wreszcie, powiem mu, że przyprowadziłem kobietę i że ta kobieta znajduje się u niego.

— Ależ to mnie może straszliwie skompromitować!

— Cóż to panią obchodzi?... Nikt pani nie zna; zresztą znajdujemy się w takim położeniu, iż nie zważa się na żadne konwenanse.

— Chodźmy więc do pańskiego przyjaciela. Gdzież on mieszka?

— Przy ulicy Férou, parę kroków stąd.

— Chodźmy.

I puścili się w drogę. Jak przewidział d'Artagnan, Atosa nie było w domu; wziął więc klucz, który dawano mu zwykle jako przyjacielowi domu, wszedł na piętro i wprowadził panią Bonacieux do mieszkanka, znanego nam już z opisu.

— Jesteś pani jak u siebie — powiedział jej. — Zamknij drzwi od wewnątrz i nie otwieraj nikomu, dopóki nie usłyszysz trzykrotnego pukania w ten sposób: uważaj pani. — I zapukał trzy razy: dwa razy szybko i dość mocno, a trzeci raz po niejakej przerwie i znacznie lżej.

— Dobrze — rzekła pani Bonacieux — teraz kolej na mnie, aby dać panu wskazówki.

— Słucham.

— Stań pan przy furtce prowadzącej do Luwru od strony ulicy de l'Échelle i zapytaj o Germaina.

— Dobrze, a potem?

— Będzie on wypytywał pana Bóg wie o co, a ty mu odpowiesz na to wszystko tylko dwoma słowami: Tours¹⁹⁵ i Bruksela. Wtedy będzie już na twe rozkazy.

— A co ja mam mu rozkazać?

— Każesz mu pan iść do pana de La Porte, pokojowca królowej.

— A jak pan de La Porte przyjdzie?

— Przyślesz go pan do mnie...

— Dobrze, ale gdzież i jak się znowu z panią zobaczę?

— Czy bardzo panu o to chodzi?

— Naturalnie!

¹⁹⁵ Tours — miasto w śr. Francji, nad rzeką Loarą. [przypis edytorski]

- To już mnie pan pozostaw i bądź spokojny.
- Liczę na pani słowo.
- Może pan liczyć.

D'Artagnan pożegnał panią Bonacieux, rzucając jej najczulsze spojrzenie, jakim mógł objąć jej zachwycającą osobkę, a kiedy schodził na dół, usłyszał, jak zamknęła za nim drzwi na dwa spusty. W paru podskokach przybył do Luwru. Gdy przystąpił do furtki od ulicy de l'Échelle, była godzina dziesiąta.

Przebieg wypadków, które opisaliśmy, trwał zaledwie pół godziny. Wszystko stało się tak, jak powiedziała pani Bonacieux.

Na umówione hasło Germain skłonił się nisko. Dziesięć minut później pan de La Porte był już w stróżówce; w paru słowach d'Artagnan objaśnił go o stanie rzeczy i wskazał, gdzie pani Bonacieux się znajduje. De La Porte upewnił się po dwakroć o dokładności adresu i podążył tam pędem. Zaledwie jednak uszedł dziesięć kroków, zawrócił.

— Młodzieńcze — rzekł do d'Artagnana — dam ci jedną radę.

— Jaką?

— Mógłbyś być niepokojony za to wszystko, co zaszło.

— Tak pan sądzi?

— Tak. Czy masz jakiegoś przyjaciela, u którego zegar się spóźnia?

— Bo co?

— Udaj się do niego, aby mógł zaświadczyć, że odwiedziłeś go o godzinie wpół do dziesiątej. Według prawa to się nazywa alibi.

D'Artagnan uznał tę radę za roztropaną; wziął nogi za pas i wkrótce znalazł się u pana de Tréville. Zamiast jednak wejść do salonu, gdzie byli wszyscy zebrani, prosił, aby go wpuszczono do gabinetu. Ponieważ d'Artagnan był tam codziennym gościem, bez trudności spełniono jego żądanie i dano znać panu de Tréville, że jego młody ziomek, mając coś ważnego do powiedzenia, prosi o posłuchanie na osobności.

W pięć minut potem pan de Tréville zapytywał młodzieńca, czym mógłby mu służyć i czemu zawdzięcza odwiedziny o tak późnej porze.

— Przepraszam pana — rzekł d'Artagnan, który skorzystał z chwili, gdy pozostał sam, by cofnąć wskazówkę o trzy kwadranse — myślałem, że skoro jest dopiero dwadzieścia pięć minut po dziewiątej, to jeszcze czas przedstawić się panu.

— Dwadzieścia pięć minut po dziewiątej! — zawołał pan de Tréville, spoglądając na zegar. — Ależ to niepodobieństwo!

— Zechciej się pan przekonać, zdaje mi się, że zegar nie zwodzi.

— Tak — rzekł pan de Tréville — sądziłem, że już znacznie później. No cóż tam, czego sobie życzysz?

Wtedy d'Artagnan opowiedział szczegółowo panu de Tréville historię dotyczącą królowej. Przedstawił mu obawy, jakie powziął ze względu na Jej Królewską Wysokość; opowiedział mu, co zasłyszal o zamiarach kardynała względem Buckingham'a, a wszystko to mówił z takim spokojem i pewnością siebie, że pan de Tréville słuchał go z tym większym zajęciem, bo sam, jak wspomnieliśmy, dostrzegł coś nowego pomiędzy kardynałem, królem i królową.

Była godzina dziesiąta, gdy d'Artagnan pożegnał pana de Tréville, który dziękował mu za wskazówkę i polecił służyć serdecznie królowi i królowej, po czym wrócił do salonu. Lecz d'Artagnan, gdy był już na dole, przypomniał sobie, iż zostawił laskę; wbiegł więc szybko na górę, wpadł do gabinetu i palcem zwrócił wskazówkę na właściwą godzinę, aby nazajutrz nie dostrzeżono, że była cofnięta, i pewny już, że ma świadka, który w potrzebie dowiódłby jego alibi, zbiegł ze schodów i znalazł się wkrótce na ulicy.

ROZDZIAŁ XI. INTRYGA ZAWIAZUJE SIĘ

Po wyjściu od pana de Tréville zamyślony d'Artagnan powracał do domu możliwie najdalszą drogą.

O czym mógł myśleć, że tak zbacał z drogi, spoglądając na gwiazdy to z westchnieniem, to z uśmiechem na przemian!

Myślał o pani Bonacieux. Dla aspirującego muszkietera młoda kobieta była niemal ideałem miłości, a ta była ładna, tajemnicza i dopuszczona do prawie wszystkich sekretów

dworskich, które taką uroczą powagą odbijały się na jej powabnych rysach, a dawały do myślenia, że nie jest dlań nieczuła, co zawsze stanowiło nieprzeparty powab dla niewytrawnych kochanków; dla d'Artagnana zaś było to tym bardziej obiecujące, że wybawił ją przecież z rąk szatanów kardynalskich.

Szybkim lotem pędzą marzenia na skrzydłach wyobraźni. D'Artagnanowi zdawało się już, że go dogania wysłaniec młodej kobiety i oddaje mu jakiś bilecik, wyznaczający schadzke, czy też wręcza mu łańcuch złoty, a może brylant. Mówiliśmy już, iż młodzi rycerze bez obrazy przyjmowali datki królewskie, dodajmy jeszcze, że w owych czasach łatwej moralności nie wstydziła się też brać ich od swoich kochanek, które często obdarzały ich cennymi i trwałymi pamiątkami, jak gdyby chciały zwalczać nietrwałość ich uczuć mocą подарunków.

Torowano sobie drogi przez kobiety, nie ukrywając się z tym bynajmniej. Te, które prócz piękności nie miały nic więcej, oddawały swoją urodę. Bogate znowu dawały część swoich pieniędzy i można by wymienić spory zastęp bohaterów z tej miłej epoki, którzy nie dostąpiliby nigdy naprzód ostróg ani nie wygrywaliby następnie bitew, gdyby nie woreczek mniej lub więcej napełniony, który wielbicielki przyczepiałyby do ich siodeł.

D'Artagnan nie posiadał nic zgoła; nieśmiałość młodzieńcza, ta barwa mglista, kwiat krótkotrwały, ten puszek brzoskwini, ulotniła się od podmuchu rad, niezbyt zgodnych z przepisami moralności, jakich trzej muszkietierowie udzielali przyjacielowi. Idąc za ówczesnym dzikim zwyczajem, d'Artagnan czuł się w Paryżu mniej więcej jak na wojnie, jak gdyby to było we Flandrii¹⁹⁶ — tam Hiszpan, a tu kobieta. I tu, i tam wróg był do zwyciężenia i kontrybucje¹⁹⁷ do ściągnięcia. Nadmienić nam wypada, że, jak na teraz, nastrój uczuć d'Artagnana był szlachetniejszy i bezinteresowny. Gospodarz wyznał mu, że jest bogaty, więc łatwo było odgadnąć, iż przy tak ograniczonym mężu żona trzymała klucz od kasy, jednak nie to wpłynęło na uczucie wywołane widokiem pani Bonacieux, a iskra miłości nie miała prawie nic wspólnego z rachubą. Mówimy: prawie nic, gdyż świadomość, że kobieta młoda, piękna i rozumna jest zarazem bogata, nie osłabia miłości, przeciwnie, jeszcze ją potęguje.

W dostatkach bywa moc nawyków i wybryków arystokratycznych, które dodają uroku piękności. Cieniutka jedwabna pończoszka, suknia ozdobna, zarzutka¹⁹⁸ z cennych koronek, piękny trzewiczek, świeża wstążka we włosach nie upiększą kobiety brzydkiej, lecz podnoszą urodę pięknej.

Zresztą nie ukrywaliśmy przed naszymi czytelnikami stanu majątkowego d'Artagnana. Nie był on milionerem bynajmniej. Wprawdzie nie brakło mu nadziei zostania nim w przyszłości, lecz czas, który oznaczył sobie na tę szczęśliwą przemianę, dość był jeszcze daleki. A co za rozpacz widzieć ukochaną kobietę pragnącą tysiąca drobnostek składających się na jej szczęście i nie mieć możliwości ich dostarczenia. Przeciwnie, gdy kochanka jest bogata, to choć kochanek jej ubogi i ofiarować nic nie może, sama sobie starczy na wszystko — zazwyczaj z pieniędzy mężowskich, za co wprawdzie wdzięczność przypada w udziale bynajmniej nie mężowi.

Ale d'Artagnan, usposobiony na jak najtkliwszego kochanka, nie przestał być wiernym przyjacielem. Wśród zamiarów miłosnych względem żony gospodarza nie zapomniał o swoich widokach.

Można było poszczycić się tą śliczną kobietką nie tylko na przechadzkach w Saint-Denis lub też w Saint-Germain na jarmarku, ale też i w towarzystwie Atosa, Portosa i Aramis, którym z dumą pokazać by mógł taką zdobycz. Że zaś po dłuższej przechadzce przychodzi głód, co miał sposobność zauważyć szczególnie od pewnego czasu, spożywano by milutkie obiady, w czasie których on miałby po jednej stronie rękę przyjaciela, po drugiej nóżkę kochanki. Wreszcie w wypadkach kłopotliwych, w ciężkich chwilach mógłby być zbawieniem dla przyjaciół.

A cóż się działo z panem Bonacieux, którego d'Artagnan oddał w ręce zbirów, wyparłszy się go głośno, a którego po cichu obiecał wybawić? Musimy przyznać, że przez myśl mu nawet nie przeszedł, a jeżeli wspomnieliśmy o nim, to tylko po to, aby sobie powiedzieć, że dobrze mu tam, gdzie jest, gdziekolwiek by się znajdował. Najbardziej samolubną

Marzenie, Wyobraźnia

Rycerz, Kobieta, Bogactwo

Bogactwo, Kobieta,
Młodość, Piękno, Miłość,
Strój

Kobieta, Kochanek, Mąż,
Zdrada, Pieniądz

Samolubstwo, Miłość

¹⁹⁶Flandria — kraina historyczna, obecnie na terenie Francji, Belgii i Holandii. [przypis edytorski]

¹⁹⁷kontrybucja — opłata wnoszona przez pokonanego na rzecz zwycięzcy. [przypis edytorski]

¹⁹⁸zarzutka (daw.) — narzutka, okrycie zarzucane na ramiona. [przypis edytorski]

namiętnością jest miłość.

Wszelako niechaj nasi czytelnicy będą wolni od obawy. Jeżeli d'Artagnan udawał tylko czy rzeczywiście zapomniał o swoim gospodarzu pod pozorem, że nie wiedział, dokąd go wzięto, my nie zapomnimy o nim, a wiemy, gdzie się znajduje. Jednak na chwilę idźmy za przykładem rozkochanego Gaskończyka.

D'Artagnan, zamyślony o swej przyszłej miłości, przemawiając do ciemności nocnych, uśmiechając się do gwiazd, szedł prosto ulicą Cherche-Midi. A ponieważ była to dzielnica, w której mieszkał Aramis, przyszła mu myśl odwiedzić przyjaciela, aby mu wyjaśnić, dlaczego przysłał Plancheta z wezwaniem, aby niezwłocznie stawił się w pułapce.

Alarm ten zasługiwał na wyjaśnienie, tak przynajmniej sądził d'Artagnan.

W duchu zaś dodawał jeszcze, że jest to dla niego sposobność pomówienia o ładniutkiej pani Bonacieux, która, jeżeli nie jego serce, to umysł przepelniała bezmiernie.

Nie można wymagać od pierwszej miłości, aby była dyskretna.

Pierwszemu takiemu uczuciu towarzyszy tak bezbrzeżna radość, że gdyby nie pozwolić jej ujść na zewnątrz, zdławiłaby swoim ogromem.

Już od dwóch godzin światła pogasły w Paryżu, na ulicach robiło się pusto. Wszystkie zegary przedmieścia Saint-Germain wydzwoniły jedenastą; pogoda była łagodna i cicha. D'Artagnan postępował zaułkiem, gdzie dziś ulica d'Assas, i oddychał przyniesioną powiewem wiatru od strony ulicy de Vaugirard wonią, którą słały ogrody odświeżone wieczorną rosą i chłodem cichej nocy letniej.

Z daleka brzmiały przygłuszone szczerze zamkniętymi okiennicami śpiewy pijaków zapóźnionych w różnych szynkowniach¹⁹⁹. Doszedłszy do końca zaułka, d'Artagnan zawrócił na lewo. Dom, w którym mieszkał Aramis, znajdował się pomiędzy ulicą Cassette a ulicą Sarvandoni. Minął ulicę Cassette i drzwi domu przyjaciela rysowały się już przed nim w ciemności, otulone gąszczem bluszczu i klonów, gdy dostrzegł coś na kształt cienia, wysuwającego się z ulicy Sarvandoni.

To coś było osłonięte płaszczem tak, że zrazu d'Artagnan sądził, iż jest to mężczyzna; lecz mały wzrost, niepewny chód i lękliwe ruchy wkrótce dały mu poznać, że była to kobieta. Co więcej, owa kobieta, jak gdyby nie wiedząc, gdzie znajduje się dom, do którego dąży, oglądała się dokoła, stawiała, zawracała i szła znowu dalej.

D'Artagnan zapałał ciekawością.

„A gdybym jej ofiarował swe usługi? — pomyślał. — Z ruchów znać, że jest młoda, a może i ładna. O! Z pewnością! Kobieta przebiegająca o tej porze ulicę wychodzi jedynie po to, aby spotkać się z kochankiem. E! Do licha! Gdybym przeszkodził schadzce, wybrałbym nieosobliwe drzwi do wejścia w przyjazne stosunki”.

Kobieta ciągle postępowała dalej, licząc domy i okna. Nietrudna to zresztą i niedługa była historia. W tej części ulicy znajdowały się tylko trzy domy mieszkalne. Dwoje okien wychodziło na nią: jedno w pawilonie, równoległym do zamieszkanego przez Aramisa, drugie z jego własnego mieszkania.

— Do kaduka — mruknął d'Artagnan, któremu przyszła na myśl siostrzenica teologa — a to byłoby zabawne, gdyby ta zapóźniona gołąbka szukała domu naszego przyjaciela. Na honor, jakoś bardzo mi na to wygląda. Kochany Aramisie... teraz już nie chcę mieć żadnej wątpliwości.

I kuląc się, jak mógł najbardziej, przyparł do muru obok kamiennej ławki, w głębi framugi.

Młoda kobieta wciąż szła, a lekki chód znamionował jej młodość. Od czasu do czasu pokaszliwała leciutko, zdradzając przy tej sposobności dźwięczny i świeży głosik. D'Artagnanowi przyszło na myśl, że ten kaszel może być umówionym hasłem.

Czy odpowiedziano na ten umówiony znak innym odpowiednim znakiem, który rozproszył niepewność nocnego gościa, czy też bez cudzej pomocy poznała, że stoi u celu wycieczki, dość, że śmiało przystąpiła do okiennicy Aramisa i zapukała w trzech równych przerwach zgiętym paluszkciem.

— Ani chybi, że to do niego — mruknął d'Artagnan. — A! Panie hipokryto!... Mam cię, kochanku, jak nad teologią pracujesz!...

Miłość, Radość

¹⁹⁹szynkownia — gospoda, zajazd, oberża. [przypis edytorski]

Zaledwie dało się słyszeć pukanie, otworzyło się okno wewnętrzne i przez szpary okiennicy pokazało się światło.

— Ho! Ho! — szepnął z cicha podsluchujący nie pod drzwiami, lecz pod oknami. — O! Wizyta była oczekiwana. A teraz okiennica się otworzy i damulka wdrapie się przez okno. Wybornie!

Lecz, ku jego wielkiemu zdziwieniu, okiennica pozostała zamknięta. Co więcej — światło, które zabłysło na chwilę, zniknęło i wszystko pogrążyło się w ciemnościach.

D'Artagnan pewny, że to nie potrwa długo, wytrzeszczał oczy i wytężał pilnie słuch.

Miał słuszość, w zaledwie kilka sekund dwa urywane uderzenia rozległy się wewnątrz.

Kobieta z ulicy odpowiedziała jednym i okiennica się otworzyła.

Łatwo pojąć, jak d'Artagnan patrzył i słuchał z chciwością. Na nieszczęście, światło przeniesiono do innego pokoju! Ale oczy młodzieńca oswoiły się z ciemnością. Zwłaszcza że oczy Gaskończyków, jak mówią, mają własność taką, jak oczy kocie: wybornie widzą wśród nocy.

D'Artagnan zobaczył więc, że młoda kobieta dobyte z kieszeni jakiś biały przedmiot, który, gdy go rozłożyła, przybrał kształt chusteczki. Rozłożywszy ją, pokazała rożek osobie będącej w mieszkaniu.

Co, u diabła, miała znaczyć ta chusteczka?

Z miejsca, gdzie d'Artagnan stał, nie mógł widzieć twarzy Aramis, ale ani nawet na chwilę nie wątpił, że to jego przyjaciel prowadzi rozmowę od wewnątrz z damą stojącą na zewnątrz. Ciekawość jednak przemogła rozsądek. Korzystając więc z zajęcia, w jakim widok chusteczki zdawał się pogrążyć dwie osoby wchodzące w grę, wyszedł ze swej kryjówki i szybki jak błyskawica, tłumiąc odgłos kroków, przypadł do rogu muru, skąd jego wzrok jak najlepiej mógł się zagłębić do wnętrza mieszkania Aramis.

Stanąwszy tam, o mało nie wydał okrzyku zdumienia. To nie Aramis prowadził rozmowę z damą pod oknem, lecz kobieta; d'Artagnan widział na tyle w ciemnościach, że mógł rozróżnić ubranie, nie widział jednak tyle, aby mógł zobaczyć rysy.

Prawie jednocześnie ta, która stała w pokoju, wyjęła z kieszeni drugą chusteczkę, zamieniając na tę, którą jej pokazano. Następnie obie kobiety powiedziały do siebie kilka słów. Nareszcie okiennica zamknęła się; kobieta stojąca pod oknem zawróciła i przeszła o parę kroków od d'Artagnana, zakrywając się kapturkiem płaszcza. Ostrożność ta jednak została przedsięwzięta za późno, bo przedtem już d'Artagnan poznał panią Bonacieux.

Pani Bonacieux! Podejrzewał on już, że to była ona, gdy zobaczył chusteczkę wyjętą z kieszeni; nie przypuszczał jednak, aby pani Bonacieux, która posłała po pana de La Porte, by ją odprowadził do Luwru, uganiała się sama jedna po ulicach Paryża o wpół do dwunastej w nocy, narażając się na powtórne porwanie. Musiał być nader ważny powód. A jakież może on być dla kobiety dwudziestopięcioletniej? Miłość. Ale, czy to na rachunek własny, czy na cudzy, wystawiała się na nocne przygody? Pytanie to dręczyło młodzieńca, któremu szatan zazdrości pożerał serce, ni mniej, ni więcej, jak gdyby był już uprawnionym kochankiem.

Ażeby przekonać się, dokąd pójdzie pani Bonacieux, pozostawał mu jedyny sposób: iść za nią. D'Artagnan instynktownie użył go. Lecz na widok mężczyzny, który oderwał się od muru jak posąg od framugi, i na odgłos kroków rozlegających się poza nią, pani Bonacieux wydała lekki okrzyk i poczęła uciekać.

D'Artagnan pogonił. Nietrudną było rzeczą dopędzić kobietę, której płaszcz krępował ruchy. Wkrótce też znalazł się tuż przy niej. Nieszczęsna, wyczerpana była nie zmęczeniem, lecz przerażeniem, i gdy d'Artagnan położył rękę na jej ramieniu, przyklękła na jedno kolano, wołając zdławionym głosem:

— Zabij mnie, ale nic się nie dowiesz!

D'Artagnan podniósł ją, obejmując wpół. Lecz czując po ciężarze, że jest bliska zemdlenia, zaczął uspakajać ją najczulszymi słowami. Słowa te nie wpłynęły na uspokojenie pani Bonacieux, tak samo odzywać się mógł ktoś mający jak najgorsze zamiary w świecie; lecz tu stanowił o wszystkim głos. Jego brzmienie wydało się jej znajome. Uchyliła powieki i szybkim wejrzeniem ogarnęła tego, który tak strasznie ją przeraził, a poznawszy d'Artagnana, wykrzyknęła radośnie.

— O! To pan! To ty!... Dziękuję ci, Boże!

— Tak, to ja — odrzekł d'Artagnan — ja, zesłany przez Boga, abym czuwał nad panią.

— Czy i w tym zamiarze śledził mnie pan? — spytała z zalotnym uśmiechem młoda kobieta, której drwiące usposobienie poczyniło się objawiać, bo znikły jej wszelkie obawy z chwilą, kiedy poznała przyjaciela w tym, którego uważała za wroga.

— Nie — odrzekł d'Artagnan — przyznaję, że nie. Wypadek postawił mnie na drodze pani. Widząc kobietę, pukającą do okna jednego z moich przyjaciół...

— Jednego z pańskich przyjaciół? — przerwała pani Bonacieux.

— Bez wątpienia, Aramis jest moim najlepszym przyjacielem.

— Aramis! Któż to taki?

— Cóż znowu?... Chcesz pani powiedzieć może, iż nie znasz Aramisa?

— Pierwszy raz w życiu słyszę to nazwisko.

— Więc to po raz pierwszy przychodzisz pani do tego domu?

— Rozumie się.

— I nie wiedziałaś pani, że w nim mieszka człowiek młody?

— Nie.

— Muszkieter?

— Nic nie wiedziałam.

— Więc pani nie do niego przysłaś?

— Wcale nie. Wreszcie widziałeś pan dobrze, że osoba, z którą rozmawiałam, jest kobietą.

— Prawda, lecz ta kobieta jest jedną z przyjaciółek Aramisa.

— Nie wiem.

— Skoro u niego przebywa...

— To do mnie nie należy.

— Więc któż to taki?

— O! To nie moja tajemnica.

— Droga pani Bonacieux, jesteś czarującą, ale zarazem strasznie tajemniczą kobietą...

Tajemnica, Kobieta

— Czy coś na tym tracę?

— Nie, przeciwnie, jesteś godna ubóstwienia.

— Kiedy tak, podaj mi pan ramię.

— Najchętniej. A teraz?

— A teraz prowadź mnie.

— Dokąd?

— Tam, dokąd idę.

— A dokąd pani idzie?

— Zobaczysz pan, ponieważ opuścisz mnie u drzwi.

— Czy będzie można poczekać na panią?

— Byłoby to daremne.

— Powrócisz więc pani sama?

— Może tak, a może nie.

— Ale któż pani będzie towarzyszyć, mężczyzna czy kobieta?

— Nic jeszcze nie wiem.

— No to ja będę wiedział.

— W jaki sposób?

— Poczekam, ażeby zobaczyć, jak pani będzie wychodziła.

— Kiedy tak, to żegnam!

— Dlaczego?

— Nie potrzebuję pana.

— Ależ pani żądała...

— Pomocy szlachcica, a nie dozoru szpiega.

— Słówko trochę za ostre.

— A jak nazywają tych, którzy śledzą ludzi wbrew ich woli?

— Niedyskretnymi.

— Nazwa trochę za łagodna.

— Cóż robić, widzę, że trzeba tak chcieć, jak pani chce.

— Czemuż ująłeś pan sobie zasługi, nie czyniąc tego od razu?

— Czyż nie ma ludzi bez winy i żalu?
— Żałujesz więc pan prawdziwie i szczerze?
— Sam nie wiem, doprawdy. To tylko wiem, że przyrzekam spełnić wszystkie pani rozkazy, jeżeli pozwolisz mi towarzyszyć tam, dokąd idziesz.

— I zostawisz mnie pan potem samą?
— Tak.
— I nie będziesz śledził mnie, gdy będę wychodzić?
— Nie.

— Słowo honoru?
— Słowo szlacheckie!
— Więc daj mi pan rękę i chodźmy.

D'Artagnan podał jej ramię, na którym oparła się na wpół roześmiana, na wpół drżąca, i udali się oboje w górę ulicy de la Harpe.

Doszedłszy tam, młoda kobieta zawahała się widocznie, tak samo jak na ulicy Vaugirard. Musiała poznawać bramy domów po jakichś znakach, podchodząc ku nim.

— Teraz, panie — rzekła — tutaj właśnie mam czynność do załatwienia. Tysiącne dzięki za twoje zacne towarzystwo, które uchroniło mnie od wszelkich niebezpieczeństw, na jakie, idąc sama, byłabym wystawiona. Nadeszła chwila dotrzymania danego mi słowa, przyszedł na miejsce przeznaczenia.

— I nie będziesz pani miała żadnej obawy, powracając?
— Mogę się obawiać tylko złodziei.
— Czyż to nie dość?
— Cóż by mogli mi zabrać? Szeląga²⁰⁰ przy sobie nie mam.
— Zapominasz pani o chusteczce z herbami haftowanymi.
— O jakiej?

— O tej, którą u nóg twoich znalazłem i do kieszeni jej włożyłem.

— Milcz! Milcz! Nieszczęsny! — krzyknęła kobieta. — Czy chcesz mnie zgubić?

— Widzisz więc pani, że ci jeszcze grozi niebezpieczeństwo, bo przyznajesz, że gdyby to słowo zostało usłyszane, byłabyś zgubiona. O pani, wysłuchaj mnie — zawołał d'Artagnan, ujmując jej rękę i obejmując ją płomiennym wejrzeniem — wysłuchaj! Bądź łaskawsza dla mnie i zaufaj mi. Czyż nie wyczytałaś z mych oczu, iż serce moje jest przepełnione poświęceniem i sympatią dla ciebie?!

— Wierzę — odrzekła pani Bonacieux. — Zażądaj pan tajemnic moich, a powiem ci je wszystkie, lecz nic domagaj się tych, które nie należą do mnie.

— Dobrze — odrzekł d'Artagnan — więc sam je odkryję. Skoro tajemnice te mają mieć wpływ na pani życie, muszę je poznać.

— Strzeż się pan — zawołała młoda kobieta z powagą, która przejęła d'Artagnana mimowolnym dreszczem. — O! Nie mieszaj się do tego, co do mnie należy, nie usiłuj dopomagać mi w tym, co spełniam sama. Żądam tego w imię sympatii, jaką budzę w panu, w imię przysługi, którą mi wyświadczyłeś, a której, póki żyję, nie zapomnę. Chciej uwierzyć raczej w to, co mówię. Nie zajmuj się pan mną więcej, niech nie istnieję dla ciebie, niechaj tak będzie, jak gdybyś mnie nigdy w życiu nie widział.

— Czy i Aramis winien uczynić tak samo jak ja? — zapytał do żywego dotknięty d'Artagnan.

— Pan już dwa czy trzy razy powtórzył to imię, a mówiłam ci, że go wcale nie znam.

— Nie znasz pani człowieka, do którego okiennicy pukałaś przed chwilą? Pani masz mnie za zbyt naiwnego!

— Przyznaj pan, że układasz całą historię, aby wyciągnąć mnie na słówka, i tego Aramisa wymyśliłeś po prostu.

— Nic nie wymyśliłem ani nic nie układam, mówię tylko najszczerzą prawdę.

— Utrzymujesz więc, iż jeden z twoich przyjaciół mieszka w tym domu?

— Powiedziałem i po raz trzeci powtarzam, iż dom ten zamieszkuje jest przez mego przyjaciela, a jest nim Aramis.

— Wszystko to wyjaśni się później — szepnęła kobieta — a teraz milcz, błagam pana.

²⁰⁰szeląg — dawna drobna moneta miedziana. [przypis edytorski]

— Gdybyś pani była w stanie zajrzeć w moje serce — odezwał się d'Artagnan — wyczytałabyś w nim tyle ciekawości, iż litość byś dla mnie uczuła, a miłości tyle, iż zaspokoiliabyś natychmiast moją ciekawość. Nie powinniśmy się obawiać tych, którzy nas kochają.

— Za prędko prawisz o miłości, mój panie! — odezwała się młoda kobieta, potrząsając głową.

— Bo miłość ta przyszła na mnie nagle i to po raz pierwszy; nie mam jeszcze dwudziestu lat.

Kobieta spojrzała na niego ukradkiem.

— Posłuchaj mnie, pani, już wpadłem na ślady — rzekł d'Artagnan. — Trzy miesiące temu o mało nie doszło do pojedynku z Aramisem o chustkę podobną do tej, którą pokazywałaś damie przebywającej u niego, o chusteczkę znaczoną w ten sam sposób. Jestem tego pewny.

— Panie — odpowiedziała młoda kobieta — przysięgam ci, iż męczysz mnie okrutnie tym badaniem.

— Ale ty, pani, tak przezorna, pomyśl, że gdybyś została uwięziona z chusteczką tą, gdyby ci ją pochwyciono, nie byłabyś skompromitowana?

— Z jakiej racji? Wszak litery moje są: K. B., Konstancja Bonacieux.

— Albo też Kamila de Bois-Tracy.

— Cicho, panie, cicho! Jeżeli nie powstrzymuje cię myśl o moim niebezpieczeństwie, pomyśl o tym, na które sam się narażasz!

— Ja?

— Tak, dla ciebie niebezpieczeństwo więzienia, dla mnie niebezpieczeństwo śmierci!

— To ja pani nie odstąpię.

— Panie — odezwała się, błagalnie składając ręce — panie, na imię Boskie, na honor żołnierski, w imię uczciwości szlacheckiej, oddał się. Słuchaj, północ już bije, to godzina, o której na mnie czekają.

— Pani — rzekł młodzieniec z ukłonem — nie jestem w stanie odmówić, gdy mnie ktoś prosi w ten sposób; bądź zadowolona, odchodzę.

— I nie będziesz pan szedł za mną, nie będziesz mnie śledził?

— Wracam natychmiast do siebie.

— O! Wiedziałam to od razu, że zacnym młodzieńcem jesteś! — zawołała pani Bonacieux, podając mu rękę, a drugą biorąc za młotek u maleńkich drzwi ukrytych w murze. D'Artagnan pochwycił podaną sobie rękę i wycisnął na niej gorący pocałunek.

— O! Wolałbym, gdybyśmy się nigdy nie spotkali — zawołał z tą naiwną prostotą, która więcej ujmuje kobiety niż gładkie słówka grzeczności; odsłania ona bowiem głębię myśli i dowodzi, że uczucie bierze nad rozumem górę.

— Kiedy tak... — odrzekła pani Bonacieux głosem pieszczotliwym nieledwie, ściskając rękę d'Artagnana, który przytrzymał jej rączkę — to kto wie, czy wtedy, gdy już będę zwolniona z przysięgi, nie uczynię zadość pańskiej ciekawości?...

— A czy obiecujesz mi to samo dla mojej miłości? — zawołał d'Artagnan w radosnym uniesieniu.

— O! Co do tego, nie chcę się zobowiązywać, będzie to zależeć od uczuć, jakie potrafisz wzbudzić.

— Zatem dziś, pani...

— Dziś, panie, mam dla ciebie jedynie wdzięczność.

— O! Jesteś pani zachwycająca nad wyraz — rzekł ze smutkiem d'Artagnan — i nadużywasz mojej miłości.

— Nie, korzystam tylko z pańskiej szlachetności, ot i wszystko. Wierzej mi jednak szczerze, iż są ludzie, u których nic się nigdy nie traci.

— O! Pani, najszczęśliwszym z ludzi mnie czynisz. Nie zapomnij wieczoru dzisiejszego, nie zapomnij swojej obietnicy.

— Bądź pan spokojny, w przyjaznej chwili przypomnę sobie o wszystkim. A teraz odejdź pan, na imię Boskie! Spóźniłam się już, oczekiwano mnie o samej północy.

— Upłynęło zaledwie pięć minut.

— Tak, lecz w niektórych razach pięć minut staje się pięcioma wiekami.

— Wtedy, gdy kochamy.

— A któż panu mówi, że nie mam do czynienia z zakochanym?
— Więc to mężczyzna oczekuje na panią? — wykrzyknął d'Artagnan. — Mężczyzna!
— O! Znow zaczyna się rozprawa — zauważyła pani Bonacieux, na wpół z uśmiechem, na wpół ze zniecierpliwieniem.

— Nie, nie, odchodzę już, uciekam. Wierzę w ciebie, pani, bo pragnę mieć zasługę w moim poświęceniu dla ciebie, choćby nawet miało być ono głupotą. Żegnaj mi, pani, żegnaj!

I jak gdyby nie czuł się na siłach, aby oderwać się od ręki, którą trzymał w dłoniach, zrobił gwałtowny ruch i oddalił się pędem, gdy pani Bonacieux po trzykroć zapukała uderzeniem powolnym i miarowym, tak samo jak do okiennicy. Dobiegłszy do rogu ulicy, obejrzał się, drzwiczki się otwały i zamknęły i piękna żona kupca zniknęła za nimi.

D'Artagnan szedł dalej. Dał słowo, że nie będzie szpiegował pani Bonacieux i gdyby nawet życie jego zależało od tego, dokąd się uda, lub od osoby, która miała jej towarzyszyć, wróciłby do siebie, bo powiedział, że wróci.

Pięć minut później był już na ulicy des Fossoyeurs.

— Biedny Atos — mówił sam do siebie — nic nie będzie wiedział, co to wszystko znaczy. Może zasnął, czekając na mnie, lub może powrócił do siebie i dowiedział się, że kobieta znajduje się w jego mieszkaniu. Kobieta u Atosa! No, przecież była tam jakaś u Aramis. To wszystko jest niesłychanie dziwne i jestem mocno ciekawy, jak się skończy.

— Żle, panie, źle — odpowiedział mu głos, po którym d'Artagnan poznał Plancheta, gdyż rozmawiając z sobą głośno, jak zwykle ludzie roztargnieni, wszedł do sieni, z której schody prowadziły do jego mieszkania.

— Jak to źle? Co ty pleciesz, durniu? — zapytał d'Artagnan. — Co się takiego stało?

— Nieszczęście!

— Jakie?

— Najpierw, pan Atos uwięziony.

— Uwięziony?... Atos?... Za co?

— Zastano go u pana i za pana go wzięto.

— A któż go aresztował?

— Straż przyprowadzona przez ludzi w czerni, których pan zmusił do ucieczki.

— Czemuż nie powiedział, jak się nazywa? Czemu nie powiedział, że do tej sprawy wcale nie należy?

— Tego się właśnie wystrzegał najbardziej. Zbliżył się do mnie, mówiąc: „Twój pan nade wszystko winien teraz pozostać wolny, a nie ja, ponieważ on wie o wszystkim, ja o niczym. Będą myśleli, że go mają, przez co zyska na czasie; za trzy dni powiem im, kim jestem, i muszą mnie wypuścić”.

— Brawo!... Atos!... Szlachetne serce!... — mruknął d'Artagnan. — Poznaję go po tym! A co zrobili zbiry?

— Czterech poprowadziło go, nie wiem dokąd, do Bastylii czy też do For-l'Évêque; dwóch zaś pozostało z ludźmi w czerni, którzy przetrząsnawszy wszystkie zakątki, zabrali papiery, jakie tylko były. Dwóch wreszcie w ciągu tej czynności stało u drzwi na straży. Potem, gdy wszystko już się skończyło, odeszli, zostawiając pusty i otwarty dom.

— A Portos i Aramis?

— Nie zastałem ich, więc nie przyszli.

— Mogą jednak przyjść lada chwila, bo powiedziałeś im przecie, iż czekam na nich?

— Tak, panie.

— Zatem nie rusz się stąd ani na krok. Jeżeli przyjdą, powiedz im, co się zdarzyło, niech poczekają na mnie w oberży „Pomme de Pin”, tutaj mogłoby być niebezpiecznie, dom może być strzeżony. Ja śpieszę do pana de Tréville, by mu o wszystkim oznajmić, i sam do nich przyjdę.

— Dobrze, proszę pana.

— Ale ty zostaniesz i nie będziesz się bał! — rzekł d'Artagnan, powracając jeszcze, aby zalecić odwagę słującemu.

— Niech pan będzie spokojny — rzekł Planchet. — O! Pan mnie jeszcze nie zna; jak sobie powiem, to jestem odważny, muszę tylko sobie powiedzieć. Zresztą jestem Pi-kardyjczykiem.

Odwaga

— Więc zrozumiałeś już: dasz się raczej zabić, a nie opuścisz tego domu.

— Tak, panie, o! Nie ma rzeczy, której bym nie uczynił, by panu dowieść mego przywiązania.

— Dobrze — rzekł d'Artagnan do siebie — widocznie metoda, której użyłem względem tego chłopca, była bardzo trafna, przy sposobności będę ją nadal stosował.

I na ile mu na to pozwoliły nogi, bo już czuł się zmęczony bieganiną, popędził na ulicę du Vieux-Colombier.

Nie zastał pana de Tréville w domu. Jego oddział był w Luwrze na służbie, a on razem ze swym oddziałem. Trzeba było koniecznie dotrzeć do niego i zawiadomić o tym, co się dzieje. D'Artagnan postanowił więc wcisnąć się do Luwru.

Mundur straży pana des Essarts winien mu być utorować drogę. Zszedł więc na ulicę Petits-Augustins i zawrócił na bulwar, aby przejść przez Pont Neuf²⁰¹. Powziął na chwilę zamiar przepłynięcia się promem przez rzekę, lecz stanąwszy już nad brzegiem, wsunął machinalnie rękę do kieszeni i przekonał się, że nie ma czym zapłacić przewoźnikowi.

Gdy podążył już w górę ulicy Guénégaud, dostrzegł dwie osoby wychodzące z ulicy Dauphine, a ich powierzchowność mocno go uderzyła: byli to kobieta i mężczyzna.

Pierwsza przypominała panią Bonacieux, drugi podobny był do Aramis.

Nadto kobieta była okryta takim samym płaszczem, jaki zarysował mu się na tle okiennicy przy ulicy Vaugirard i na drzewczkach ulicy de la Harpe.

Co więcej, mężczyzna miał na sobie mundur muszkieterski.

Kobieta szła z opuszczonym kapturkiem, mężczyzna trzymał przy twarzy chusteczkę. Ostrożność ta wskazywała, że jak jej, tak i jemu zależało na tym, aby ich nie poznano.

Weszli na most.

Tą drogą miał iść i d'Artagnan do Luwru; poszedł więc za nimi.

Nie zrobił jeszcze dwudziestu kroków, gdy upewnił się w podejrzeniu, że kobietą jest pani Bonacieux, a mężczyzną Aramis.

Wszystkie podejrzenia zazdrości wstrząsnęły mu serce.

Pani Bonacieux przysięgała mu, że nie zna Aramisa, a kwadrans po tych zakłękciach spotyka ją oto przy jego boku!

Nie zastanowił się tylko, że znał piękną żonę kupca zaledwie od trzech godzin, że nic mu nie była winna prócz nieco wdzięczności za wyrwanie z rąk ludzi w czerni, którzy chcieli ją porwać, i że nie dała mu żadnych obietnic. Wszakże miał się za kochanka zhańbionego, zdradzonego, sponiewieranego. Zakipiał gniewem, krew mu uderzyła do skroni, postanowił wszystko wyjaśnić.

Dwoje młodych ludzi spostrzegło, iż są śledzeni, podwoili więc kroku.

D'Artagnan pośpieszył, wyminął ich, następnie zawrócił i poszedł ku nim w chwili, gdy przechodzili pod latarnią, która rzuciła światło na całą tę część mostu.

Zatrzymał się przed nimi i oni też stanęli.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał muszkietier akcentem cudzoziemskim, jakby chciał dowieść d'Artagnanowi, iż myli się co do swych przypuszczeń.

— To nie Aramis! — wykrzyknął.

— Nie, panie, wcale nie Aramis. A po wykrzyknieniu tym widzę, że za kogoś innego mnie wzięłeś, przebaczam więc panu.

— Przebaczasz mi pan? — zawołał d'Artagnan.

— Tak — odrzekł nieznajomy — ustąp pan więc z drogi, skoro nie do mnie masz interes.

— Bardzo słusznie, mój panie! — odparł d'Artagnan. — Nie do pana, lecz do pani mam interes...

— Do pani?... Wcale jej nie znasz!... — rzekł nieznajomy.

— Mylisz się pan, ja ją znam!

— O! — odezwała się pani Bonacieux z wymówką. — O, panie! Dałeś mi słowo szlacheckie; spodziewam się, iż mogę na nie liczyć.

— A mnie — odezwał się w zakłopotaniu d'Artagnan — mnie pani przyrzekała...

— Weź mnie pani pod rękę — rzekł cudzoziemiec — i chodźmy dalej.

²⁰¹ *Pont Neuf* — XVII-wieczny most nad Sekwaną w Paryżu, jego budowę zarządził w 1577 król Henryk III, ukończony w 1607 za panowania Henryka IV; najstarszy istniejący most w mieście. [przypis edytorski]

D'Artagnan, oszołomiony, zdreptał tym wszystkim, co go spotkało, stał jak wryty z rękami skrzyżowanymi na piersiach przed muszkietierem i panią Bonacieux.

Muskietier zrobił dwa kroki i ręką odsunął na bok d'Artagnana.

Ten rzucił się w tył i dobył szpady.

Jednocześnie, z błyskawiczną szybkością, nieznajomy uczynił to samo.

— Milordzie, na Boga! — krzyknęła pani Bonacieux, rzucając się pomiędzy walczących i rękami chwytając za ostrza.

— Milord!... — zawołał d'Artagnan, myślą nagle oświecony. — Milord!... Wybacz panie, byłoby...

— Milord, książę Buckingham — odezwała się półgłosem pani Bonacieux. — A teraz możesz nas wszystkich zgubić.

— Milordzie, pani, przebaczenia! Po tysiąc razy przebaczenia!... Ale ja kochałem ją i byłem zazdrosny, a wiesz przecie, milordzie, co to kochać. Przebacz mi i powiedz, w jaki sposób życie za ciebie oddać.

— Dzielnym z ciebie młodzieniec — rzekł Buckingham, podając mu rękę, którą tenże uściśnął z szacunkiem. — Ofiarujesz mi swoje usługi, przyjmuję. Idź za nami o dwadzieścia kroków aż do Luwru; gdyby nas ktoś śledził, zabij go!

D'Artagnan wziął pod pachę obnażoną szpadę, pozwolił pani Bonacieux i Buckinghamowi wyprzedzić się o dwadzieścia kroków i postępował za nimi, gotów spełnić co do litery zlecenia świętego ministra Karola I²⁰².

Na szczęście jednak młodzieniec nie miał najmniejszej okazji, aby dowieść wierności, i młoda kobieta z pięknym muszkietierem dostali się do Luwru przez furtkę od ulicy de l'Échelle bez najmniejszej przeszkody.

D'Artagnan zaś udał się niezwłocznie do oberży „Pomme de Pin”, gdzie zastał oczekujących na niego Portosa i Aramis.

Nie tłumacząc się ze sprawionego im niepokoju, oświadczył tylko, iż sam zakończył sprawę, do której chwilowo odwołał się o ich współudział.

A teraz, idąc za biegiem naszego opowiadania, zostawiwszy trzech przyjaciół wracających do domu, zapuścmy się w zaułki Luwru, za księciem Buckinghamem i jego przewodniczką.

ROZDZIAŁ XII. JERZY VILLIERS, KSIĄŻĘ BUCKINGHAM

Pani Bonacieux i książę bez żadnych trudności weszli do Luwru; pierwsza jako należąca do służby królowej, książę zaś dzięki mundurowi muszkietierów pana de Tréville, którzy, jak wiadomo, byli tego wieczora na służbie. Wreszcie Germain sprzyjał królowej, a w najgorszym wypadku tylko pani Bonacieux byłaby obwiniona o wprowadzenie swego kochanka do Luwru. Całą winę brała ona na siebie.

Dostawszy się na dziedziniec, oboje postępowali pod murem ze dwadzieścia pięć kroków. Potem pani Bonacieux nacisnęła klamkę drzwiczek służbowych, w dzień otwartych, lecz w nocy zwykle zamkniętych.

Wszedłszy tam, znaleźli się w ciemnościach.

Lecz pani Bonacieux знаła wszelkie zaułki w tej części Luwru, która była przeznaczona dla służby.

Zamknęła drzwi za sobą, wzięła księcia za rękę, przeszła kilka kroków po omacku, uchwyciła za poręcz, postawiła na stopniu nogę i zaczęła wchodzić na górę — książę naliczył dwa piętra.

Wtedy zawróciła na prawo, minęła długi korytarz, zeszła w dół jedno piętro, jeszcze kilka kroków i klucz włożyła w zamek.

Drzwi się otworzyły, a książę został wpuszczony do komnaty oświetlonej tylko jedną lampą nocną.

Wówczas rzekła do niego:

— Zaczekaj tu, milordzie, wkrótce nadejdzie.

Wyszła tymi samymi drzwiami, zamykając je na klucz, tak że książę literalnie²⁰³ był uwięziony.

²⁰²Karol I Stuart (1600–1649) — król Anglii i Szkocji (od 1625), następca Jakuba I Stuarta. [przepis edytorski]

²⁰³literalnie — dosłownie. [przepis edytorski]

Jakkolwiek tak osamotniony, książę ani na chwilę nie doznał obawy.

Jedną z najwybitniejszych cech jego charakteru było uganianie się za przygodami i zamięłowanie do romantycznych zdarzeń.

Odwagi, zuchwały i przedsiębiorczy, nie po raz pierwszy narażał życie dla podobnych zachcianek.

Dowiedział się już, iż rzekome wezwanie Anny Austriackiej²⁰⁴, na które przybył do Paryża, było po prostu zasadzką. Zamiast powrócić do Anglii, skorzystał ze sposobności, jaką mu nastręczono, i oznajmił królowej, że nie odjedzie, dopóki się z nią nie zobaczy.

Zrazu królowa odmówiła stanowczo, później zdjął ją strach, aby zrozpaczony książę nie popełnił jakiegoś szaleństwa. Była już gotowa przyjąć go i błagać, aby natychmiast odjechał, kiedy tego wieczora, gdy przychyliła się do jego prośb, pani Bonacieux, mająca polecenie pójść po księcia i przyprowadzić go do Luwru, została porwana. W ciągu dwóch dni nie wiadano wcale, co się z nią dzieje, i wszystko zostało w zawieszeniu. Skoro się jednak uwolniła i porozumiała z de La Porte, rzeczy przybrały swój bieg na nowo i pani Bonacieux spełniła to niebezpieczne zadanie, które, gdyby nie jej uwięzienie, doszłoby do skutku trzy dni wcześniej.

Buckingham, pozostawszy sam, stanął przed lustrem. Ślicznie wyglądał w ubraniu muszkieterskim.

W trzydziestym piątym roku życia słusznie uchodził za najpiękniejszego mężczyznę i najwytworniejszego kawalera zarówno we Francji, jak w Anglii. Ulubieniec dwóch królów, milioner, wszechwładny w królestwie, gdzie sprawiał przewroty według fantazji i poskramiał według zachcianek, Jerzy Villiers, książę Buckingham, wiódł życie w sposób tak bajeczny, że z biegiem wieków pozostawić mogło podziw u potomności.

Pewny siebie, przeświadczony o swojej władzy, spokojny, iż prawa rządzące innymi jego nie mogą osiągnąć, szedł prosto do zamierzonego celu, choćby był on tak wysoki i olśniewający, że dla innego szaleństwem byłoby nawet o nim pomyśleć.

Dzięki temu dostąpił już kilkakrotnie zbliżenia do pięknej i dumnej Anny Austriackiej i oczarowawszy ją, zmusił do kochania.

Stanął teraz przed lustrem, jak powiedzieliśmy, przywrócił pięknym jasnym włosom ich falistość, która zniknęła pod ciężarem kapelusza, podkręcił wąsa i z sercem wezbranym radością, szczęśliwy i dumny z dostąpienia chwili, której tak pragnął od dawna, uśmiechał się do siebie, przejęty nadzieją i dumą.

Naraz otworzyły się drzwiczki, ukryte w obiciu, i ukazała się kobieta.

Była to królowa.

Anna Austriacka miała wtedy dwadzieścia pięć do dwudziestu siedmiu lat i była w całym blasku piękności.

Jej chód był chodem królowej i bogini zarazem, oczy z odbłyśkiem szmaragdu wprawiły w niewypowiedziany zachwyt, ich spojrzenie tchnęło słodyczą i majestatem. Usteczka mała i pąsowe²⁰⁵, a jakkolwiek wargi dolne, jak u wszystkich książąt domu austriackiego, wystawała bardziej niż górna, uśmiech roztaczał urok niepomierny.

Umiała też jednak nadać ustom wyraz okrutnie wzgardliwy, gdy chciała wyrazić nienawiść.

Jej płeć²⁰⁶ słyęła z miękkości i puszystości, ręce i ramiona zadziwiała pięknnością i wszyscy ówcześni poeci opiewali je jako niezrównane.

Wreszcie włosy, jasne w pierwszej młodości, a teraz ciemniejsze, upudrowane, okalały cudownie jej twarz, od której najostrzejszy krytyk mógłby tylko wymagać nieco mniej różu, a najwybredniejszy rzeźbiarz trochę delikatniejszych linii nosa.

Buckingham stanął olśniony.

Nigdy tak piękna mu się nie wydała, ani na balach, uroczystościach, ani na turniejach, jak obecnie, w skromnej sukni z białego atlasu²⁰⁷, mając przy boku *donnę*²⁰⁸ Estefanię,

Kobieta, Piękno, Uroda

²⁰⁴Anna Austriacka (1601–1666) — królowa Francji i Nawarry od 1615 jako żona Ludwika XIII, a następnie wdowa po nim. [przypis edytorski]

²⁰⁵pąsowy — jasnoczerwony. [przypis edytorski]

²⁰⁶płeć (daw.) — cera. [przypis edytorski]

²⁰⁷atlas — miękka tkanina, która ma jedną stronę błyszczącą, a drugą matową. [przypis edytorski]

²⁰⁸donna (wł.) — pani, kobieta. [przypis edytorski]

jedyną z dam hiszpańskich, która nie została wygnana przez zazdrość króla ani przez prześladowanie Richelieu.

Anna Austriacka postąpiła parę kroków.

Buckingham rzucił się jej do kolan i zanim zdołała mu przeszkodzić, ucałował brzeg jej sukni.

— Książę, wiesz już, że to nie ja pisałam do ciebie.

— O! Tak, pani. O! Tak, królowo! — wykrzyknął książę. — Wiem, iż byłem nierozumnym szaleńcem, sądząc, iż lód się ożywi, marmur ogrzeje; lecz co począć, gdy kochamy, łatwo w miłość wierzymy. Wreszcie nic na tej podróży nie straciłem, skoro cię oglądam.

— Tak — odrzekła Anna — lecz pan wiesz, dlaczego i w jakim celu widzę się z tobą, bo, nieczuły na wszystkie moje udręczenia, uparłeś się pozostawać w mieście, gdzie narażasz swoje życie, a moją cześć. Przysłałam, ażeby powiedzieć panu, iż wszystko nas przedziela, głębokość morza, nieprzyjaźń rządów i świętość przysięgi. Świętokradztwem jest walczyć przeciw takim siłom, milordzie. Wreszcie, widzę się z tobą, aby ci jeszcze powiedzieć, że więcej nie możemy się widywać.

— Mów pani, mów królowo — rzekł Buckingham — słodycz głosu twego łagodzi gorycz twych słów. O świętokradztwie mówisz! Ależ świętokradztwem jest rozłąka dwojga serc, które Bóg stworzył jedno dla drugiego.

— Milordzie!... — zawołała. — Zapominasz, iż nigdy nie powiedziałam, że cię kocham!...

— Lecz nigdy mi nie powiedziałaś także, że nie kochasz mnie pani wcale. I doprawdy wyrzec takie słowa byłoby zbyt wielką niewdzięcznością ze strony Waszej Królewskiej Mości. Bo powiedz mi, gdzie znajdziesz miłość podobną do mojej, miłość, której ani czas, ani oddalenie, ani rozpacz nie mogą ugasić; miłość, która zadowala się zgubioną wstążką, przelotnym wejrzeniem, nieobliczonym słówkiem. Trzy lata temu, pani, po raz pierwszy cię ujrzałem i odtąd w ten sposób cię kocham. Czy chcesz, abym ci powiedział, jak byłaś ubrana, gdy po raz pierwszy cię ujrzałem? Chcesz, abym opisał szczegółowo każdą ozdobę twojego ubioru? Racz słuchać, królowo, widzę cię jeszcze: siedziałaś na ziemi, według obyczaju hiszpańskiego, miałaś suknię z zielonego atlasu, złotem i srebrem haftowaną, rękawy rozwarłe i diamentami podpięte na pięknych ramionach, na tych ramionach cudownych; pod szyją miałaś kryżę²⁰⁹, maleńki birecik²¹⁰ na głowie tegoż koloru, co suknia, a na nim wspaniałe pióro czaple. O! Słuchaj, zamykam oczy i widzę cię taką, jaką byłaś wtenczas; otwieram je i widzę cię taką, jaką jesteś teraz, czyli jeszcze stokroć piękniejszą!

— Co za szaleństwo!... — szepnęła Anna Austriacka, nie mając odwagi gniewać się na księcia, że tak wiernie zachował w swym sercu jej obraz. — Co za szaleństwo karmić daremną namiętność takimi wspomnieniami!...

— A czymże mogę żyć? Nic nie posiadam prócz moich wspomnień. To moje szczęście, mój skarb, moja nadzieja. Za każdym razem, gdy widzę ciebie, jeden diament przybywa do skarbcza mojego serca. Ten jest czwartym, który mi rzucasz, a ja go podnoszę skwapliwie; bo w ciągu trzech lat, pani, widziałem cię tylko cztery razy: pierwszy, jak już wspomniałem, drugi u pani de Chevreuse, a trzeci w ogrodach w Amiens.

— Książę — rzekła królowa, rumieniąc się — nie wspominaj tego wieczoru.

— O! Pani, przeciwnie, wspominajmy, mówmy o nim: to promienny i najszczęśliwszy wieczór w moim życiu. Czy przypominasz sobie tę przecudną noc? Jak ciepło i wonne było powietrze, niebo błękitne, gwiazdami usiane! O! Ten raz jeden, pani, przez chwilę mogłem sam pozostać z tobą; gotowa byłaś wtedy wypowiedzieć mi wszystko: osamotnienie twojego życia, twoje serdeczne smutki. Byłaś wsparta na moim ramieniu, o, patrz, na tym właśnie. Czulem, skłaniając ku tobie głowę, włosy piękne, muskające mi twarz, a za każdym takim dotknięciem drżenie przenikało całą moją istotę. O! Królowo, królowo! O! Ty wiesz, ile niebiańskiego szczęścia, rozkoszy, raju podobne chwile zawierają w sobie. Pani! Mój majątek, sławę, lata, które mi pozostają do przeżycia, wszystko bym oddał za taką chwilę, za podobną noc! Bo nocy tej, przysięgam, kochałaś mnie pani szczerze.

Rozstanie

Miłość niespełniona,
Wspomnienia, Strój

²⁰⁹kryża — kolisty marszczony kołnierz, noszony w XVI–XVII w. [przypis edytorski]

²¹⁰biret — rodzaj sztywnej, dekoracyjnej czapki, używanej przy oficjalnych okazjach. [przypis edytorski]

— Być może, milordzie, że tak było; wpływ otoczenia, urok pięknego krajobrazu, potęga twego wzroku, wreszcie tysiące okoliczności, które się zbiegają, aby zgubić kobietę, obieży mnie tego nieszczęsnego wieczoru. Widziałeś jednak, milordzie, jak królowa przyszła z pomocą słabnącej kobiecie. Za pierwszym słowem, które poważyles się wyrzec, za zuchwalstwem, któremu winna byłam odmówić, wezwałam pomoc.

— O! Tak, to prawda, i każda inna, a nie moja, miłość nie zniosłaby takiej próby; lecz moja wyszła z niej tym gorętsza, tym bardziej nieskończona... Sądziłaś, że wracając do Paryża, uciekniesz przede mną, że nie poważę się opuścić skarbu, nad którym mój pan polecił mi czuwać. O! Cóż mnie obchodzić mogą wszystkie skarby świata, wszyscy ziemscy królowie! W tydzień później już byłam z powrotem, pani. Tym razem nic mi nie miałaś do zarzucenia. Zlekceważyłem moje stanowisko, życie, aby ujrzeć cię na sekundę; nawet twej ręki nie dotknąłem, a wtedy, widząc mnie tak uległego i skruszonego, przebaczyłaś mi pani.

— Tak, lecz oszczerstwo pochwyciło te wszystkie szaleństwa, w których nie brałam udziału, wiesz dobrze o tym, milordzie. Król, podżegany przez kardynała, wybuchnął strasliwym gniewem, pani de Vernet została wypędzona, Putange skazany na wygnanie, pani de Chevreuse wpadła w niełaskę, i kiedy chciałeś powrócić do Francji jako ambasador, sam król, pamiętasz to dobrze, milordzie, król sam oparł się temu.

— Tak, i Francja zapłaci wojną za odmowę swojego władcy. Nie mogę cię już widywać, pani; chcę zatem, byś nieustannie słyszała mówiących o mnie! Jaki cel, myślisz pani, miała wyprawa na Ré²¹¹ i związek z protestantami z La Rochelle, który projektuję? O! Tylko rozkosz widywania ciebie, królowo! Nie mam, co prawda, nadziei dotrzeć z bronią w rękę do samego Paryża, lecz wojna może sprowadzić pokój i w takim razie niezbędny będzie pełnomocnik do układów, a pełnomocnikiem tym będę ja. Wtenczas nie poważą się odmówić mi, powrócę do Paryża, ujrzę cię znowu i chociaż przez chwilę stanę się szczęśliwy. Wprawdzie tysiące ludzi przypłaca życiem moje szczęście, lecz cóż mnie to obchodzi, bylebym ciebie mógł znowu zobaczyć. Wszystko to może jest szalone i nierozumne, lecz powiesz mi, królowo, która kobieta miała kochanka więcej rozmiłowanego, jaka władczyni gorliwszego służyć?

— Milordzie, na swoją obronę wywołujesz rzeczy, które cię tylko potępiają, wszystkie dowody miłości, jakie zamyślasz mi dać, są nieledwie zbrodnią.

— Bo nie kochasz mnie, pani, wcale, bo gdybyś mnie kochała, inaczej zapatrywałabyś się na to; bo gdybyś mnie kochała, o, gdybyś mnie kochała... byłby to nadmiar szczęścia, oszalałbym chyba!... Pani de Chevreuse, o której wspomniałaś przed chwilą, była okrutna mniej niż ty, pani. Holland ją kochał i odwzajemniała mu się miłością.

— Pani de Chevreuse nie była królową — szepnęła Anna Austriacka, pomimo woli zwyciężona wyrazem tak głębokiej miłości.

— Więc kochałabyś mnie, pani? Gdybyś nie była królową, kochałabyś mnie zatem? Mogę więc wierzyć, że jedynie godność twego stanowiska czyni cię dla mnie okrutną; mogę myśleć, iż gdybyś była panią de Chevreuse, biedny Buckingham mógłby mieć nadzieję? Dzięki ci za te słodkie słowa, piękna królowo moja, stokrotne dzięki.

— A! Milordzie, przesłyszałeś się i źle zrozumiałeś; nie chciałam powiedzieć...

— Cicho! Cicho! — odezwał się książę. — Jeżeli szczęśliwy z pomyłki, nie popełniaj pani okrucieństwa, uwalniając mnie od niej. Sama to powiedziałaś, iż w sidła mnie wciągnięto, położę w nich moje życie może, bo słuchaj, to dziwne, od jakiegoś czasu mam przeczucie, że umrę niedługo.

I uśmiechnął się smutnie, a zarazem czarująco.

— O! Mój Boże! — zawołała Anna Austriacka z przerażeniem, które dowodziło, iż książę obchodził ją bardziej niż chciała wyznać.

— Nie dlatego bynajmniej to mówię, aby cię, pani, przerazić, o nie. To nawet śmieszne, że o tym wspomniałem, i wierzę mi, że podobne rojenia nie zajmują mnie wcale. Lecz to słowo, które wyrzekłaś, nadzieja, którą mi dałaś nieledwie, starczą za wszystko, nawet za całe życie.

Szaleństwo, Szaleniec,
Miłość niespełniona

Szczęście

²¹¹Ré, właśc. Île de Ré — wyspa przy zach. wybrzeżu Francji w pobliżu La Rochelle; w 1627 zaatakowana przez Anglików pod wodzą George'a Villiersa w ramach oblężenia La Rochelle. [przypis edytorski]

— O! Książę, i ja mam przeczucia, sny jakieś okropne. Śniłam, iż widzę cię broczącego we krwi, rannego okrutnie.

— W serce, wszak tak, i to nożem ugodzonego? — przerwał jej Buckingham.

— O! Tak, milordzie, tak samo, z lewego boku nożem. Kto ci mógł sen mój opowiedzieć? Bogu jednemu zwierzyłam się tylko w moich modlitwach.

— Niczego więcej nie żądam, kochasz mnie pani, to dosyć.

— Ja pana kocham?

— Tak, pani, czyżby Bóg zsyłał ci te same sny, gdybyś mnie nie kochała? Moglibyśmy mieć jedno przeczucie, gdyby nasze istnienia nie łączyły się sercem? Kochasz mnie, królowo, i będziesz mnie opłakiwać!

— O! Boże, mój Boże! — zawołała Anna Austriacka. — To już ponad moje siły. Słuchaj, książę, zaklinam cię na Boga, oddał się, odjeżdżaj. Ja nie wiem, czy kocham cię, czy nie, to tylko wiem, że nigdy nie złamię przysięgi. Ulituj się więc nade mną i odejdz. O! Jeżeli we Francji nieszczęście spadnie na ciebie, jeżeli tu życie położysz, o! Jeżeli bym musiała przypuszczać, że miłość dla mnie stała się przyczyną twojej śmierci, byłabym niepokieszona, oszalałabym z pewnością. Odjeżdżaj zatem, odjeżdżaj, błagam cię o to!

— O! Jakaś ty piękna! Jakże ja cię kocham!... Moja królowo!... — mówił Buckingham wzruszony.

— Oddał się, oddał! Błagam cię raz jeszcze. A później powracaj; powracaj jako ambasador, jako minister otoczony strażą, która będzie cię bronić, służbą, która nie przestanie czuwać. Wtedy nie będę drżała o twoje życie i sprawisz mi szczęście swoim widokiem.

— O! Prawdę jest to, co mi pani mówisz?

— Tak...

— Daj mi więc zakład przebaczenia twego, jakąś rzecz należącą do ciebie, która by mi przypominała, że to nie było snem; coś, co nosiłaś na sobie, co także mógłbym nosić: pierścień, naszyjnik lub łańcuch.

— A czy odjedziesz, gdy dam ci to, czego żądasz ode mnie?

— Tak.

— Natychmiast?

— Tak.

— Opuścisz Francję, powrócisz do Anglii?

— Tak, przysięgam pani.

— Zaczekaj więc, zaczekaj.

Anna Austriacka wróciła do pokoju i wyszła z niego za chwilę, niosąc szkatułkę z drzewa różanego z jej cyfrą, złotem nabijaną.

— Weź to, milordzie — rzekła — i zachowaj po mnie na pamiątkę.

Buckingham wziął szkatułkę i po raz drugi padł na kolana.

— Obiecałeś mi pan, że odjedziesz — wyrzekła królowa.

— Dotrzymam słowa. Podaj mi rękę, królowo, odjeżdżam.

Podawała mu rękę, zamykając oczy i opierając się drugą na ramieniu *donny* Estefanii, czuła bowiem, że ją opuszczają siły.

Buckingham przyłgał namiętnie ustami do tej pięknej ręki i powstając, rzekł:

— Za sześć miesięcy, jeżeli nie umrę, ujrzę cię znowu, pani, choćbym miał całym światem wstrząsnąć!

I wierny przyrzeczeniu, wybiegł z pokoju.

W korytarzu spotkał oczekującą nań panią Bonacieux, która równie ostrożnie i szczególnie wyprowadziła go z Luwru.

ROZDZIAŁ XIII. PAN BONACIEUX

W tych wszystkich wypadkach brała też udział pewna osobistość, którą, z przyczyny jej podrzędnego stanowiska, zajmowano się miernie — pan Bonacieux, czcigodna ofiara intryg politycznych i miłosnych, tak splątanych ze sobą w owej epoce rycerskiej i kochliwej zarazem.

Czytelnicy przypominają sobie, a może i nie przypominają, że przyrzekliśmy nie stracić go z oczu.

Miłość, Sen, Przeczucie

Rozstanie, Dar, Przysięga

Żandarmi, którzy go aresztowali, zaprowadzili go wprost do Bastylii, gdzie drżącemu ze strachu kazali przejść obok gromadki żołnierzy nabijających muszkiety.

Stamtąd, wprowadzony do niskiej galerii podziemnej, stał się dla tych, co go przywiedli, przedmiotem najboleśniejszych pośmiewisk i najdzikszego obejścia.

Widząc, że nie ze szlachcicem mają do czynienia, traktowali go jak ostatniego włóczęgę.

Po upływie blisko pół godziny woźny położył koniec jego męczarniom, lecz nie uspokoił go bynajmniej, wygłaszając rozkaz, aby zaprowadzono pana Bonacieux do sali badań. Badano zwykle więźniów na miejscu, lecz z panem Bonacieux nie robiono zachodów.

Dwóch stróżów pochwyciło kramarza, przeprowadziło przez dziedziniec i kazało mu wejść do korytarza, w którym trzech żołnierzy stało na warcie.

Otworzono drzwi i wepchnięto go do niskiego pokoju, którego umeblowanie stanowiły stół i krzesło. Zastępca sędziego siedział na krześle i był zajęty pisaniem przy stole.

Stróże przywiedli więźnia przed stół i na znak zastępcy sędziego oddalili się, aby nie słyszeć badania.

Zastępca sędziego, trzymający dotąd nos w papierach, podniósł głowę, aby zobaczyć, z kim ma do czynienia.

Był to człowiek o obliczu odpychającym, z nosem spiczastym, żółtymi i wydętymi policzkami, o oczach małych, lecz badawczych i żywych. Fizjonomia jego stanowiła coś pośredniego pomiędzy kuną a lisem. Głowa, osadzona na szyi długiej i ruchliwej, wydobywała się z czarnej sukni, kołysząc się na kształt głowy żółwia wyzierającego ze swojej twardej skorupy.

Rozpoczął badanie, zapytując pana Bonacieux o imię, nazwisko, wiek, stan i miejsce zamieszkania.

Oskarżony odpowiedział, że nazywa się Jakub Michał Bonacieux, że ma pięćdziesiąt jeden lat, że zwinął handel i mieszka przy ulicy des Fossoyeurs, numer II.

Wtedy zastępca, zamiast prowadzić dalsze badanie, wypalił mówkę o niebezpieczeństwie mieszania się w sprawy publiczne takiemu jak on pachółkowi.

Naukę tę pogmatwał z wykazaniem władzy i czynów pana kardynała, ministra nie-zrównanego, zwycięzcy dawnych ministrów, będącego wzorem dla przyszłych. Czynom jego i władzy nikt bezkarnie nie może stanąć na przeszkodzie.

Skończywszy drugą część przemowy, przeszył jastrzębim wzrokiem biednego Bonacieux i wezwał go do zastanowienia się, co ma myśleć o ważności obecnego położenia. Kramarz już się zastanowił, co ma myśleć, i do wszystkich diabłów odsyłał chwilę, kiedy panu de La Porte przyszło do głowy żenić go ze swoją chrześniaczką, a nade wszystko tę, kiedy żona została przyjęta na dozorczynię bielizny królowej.

Podstawą charakteru imię pana Bonacieux był głęboko zakorzeniony egoizm w połączeniu z brudnym skąpstwem, a wszystko to zaprawione wyskokiem tchórzostwa. Miłość, jaką wzbudziła w nim młoda żona, była uczuciem drugorzędnym, niemogącym walczyć z wrodzonymi uczuciami, które wyliczyliśmy przed chwilą.

Bonacieux zastanowił się nareszcie i nad tym, co mu powiedziano przed chwilą.

— Ależ, panie sędzio — odezwał się z zimną krwią — wierzę mi, iż więcej niż ktokolwiek znam i oceniam niezrównane zasługi Eminencji, przez którego mamy zaszczyt być rządzeni.

— Doprawdy? — spytał urzędnik z powątpiewaniem. — Gdyby to było prawdą, w jaki sposób znalazłbyś się w Bastylii?

— W jaki sposób, a raczej dlaczego tu jestem — odrzekł pan Bonacieux — tego właśnie nie mogę w żaden sposób panu wytłumaczyć, bo sam nic a nic nie rozumiem, lecz tylko tego jestem pewny, że w niczym nie obraziłem pana kardynała, przynajmniej, o ile mi wiadomo.

— Musiałeś się jednak dopuścić ciężkiej zbrodni, skoro jesteś obwiniony o najwyższą zdradę.

— O zdradę? — wykrzyknął przerażony Bonacieux. — O zdradę najwyższą? Skądże skromny kramarz, brzydzący się hugenotami i nienawidzący Hiszpanów, może być o nią obwiniony? Zastanów się, panie, to niemożliwe.

— Panie Bonacieux — odezwał się zastępca sędziego, świdrując go małymi oczkami, jak gdyby rzeczywiście miały dar czytania w najskrytszych tajnikach ludzkich serc — pan masz żonę, panie Bonacieux?

— Tak, panie — odpowiedział kramarz z drżeniem, czując, że tutaj właśnie sprawa może się wikłać — to jest, miałem ją, panie.

— Jak to?... Miałeś ją? A cożeś z nią zrobił, jeśli już jej nie masz?

— Porwano mi ją, panie.

— Czy tak?... O!...

Wykrzyknik ten dał kramarzowi do myślenia, że sprawa płacze się coraz więcej.

— Porwano ci ją? — ciągnął dalej. — A czy wiesz, kto popełnił ten gwałt?

— Zdaje mi się, że wiem.

— Któż taki?

— O! Proszę pana, ja na pewno nie twierdzę, ale tylko podejrzewam.

— Kogóż mianowicie? No, odpowiadaj otwarcie.

Pan Bonacieux znalazł się w opałach; miałże przeczyć wszystkiemu czy mówić? Przeczając, ściągnąć mógł na siebie podejrzenie, iż za wiele wiedział, a nic nie chciał wyznać; mówiąc zaś, dawał dowody dobrych chęci.

Postanowił mówić.

— Posądzam — rzekł — wysokiego bruneta, o dumnej postawie, wyglądającego na wielkiego pana. Śledził nas kilkakrotnie, jak mi się zdawało, gdy chodziłem na spotkanie żony do furtki Luwru, aby ją zaprowadzić do domu.

Urzędnik okazał pewne zaniepokojenie.

— Jakże się nazywa? — zapytał.

— O! Tego wcale a wcale nie wiem. Gdybym go jednak spotkał, poznałbym natychmiast, zaręczam, choćby wśród tysiąca ludzi.

Czoło urzędnika zachmurzyło się.

— Poznałbyś go wśród tysiąca, powiadasz? — ciągnął dalej.

— To jest — podchwycił Bonacieux, czując, że się zanadto pośpieszył — chciałem powiedzieć...

— Mówiłeś, że poznałbyś go — rzekł zastępca sędziego — dosyć zatem na dzisiaj. Zanim pójdziemy dalej, musi ktoś być zawiadomiony, iż znasz tego, który ci porwał żonę.

— Ależ ja nie mówiłem, że go znam! — zawołał zrozpaczony Bonacieux. — Powiedziałem przeciwnie...

— Wyprowadzić więźnia — rzekł urzędnik do stróża.

— A dokąd?... — zapytał woźny.

— Do lochu.

— Do którego?

— O! Do pierwszego lepszego, byle dobrze zamknąć — odrzekł zastępca sędziego z obojętnością, która zgrozą przejęła biednego Bonacieux.

„O! Biała nieszczęsnej mej głowie!... — mówił sobie w duchu. — Moja żona widocznie przeszkobała coś strasznego; myślą, że jestem jej współnikiem i razem z nią będę mnie karać. Wygada się, przyzna, że zwierzyła mi się ze wszystkiego; kobieta to zawsze kiepska głowa! Do pierwszego lepszego lochu!... Tak! Noc tylko mignie, a jutro pod koło lub na szubienicę! O! Boże mój, Boże! Ulituj się nade mną!”

Nie zważając bynajmniej na lamentację²¹² imć pana Bonacieux, z którymi zresztą byli oswojeni, dwaj stróże ujęli więźnia pod pachy i odprowadzili, gdy tymczasem komisarz pisał naprędce list, na który czekał woźny. Bonacieux ani oka nie zmrużył, nie dlatego, ażeby więzienie było zbyt nieprzyjemne, ale że dręczył go straszliwy niepokój.

Całą noc przesiedział na stołku, drżąc za najmniejszym szelestem, a gdy pierwsze promienie słońca wdarły się do więzienia, wydało mu się, jakoby poranek przywdział barwy żałobne.

Naraz wzdrygnął się cały, usłyszał bowiem odsuwanie rygli. Pewien był, iż przychodzą, aby go na rusztowanie poprowadzić; kiedy więc zamiast kata, którego się spodziewał, ujrzał po prostu znanego mu zastępcę sędziego i woźnego, gotów był rzucić się im na szyję.

²¹²lamentacja (daw.) — lament. [przepis edytorski]

— Twoja sprawa, mój pocciwcz, zawikłała się okrutnie od wczorajszego wieczora — rzekł doń urzędnik — i radzę ci wyznać całą prawdę, bo tylko twoja skruca może zażegnać gniew kardynała.

— Ależ gotów jestem wszystko powiedzieć... przynajmniej wszystko, co wiem. Pytaj mnie pan, proszę.

— Najpierw, gdzie jest twoja żona?

— Powiedziałem przecie panu, iż mi ją porwano.

— Tak, lecz wczoraj o piątej po południu uciekła dzięki twojej pomocy.

— Moja żona uciekła!... — krzyknął Bonacieux. — O! Nieszczęsna! Panie, jeżeli tak się stało, to nie z mojej winy, przysięgam!

— Cóż więc robiłeś u pana d'Artagnana, swojego sąsiada, z którym w ciągu dnia miałeś długą naradę?

— A! Tak, panie sędzio, to prawda, przyznaję, iż zawiniłem. Byłem u niego.

— Jaki był cel tych odwiedzin?

— Prośba, aby mi dopomógł w odnalezieniu żony. Sądziłem, iż mam prawo upominać się o nią; byłem widocznie w błędzie, błagam więc pana o przebaczenie.

— A pan d'Artagnan cóż na to?

— Przyobiecał mi pomoc, spostrzegłem jednak wkrótce, że mnie zdradza.

— Zeznajesz to w obliczu sprawiedliwości. Pan d'Artagnan zawiązał z tobą przymierze, na mocy którego zmusił do ucieczki służbę policyjną, która przyaresztowała twoją żonę, i ukrył ją przed wszelkim poszukiwaniem.

— Pan d'Artagnan wykradł moją żonę? Co pan mówisz?

— Na szczęście mamy go już w ręku i będziesz z nim skonfrontowany.

— A! I owszem — zawołał Bonacieux — bardzo mi będzie przyjemnie twarz znajomą zobaczyć.

— Wprowadzić tu pana d'Artagnana — rzekł komisarz do stróżów.

Wprowadzono Atosa.

— Panie d'Artagnan — rzekł do niego urzędnik — zeznaj, co zaszło pomiędzy tobą a tym oto panem.

— Ależ to nie pan d'Artagnan! — zawołał Bonacieux.

— Jak to? Nie pan d'Artagnan? — wykrzyknął zastępca sędziego.

— Nie!... Ależ nigdy w świecie!... — odrzekł Bonacieux.

— Więc jak się ten pan nazywa? — zapytał urzędnik.

— Nie mogę panu powiedzieć, bo go nie znam.

— Co?... Nie znasz go?

— Nie.

— Nie widziałeś go nigdy?

— I owszem, ale nie wiem, jak się nazywa.

— Pańskie nazwisko? — zapytał urzędnik.

— Atos — odpowiedział muszkietier.

— Ależ to nazwisko nie człowieka, tylko góry!²¹³ — zawołał badacz, tracąc poniekąd głowę.

— To jest moje nazwisko — odrzekł spokojnie Atos.

— Powiedziałeś jednak, że nazywałeś się d'Artagnan.

— Ja?

— Tak, pan.

— Właściwie to mnie powiedziano: „Jesteś panem d'Artagnanem?”. Odpowiedziałem: „Czy tak?”. Wasi stróże zakrzyczeli mnie, że są tego pewni. Nie chciałem im przeczyć. Zresztą mogłem się mylić.

— Panie, ubliżasz pan majestatowi sprawiedliwości.

— Bynajmniej — odparł spokojnie Atos.

— Pan jesteś d'Artagnan?

— Widzisz pan, że sam mówisz to jeszcze.

²¹³ Ależ to nazwisko nie człowieka, tylko góry! — chodzi o górę Athos: położoną w pld. części półwyspu Athos, w Grecji, zamieszkiwaną wyłącznie przez mnichów prawosławnych. [przypis edytorski]

— Ależ... powiadam panu sędziemu — zawołał z kolei Bonacieux — iż nie ma najmniejszej wątpliwości. Pan d'Artagnan jest moim lokatorem, a że nie płaci mi komornego, tym bardziej muszę go przecie znać. Pan d'Artagnan to młodzieniec najwyżej dwudziestoletni, a ten pan ma co najmniej trzydzieści lat. Pan d'Artagnan służy w pułku pana des Essarts, a ten pan jest z kompanii muszkietierów pana de Tréville. Przypatrz się, panie sędzio, mundurowi.

— To prawda — mruknął urzędnik — prawda, do licha!...

W tej chwili drzwi otwarto z pośpiechem i posłaniec, wprowadzony przez jednego z odźwiernych Bastylii, doręczył urzędnikowi list.

— O! Nieszczęsna!... — wykrzyknął zastępca sędziego.

— Co takiego?... O kim pan mówisz?... Spodziewam się, że nie o mojej żonie?...

— Przeciwnie, o niej... Słuchaj, nietęga twoja sprawa.

— Masz tobie!... — wykrzyknął zrozpaczony kramarz. — Racz mi pan powiedzieć, czy sprawa moja pogorszyć się może przez to, co zrobiła żona podczas pobytu mojego w więzieniu?

— Z pewnością, gdyż to, co zrobiła, jest następstwem planu ułożonego między wami, piekielnego planu.

— Przysięgam ci, panie sędzio, że mylisz się najokrutniej. Ja nic a nic w świecie nie wiem o tym, co ona miała zrobić, i wszystko, co zrobiła, jest mi zupełnie obce, a jeżeli popełniła jakieś głupstwo, wyrzekam się jej, wypieram, wyklinam raz na zawsze!

— Koniec końców — rzekł Atos do urzędnika — jeżeli już jestem tu niepotrzebny, wypraw mnie gdziekolwiek, strasznie nudny jest ten twój pan Bonacieux.

— Odprowadź więźniów do ich cel — rzekł zastępca sędziego, wskazując Atosa i Bonacieux — i strzeż ich pilniej niż dotąd.

— A jednak — odezwał się Atos z właściwym sobie spokojem — jeżeli pan masz do czynienia z d'Artagnanem, nie rozumiem, w czym ja go tu mogę zastąpić.

— Zrobić tak, jak mówiłem — krzyknął urzędnik — i pilnować najściślej! Rozumiecie?!

Atos wzruszył ramionami, poszedł za strażnikami, a narzekania pana Bonacieux zmieknąć by mogły nawet serce tygrysie.

Wprowadzono kramarza do tej samej celki, w której przepędził noc, i pozostawiono go tam przez cały dzień.

Wieczorem, około dziewiątej, gdy był już zdecydowany położyć się do łóżka, usłyszał na korytarzu kroki, które zatrzymały się przed drzwiami jego więzienia.

Ukazała się straż.

— Proszę za mną — rzekł oficer służbowy postępujący za strażą.

— Za panem!... — wykrzyknął Bonacieux. — Za panem!... I dokądże to, mój Boże?...

— Tam, dokąd mamy rozkaz pana zaprowadzić.

— Ależ to nie jest odpowiedź.

— Tę tylko możemy ci dać.

— A! Boże mój! Boże!... — szepnął biedny kramarz. — Teraz już po wszystkim!...

I powłókł się bezmyślnie, bez najmniejszego oporu za strażą, która po niego przyszła.

Prowadzono go tą samą drogą, którą już przebywał; u bramy wjazdowej nareszcie zastał karetę otoczoną przez czterech konnych strażników. Kazano mu wsiąść do powozu, oficer zajął miejsce obok niego, drzwiczki zamknięto na klucz i znaleźli się obydwaj w więzieniu na kołach.

Powóz potoczył się z wolna jak wóz pogrzebowy. Więzień widział przez zamknięte kraty domy, bruk i nic więcej nad to, lecz jako prawdziwy paryżanin poznawał każdą ulicę po szyldach, słupach i latarniach.

W chwili kiedy powóz zbliżył się do Saint-Paul, miejsca, gdzie tracono skazanych z Bastylii, Bonacieux o mało nie zemdlął i przeżegnał się dwa razy, myśląc, że tu się zatrzyma, ale pojazd toczył się dalej.

Później ogarnął go jeszcze większy strach, gdy mijali cmentarz św. Jana, gdzie chowano przestępców stanu. Pocieszała go tylko jedna myśl, a mianowicie, że zanim ich grzebano, ucinano im głowy, a jego głowa siedziała jeszcze mocno na karku. Ale kiedy powóz zawrócił w kierunku placu de la Grève, kiedy zobaczył spiczaste dachy ratusza

i powóz podjechał pod arkady, myślał, że wszystko się dla niego skończyło i chciał się wypowiadać oficerowi. Gdy ten odmówił, zaczął krzyczeć tak niemiłosiernie, że zagrożono mu zakneblowaniem gęby. Groźba ta pocieszyła trochę biednego Bonacieux, bo i na cóż mieliby go kneblować, gdyby miał być stracony.

Minęli też fatalny plac, nie zatrzymując się wcale.

Teraz można było obawiać się tylko la Croix-du-Trahoir, a powóz potoczył się właśnie w tym kierunku.

Nie było już wątpliwości, w la Croix-du-Trahoir miał zakończyć i podróż swoją, i żywot!

Nie mógł jeszcze dojrzeć tego straszego krzyża, ale czuł go już blisko.

Kiedy oddzielała go już tylko odległość nie większa niż na dwadzieścia kroków, usłyszał jakiś gwar i powóz się zatrzymał.

Tęgo już było za dużo dla biednego Bonacieux. Zgnębiony wzruszeniami, które przechodził, jęknął słabo jękiem, jaki można było wziąć za ostatnie westchnienie umierającego, i zemdlął.

ROZDZIAŁ XIV. NIEZNAJOMY Z MEUNG

Hałaśliwy tłum, na jaki natrafiono, zebrał się nie w oczekiwaniu na powieszenie człowieka, lecz dla przyjrzenia się już powieszonemu.

Powóz, zatrzymany na chwilę, puścił się w dalszą drogę i przebijając się przez tłuszcę, przeciął ulicę Saint-Honoré, zawrócił na ulicę des Bons-Enfants i stanął przed niepozorną furtką.

Drzwiczki karety otwarto, dwóch ze straży pochwyciło w swoje objęcia pana Bonacieux podtrzymywanego przez oficera; wepchnięto go do sieni, później na schody i wprowadzono do przedpokoju.

Wszystko to odbyło się bez jego wiedzy.

Szedł tak, jakby znajdował się we śnie. Wszystkie przedmioty przesłaniała mu mgła, słuch chwycił dźwięki, nie rozumiejąc ich wcale. Dałby się był zaprowadzić na rusztowanie i położyłby głowę na pniu, nie kiwnąwszy nawet palcem dla obrony, i aniby nawet pisał błaganiem o litość.

Pozostał tak, jak go posadzono na ławeczce — plecami oparty o ścianę, z rękami zwieszonymi i przymkniętymi oczyma.

Gdy ośmielił się otworzyć powieki, nie zobaczył dookoła żadnego groźnego przedmiotu mogącego wskazywać mu niebezpieczeństwo.

Ławeczka była wygodnie wysłana, ściany pokryte piękną skórą kordobańską²¹⁴, z okien zwisały wielkie firanki z czerwonej materii, podtrzymywane złotymi przepaskami.

Zrozumiał, że jego przestrach był przesadzony i począł kręcić głową to w prawo, to w lewo, to na dół, to do góry.

Ponieważ nikt nic nie miał przeciw tym poruszeniom, nabrał trochę odwagi i spróbował wysunąć najpierw jedną, a potem drugą nogę; nareszcie, podparłszy się na rękach, podniósł się z ławeczki i stanął.

W tejże chwili oficer o pięknej powierzchowności uchylił portiery, kończąc jeszcze rozmowę z osobą będącą w przyległym pokoju, i zwróciwszy się do więźnia, rzekł:

— To pan nazywasz się Bonacieux?

— Tak, panie oficerze, do pańskich usług — wybełkotał na wpół żywy kramarz.

— Proszę wejść — rzekł oficer.

I usunął się na bok, aby przepuścić kramarza, który ślepo usłuchał i wszedł do pokoju, gdzie go widocznie oczekiwano.

Był to obszerny gabinet o ścianach przybranych bronią zaczepną i obronną, wysłany dywanami i zaciszny, a w kominku, pomimo końca września zaledwie, płonął suty ogień.

Czworokątny stół, pokryty książkami i papierami, pomiędzy którymi był rozłożony olbrzymi plan miasta La Rochelle, zajmował środek pokoju.

Przed kominkiem stał mężczyzna średniego wzrostu, postawy wyniosłej i dumnej, z oczami przenikliwymi, twarzą wychudłą, którą wydłużała jeszcze spiczasta bródka, a ponad nią wznosiły się cienkie wąsiki.

²¹⁴kordobański — pochodzący z Kordoby: miasta w pld. Hiszpanii, w Andaluzji. [przypis edytorski]

Jakkolwiek mężczyzna ten miał zaledwie trzydzieści siedem lat, włosy, wąsy i bródka poczynają mu już siwieć. Gdyby nie brak szpady, wygląd miałby rycerski; buty ze skóry bawolej, jeszcze lekko pokryte pyłem, świadczyły, że w ciągu dnia musiał dosiadać konia.

Był to Armand-Jean du Plessis, kardynał de Richelieu, ale nie taki, jak go nam przedstawiają — starzec złamany wiekiem, cierpiący jak męczennik, z bezsilnym ciałem, zagłuszonym głosem, pogrążony w fotelu jak w przedwczesnym grobie, żyjący tylko siłą swego geniuszu i wytrzymujący walkę z Europą przez nieustanny wysiłek myśli.

Był on taki, jak rzeczywiście wyglądał w owej epoce. Zręczny kawaler światowy, słaby ciałem, lecz podtrzymywany władzą ducha, która czyniła z niego jedną z najwybitniejszych postaci w świecie; przygotowujący się teraz po osadzeniu księcia de Nevers²¹⁵ w księstwie Mantui²¹⁶, po wzięciu Nimes²¹⁷, Castres i Uzès²¹⁸, do wypędzenia Anglików z wyspy Rê i do oblężenia La Rochelle.

Na pierwszy rzut oka nic w nim nie zdradzało kardynała i tym, którzy nie znali go z twarzy, trudno było odgadnąć, kogo mają przed sobą.

Biedny kramarz stał przy drzwiach, kiedy oczy opisanej przez nas osobistości były w nim utkwione, i jakby się goniąc, sięgały do głębi jego duszy.

— Więc to ów Bonacieux? — zapytał po chwili milczenia.

— Tak, monsiniorze²¹⁹ — odrzekł oficer.

— Dobrze, podaj mi te papiery i zostaw nas samych.

Oficer wziął ze stołu wskazane papiery, podał je żądającemu, skłonił się do ziemi i wyszedł.

Bonacieux rozpoznał w tych papierach swój protokół z Bastylii.

Od czasu do czasu mężczyzna stojący przed kominkiem odrywał oczy od pisma i zapalał je jak sztylety w serce biednego gospodarza.

Po dziesięciominutowym czytaniu i chwili badania wzrokiem zdanie kardynała zostało ustalone.

— Głowa ta nie spiskowała nigdy — wyszeptał — lecz mniejsza o to, przekonajmy się sami.

— Jesteś obwiniony o zdradę — rzekł przeciągle kardynał.

— Powiedziano mi to właśnie, monsiniorze — zawołał Bonacieux, używając tytułu, jaki słyszał od oficera — lecz przysięgam, iż nic o tym nie wiem.

Kardynał powstrzymał uśmiech.

— Spiskowałeś ze swoją żoną, z panią de Chevreuse i księciem Buckinghamem.

— Rzeczywiście, monsiniorze — odparł gospodarz — słyszałem, jak wymawiała te wszystkie nazwiska.

— W jakich okolicznościach?

— Mówiła ona, iż kardynał de Richelieu ściągnął do Paryża księcia Buckingham, aby go razem z królową zgubić.

— Ona to mówiła? — zawołał kardynał gwałtownie.

— Tak, monsiniorze. Powiedziałem jej, iż źle robi, plotąc podobne rzeczy, i że Jego Eminencja nie byłby zdolny...

— Milcz, jesteś głupiec — przerwał mu kardynał.

— Zupełnie to samo powiedziała mi żona, monsiniorze.

— Czy wiesz, kto porwał twoją żonę?

— Nie, monsiniorze.

— Masz jednak jakieś podejrzenia?

— Tak, lecz one nie w smak były panu sędziemu, więc już ich nie mam wcale.

— Twoja żona wydostała się na wolność. Wiedziałeś o tym?

— Nie, monsiniorze. Dowiedziałem się dopiero w więzieniu, i to z ust pana sędziego, wielce miłego człowieka!

²¹⁵Karol I Gonzaga de Nevers (1580–1637) — książę Nevers i Rethel, od 1627 roku Mantui i Montferratu. [przypis edytorski]

²¹⁶Mantua — miasto i gmina we Włoszech, w Lombardii; przez wiele wieków stanowiła ośrodek niezależnego margrabstwa (a następnie księstwa) rządzonego przez ród Gonzagów. [przypis edytorski]

²¹⁷Nimes — miasto w pld. Francji, w regionie Oksytania; w czasie wojen religijnych w XVI w. opanowane przez hugenotów. [przypis edytorski]

²¹⁸Castres i Uzès — miejscowości w pld. Francji, w regionie Oksytania. [przypis edytorski]

²¹⁹monsinior — tytuł dygnitarzy kościelnych we Włoszech. [przypis edytorski]

Uśmiech znów się ukazał na ustach kardynała.

— Nie wiesz zatem, co się stało z twoją żoną po ucieczce?

— Nic zgoła nie wiem, monsiniorze, musiała pewnie powrócić do Luwru.

— O pierwszej w nocy jeszcze jej tam nie było.

— A! Mój Boże! Cóż się więc z nią stało?...

— To się wyda, bądź spokojny; nic się przed kardynałem nie ukryje, kardynał wie o wszystkim.

— W takim razie, monsiniorze, czy sądzisz, iż kardynał zgodzi się powiedzieć mi, co się stało z moją żoną?

— Być może, ale najpierw musisz wyznać wszystko, co wiesz o stosunkach twojej żony z panią de Chevreuse.

— Kiedy ja nie wiem o niczym, monsiniorze; nigdy jej nie widziałem.

— Gdy chodziłeś po nią do Luwru, czy wracała prosto do domu?

— Prawie nigdy. Miała interesy do sklepów z płótnem, dokąd ją też odprowadzałem.

— A wielu takich kupców było?

— Dwóch, monsiniorze.

— Gdzie mieszkali?

— Jeden przy ulicy Vaugirard, drugi przy ulicy de la Harpe.

— Czy wchodziłeś z nią do nich?

— Nigdy, monsiniorze; czekałem przed drzwiami.

— A czym się tłumaczyła, że wchodzi sama?

— Nie tłumaczyła się nigdy; kazała mi czekać i czekałem.

— Wygodny z ciebie małżonek, mój drogi panie Bonacieux! — rzekł kardynał.

„On mnie nazywa swoim drogim panem! — rzekł sobie w duchu kramarz. — Nieźle już rzeczy stoją!”

— Czy poznałbyś te drzwi?

— Poznałbym.

— A pamiętasz numery domów?

— Pamiętam.

— Jakież więc?

— Numer 25 przy ulicy Vaugirard, numer 75 — ulica de la Harpe.

— Dobrze — rzekł kardynał.

To mówiąc, zadzwonił; wszedł oficer.

— Idź po Rocheforta — rzekł doń półgłosem — niech przyjdzie tu natychmiast, jeżeli już powrócił.

— Hrabia jest już tutaj — odrzekł oficer — i pragnie usilnie mówić z Waszą Eminencją!

— Niech przyjdzie, niech przyjdzie! — rzekł porywczo kardynał.

Oficer wybiegł z pokoju z pośpiechem właściwym tym wszystkim, którzy służyli kardynałowi.

— Z Waszą Eminencją! — mruczał Bonacieux, tocząc błędnym wzrokiem.

Zaledwie kilka minut po wyjściu oficera drzwi się otworzyły i weszła nowa figura.

— To on! — wykrzyknął Bonacieux.

— Co za on? — zapytał kardynał.

— Ten, co porwał mi żonę.

Kardynał znowu zadzwonił. Oficer wszedł.

— Oddaj tego człowieka w ręce stróżów i niechaj czeka, aż go wezwę do siebie.

— Nie, monsiniorze! Nie, to nie on! — wołał Bonacieux. — Nie, ja się pomyliłem. To ktoś inny, wcale do niego niepodobny! Ten pan jest człowiekiem uczciwym.

— Precz z tym durniem! — zawołał kardynał.

Oficer wziął kramarza pod pachę i wyprowadził do przedpokoju, gdzie oczekiwali jego dwaj dozorczy.

Nowo przybyły powiódł niecierpliwym wzrokiem za wychodzącym Bonacieux, a gdy drzwi zamknęły się za nim, rzekł:

— Widzieli się.

— Kto? — zapytał kardynał.

— On i ona.

— Królowa i księżę?
 — Tak.
 — Gdzie?
 — W Luwrze.
 — Jesteś tego pewny?
 — Najzupełniej.
 — Kto ci to mówił?
 — Pani de Lannoy, która, jak Waszej Eminencji wiadomo, jest mi zupełnie oddana.
 — Cemuż wcześniej tego nie powiedziała?
 — Bo przypadkowo, a może też przez nieufność, królowa rozkazała pani de Surgis spać w swoim pokoju i cały dzień nie puściła jej od siebie.
 — Ha! Jesteśmy pobici. Postarajmy się o odwet.
 — Bądź spokojny, monsiorze, pomogę ci z całej duszy.
 — Jakże to było?
 — O godzinie wpół do pierwszej w nocy królowa była w otoczeniu swoich dam...
 — Gdzie?
 — W swojej sypialni.
 — Dobrze.
 — Gdy wtem wręczono jej chusteczkę przyniesioną przez dozorczynię bielizny...
 — Cóż dalej?
 — Królową ogarnęło nagle wzruszenie i pomimo różu, którym miała pokrytą twarz, zbladła.
 — Cóż dalej?... Prędej!
 — Podniosła się jednakże i niepewnym głosem powiedziała: „Moje panie, za dziesięć minut powrócę, poczekajcie na mnie”. Otworzyła drzwi alkowy²²⁰ i wyszła.
 — Dlaczego pani de Lannoy nie dała ci o tym znać natychmiast?
 — Nic jeszcze nie było pewnego; zresztą królowa powiedziała: „Moje panie, poczekajcie na mnie”; nie śmiała więc sprzeciwić się rozkazowi królowej.
 — Jak długo nie było królowej w jej pokoju?
 — Trzy kwadranse.
 — Czy żadna z dam nie poszła razem z nią?
 — Tylko *donna* Estefania.
 — A potem królowa wróciła?
 — Tak, aby zabrać szkatułkę z drzewa różanego ze swoją cyfrą, i znowu wyszła.
 — A jak wróciła wreszcie, czy przyniosła szkatułkę?
 — Nie.
 — Czy pani de Lannoy wiedziała, co zawiera szkatulka?
 — Tak, zapinki diamentowe, które król ofiarował królowej.
 — Zatem wróciła bez szkatulki?
 — Tak.
 — Zdaniem pani de Lannoy oddała ją Buckinghamowi?
 — Jest tego pewna.
 — Dlaczego?
 — Gdyż pani de Lannoy jako dama usługująca królowej przy toalecie szukała brylantów wszędzie w ciągu dnia, udając wielkie zaniepokojenie, a nie znalazłszy, zapytała królowej, co się z nimi mogło stać.
 — A cóż na to królowa?...
 — Zaczzerwieniła się okropnie i odpowiedziała, iż uszkodziwszy wczoraj jedną z zapinek, posłała ją swemu jubilerowi do naprawy.
 — Trzeba udać się do niego i przekonać, czy to prawda, czy nie.
 — Byłem już tam.
 — I cóż jubiler?...
 — Nie słyszał o niczym.

²²⁰*alkowa* — mały pokoik bez okien, przylegający do większego pokoju, przeznaczony na sypialnię. [przypis edytorski]

— Dobrze! Słuchaj, Rochefortcie, nie wszystko jest stracone, a może... dobrze się nawet stało!...

— O! Nie wątpię, że geniusz Waszej Eminencji...

— ...naprawi głupstwa swego agenta, wszak tak?

— To właśnie miałem powiedzieć, gdyby Wasza Eminencja była mi dozwoliła dokończyć zdanie.

— A teraz, czy wiesz, gdzie się ukrywali księżna de Chevreuse i książę Buckingham?

— Nie, monsiorze, moi ludzie nie mogli mi nic pewnego powiedzieć.

— A ja wiem.

— Wy, monsiorze?

— Tak, a przynajmniej przypuszczam. Obrali sobie siedzibę, jedną przy ulicy Vaugirard numer 25, drugą przy ulicy la Harpe numer 75.

— Czy Wasza Eminencja życzy sobie, ażebym kazał ich aresztować?

— Za późno, już ich tam nie znajdują.

— Bądź co bądź można się przekonać.

— Weź ze sobą dziesięciu z moich przybocznych i przetrząśnijcie obydwie domy.

— Idę, monsiorze.

Rochefort wybiegł z pokoju.

Kardynał, pozostawszy sam, wpadł w chwilową zadumę, następnie zadzwonił po raz trzeci.

Oficer wszedł.

— Wpuść tu więźnia — odezwał się kardynał.

Bonacieux znowu został wprowadzony, oficer zaś wyszedł na znak kardynała.

— Oszukałeś mnie!... — rzekł kardynał surowo.

— Ja?... — wykrzyknął Bonacieux. — Ja miałbym oszukać Waszą Eminencję?...

— Twoja żona idąc na ulicę Vaugirard i de la Harpe, wcale nie do kupców płótna wstępowała.

— Boże sprawiedliwy! A gdzież chodzić by mogła?...

— Do księżnej de Chevreuse i księcia Buckingham.

— Tak — rzekł Bonacieux, przypomniawszy sobie wszystko — tak, Wasza Eminencja ma słuszość. Nieraz ja jej mówiłem, że to dziwnie, aby kupcy płótna w takich domach mieszkali, gdzie żadnych nie ma sztyldów, a ona wtedy się śmiała. O!... Monsiorze — wołał Bonacieux, rzucając się do nóg eminencji. — O! Prawdziwie wielkim kardynałem jesteś, człowiekiem geniuszu, którego cały świat uwielbia!...

Jakkolwiek drobny był triumf odniesiony nad istotą tak pospolitą jak Bonacieux, ucieszył on jednak kardynała na chwilę. Naraz nowa myśl widocznie zaświeciła w jego umyśle, uśmiech przebiegł mu po ustach i podając rękę kramarzowi, wyrzekł:

— Powstań, przyjacielu, dobry z ciebie człowiek.

— Kardynał dotknął mojej ręki! Ja dotknąłem ręki wielkiego człowieka! — zawołał Bonacieux. — Przyjacielem swoim mnie nazwał!

— Tak, przyjacielem, tak! — rzekł kardynał tonem ojcowskim, jaki niekiedy potrafił przybierać, wprowadzając tym jednak w błąd tylko tych, którzy go nie znali. — A ponieważ posądzono cię niesłusznie, słuchaj, należy ci się wynagrodzenie. Patrz, weź tę sakiewkę ze stoma pistolami i nie gniewaj się na mnie.

— Ja mam się gniewać na pana, monsiorze? — rzekł Bonacieux, wahając się, czy ma przyjąć sakiewkę, obawiał się bowiem, aby ten dar proponowany nie był tylko żartem. — Wolno ci było, Eminencjo, kazać mnie uwięzić, wolno ci teraz brać mnie na tortury, powiesić, jesteś panem życia i śmierci, a mnie nie godzi się słówka nawet wypuścić z ust. I ja mam się na pana gniewać? Żartujesz chyba, Eminencjo?...

— O! Mój drogi panie Bonacieux, widzę, żeś szlachetny, i dziękuję ci za to. Weźmiesz więc sakiewkę i odejdiesz, nie mając do mnie urazy?

— Odchodzę zachwycony Waszą Ekscelencją.

— Żegnam cię więc, a raczej mówię do widzenia, bo mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze!...

I pożegnał go ręką, na co Bonacieux odpowiedział niskim ukłonem aż do ziemi; wyszedł, cofając się, a gdy już był w przedpokoju, kardynał usłyszał, jak uniesiony zapalem wrzeszczał na cale gardło:

— Niech żyje monsinior! Niech żyje Jego Eminencja! Niech żyje wielki kardynał!
Kardynał z uśmiechem przysłuchiwał się tym hałaśliwym objawom uczuć zapalającego się pana Bonacieux.

Gdy wreszcie krzyki te rozplynęły się w oddali, rzekł sam do siebie:

— Znowu jeden, który da się zabić za mnie.

I z największą uwagą przyglądał się już mapie La Rochelle, znacząc ołówkiem linię, gdzie miała być przeprowadzona sławna tama, która w osiemnaście miesięcy później zamykała port oblężonego miasta.

Gdy tak pograżył się w rozmyślaniach strategicznych, drzwi się uchyliły i stanął w nich Rochefort.

— I cóż? — zapytał kardynał gwałtownie, zrywając się szybko od stołu, co świadczyło, jak go ta sprawa obchodzi.

— Tak — odrzekł tenże — młoda kobieta, mająca około dwudziestu sześciu lat, i trzydziestopięcioletni mężczyzna przebywali rzeczywiście, ona cztery, on pięć dni, w domach wskazanych przez Waszą Eminencję; ale kobieta wyjechała tej nocy, a mężczyzna dziś z rana.

— To oni! — zawołał kardynał, patrząc na zegar. — A teraz — mówił — za późno już puszczać się za nimi w pogoń. Księżna jest w Tours, a książe w Boulogne. Dogonić ich należy w Londynie.

— Jakie są rozkazy Waszej Eminencji?

— Ani słówka o tym, co zaszło. Królowa niech będzie zupełnie spokojna, niech nie przypuszcza, iż znamy jej tajemnicę, niech myśli, że szukamy dopiero jakiegoś spisku. Przyślij mi tu wielkiego kanclerza Séguiera²²¹.

— A co Wasza Eminencja zrobiła z tym człowiekiem?

— Z jakim? — zapytał kardynał.

— Z tym Bonacieux.

— Zrobiłem, co się dało. Szpiega jego własnej żony.

Hrabia de Rochefort skłonił się, jakby uznając widocznie wyższość swego mistrza, i wyszedł.

Kardynał, znalazłszy się sam, usiadł przy biurku, napisał list i zapieczętowawszy osobistą pieczęcią, zadzwonił.

Oficer znowu się stawiał.

— Posłać mi po Vitraya — rzekł — i powiedzieć mu, aby przygotował się do podróży.

W chwilę potem człowiek, którego sobie życzył, stał przed nim w podróżnych butach z ostrogami.

— Vitrayu — rzekł — puścisz się pędem do Londynu. Ani na chwilę nie zatrzymasz się w drodze. Oddasz ten list milady. Oto kwit na dwieście pistoli, udaj się do mojego skarbnika i każ sobie wypłacić. Dostaniesz drugie tyle, jeżeli za sześć dni będziesz z powrotem i dobrze spełnisz zlecenie.

Wysłaniec skłonił się bez słowa odpowiedzi, zabrał list i kwit i wyszedł.

Oto, co zawierał ten list:

Milady! Bądź na pierwszym balu, na którym będzie znajdować się książe de Buckingham. Będzie on miał przy swoim ubraniu dwanaście zapinek, zbliż się do niego i obetnij mu dwie mu z nich. Skoro je będziesz miała, zawiadom mnie niezwłocznie.

ROZDZIAŁ XV. URZĘDNICY I WOJSKOWI

Nazajutrz po wypadkach wyżej opowiedzianych, gdy Atos nie pokazywał się, d'Artagnan i Portos zawiadomili o jego zniknięciu pana de Tréville. Aramis zaś, zażądawszy pięciodniowego urlopu, wyjechał do Rouen, gdzie, jak mówiono, miał do załatwienia interesy familijne.

Pan de Tréville był ojcem dla swoich podwładnych.

Najpodrzedniejszy z nich, skoro tylko nosił mundur oddziału, pewien był jego pomocy i poparcia jak u rodzzonego brata.

²²¹ Séguier, Pierre (1588–1672) — francuski polityk, od 1635 kanclerz Francji. [przypis edytorski]

Tréville, dowiedziawszy się o wypadku z Atosem, udał się natychmiast do urzędnika mającego kontrolę nad sprawami kryminalnymi. Sprowadzono oficera dowodzącego wartą w więzieniu Croix-Rouge i z jego objaśnień dowiedziano się, że Atos osadzony był czasowo w For-l'Évêque.

Atos przeszedł wszystkie takie same przykrości, jakie znieść musiał Bonacieux.

Byliśmy obecni przy konfrontacji dwóch więźniów.

Atos, który dotąd milczał z obawy, aby d'Artagnanowi nie brakło potrzebnego czasu, oświadczył teraz stanowczo, że nazywa się Atos, a nie d'Artagnan.

Dodał, iż nie zna ani pani, ani pana Bonacieux; że nie mówił z nimi nigdy; że przyszedł odwiedzić d'Artagnana około dziewiątej wieczorem, a przedtem był u pana de Tréville, u którego obiadował; dodał i to również, iż dwudziestu świadków może stwierdzić ten fakt i wymienić kilkanaście osób wysoko postawionych, a pomiędzy innymi księcia de la Trémouille.

Drugi zastępca sędziego, również jak i pierwszy, uczuł się oszołomiony tym jasnym i stanowczym zeznaniem muszkietera, któremu rad byłby pokazać swą wyższość, jako urzędnik cywilny człowiekowi noszącemu szpadę; lecz nazwisko pana de Tréville i księcia de la Trémouille zwróciło jego uwagę.

Atosa odesłano do kardynała, lecz na nieszczęście był on wtedy w Luwrze u króla.

Była to właśnie pora, w której pan de Tréville, wyszedłszy od urzędnika rozpatrującego sprawy kryminalne i od naczelnika For-l'Évêque, nie znalazł Atosa i przybył do Jego Królewskiej Mości. Jako dowódca muszkieterów pan de Tréville miał wstęp do króla o każdej godzinie.

Wiadomo, jakie były uprzedzenia króla względem królowej, uprzedzenia zręcznie podsycane przez kardynała, który pod względem intryg nieskończenie więcej nie do-
wierzał kobietom aniżeli mężczyznom.

Jedną z najgłówniejszych przyczyn tego uprzedzenia była przyjaźń Anny Austriackiej dla pani de Chevreuse.

Te dwie kobiety sprawiały mu więcej niepokoju niż wojna z Hiszpanią, zatargi z Anglią i kłopoty finansowe.

W jego przekonaniu pani de Chevreuse przewyższała królową nie tylko w intrygach politycznych, ale, co go dręczyło znacznie bardziej, i w intrygach miłosnych.

Kiedy więc kardynał powiedział królowi, że pani de Chevreuse, która za karę była zesłana do Tours, przyjechała do Paryża, przebywała tu pięć dni, zmyliła tropy policji, król wpadł w straszny gniew.

Kapryśny i niestały, chciał, aby go nazywano: Ludwikiem Sprawiedliwym i Ludwikiem Skromnym.

Potomność z trudnością zrozumie ten charakter, który historia wyjaśnia faktami, a nigdy rozumowaniem.

Gdy zaś kardynał dodał, że pani de Chevreuse nie tylko przyjechała do Paryża, ale królowa zawiązała z nią jeszcze na nowo tajemniczą korespondencję, gdy zapewnił, że miał już w rękach nitkę tej zawiłej intrygi, a byłby nawet całą rzecz pochwycił na gorącym uczynku, lecz pewien muszkieter, wysłaniec królowej, poważył się z bronią w ręku napaść na czcigodnych sędowników badających bezstronnie tę sprawę, Ludwik XIII, nie będąc w stanie zapanować nad sobą, podążył ku apartamentom królowej z bladą twarzą, z niemą pogardą i oburzeniem, które, gdy wybuchnęło, doprowadzało do najchłodniejszego okrucieństwa.

A jednak w tym, co mówił kardynał, nie było jeszcze ani wzmianki o Buckinghamie.

Wtedy właśnie wszedł pan de Tréville, zimny, grzeczny i ubrany bez zarzutu.

Obecność kardynała i widok zmienionego oblicza króla ostrzegły go, co zaszło pomiędzy nimi, i poczuł się silny jak Samson²²² wobec Filistynów²²³.

Ludwik XIII brał już za kłamkę u drzwi.

Na szmer, sprawiony przez wchodzącego pana de Tréville, obejrzał się.

Ironia, Król, Historia

²²²Samson — postać biblijna, legendarny bohater wojen Izraelitów z Filistynami; obdarzony nadludzką siłą, którą stracił po ścięciu mu włosów przez kochankę, Dalilę. [przypis edytorski]

²²³Filistyni — starożytny lud, który zamieszkiwał południowe wybrzeża Kanaanu; wielokrotnie wspominani w Biblii wrogowie Izraelitów. [przypis edytorski]

— O! W porę pan przychodzisz — odezwał się król, który wpadłszy już w pasję, nie był w stanie jej powściągnąć. — Pięknych rzeczy dowiaduję się o pańskich muszkietierach.

— A ja — rzekł z zimną krwią de Tréville — piękne rzeczy mam donieść Waszej Królewskiej Mości o jego cywilnych urzędnikach.

— Co takiego? — zapytał wyniośle król.

— Mam zaszczyt oznajmić Waszej Królewskiej Mości — mówił dalej Tréville tym samym tonem — iż pewni prokuratorzy, komisarze i niżsi urzędnicy policji, ludzie wielce szanowni, lecz, jak widać, mocno zaciekli przeciw mundurowi wojskowemu, pozwolili sobie aresztować w domu i wrzucić do więzienia jednego z moich, a raczej z twoich, muszkietarów, Najjaśniejszy Panie, człowieka bez zarzutu, nieledwie znakomitego, którego Wasza Królewska Mość zna z dobrej strony, bo jest nim pan Atos.

— Atos — powtórzył król machinalnie — tak, w istocie znam to nazwisko.

— Racz przypomnieć sobie, Najjaśniejszy Panie — mówił dalej Tréville — iż pan Atos jest tym muszkietarem, który w owym smutnej pamięci pojedynku zranił tak niebezpiecznie pana de Cahusac. Ale, monsiniorze — ciągnął dalej Tréville, zwracając się do kardynała — spodziewam się, iż pan de Cahusac przyszedł już zupełnie do zdrowia?

— Dziękuję!... — odparł kardynał, przygryzając ze złości wargi.

— Otóż pan Atos poszedł odwiedzić jednego ze swoich przyjaciół, którego nie zastał, młodego Bearneńczyka, kadeta z gwardii Jego Królewskiej Mości, z oddziału des Essarts, zaledwie jednak zdążył usiąść i wziąć książkę do ręki, aby skrócić oczekiwanie na przyjaciela, gdy chmara pacholków i żołnierzy otoczyła dom i kilkoro drzwi wyłamała...

Kardynał uczynił królowi znak porozumienia, jakby chciał wypowiedzieć: „To właśnie ta sprawa, o której mówiłem”.

— Znane nam jest to wszystko — odpowiedział król — a stało się to dla naszego dobra.

— Więc — rzekł de Tréville — dla dobra Waszej Królewskiej Mości także pochwycono jednego z moich niewinnych muszkietarów, osadzono w więzieniu jak złoczyńcę i wśród urągających tłumów prowadzono tego zacnego rycerza, który po dziesięćkroć przelewał swoją krew w usługach Waszej Królewskiej Mości i gotów powtórzyć to zawsze.

— Ba! — odezwał się król z pewnym wahaniem. — To się tak rzeczy miały?

— Pan de Tréville przemilczał — podchwycił z najwyższą flegmą kardynał — iż ten niewinny muszkietar, ten zacny rycerz, na godzinę przedtem, z bronią w ręku napadł na czterech urzędników sądowych wydelegowanych przeze mnie dla wyświeatlenia sprawy jak najdrażliwszej.

— Wzywam Waszą Eminencję, aby tego dowiódł — wykrzyknął de Tréville z prawdziwie gaskońską otwartością i z czysto żołnierską szorstkością — bowiem na godzinę przedtem pan Atos, który, jak muszę się zwierzyć Waszej Królewskiej Mości, jest człowiekiem wielce znakomitego rodu, zaszczycał nas po skończonym obiedzie rozmową w moim salonie z księciem de la Trémouille i z hrabią de Châlus, którzy również z nim byli.

Król popatrzył na kardynała.

— Protokół zaświadcza — odezwał się kardynał w odpowiedzi na nieme pytanie króla — że ludzie pobici zeznali to, co miałem zaszczyt przedstawić Waszej Królewskiej Mości.

— Protokół urzędników cywilnych nie jest wart słowa honoru żołnierskiego — z dumą odparł Tréville.

— No, no, Tréville, cicho bądź — rzekł król.

— Jeżeli Jego Eminencja ma jakieś podejrzenia względem któregoś z moich muszkietarów — odezwał się de Tréville — sprawiedliwość pana kardynała jest dość znana, abym sam zażądał śledztwa.

— W domu, gdzie śledztwo sądowe było zarządzane — kończył obojętnie kardynał — mieszka, zdaje mi się, pewien Bearneńczyk, przyjaciel muszkietarów.

— Wasza Eminencja chce mówić o panu d'Artagnanie?

— Chcę mówić o młodzieńcu, którego protegujesz, panie de Tréville.

— Tak, Eminencjo, ten sam.

— Czy nie przypuszczasz pan, iż młodzieniec ów namawiał do złego...

— Pana Atosa, człowieka dwa razy odeń starszego? — przerwał mu de Tréville. — Nie, monsiniorze. Zresztą pan d'Artagnan przepędził ten wieczór u mnie.

— Masz tobie! — rzekł kardynał. — Wszyscy więc spędzili wieczór u pana?

— Miałażby Wasza Eminencja nie wierzyć mojemu słowu? — rzekł de Tréville z rumieńcem gniewu na czole.

— Nie, Boże uchowaj! — odrzekł kardynał. — Ale o której godzinie był u pana?

— O! Mogę to na pewno powiedzieć Waszej Eminencji, ponieważ kiedy wszedł do mnie, zauważyłem, iż było wpół do dziesiątej, chociaż sądziłem, że już znacznie później.

— A o której od pana wyszedł?

— O wpół do jedenastej, w godzinę po wypadku.

— Ależ koniec końców — odrzekł kardynał, który ani na chwilę nie wątpił o prawości de Tréville, a czuł wymykające mu się zwycięstwo — Atos został aresztowany w domu przy ulicy des Fossoyeurs.

— Czyż nie wolno przyjacielowi odwiedzić przyjaciela?... Muszkieterowi z mojego oddziału bratać się z kadetem z oddziału pana des Essarts?

— Zapewne, ale dom, w którym on się brata ze swoim przyjacielem, jest bardzo podejrzany.

— Tak, ten dom jest podejrzany. De Tréville — odezwał się król — może sam o tym nie wiedziałeś?

— W istocie, Najjaśniejszy Panie, nie wiedziałem. W każdym razie dom może być podejrzany wszędzie prócz części zamieszkaanej przez pana d'Artagnana; bo, jeżeli mi wolno zaręczyć, Najjaśniejszy Panie, i wierzyć słowom jego, nie znajdzie się przywiązany poddany Waszej Królewskiej Mości i większy wielbiciel pana kardynała.

— Czy to nie ten d'Artagnan, który ranił kiedyś Jussaca w nieszczęsnym spotkaniu przy klasztorze karmelitów bosych? — zapytał król, spoglądając na kardynała, który zaczerwienił się ze złości.

— A nazajutrz potem ranił Bernajoux. Tak, Najjaśniejszy Panie, tak, ten sam; dobrą pamięć ma Wasza Królewska Mość.

— A zatem, co postanowimy? — zagadnął król.

— To dotyczy bardziej Waszej Królewskiej Mości aniżeli mnie — odpowiedział kardynał. — Ja uznałbym czyn za karygodny.

— A ja go nie uznaję — rzekł Tréville. — Lecz Jego Królewska Mość ma sędziów; ich rzeczą jest sądzić, niech sądzą.

— Tak, tak — podchwycił król — odeślijmy sprawę do sądu. Rzeczą sędziów jest sądzić, niech więc sądzą.

— Ale — ciągnął dalej de Tréville — smutne to, iż w naszych nieszczęsnych czasach życie bez skazy, niezaprzeczona cnota nie uwalnia człowieka od potwarzy i prześladowania. Wojsko też będzie niezbyt zadowolone, mogę ręczyć, będąc narażone na srogie obejście się z powodu spraw policyjnych.

Słowa te były niebaczne; lecz pan de Tréville rzucił je ze świadomością skutku.

Pragnął wybuchu, gdyż mina, zapalając się płomieniem, rozświeca.

— Sprawy policyjne! — wykrzyknął król, powtarzając słowa pana de Tréville. — Sprawy policyjne! Co tobie, mój panie, do tego? Patrz na swych muszkieterów i nie zwracaj mi głowy. Słyszac cię, można by myśleć, że gdy nieszczęściem zaaresztują muszkietera, już cała Francja przepadnie. Patrzcie, co tu hałasu o jednego muszkietera! Rozkażę aresztować dziesięciu, do licha starego! Stu, cały oddział! I nie pozwolę odezwać się nawet słowa.

— Z chwilą, gdy są podejrzani przez Waszą Królewską Mość, muszkieterowie stają się winnymi; jak widzisz zatem, Najjaśniejszy Panie, gotów jestem oddać ci moją szpadę, gdyż nie wątpię, iż pan kardynał, obwiniwszy żołnierzy moich, skończy na oskarżeniu i mnie samego. Pójdę lepiej do więzienia z panem Atosem, który już się tam znajduje, i z panem d'Artagnanem, którego zaaresztują na pewno.

— Skończysz ty raz, gaskońska głowo? — rzekł król.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się de Tréville, bynajmniej głosu nie zniżając — rozkaż, by mi oddano mojego muszkietera albo niechaj go sądzą.

— Osądzą go — rzekł kardynał.

Sąd, Sędzia, Sprawiedliwość

Kondycja ludzka

Żołnierz

— Tym lepiej! Gdyż w takim razie żądać będę pozwolenia od Jego Królewskiej Mości, abym mógł bronić jego sprawy.

Król obawiał się wybuchu.

— Jeżeli Jego Eminencja — rzekł — nie ma względów osobistych.

Kardynał, widząc zwrot do siebie, wystąpił pierwszy:

— Przepraszam — rzekł — lecz odkąd Wasza Królewska Mość widzi we mnie sędziego niesprawiedliwego, usuwam się.

— Słuchaj — powiedział król — czy przysięgasz mi na pamięć mojego ojca, że pan Atos znajdował się u ciebie podczas wypadku i że nie miał w nim udziału?

— Na pamięć pełnego chwały ojca twojego i na ciebie, Najjaśniejszy Panie, który jesteś tym, którego kocham i czczę nad wszystko na świecie, przysięgam!

— Racz się zastanowić, Najjaśniejszy Panie — odezwał się kardynał — jeżeli w ten sposób uwolnimy więźnia, trudno będzie dojść prawdy.

— Pan Atos zawsze będzie gotowy odpowiadać, kiedy spodoba się urzędnikom cywilnym wezwać go na badanie. On nie ucieknie, panie kardynale; bądź spokojny, ja za niego ręczę.

— Rzeczywiście, on nie ucieknie — powtórzył król — znajdą go zawsze, jak mówi pan de Tréville. Zresztą — dodał, zniżając głos i błagalnie patrząc na Eminencję — dajmy im bezpieczeństwo, to będzie politycznie.

Polityka Ludwika XIII wywołała uśmiech na usta Richelieu.

— Rozkazuj, Najjaśniejszy Panie — rzekł — masz prawo ulaskawiania.

— Prawo ulaskawiania stosuje się tylko do winowajców — odezwał się de Tréville, chcąc mieć ostatnie słowo — mój muszkietier jest niewinny, nie dasz więc, Najjaśniejszy Panie, ulaskawienia, ale wymierzysz sprawiedliwość.

— On jest w For-l'Évêque? — zapytał król.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, w celi więziennej, pod zamknięciem, jak najstrasniejszy zbrodniarz.

— Tam do diabła! — mruknął król. — Co tu począć?

— Podpisać rozkaz uwolnienia i na tym koniec — odparł kardynał — ja również, jak Wasza Królewska Mość, sądzę, iż poświadczenie pana de Tréville jest aż nadto wystarczające.

De Tréville skłonił się nisko z radością, która nie była jednak wolna od obawy; przekładałby najtwardszy upór kardynała nad to nagle ustępstwo.

Król podpisał rozkaz uwalniający i de Tréville zabrał go natychmiast.

Gdy miał wychodzić, kardynał uśmiechnął mu się przyjaźnie, mówiąc do króla:

— Porozumienie i przykładna harmonia panują między wodzami a żołnierzami w twoich muszkietierach, Najjaśniejszy Panie. Jest to bardzo korzystne dla służby i zaszczytne dla wszystkich.

„Wypłata mi on figła — rzekł do siebie w duchu de Tréville. — Z takim człowiekiem nigdy nie można mieć ostatniego słowa. Śpieszmy jednak, bo król może zmienić zdanie natychmiast”.

Pan de Tréville odbył triumfalne wejście do For-l'Évêque, skąd wyswobodził muszkietera, którego nie opuściła bynajmniej pełna spokoju obojętność.

Następnie, pierwszy raz po tym widząc d'Artagnana, rzekł mu:

— Dobrze ci się udaje; już ci zapłacono za cięcie szpadą Jussaca. Pozostaje ci jeszcze Bernajoux, nie trzeba jednak szczęściu zbyt mocno ufać.

Pan de Tréville miał zupełną słuszność, iż nie dowierzał kardynałowi, zaledwie bowiem drzwi się za nim zamknęły, Eminencja przemówił do króla w te słowa:

— Teraz, gdyśmy pozostali we dwóch, porozmawiamy poważnie, jeżeli łaska Waszej Królewskiej Mości. Najjaśniejszy Panie, księżę Buckingham przebywał w Paryżu od pięciu dni i dopiero dziś rano go opuścił.

ROZDZIAŁ XVI. PAN SÉGUIER UCZUWA GWAŁTOWNIEJSZĄ NIŻ DAWNIEJ POTRZEBĘ UDERZENIA W DZWON

Niepodobna przedstawić wrażenia, jakie wywarły te słowa na Ludwiku XIII.

Przysięga, Król

Zaczerwienił się i zbladł.

Kardynał zrozumiał, iż za jednym zamachem odzyskał stracone stanowisko.

— Buckingham w Paryżu! — wykrzyknął. — Co on tutaj robił?

— Spiskował bez wątpienia z wrogami Waszej Królewskiej Mości, z hugenotami i Hiszpanami.

— Dość tego, na Boga! Spiskował przeciw czci mojej z panią de Chevreuse, panią de Longueville i Kondeuszami²²⁴!

— O! Najjaśniejszy Panie, co za myśl! Królowa z nadto jest cnotliwa, a nade wszystko przywiązana do Waszej Królewskiej Mości.

— Słaba jest kobieta, panie kardynale — rzekł król — a o przywiązaniu jej do mnie, o jej miłości wiem dobrze, co myśleć.

— Bądź co bądź utrzymuję — rzekł kardynał — iż księżę Buckingham przyjechał do Paryża w celach czysto politycznych.

— A ja jestem pewny, że zupełnie po co innego, panie kardynale. Lecz jeżeli winna jest królowa, biada jej!

— Ostatecznie, jakkolwiek wzdrygam się na myśl o podobnej zdradzie, Wasza Królewska Mość daje mi do myślenia. Pani de Lannoy, którą z rozkazu Waszej Królewskiej Mości pytałem kilkakrotnie, mówiła mi dziś rano, iż poprzedniej nocy królowa długo czuwała, dziś bardzo płakała i prawie cały dzień pisała.

— Do niego, z pewnością do niego — podchwycił król. — Kardynale, ja muszę mieć jej listy.

— Ale jakże je dostać, Najjaśniejszy Panie? Zdaje mi się, iż ani ja, ani Wasza Królewska Mość nie możemy się podjąć tej sprawy.

— A jakże poradzono sobie z marszałkową d'Ancre²²⁵? — krzyknął król w najwyższym uniesieniu. — Zrewidowano wszystkie jej szafy, a wreszcie i ją samą.

— Bo ona była tylko marszałkową d'Ancre, awanturnicą florencką, i nic więcej, gdy dostojna małżonka Waszej Królewskiej Mości jest Anną Austriacką, królową Francji, czyli najpierwszą monarchinią w świecie.

— Pomimo to jest występna, panie kardynale! Im więcej zapomniała o swoim wysokim stanowisku, tym niżej upadła. Wreszcie postanowiłem już od dawna położyć kres tym politycznym i miłosnym intrygom. Ma ona także za sobą niejakiego La Porte'a...

— Którego ja uważam za główną sprężynę w tym wszystkim — podchwycił kardynał.

— Zgadzasz się więc ze mną, że ona mnie zwodzi? — zagadnął król.

— Przypuszczam tylko i powtarzam Waszej Królewskiej Mości, że królowa spiskuje przeciw potędze swojego króla, lecz nie mówię, iż przeciw jego czci.

— A ja ci mówię, panie kardynale, że czyni jedno i drugie; mówię ci, że królowa nie kocha mnie; że kocha tego bezecnika²²⁶ Buckinghama. Czemu nie kazałeś go uwięzić, kiedy był w Paryżu?

— Uwięzić księcia! Pierwszego ministra Karola II! Niepodobna!... Taki rozgłos! A gdyby wreszcie podejrzenia Waszej Królewskiej Mości, które pragnę uważać za mylne, miały jakąś podstawę, co za skandal straszliwy! Przygnębiający!

— Lecz jeśli narażał się jak włóczęga, jak złodziej, trzeba było...

Ludwik XIII zaciął się, przerażony własnymi słowami, a Richelieu nadstawił ucha, daremnie wyczekując słowa, które zamarło na ustach królewskich.

— Trzeba było?

— Nic, nic — rzekł król. — Lecz czy w ciągu pobytu jego w Paryżu, nie straciłeś go z oczu?

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Gdzie mieszkał?

— Przy ulicy de La Harpe numer 75.

²²⁴Kondeusze — francuski ród arystokratyczny, będący boczną linią dynastii Burbonów, odgrywający znaczącą rolę we Francji w XVI i XVII w. [przypis edytorski]

²²⁵marszałkowa d'Ancre, właśc. *Leonora Dori* (1571–1617) — faworyta Marii Medycejskiej w okresie jej regencji na tronie Francji; żona Concino Concini, również faworyta królowej, który odegrał znaczącą rolę polityczną w okresie małoletności króla Ludwika XIII; oskarżona o praktyki magiczne zginęła poprzez ścięcie. [przypis edytorski]

²²⁶bezecnik — człowiek pozbawiony czci, wyzuty z honoru. [przypis edytorski]

— Gdzież to jest?
 — W okolicy Luksemburga.
 — I jesteś pewny, że królowa nie widziała się z nim?
 — Sądzę, iż królowa nazbyt ceni swoje obowiązki, Najjaśniejszy Panie.
 — Lecz porozumiewali się piśmiennie, panie kardynale. To do niego cały dzień pisała królowa. Kardynale, ja muszę mieć te listy!
 — A jednak, Najjaśniejszy Panie...
 — Mości książę, niech się stanie, co chce, żądam ich.
 — Pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę Waszej Królewskiej Mości...
 — Czyż i ty nie zdradzasz mnie także, panie kardynale, sprzeciwiając się woli mojej?
 Czyż i ty także trzymasz z Hiszpanami, Anglikami, z panią de Chevreuse i królową?
 — Najjaśniejszy Panie — odezwał się kardynał z westchnieniem — sądziłem, że mogę być wolny od podobnego podejrzenia.
 — Panie kardynale, rozumiesz mnie; ja chcę tych listów.
 — Byłby na to tylko jeden sposób.
 — Jaki?
 — Powierzyć to zadanie wielkiemu kanclerzowi, panu Séguier. Rzeczą ta najzupełniej wchodzi w jego obowiązki.
 — Niech poślą po niego natychmiast!
 — Musi on być u mnie w tej chwili; kazałem go prosić do siebie, a wyjeżdżając do Luwru, zostawiłem rozkaz, jeżeli się stawi, by zaczekał.
 — Niech pójdą po niego bez zwłoki.
 — Według rozkazu Waszej Królewskiej Mości, lecz...
 — Lecz cóż?
 — Lecz może królowa odmówi posłuszeństwa.
 — Moim rozkazom?
 — Tak, jeżeli nie będzie wiedziała, że pochodzi od króla.
 — Ha! To aby nie miała wątpliwości, sam ją o tym uprzedzę.
 — Wasza Królewska Mość niechaj nie zapomina, że czyniłem wszystko, co mogłem, aby zażegnać burzę.
 — Tak, mój książę, wiem, iż jesteś nader względny dla królowej, może nawet aż nazbyt, i uprzedzam cię, że będziemy mieli do pomówienia o tym jeszcze później.
 — Kiedy się Waszej Królewskiej Mości podoba. Zawsze jednak będę szczęśliwy i dumny, poświęcając się dla zgody, którą pragnę utrzymać pomiędzy Waszą Królewską Mością i królową Francji.
 — Dobrze, kardynale, dobrze. Lecz tymczasem poślij po wielkiego kanclerza, ja zaś idę do królowej.

I otworzywszy drzwi prowadzące na korytarz, udał się do apartamentów Anny Austriackiej.

Królową otaczały damy dworu: pani de Guitaut, pani de Sable, pani de Montbazon i pani de Guéménée. W rogu pokoju siedziała pokojówka, Hiszpanka, *donna* Estefania, która przybyła z nią z Madrytu. Pani de Guéménée czytała głośno; słuchano jej z uwagą, z wyjątkiem tylko królowej, która umyślnie prosiła o czytanie, aby udając, że słucha, mogła swobodnie puścić wodze swoim własnym myślom.

Myśli te, choć ozłoczone ostatnim odbłyśkiem miłości, były niemniej smutne.

Anna Austriacka była pozbawiona zaufania męża i prześladowana nienawiścią kardynała niemogącego jej przebaczyć odrzucenia jego najsłodszych uczuć. Widziała ona dokoła siebie upadających najbardziej oddanych jej ludzi, najzaufańszych powierników, swoich najdroższych ulubieńców.

Zdawać by się mogło, że posiada opłakany dar przynoszenia niedoli wszystkiemu, czego się tylko dotknęła. Jej przyjaźń dla kogoś była hasłem do prześladowań.

Panie de Chevreuse i de Vernet zostały skazane na wygnanie; La Porte na koniec nie tań przed swoją władczynią, że lada chwila spodziewa się uwięzienia.

Kiedy właśnie była najbardziej pogrążona w swoich ponurych i ciężkich myślach, drzwi się otworzyły i wszedł król.

W tej chwili lektorka umilkła, damy powstały i zapanowało głębokie milczenie.

Dwór

Król zaś bez najmniejszej oznaki grzeczności rzekł wzburzonym głosem, zatrzymując się przed królową:

— Pani, będziesz tu miała wizytę pana kanclerza, obarczonego przeze mnie sprawami, które ci opowie.

Nieszczęśliwa królowa, której nieustannie grożono rozwodem, wygnaniem, a nawet sądem, zbladła pod powłoką różu, nie mogąc się powstrzymać od zapytania:

— Lecz po co ta wizyta, Najjaśniejszy Panie? Co pan kanclerz powiedzieć mi może, czego by Wasza Królewska Mość sam oznajmić mi nie mógł?

Król, nic nie odpowiedział, wykręcił się na pięcie, a w tejże chwili kapitan straży, pan de Guitaut, oznajmił wizytę kanclerza.

Gdy ten się ukazał, król zniknął już za drugimi drzwiami.

Wszedł kanclerz, na pół uśmiechnięty, na pół wstydliwie zarumieniony.

Ponieważ spotkamy się z nim jeszcze w ciągu naszej opowieści, nie zawadzi przeto, aby czytelnicy zawarli z nim znajomość.

Kanclerz ów był uciészny²²⁷ człowiekiem. Kanonik katedralny, nazwiskiem Des Roches le Masle, który był poprzednio pokojowcem kardynała, nastręczył go Eminencji jako człowieka pewnego. Richelieu mu zaufał i dobrze mu z tym było. Opowiadano o nim przeróżne historie, a między innymi następującą:

Spędziwszy burzliwie młodość, schronił się do klasztoru, aby przynajmniej jakiś czas pokutować za wybryki młodzieńczych lat. Lecz wchodząc w to święte miejsce, biedny pokutnik nie mógł tak szybko zatrasnąć drzwi za sobą, aby namietności, przed którymi zmykał, nie wdarły się tam razem z nim. Nagabywany też był przez nie ustawicznie, a przełożony, któremu zwierzył się ze swego stanu, chcąc ustrzec go, o ile to było w jego mocy, polecił mu dla odpędzenia czarta²²⁸ kusiciela szukać ucieczki w sznurze od dzwonu, chwycić za niego i dzwonić co sił na trwogę. Na odgłos dzwonu zwiastującego, że pokusy zaczynały oblegać jednego z braciszków, mnisi uprzedzeni o przyczynie alarmu winni byli całym zastępem udawać się na modlitwę.

Ta rada spodobała się przyszłemu kanclerzowi. Począł więc odpędzać złego ducha nawalem mnisich modłów; lecz diabeł niełatwo da się usunąć z miejsca, które zajął, i w miarę podwajania egzorcyzmów potęgował swoje nagabywania tak, że dzwon bił na trwogę i we dnie, i w nocy, oznajmiając ciągle pokusy, jakim podlegał pokutnik.

Mnisi zostali pozbawieni spoczynku. We dnie nie robili nic innego, tylko biegali do kaplicy w górę i na dół z powrotem po schodach; w nocy zaś, prócz ostatniej godziny kanonicznej i jutrzni²²⁹, musieli zrywać się z łóżek jeszcze dwadzieścia razy, bijąc zawzięcie czołem o kamienne tafle celi klasztornej.

Nie wiadomo, czy diabeł opuścił stanowisko, czy też mnisi się zmęczyli; dość, że po upływie trzech miesięcy pokutnik na nowo ukazał się w świecie z reputacją najstrasliwszego opętańca, jaki był kiedyś na ziemi.

Wyszedłszy z klasztoru, został urzędnikiem, otrzymał prezydenturę z biretem. Po śmierci wuja przyłączył się do partii kardynalskiej, co było dowodem niepośledniej przenikliwości, i został nareszcie kanclerzem, służąc gorliwie Jego Eminencji w jego nienawiści przeciw królowej matce i zemście przeciw Annie Austriackiej, podżegając sędziów w sprawie de Chalais, nareszcie, obdarzony zupełnym zaufaniem kardynała, na które należycie zasługiwał, dostał niezwykłego polecenia i aby je spełnić, stawiał się u królowej. Anna Austriacka jeszcze stała, gdy wszedł, lecz zaledwie go ujrzała, usiadła znowu na fotelu, dając znak damom, aby zajęły swoje miejsca na taboretach i poduszkach, i tonem wyniosłym zapytała:

— Czego żądasz, mój panie, i w jakim celu tutaj przychodzisz?

— W imieniu króla, bez urazy Waszej Wysokości, przychodzę odbyć szczegółową rewizję w pani papierach.

— Jak to?!... Rewizję w moich papierach... do mnie należących? Ależ to niegodne!

— Zechciej mi pani wybaczyć, lecz w tym razie jestem tylko narzędziem, którym posługuje się król. Wszak był tu przed chwilą i czyż nie oznajmił pani, abyś była przygotowana do tych odwiedzin?

Duch, Diabeł, Samotnik,
Ucieczka, Dźwięk

²²⁷ucieszny (daw.) — przyjemny, miły. [przypis edytorski]

²²⁸czart — diabeł. [przypis edytorski]

²²⁹jutrznia — pierwsza z godzin liturgicznych, ogłaszanych biciem w dzwony. [przypis edytorski]

— Rewiduj pan więc, widocznie jestem zbrodniarką. Estefanio, daj klucze od moich stolików i biurka.

Kanclerz przejrzał sprzęty jedynie dla formy, bo dobrze wiedział o tym, że nie tam królowa ukryła list pisany tego dnia.

Gdy po dwadzieścia razy otwierał i zamykał szufladki biurka, trzeba było nareszcie, pomimo doznawanego wahania, raz już przystąpić do zakończenia tej sprawy, czyli do zrewidowania samej królowej.

Zbliżył się więc kanclerz do królowej i tonem mocno niepewnym, z wyrazem wielkiego zakłopotania, rzekł:

— A teraz pozostaje mi do spełnienia rewizja najgłówniejsza.

— Jaka? — zapytała królowa, nie rozumiejąc, a raczej nie chcąc rozumieć.

— Jego Królewska Mość jest pewny, że list był przez panią pisany dzisiejszego dnia. Wie o tym, iż nie został wysłany według adresu. Listu tego nie ma ani w stoliku, ani w szufladkach biurka, a jednakże musi gdzieś być.

— Śmiałyś podnieść rękę na swoją królową? — odezwała się Anna Austriacka, wyprostowawszy się dumnie, mierząc kanclerza oczami nieledwie groźnymi.

— Pani, jestem wiernym poddanym króla i spełniam wszystko, co on mi rozkaże.

— A! Więc tak! Szpiegi pana kardynała sprawiły się dobrze. Prawda, pisałam dziś list, który nie został wysłany. List ten znajduje się tutaj. — I przyłożyła piękną rękę do stanika.

— A zatem oddaj mi pani ten list — rzekł kanclerz.

— Oddam go tylko królowi — odparła Anna.

— Pani, gdyby król był chciał, aby list został wręczony jemu, sam by go zażądał. Ale powtarzam, iż mnie polecił upomnieć się o list, a gdybyś mi go pani nie oddała...

— To co?

— Musiałbym go wziąć sam.

— Jak to, co pan chcesz przez to powiedzieć?

— Że dane mi rozkazy sięgają daleko i że upoważniony zostałem do szukania podejrzanych papierów przy własnej osobie Waszej Wysokości.

— Co za ohyda! — zawołała królowa.

— Zechciej więc pani postępować zgodniej.

— Ten postępek jest nikczemnym gwałtem. Czy wiesz o tym, mój panie?

— Wybacz mi pani, tutaj tylko król rozkazuje.

— Ja tego nie zniosę! Nie, nie, umrę raczej, a nie zezwolę na to! — krzyknęła królowa, w której zawrzała krew hiszpańska i austriacka.

Kanclerz skłonił się głęboko i z widocznym zamiarem spełnienia poleconej mu czynności, z miną pacholka katowskiego podszedł do Anny Austriackiej, z której oczu trysnęły łzy wściekłego bólu.

Królowa była, jak powiedzieliśmy, niepospolicie piękna.

Zlecenie dane kanclerzowi było nader delikatnej natury, lecz król, z niesłychanej zazdrości o Buckinghamą, doszedł już do takiego zaślepienia, że o nikogo więcej nie był zazdrosny.

Bez wątpienia, iż Séguier szukał w tej chwili oczami sznura od owego pamiętnego dzwonu; nie mogąc go jednak znaleźć, pogodził się z losem i wyciągnął rękę w kierunku tym, gdzie, jak mówiła królowa, znajdował się list.

Anna Austriacka skoczyła w tył tak błada, jak gdyby śmierć zajrzała jej w oczy, i aby nie upaść, wsparła się lewą ręką na stojącym za nią stole, prawą zaś wydobyła zza gorsu²³⁰ list i podała go kanclerzowi.

— Oto list, weź go pan — zawołała urywanym i drżącym głosem — zabierz go i uwolnij mnie od swojej wstrętnej osoby.

Kanclerz, drżąc ze wzruszenia łatwego do pojęcia, wziął list, skłonił się do ziemi i wyszedł.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, na pół zemdlna królowa upadła na ręce otaczających ją kobiet.

²³⁰*gors* (daw.) — dekol. [przypis edytorski]

Kancelarz zaniósł list królowi, nie przeczytawszy z niego ani słówka. Król drżącą ręką go pochwylił, daremnie dopatrując adresu, zbladł okropnie, otworzył go z wolna i poznawszy z pierwszych wyrazów, że pisany jest do króla hiszpańskiego, przeczytał go skwapliwie.

Zawierał on plan przeciw kardynałowi. Królowa namawiała brata swego oraz cesarza austriackiego, aby pod pozorem urazy ku Richelieu za jego politykę, której wiekustą dążnością było poniżenie domu austriackiego, wypowiedzieli Francji wojnę i postawili za warunek pokoju — odprawę kardynała.

Lecz w liście tym o miłości nie było nawet wzmianki.

Król, uradowany, kazał się dowiedzieć, czy kardynał znajduje się jeszcze w Luwrze. Odpowiedziano mu, że w gabinecie do pracy oczekuje na rozkazy Jego Królewskiej Mości.

Król udał się do niego niezwłocznie.

— Słuchaj, książę — rzekł doń — miałaś słuszność, a ja byłem w błędzie; cała intryga opiera się na polityce, a o miłości w liście tym mowy nie ma wcale. Chodzi tu natomiast o ciebie.

Kardynał wziął list i czytał z wielką uwagą, a skończywszy go, powtórnie jeszcze przebiegł.

— A co — odezwał się — widzisz teraz, Najjaśniejszy Panie, do czego są zdolni moi nieprzyjaciele. Grożą ci dwiema wojnami, jeżeli mnie nie usuniesz. Doprawdy, Najjaśniejszy Panie, będąc na twoim miejscu, ustąpiłbym tak potężnym naleganiom, a ja czułbym się wielce szczęśliwy, usuwając się od spraw publicznych.

— Co ty wygadujesz, książę?

— Mówię, Najjaśniejszy Panie, iż tracę zdrowie w tych uciążliwych walkach i wiekustej pracy. Mówię, iż prawdopodobnie nie będę mógł znieść trudów przy oblężeniu La Rochelle i że lepiej byłoby mianować na moje miejsce pana Kondeusza lub pana de Bassompierre, lub wreszcie jakiegoś dzielnego człowieka, któremu z zawodu wypada prowadzić wojnę, a nie mnie, człowieka duchownego, którego nieustannie odrywają od mego powołania ku rzeczom, do których nie mam żadnej zdolności. Będiesz przy tym szczęśliwszy, Najjaśniejszy Panie, w swoich wewnętrznych stosunkach, i nie wątpię, iż niemniej wielki pozostaniesz dla obcych.

— Mości książę — rzekł król — rozumiem, bądź spokojny. Wszyscy wymienieni w tym liście będą ukarani, jak na to zasługują, nawet sama królowa.

— Co mówisz, Najjaśniejszy Panie? Boże uchowaj, aby z mojej przyczyny królowa miała doznać najmniejszej choćby przykrości! Zawsze mnie poczytywała za swego nieprzyjaciela, Najjaśniejszy Panie, chociaż Wasza Królewska Mość zaświadczyć by mogła, jak wytrwale stawałem w jej obronie, nawet przeciw tobie, panie. O! Gdyby cię, Najjaśniejszy Panie, zdradzała pod względem czci, to coś innego zupełnie, pierwszy bym wtedy powiedział: „Królu, bądź bez litości, bądź nieubłagany dla występnej!”. Na szczęście, nie ma tego wypadku, jak nowe zdobyte dowody, Najjaśniejszy Panie.

— To prawda — rzekł król — i jak zawsze, tak i tym razem miałaś słuszność, panie kardynale; lecz królowa niemniej na mój gniew zasługuje.

— To ty, Najjaśniejszy Panie, jej gniew ściągnąłeś na siebie i nie dziwiłbym się doprawdy, gdyby poważną urazę żywiła do Waszej Królewskiej Mości. Najjaśniejszy Panie, postąpiłeś z nią tak surowo!...

— Zawsze będę tak postępować z moimi i twoimi, książę, wrogami, choćby zajmowali najwyższe stanowisko i choćby mi przez to groziło największe niebezpieczeństwo.

— Królowa jest moją, lecz nie twoją nieprzyjaciółką, Najjaśniejszy Panie; przeciwnie, jest przywiązaną małżonką, uległą i bez zarzutu; pozwól mi więc, Najjaśniejszy Panie, wstawić się za nią do Waszej Królewskiej Mości.

— Niechaj się upokorzy i pierwsza do mnie przyjdzie.

— Przeciwnie, Najjaśniejszy Panie, od ciebie powinien wyjść przykład; pierwszy zawiniłeś, gdyż sam posądziłeś królową.

— Ja pierwszy mam tam zrobić krok? Nigdy!

— Najjaśniejszy Panie, błagam cię.

— Zresztą, jak się do tego wziąć?

— Sprawiając jej, Najjaśniejszy Panie, jakąś przyjemność.

— Jakąż?

Wojna, Kapłan

— Dać bal, na przykład; wiesz przecie, Najjaśniejszy Panie, jak królowa lubi taniec; zaręczam ci, iż uraza jej nie wytrzyma tej próby.

— Panie kardynale, wiesz przecie, iż nie jestem za uciechami światowymi.

— Tym więcej królowa będzie ci wdzięczna, znając twój wstręt do zabaw, Najjaśniejszy Panie. Zresztą, będzie to dla niej sposobność włożenia tych pięknych diamentowych zapinek, niedawno jej przez Waszą Królewską Mość w dzień imienin ofiarowanych, w które ustroić się nie miała dotąd sposobności.

— Zobaczymy, panie kardynale, zobaczymy — odrzekł król, który z radości, iż znalazł królową winną występku, o który niewiele się troszczył, a niewinną grzechu, którego mocno się obawiał, gotów był się z nią pogodzić — zobaczymy, ale, na honor, jesteś nadto pobłażliwy, panie kardynale.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się kardynał — surowość pozostaw ministrom, pobłażliwość zaś jest cnotą królewską; posługuj się nią, a zobaczysz, iż dobrze ci z tym będzie.

Król

To rzekłszy, kardynał słysząc zegar wydzwaniający godzinę jedenastą, złożył głęboki ukłon, prosząc króla o pozwolenie oddalenia się i błagając go, aby się pojednał z królową.

Anna Austriacka, która po przejęciu tego listu spodziewała się wymówek, była mocno zdziwiona, widząc nazajutrz króla usiłującego się z nią pojednać.

Jej pierwsze uczucie było odpychające; duma kobiety i godność królowej tak okrutnie były w niej obrażone, iż zrazu nie mogła do siebie przyjść, lecz pokonana radami swych dam przybocznych, zgodziła się na koniec, aby chociaż pozornie puścić to wszystko w niepamięć.

Król skorzystał ze sposobnej chwili, aby jej oznajmić, że nosi się z myślą wydania wielkiego balu.

Wszelka rozrywka była tak niezwykłą rzeczą dla biednej Anny Austriackiej, iż na zapowiedź tę, jak nie mylił się kardynał, zniknął ostatni cień urazy, jeżeli nie w sercu, to przynajmniej na jej pięknym obliczu.

Zapytała o dzień, na jaki była oznaczona uroczystość, lecz król jej odpowiedział, że należało mu wprzód porozumieć się pod tym względem z kardynałem.

W istocie, król zapytywał codziennie kardynała, kiedy będzie ów bal, i zawsze zwlekał pod różnymi pozorami z oznaczeniem tego dnia. Upłynęło tak dziesięć dni.

Tydzień po opowiedzianym przez nas zajściu kardynał otrzymał list opatrzony znakiem z Londynu, zawierający kilka wierszy następującej treści:

Mam je, lecz nie mogę ruszyć się z Londynu z powodu braku pieniędzy;
proszę przysłać mi pięćset pistoli — w cztery lub pięć dni po ich odbiorze
stanę w Paryżu.

W dniu, kiedy kardynał odebrał ten list, król powtórzył znów zwykłe pytanie.

Richelieu policzył na palcach i rzekł sobie w duchu:

„Przybędzie tu w cztery lub pięć dni po odbiorze pieniędzy, a że pieniądze tyleż czasu idą, wszystko zatem wyniesie dziesięć dni. Przypuśćmy jeszcze przeciwny wiatr, nieprzewidziane wypadki, kobiece dolegliwości, a może się to przeciągnąć do dwunastu dni”.

— I cóż? Mości książę! — odezwał się król. — Czy już obliczyłeś?

— Już, Najjaśniejszy Panie. Dziś mamy 20 września, urzędnicy miejscy wydadzą ucztę 3 października. Więc składa się najwyborniej, nie będzie to wyglądało, że pragniesz powrócić do królowej, Najjaśniejszy Panie.

A po chwili dodał:

— Ale, Najjaśniejszy Panie, zechciej nie zapomnieć i powiedzieć królowej z powodu balu, iż pragniesz zobaczyć, czy jej do twarzy w owych diamentowych zapinkach.

ROZDZIAŁ XVII. MAŁŻEŃSTWO BONACIEUX

Kardynał po raz drugi wspominał przy królu o diamentowych zapinkach, widocznie uczynił to nie bez ukrytego celu.

Król czuł się tym niejednokrotnie poniżony, że kardynał, przy pomocy swej tajnej policji, był powiadomiony lepiej niż on o jego wszystkich sprawach domowych.

Ludwik XIII miał mieć nadzieję, iż porozmawiawszy z Anną Austriacką, sam wszystko wyświełtli i poszczyci się przed Eminencją tajemnicą znaną kardynałowi lub nieznaną, co w każdym razie podniesie go nieskończenie w oczach jego ministra.

Poszedł więc do królowej i według zwyczaju wystąpił z nowymi groźbami przeciw tym, którzy ją otaczali.

Anna Austriacka opuściła głowę, pozwalając spłynąć potokowi bez słówka odpowiedzi w nadziei, że król wyczerpie swe groźby, ale co innego zamierzał Ludwik XIII; pragnął on starcia zdań, z którego wynikłoby światło.

Na koniec doszedł do pożądanego rezultatu, obstając przy najrozmaitszych oskarżeniach.

Anna Austriacka, zmęczona czczymi napaściami, zawołała:

— Ależ, Najjaśniejszy Panie, czemu nie wypowiesz tego, co masz na sercu? Cóżem uczyniła? Powiedz, jakiej dopuściłam się zbrodni? Niepodobna, aby Wasza Królewska Mość tak się srożył o jeden list pisany do mego brata.

Król, zaskoczony tym pytaniem, nie wiedział, co odpowiedzieć; sądził więc, że właściwiej będzie, gdy się odezwie z zaleceniem, które winien był uczynić w przeddzień balu.

— Pani — rzekł wyniośle — niebawem dany będzie bal w ratuszu; moim zdaniem, aby uczcić naszych zacnych urzędników, winnaś pani wystąpić w stroju uroczystym, a nade wszystko w tych zapinkach diamentowych, które ci dałem w dzień twoich imienin. Oto moja odpowiedź.

Odpowiedź ta była przerażająca.

Anna Austriacka sądziła, iż Ludwik XIII wie o wszystkim i że kardynał zobowiązał go do kilkudniowego milczenia, które wreszcie leżało w charakterze króla.

Zbladła straszliwie, oparłszy na konsoli cudnej piękności rękę, która stała się przezroczysta jak z wosku.

Patrzyła na króla wystraszonymi oczami, nie odpowiadając ani słowa.

— Czy rozumiesz, pani — rzekł król, rozkoszując się w całej pełni tym niepokojem, choć nie odgadywał jego przyczyny — rozumiesz pani?

— Rozumiem, Najjaśniejszy Panie — wyjąkała królowa.

— I ukażesz się na tym balu?...

— Tak.

— Przybrana w zapinki?...

— Tak.

Bladość królowej stałaby się silniejsza, gdyby to jeszcze było możliwe. Król zauważył to i tym bardziej lubował się zimnym okrucieństwem, stanowiącym ujemną stronę jego charakteru.

— Dobrze — odezwał się król — to wszystko, co miałem pani do powiedzenia.

— A na kiedy oznaczony jest ten bal? — spytała Anna Austriacka.

Ludwik XIII czuł instynktownie, iż nie powinien odpowiadać na to pytanie, które królowa zadała głosem nieledwie konającym.

— Ależ bardzo niedługo — rzekł — jednak dnia dokładnie sobie nie przypominam, zapytam o to kardynała.

— A! Więc to kardynał oznajmił ci, Najjaśniejszy Panie, o tej uroczystości? — zawołała królowa.

— Tak, pani — odparł zdziwiony król — czemu mnie o to pytasz?

— Więc to za jego radą poleciłeś mi ubrać się w te zapinki?

— To jest, pani...

— Więc to on, Najjaśniejszy Panie, to on?...

— No tak, lecz cóż cię to obchodzi, czy on, czy też ja? Alboż polecenie takie jest zbrodnią?

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Zatem będziesz pani na balu?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— To dobrze — rzekł król, odchodząc — dobrze!... Liczę na to z pewnością.

Królowa złożyła ukłon, nie tyle nawet przez etykietę, ale iż kolana ugięły się pod nią.

Król wyszedł zachwycony.

— Jestem zgubiona — wyszeptała królowa — jestem zgubiona, bo kardynał wie o wszystkim. To on kieruje królem, który nie wie jeszcze o niczym, lecz wkrótce się o wszystkim dowie. Jestem zgubiona! Mój Boże! Mój Boże! Mój Boże!...

Padła na kolana i poczęła się modlić, ująwszy głowę drżącymi rękami.

W istocie położenie było straszne.

Buckingham powrócił do Londynu, pani de Chevreuse była w Tours. Królowa, więcej niż kiedykolwiek strzeżona, przeczuwała instynktownie, iż zdradza ją jedna z jej dam, lecz która, nie wiedziała na pewno.

La Porte nie mógł wydaląć się z Luwru; nie było żywej duszy, której mogłaby się zwierzyć.

Wobec grożącego nieszczęścia i swojego opuszczenia wybuchnęła płaczem.

— Czy nie mogłabym przysłużyć się czymś Waszej Królewskiej Mości? — odezwał się naraz głos pełen słodyczy i współczucia.

Królowa obejrzała się szybko, trudno bowiem było się omylić, brzmienie tego głosu zwiastowało, że tylko przyjaciółka może tak przemawiać.

I istotnie, we drzwiach prowadzących do pokoju królowej ukazała się ładniutka pani Bonacieux. Była ona zajęta układaniem sukien i bielizny w przyległym gabinecie wówczas, gdy wszedł król; nie mogła się oddalić i słyszała wszystko.

Królowa widząc, że została podpatrzona, krzyknęła przeraźliwie, gdyż w pomieszczeniu nie poznała od razu młodej kobiety, danej jej przez pana de La Porte.

— O! Nie lękaj się pani niczego — rzekła pani Bonacieux, składając ręce i płacząc sama nad ciężkim strapieniem królowej — oddana ci jestem duszą i ciałem, Najjaśniejsza Pani, i jakkolwiek daleka i tak nisko postawiona przy Waszej Królewskiej Mości, sądzę, iż znalazłam sposób wybawienia jej z kłopotu.

— Ty? O nieba! Ty?... — wykrzyknęła królowa. — Lecz słuchaj, spojrzij mi w oczy. Ze wszystkich stron jestem zdradzana; czyż tobie mogę zaufać?...

— O! Pani! — zawołała młoda kobieta, padając na kolana. — Klnę się na zbawienie duszy, iż gotowa jestem umrzeć dla Waszej Królewskiej Mości.

Wykrzyknik ten pochodził z głębi serca i również, jak pierwszy, wzbudził zaufanie.

— Tak — ciągnęła dalej pani Bonacieux — tak, pełno tu zdrajców dokoła; lecz przysięgam na święte imię Marii Dziewicy, że nikt nie jest tak oddany Waszej Królewskiej Mości jak ja. Zapinki te, o które dopomina się król, dałaś, pani, księciu Buckinghamowi, nieprawdaż? Były one w owej szkatułce z różanego drzewa, którą niósł w rękę? Może się mylę? Może nie o to chodzi?

— O Boże! Mój Boże!... — wyszeptała królowa, której zęby szczykały z przerażenia.

— Te zapinki należy odzyskać — mówiła pani Bonacieux.

— Tak, bez wątpienia, potrzeba koniecznie! — zawołała królowa. — Lecz co począć, jak temu zaradzić?...

— Trzeba posłać kogoś do księcia.

— Lecz kogo?... Kogo?... Kogo?... Komuż mogę zaufać?...

— Mnie, Najjaśniejsza Pani, zaufaj; uczyni mi ten zaszczyt, a ja znajdę posłańca!

— Lecz trzeba będzie napisać!

— O, tak. To nieodzowne. Dwa słowa ręką Waszej Królewskiej Mości z pieczęcią osobistą.

— Lecz te dwa słowa to moje potępienie, to rozwód, wygnanie!

— Tak, jeżeli wpadną w niegodne ręce. Lecz zaręczam, iż dojdą pod właściwy adres.

— O! Mój Boże!... Trzeba więc, abym w twoje ręce powierzyła moje życie, cześć i dobre imię!...

— Tak, Najjaśniejsza Pani, trzeba, a ja wszystko ocalę.

— Ale w jaki sposób? Powiedz mi to przynajmniej.

— Mój mąż parę dni temu został wypuszczony na wolność. Nie miałam jeszcze czasu go odwiedzić. Jest to pocziwe człowieczysko, nieżywiący dla nikogo ani nienawiści, ani miłości. Wszystko, czego zażądam, uczyni. Na mój rozkaz pójdzie i odda list Waszej Królewskiej Mości pod wskazany adres, nie wiedząc nawet, co mieści.

Królowa w namiętym uniesieniu ujęła obie ręce młodej kobiety, wpatrzyła się w nią, jak by chciała przeniknąć do głębi serca, a widząc najczystsza szczerość w jej oczach, czule ją uściskała.

— Uczyni to! — zawołała. — A ocalisz mi życie, cześć moją ocalisz!...
— O! Najjaśniejsza Pani, nie przeceniaj przysługi, jaką mam szczęście ci oddać. Nie ma nic, czego bym nie uczyniła dla Waszej Królewskiej Mości, która jesteś jedynie ofiarą przewrotnych intryg.

— To prawda, moje dziecko — odparła królowa — masz zupełną słuszość.

— Daj mi, Najjaśniejsza Pani, ten list, bo czas nagli.

Królowa pobiegła do stolika, na którym znajdowały się atrament, papier i pióra, napisała dwa wiersze, zapieczętowała je własną pieczęcią i oddała pani Bonacieux.

— A teraz... — odezwała się królowa — zapominamy o potrzebnej rzeczy.

— O jakiej?

— O pieniądzach...

Pani Bonacieux zarumieniła się.

— To prawda — odrzekła — a wyznać muszę Waszej Królewskiej Mości, iż mąż mój...

— Iż mąż twój ich nie ma, to chciałaś powiedzieć.

— I owszem, ma je, lecz jest okrutnie skąpy i to jego jedyna wada. Wszelako niechaj Wasza Królewska Mość nie troszczy się, znajdziemy sposób...

— Właśnie, że i ja także ich nie mam — odezwała się królowa; tych, którzy będą czytać pamiętniki pani de Motteville²³¹, ta odpowiedź nie zadziwi — ale poczekaj...

Królowa pobiegła do kasetki z klejnotami.

— Masz — powiedziała — oto pierścień drogocenny, jak mówią wszyscy. Pochodzi on od mojego brata, króla Hiszpanii, należy do mnie i mogę nim rozporządzać. Weź ten pierścień, zamień na pieniądze i niechaj twój mąż jedzie.

— Rozkazy twe, Najjaśniejsza Pani, spełnione będą za godzinę.

— Czy widzisz adres? — dodała królowa zaledwie dosłyszalnym głosem. — Do lorda księcia Buckingham w Londynie.

— List zostanie doręczony jemu samemu.

— Szlachetne dziecko! — zawołała Anna Austriacka.

Pani Bonacieux ucałowała ręce królowej, ukryła list za stanikiem i zniknęła lekka jak ptaszek.

Dziesięć minut później była już u siebie.

Od czasu uwolnienia męża nie widziała go jeszcze, nie wiedziała o zmianie, jaka w nim zaszła co do kardynała, o zmianie wywołanej paru wizytami hrabiego de Rochefort, który stał się najlepszym przyjacielem pana Bonacieux, co prawda bez wielkich trudów natchnąwszy go wiarą, że żadne występne uczucie nie spowodowało porwania jego żony, lecz jedynie przezorność polityczna.

Zastała go samego. Biedaczysko przyprowadzał swój dom z wielkim mozołem do ładu. Zastał pogruchotane sprzęty i opróżnione szafy, sprawiedliwość bowiem nie należała wówczas do tych trzech rzeczy, które król Salomon wymienia jako niepozostawiające śladu po swoich stopach. Służąca zaś, z chwilą uwięzienia pana, uciekła. Biedna dziewczyna, przejęta strachem, umknęła z Paryża i dotarła do Burgundii²³², swojego rodzinnego miejsca.

Ujrzawszy małżonkę, czcigodny kramarz nie omieszkiał jej opowiedzieć o swoim szczęśliwym powrocie. Żona zaś odpowiedziała, winszując mu, że skorzystała z pierwszej chwili, kiedy mogła się zwolnić od swych obowiązków i przybywa teraz, ażeby cała poświęcić się jemu.

Chwila ta wprawdzie dała czekać na siebie całe pięć dni, co w każdej innej okoliczności wydać by się mogło panu Bonacieux nieco za długo, lecz z powodu swej wizyty u kardynała i odwiedzin Rocheforta miał dużo do myślenia, a wiadomo, że nic tak nie skraca czasu jak dumanie.

Nade wszystko zaś, iż dumanie to miało barwę różową.

Rochefort nazywał go swoim przyjacielem, drogim Bonacieux, i nieustannie kładł mu w uszy, iż kardynał ceni go wielce.

Kramarz widział się już na drodze do zaszczytów i majątku.

²³¹Motteville, *Françoise de* (ok. 1620–1689) — francuska pamiętnikarka, pokojówka Anny Austriackiej. [przypis edytorski]

²³²Burgundia — kraina historyczna w środkowej Francji. [przypis edytorski]

Pani Bonacieux także rozmyślała, lecz treścią jej rozmyślań nie była żądza wyniesienia. Jej myśli mimowolnie obracały się nieustannie koło tego pięknego młodzieńca, tak dzielnego i tak widocznie w niej srodze zakochanego.

W osiemnastym roku życia wydana za mąż za pana Bonacieux, żyjąc jedynie w kółku przyjaciół męzkowskich, niezdolnych natchnąć najmniejszym uczuciem młodej kobiety, której serce było wznioślejsze niż stanowisko, jakie zajmowała, pani Bonacieux pozostała nieczuła na pospolite pokusy. Lecz w owej epoce nade wszystko tytuł szlachecki wywierał wielki wpływ na mieszczaństwo, a d'Artagnan był szlachcicem; co więcej, nosił mundur gwardii, który po muszkieterskim był najbardziej ceniony przez niewiasty.

Był on, powtarzamy, piękny, młody i odważny; mówił o miłości jak człowiek rozkochany i spragniony kochania. Było to więcej niż potrzeba, żeby zawrócić dwudziestotrzyletnią główkę, a pani Bonacieux znajdowała się właśnie w tym szczęśliwym okresie życia.

Jakkolwiek małżonkowie nie widzieli się ze sobą już od przeszło tygodnia, a w ciągu tego czasu ważne wypadki stały się pomiędzy nimi, powitali się wszelako z pewnym roztargnieniem. Niemniej jednak pan Bonacieux okazał nieklamana radość i przyjął żonę z otwartymi rękami. Pani Bonacieux podała mu do pocałowania czoło.

— Pomówmy trochę — rzekła ona.

— O czym?... — zapytał zdziwiony Bonacieux.

— Tak... Mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego.

— Co prawda, i ja też mam zadać ci kilka poważnych pytań. Wytłumacz mi, proszę, swoje porwanie.

— Nie o to idzie... jak na teraz przynajmniej — odparła pani Bonacieux.

— A o cóż chodzi? O moje uwięzienie?

— Dowiedziałam się o nim od razu; lecz ponieważ nie byłeś winny żadnego występu ani też żadnej intrygi i nie wiedziałeś o niczym, co by mogło ciebie lub kogokolwiek skompromitować, więc też nie przywiązywałam większej wagi do tego wypadku, niżby na to zasługiwał.

— Łatwo ci tak mówić, moja pani! — odparł Bonacieux, urażony tym brakiem współczucia. — A czy wiesz, że siedziałem jeden dzień i noc w podziemnym więzieniu w Bastylii?

— Ten dzień i noc przemknęły ci jak nic. Dajmy więc spokój twojemu uwięzieniu, a powróćmy do tego, co mnie tu sprowadza.

— Jak to! Co cię do mnie sprowadza? Czyż to nie pragnienie ujżenia męża, z którym rozłączona byłaś od tygodnia przeszło? — zagadnął kramarz, dotknęty do żywego.

— Najpierw to, a potem co innego.

— Mów.

— Rzecz wielkiej wagi, od której w przyszłości może zależeć nasze szczęście.

— Nasze losy zmieniły swoją postać, moja pani, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni, i byłbym zdziwiony, gdyby od dziś za kilka miesięcy moje położenie nie obudziło w wielu ludziach zazdrości.

— Zapewne, zwłaszcza jeżeli postąpisz według wskazówek, które otrzymasz ode mnie.

— Ja, od ciebie?

— Tak, ty. Jest do spełnienia dobry i święty uczynek, mój panie, a przy tym zarobić na tym możesz dużo pieniędzy.

Pani Bonacieux dobrze wiedziała, iż mówiąc mężowi o pieniądzach, trafiała w jego słabą stronę.

Lecz nie wiedziała o tym, że człowiek ten stał się inny, odkąd przez dziesięć minut rozmawiał z kardynałem.

— Dużo pieniędzy do zarobienia?... — powtórzył Bonacieux, wydłużając wargi.

— Tak, dużo.

— Ile też, mniej więcej?...

— Może tysiąc pistoli.

— A czy to bardzo ważne, czego chcesz żądać ode mnie?

— Tak.

— Cóż potrzeba robić?

— Pojedziesz natychmiast. Ja ci powierzę list, którego nie dasz sobie odebrać w żaden sposób i oddasz go do rąk własnych.

— A dokądże mam jechać?

— Do Londynu.

— Ja? Do Londynu?... Cóż znowu, kpisz sobie chyba, ja nie mam żadnego interesu w Londynie.

— Lecz inni potrzebują, ażebyś się tam udał.

— Co za inni?... Upprzedzam cię, iż nie myślę dłużej postępować na ślepo i chcę wiedzieć nie tylko, na co się narażam, ale i dla kogo.

— Osoba bardzo wysoko postawiona posyła cię, a druga również dostojna oczekuje na ciebie. Nagroda przewyższy twoje żądania. Oto wszystko, co ci mogę przyobiecać.

— Znowu intrygi! Zawsze intrygi!... Dziękuję, będę się teraz miał na ostrożności, pan kardynał już mnie objaśnił w tym względzie.

— Kardynał?... — wykrzyknęła pani Bonacieux. — Widziałeś się z kardynałem?

— Wezwał mnie do siebie!... — odparł dumnie kramarz.

— I poszedłeś na to wezwanie, niebaczny?...

— Muszę wyznać, że nie miałem do wyboru iść albo nie iść, bo znajdowałem się pomiędzy dwoma stróżami. Prawdę powiedziawszy, ponieważ nie znałem wtedy Jego Eminencji, więc gdybym był mógł się uwolnić od tej wizyty, z przyjemnością byłbym to uczynił.

— Więc źle się z tobą obszedł? Groził ci?

— Podał mi rękę i nazwał mnie swoim przyjacielem, przyjacielem! Rozumiesz, moja pani? Jestem przyjacielem wielkiego kardynała!

— Wielkiego kardynała!

— Jak to, czyżbyś przeczyła temu tytułowi, moja pani?

— Nie zaprzeczam mu niczego, lecz mówię ci, że łaska ministra prędko przemija i że trzeba być szalonym, aby przywiązywać się do niego. Są władze wyższe od tej, które spoczywają na kapryсах ludzkich lub chwilowych wypadkach, z tymi należy się łączyć.

— Bardzo mi przykro, moja pani, lecz nie znam wyższej władzy niż wielkiego człowieka, któremu mam zaszczyt służyć.

— Ty służysz kardynałowi?

— Tak, pani. I jako jego wierny sługa nie pozwolę, abyś mieszała się do spisków przeciw rządowi i abyś służyła intrygom kobiety, która nie jest Francuzką, a serce ma hiszpańskie. Na szczęście jest wielki kardynał, a jego czujne oko strzeże i przenika aż do głębi serca.

Bonacieux powtarzał słowo w słowo frazes zasłyszany od hrabiego de Rochefort, lecz biedna kobieta, która liczyła na swego męża i w tej nadziei zaręczyła za niego królowej, zadrżała na myśl o niebezpieczeństwie, w jakie o mało co nie wpadła.

Znając jednak słabość, a nade wszystko chciwość swego małżonka, nie traciła jednak nadziei, że trafi z nim do ładu.

— A! Jesteś kardynalistą, mój panie? — zawołała. — To tak? Służysz stronnictwu, które poniewiera twoją żonę i łączy twoją królową.

— Interesy prywatne są niczym wobec interesów ogółu. Trzymam z tymi, którzy zbawiają państwo — odparł z przesadą Bonacieux.

Był to inny frazes hrabiego de Rochefort, który to frazes Bonacieux zapamiętał i teraz zużytkował go przy sposobności.

— A czy wiesz, co to jest państwo, o którym rozprawiasz? — odezwała się pani Bonacieux, wzruszając ramionami. — Ciesz się, że jesteś zakutym mieszczaninem i zwróć się w tę stronę, skąd cię większą korzyścią obdarzą.

— E! E!... — rzekł Bonacieux, uderzając się po zaokrąglonym trzosie²³³, który wydał metaliczny dźwięk. — A cóż ty na to, pani kaznodziejko?

— Skąd masz te pieniądze?

— Nie domyślasz się?

— Od kardynała?

— Od niego i od mego przyjaciela, hrabiego de Rochefort.

Interes, Państwo

²³³ trzos — sakiewka; torebka na pieniądze. [przypis edytorski]

— Hrabiego de Rochefort?... Ależ to on mnie porwał.
— Być może, moja pani.
— I ty przyjmujesz pieniądze od tego człowieka?
— A czyś mi nie powiedziała, że twoje porwanie było czysto polityczne?
— Nie przeczę, lecz miało ono na celu zmusić mnie do zdradzenia mojej pani, za pomocą tortur wydrzeć mi zeznania, które mogłyby narazić cześć, a może i życie mojej dostojnej władczyni.

— Moja pani — odparł Bonacieux — twoja dostojna władczyni jest przewrotną Hiszpanką, a co kardynał robi, to dobrze robi!

— Mój panie — rzekła młoda kobieta — znałam cię jako tchórza, skąpca i głupca, lecz nie wiedziałam, że jesteś nikczemny!

— Pani! — rzekł Bonacieux, który nigdy nie widział żony tak rozszłoszczonej, a unikał klótni małżeńskiej. — Pani!... Co ty mówisz?

— Mówię, że jesteś nędznikiem! — ciągnęła pani Bonacieux, widząc, że bierze przewagę nad mężem. — A!... Więc ty się zajmujesz polityką, ty! I do tego kardynalską. A! Sprzedajesz się czartowi za pieniądze, z duszą i ciałem?...

— Wcale nie czartowi, bo kardynałowi.

— To wszystko jedno! — krzyknęła młoda kobieta. — Richelieu to szatan!...

— Cicho bądź, pani, milcz! Mógłby cię jeszcze ktoś usłyszeć.

— Tak, masz słuszość. I musiałabym się wstydzić za twoje tchórzostwo.

— Czegoż więc ode mnie żadasz? Zobaczymy!

— Mówiłam ci już, abyś natychmiast pojechał i uczciwie spełnił zlecenie, którym raczę cię obarczyć, a pod tym warunkiem zapomnę i przebaczę ci wszystko; co więcej — wyciągnęła rękę do niego — zwrócę ci moją przyjaźń.

Bonacieux był tchórzem i skąpcem, lecz kochał swoją żonę, rozczerpnął się.

Pięćdziesięcioletni mężczyzna nie może długo chować urazy do dwudziestoletniej żony. Pani Bonacieux dostrzegła to wahanie.

— I cóż, namyśliłeś się? — zapytała.

— Ależ, moja droga, zastanów się, czego żadasz ode mnie. Londyn jest bardzo daleko od Paryża, a kto wie, czy ze zleceniem, jakie mi powierzasz, nie łączy się niebezpieczeństwo!

— Mniejsza o to, jeżeli go unikniesz.

— Słuchaj, pani Bonacieux, słuchaj, ja stanowczo odmawiam; przerażają mnie intrygi. Ja widziałem Bastylię. Brrrrr! Straszna ta Bastylia! Dość o niej pomyśleć, a dostaję gęsiej skórki. Torturą mi grożono. Czy ty wiesz, co to są tortury? Kliny drewniane, które ci między nogi wbijają, dopóki nie potrzaskają kości! Nie, nie pojedę stanowczo. A czemuż, do licha, sama tam nie pojedziesz? Bo, naprawdę, zdaje mi się, że myliłem się co do twojej płci! Ty jesteś mężczyzną, i to najzapamiętałym!

— A ty jesteś babą, babą nikczemną, głupią i zbestwioną²³⁴. A! Tchórzysz! Więc dobrze, jeżeli nie jedziesz natychmiast, każę cię z rozkazu królowej aresztować i wpakować do Bastylii, której się tak lękasz.

Bonacieux pogrążył się w głębokim zamyśleniu, a w swym umyśle wziął na szalę te dwa gniewy, kardynała i królowej; pierwszy ogromnie przeważał.

— Każ mnie aresztować w imieniu królowej — rzekł — a ja powołam się na Jego Eminencję.

Przerażona pani Bonacieux spostrzegła od razu, że zanadto się zagalopowała.

Ze strachem wpatrzyła się przez chwilę w to głupie oblicze, pełne stanowczości niezwalczonej, jak zwykle u ludzi ograniczonych, którzy się boją.

— Ha! Niech i tak będzie — rzekła. — Wreszcie może masz słuszość; mężczyzna zawsze więcej niż kobieta zna się na polityce, a ty, panie Bonacieux, szczególnie, ty, który rozmawiałeś z kardynałem... A jednak — dodała — bardzo to bolesne, iż mąż mój, na którego przywiązanie liczyłam, tak mało uprzejmości ma dla mnie i nigdy nie chce zadowolić moich życzeń.

— Bo te życzenia mogą zaprowadzić zbyt daleko — odrzekł Bonacieux triumfująco — więc im nie dowierzam.

²³⁴zbestwiony (daw.) — rozbestwiony, nieposłuszny. [przypis edytorski]

— Ha! To zrzekam się ich — rzekła z uśmiechem. — Dobrze, nie mówmy już o tym.
— Gdybyś mi powiedziała przynajmniej, co ja tam będę robić w Londynie — odezwał się Bonacieux, który przypominał sobie, lecz trochę za późno, iż Rochefort zalecił mu podchwytywać tajemnice żony.

— Ta wiadomość jest ci teraz niepotrzebna — rzekła młoda kobieta, którą instynktowna nieufność zaczęła powstrzymywać. — Chodziło tu o rzecz małej wagi, jak zwykle, o zachcianki kobiecie, o pewien sprawunek, na którym można by grubo zarobić.

Jednak im więcej stawała się skryta, tym bardziej dawała mu do myślenia, że kryła przed nim ważną tajemnicę.

Postanowił więc udać się natychmiast do hrabiego de Rochefort, aby mu powiedzieć, iż królowa poszukuje posłańca do Londynu.

— Wybacz, że cię zostawiam, droga pani — rzekł — lecz nie wiedząc, że do mnie przyjdiesz, umówiłem się z jednym z moich przyjaciół. Powrócę za chwilę i jeżeli zechcesz poczekać na mnie pół minutki, to gdy tylko się tam załatwię, przyjdę, ażeby odprowadzić cię do Luwru, gdyż już zaczyna się ściemniać.

— Dziękuję panu — odparła pani Bonacieux. — Nie jesteś dość odważny, abyś był mi przydatny, i sama potrafię powrócić do Luwru.

— Jak się pani podoba — odpowiedział jej kramarz. — Kiedyż cię znowu ujrzę?

— Niedługo. Mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu będę wolniejsza od służby, skorzystam więc z tego, aby przyjść i zaprowadzić ład w naszym gospodarstwie, które musi być nieco nadwyrężone.

— To dobrze, będę cię oczekiwać. Czy nie masz do mnie urazy?

— Ja? Bynajmniej.

— Do widzenia zatem...

— Do widzenia.

Bonacieux pocałował żonę w rękę i popędził jak strzała.

— No, tylko tego brakowało, aby ten błazen został kardynałem! — powiedziała do siebie pani Bonacieux, gdy drzwi zamknęły się za jej mężem. — A ja zaręczyłam królowej, obiecałam mojej pani... A! Boże mój, Boże! Weźmie mnie za jedną z tych nędznic, od których roi się w pałacu, a które umieszczono przy niej, aby ją szpiegować! Ha! Mój panie Bonacieux!... Nie kochałam cię nigdy zbyt, a teraz nienawidzę! I daję słowo, że mi za to zapłacisz!

W chwili gdy to mówiła, pukanie w suficie zmusiło ją do spojrzenia w górę, a głos znad sufitu odezwał się do niej:

— Droga pani Bonacieux, otwórz mi drzwiczki od schodów, abym mógł do ciebie przyjść.

ROZDZIAŁ XVIII. KOCHANEK I MĄŻ

— A! Pani — rzekł d'Artagnan, wchodząc drzwiami, które mu otworzyła młodzianka kobieta — pozwól powiedzieć sobie, iż nieosobliwego masz męża.

— Więc pan słyszał naszą rozmowę? — spytała żywo pani Bonacieux, patrząc z niepokojem na d'Artagnana.

— Caluteńką.

— Ale w jakiż sposób, mój Boże?

— Za pomocą środka mnie tylko znanego, dzięki któremu słyszałem wprzód rozmowę daleko bardziej ożywioną, jaką pani miałaś z kardynalskimi zbirami.

— A cóżes pan sobie pomyślał o tym, co mówiliśmy?

— Różne rzeczy. Najpierw, że mąż pani jest, na szczęście, ciemną²³⁵ i głupcem, następnie, że pani jesteś w kłopotcie, z czego mocno się cieszę, bo mi to daje sposobność oddania się na twoje usługi, a Bogu wiadomo, czy nie jestem gotów rzucić się w ogień dla ciebie; na koniec, że królowa potrzebuje człowieka odważnego, przytomnego i oddanego sobie, który by odbył podróż do Londynu. Z tych trzech żądanych rzeczy posiadam co najmniej dwie i czekam na rozkazy.

Pani Bonacieux nic nie odpowiedziała, lecz jej serce biło z radości i ukryta nadzieja zabłysła w jej oczach.

²³⁵ciemnoga (daw.) — człowiek niezdarny, niedołęga. [przypis edytorski]

— A jaką dasz mi pan pewność — rzekła — gdybym przystała na powierzenie ci tego posłannictwa?

— Miłość moją dla pani! Dalej, mów, rozkazuj: cóż należy czynić?

— Boże mój! Boże!... — szepnęła młoda kobieta. — Czyż mogę powierzyć panu taką tajemnicę? Jesteś prawie dzieckiem!

— Ha, widocznie potrzeba pani kogoś, żeby za mnie zaręczył.

— Przyznaję, iż bardzo by mnie to upewniło.

— Znasz pani Atosa?

— Nie.

— Portosa?

— Nie.

— Aramis?

— Nie. Któż są ci panowie?

— Muszkietierowie królewscy...

— A czy znasz pani pana de Tréville, ich kapitana?

— O! Tak, tego znam, nie osobiście, lecz ze słyszenia, i nieraz mówiono o nim królowej jako o dzielny i zacnym szlachcicu.

— I nie obawiasz się, pani, aby on cię dla kardynała zdradził, wszak prawda?

— O! Nie, nie!

— To daj mu pani poznać swoje tajemnice i zapytaj go, czy choćby była najważniejsza i najstraszniejsza, może mi być powierzona.

— Ależ tajemnica nie do mnie należy i nie mogę mu jej odkrywać.

— A o mało co nie zwierzyłaś się panu Bonacieux — odezwał się d'Artagnan ze złością.

— Tak, jak się powierza list wydrażeniu w drzewie, skrzydłu gołębia lub psiej obroży.

— A jednak, wiesz pani doskonale, że cię kocham.

— Tak pan mówisz przynajmniej.

— Jestem człowiekiem prawym.

— Wierzę.

— Odważnym!

— O! Tego jestem pewna.

— Zatem wystaw mnie pani na próbę.

Pani Bonacieux spojrzała na młodzieńca, powstrzymywana resztą lękliwego wahania. Lecz tyle zapału było w jego oczach, głos był tak przekonujący, że nabrała odwagi, aby zupełnie mu zaufać.

Wreszcie znajdowała się w takich okolicznościach, w jakich stawka równa się wygranej.

Królowa mogła być zgubiona tak dobrze przez zbytnią ostrożność, jak i wskutek zbytniego zaufania.

Przynajmy też, iż mimowolne uczucie, którego doznawała dla tego opiekuńczego młodzieńca, skłoniło ją na koniec do omówienia.

— Posłuchaj pan — rzekła — powierzam się pańskiemu honorowi, twoje zapewnienia skłaniają mnie do tego. Lecz przysięgam przed Bogiem, który nas słyszy, że jeżeli zdradzisz mnie, a moi nieprzyjaciele zostawią mnie przy życiu, zabiję się, a ciebie obwinę o moją śmierć.

— A ja przysięgam przed Bogiem — rzekł d'Artagnan — że jeśli zostanę ujęty, spełniając twoje rozkazy, umrę wpierw, zanim zrobię lub powiem coś, co by kogokolwiek mogło narazić.

Wtedy młoda kobieta powierzyła mu strasliwą tajemnicę, której część odkrył mu przypadek na moście, przy latarni Samarytanki.

Było to dla nich wspólnym wyznaniem miłości.

D'Artagnan promieniał radością i dumą.

Posiadana tajemnica i kobieta ukochana przez niego, jednym słowem zaufanie i miłość, czyniły go olbrzymem.

— Jadę — rzekł — jadę natychmiast!...

— Jak to? Jedziesz pan? — zawołała pani Bonacieux. — A twój pułk, a dowódca?...

Przysięga

Miłość, Tajemnica, Kobieta

— Na honor, o wszystkim przez ciebie zapomniałem, ukochana Konstancjo. Tak! Masz słuszość, muszę mieć urlop.

— Jeszcze jedna przeszkoda — wyszeptła z goryczą pani Bonacieux.

— O! Co do tej — rzekł po chwilowym namyśle d'Artagnan — bądź spokojna, usunę ją.

— Jakim sposobem?

— Jeszcze dziś wieczorem pójdę do pana de Tréville i zobowiązę go, aby wyjednał dla mnie tę łaskę od swojego szwagra, pana des Essarts.

— A teraz jeszcze druga rzecz.

— Jaka? — zagadnął d'Artagnan, widząc, że pani Bonacieux waha się z wypowiedzeniem swej myśli.

— Może nie masz pieniędzy?

— Nie mylisz się pani — rzekł, uśmiechając się, d'Artagnan.

— Otóż — odparła pani Bonacieux, wyjmując z szafy trzos, który przed półgodziną jej mąż z taką miłością pieścił — weź to.

— Pieniądze kardynalskie — zawołał d'Artagnan, wybuchając śmiechem, wiemy bowiem, iż dzięki dziurze w posadzce ani słówka nie stracił z rozmowy kramarza z żoną.

— Kardynalskie — odparła pani Bonacieux. — Widzisz przecie, że trzos ten przedstawia się dość przyzwoicie.

— Jak mi Bóg miły! — wykrzyknął d'Artagnan. — To będzie ucieszna historia, pieniędzmi Jego Eminencji ocalę królową!

— Miły i zachwycający z ciebie chłopiec — rzekła pani Bonacieux. — Wierzej mi, iż Jej Królewska Mość nie okaże się dla ciebie niewdzięczna.

— O! Jestem już wynagrodzony wspaniale — zawołał d'Artagnan. — Pozwalasz mi powiedzieć, że cię kocham. To większe szczęście, niż mogłem się spodziewać.

— Cicho! — odezwała się pani Bonacieux, zadrżawszy.

— Co takiego?

— Słyszę na ulicy rozmowę.

— To głos...

— Mojego męża. Tak, to on!

D'Artagnan rzucił się do drzwi i zasunął rygiel.

— Nie wejdzie, dopóki ja stąd nie wyjdę — rzekł. — Otworzysz mu, kiedy mnie już nie będzie.

— Lecz i ja tu nie powinnam być. Jeżeli zostanę, jak usprawiedliwię zniknięcie pieniędzy?

— Słusznie, trzeba wyjść.

— Wyjść, a jak nas zobaczy?

— To trzeba wejść do mnie.

— A! Mówisz to takim tonem, że mnie przerażasz — zawołała pani Bonacieux.

Słowa te wyrzekła ze łzami w oczach.

D'Artagnan dostrzegł je i pomieszany, zmiękczony rzucił się jej do kolan.

— U mnie — rzekł — będziesz bezpieczna jak w świątyni, ręczę ci słowem szlachetkim.

— Idźmy — rzekła — ufam ci, mój drogi.

D'Artagnan odsunął ostrożnie rygiel i oboje, jak dwa lekkie cienie, przesunęli się przez drzwi wewnętrzne do korytarza, bez szelestu przebyli schody i weszli do pokoju d'Artagnana.

Znalazłszy się u siebie, młodzieniec dla wszelkiego bezpieczeństwa zabarykadował drzwi.

Podeszli tu do okna i przez szparę w okiennicy ujrzeli pana Bonacieux rozmawiającego z mężczyzną w płaszczu.

Na widok tego ostatniego d'Artagnan skoczył jak oparzony i chwytając rękojeść szpady, rzucił się ku drzwiom.

Był to mężczyzna z Meung.

— Co zamýślasz robić? — krzyknęła pani Bonacieux. — Chcesz nas zgubić!

— Ależ przysięgłem sobie zabić tego człowieka — odparł d'Artagnan.

Miłość, Szczęście

— Twoje życie należy teraz nie do ciebie. Zabraniam ci w imieniu królowej narażać się na niebezpieczeństwa niemające związku z twoją podróżą.

— A w swoim imieniu czy nic mi nie rozkazujeś?

— W moim — odrzekła z żywym wzruszeniem pani Bonacieux — w moim imieniu proszę cię o to. Lecz posłuchajmy, zdaje mi się, iż mówią o mnie.

D'Artagnan zbliżył się do okna i nadstawił ucha.

Pan Bonacieux otworzył drzwi i widząc, że mieszkanie jest puste, powrócił do mężczyzny w płaszczu, którego pozostawił na chwilę samego.

— Wyszła — rzekł — musiała powrócić do Luwru.

— Zatem jesteś pewny — odparł obcy mężczyzna — że nie przypuszcza, w jakich zamiarach wyszedłeś?

— Nie — odrzekł zrozumiawie Bonacieux — ona w ogóle mało myśli, to kiepska głowa kobieca!...

— A ten kadet z gwardii jest w domu?

— Chyba że nie, bo, jak pan widzisz, okiennica u niego zamknięta i żadnego światła nie widać przez szpary.

— To nic, należałoby się przekonać.

— W jaki sposób?

— Zapukać do jego drzwi.

— Zapytam służącego.

Bonacieux wszedł do mieszkania, przeszedł drzwiami, którymi umknęli zbiegowie, stanął w sieni d'Artagnana i zapukał.

Nikt się nie odezwał. Portos, dla większej parady u siebie, pożyczył na ten wieczór Plancheta. D'Artagnan zaś nie myślał dawać znaku życia.

W chwili gdy palec pana Bonacieux odbił się o drzwi, dwójgu młodym ludziom o mało serca nie wyskoczyły z piersi.

— Nie ma nikogo — rzekł Bonacieux.

— Mniejsza o to, wejdźmy w każdym razie do pana, będziemy bezpieczniejsi niżli tu, na progu.

— A! Mój Boże! — szepnęła pani Bonacieux. — Nic już nie usłyszymy.

— Przeciwnie — odparł d'Artagnan — i to daleko lepiej.

Odkrył dziurę w posadzce, która tworzyła z jego pokoju coś na kształt ucha Dionizjosa²³⁶, rozpostarł na ziemi dywan, ukląkł na nim, dając znak pani Bonacieux, aby również, jak on, pochyliła się nad otworem.

— Jesteś przekonany, że nie ma tam nikogo? — zapytał obcy mężczyzna.

— Ręczę za to — odrzekł Bonacieux.

— I myślisz, że twoja żona...

— Powróciła do Luwru.

— Nie widząc się z nikim prócz z tobą?

— Jestem tego pewny.

— W tym grunt... rozumiesz?

— O!... Rozumiem, że nowina, którą powiedziałem panu, jest ważna...

— Nadzwyczajnie, mój drogi Bonacieux, nie taję tego bynajmniej.

— Więc kardynał będzie ze mnie zadowolony?

— Spodziewam się.

— Wielki kardynał!...

— Czy jesteś pewny, że żona w rozmowie z tobą nie wymieniła żadnego nazwiska?

— Nie zdaje mi się.

— Nie wymieniała ani pani de Chevreuse, ani pana de Buckingham, ani pani de Vernet?

— Nie, powiedziała tylko, że wyprawiłaby mnie do Londynu dla załatwienia sprawy jakiejś znakomitej osobistości.

— Zdrajca!... — szepnęła pani Bonacieux.

— Cicho! — rzekł d'Artagnan, ujmując jej rączkę, którą mu bezwiednie oddała.

²³⁶ucho Dionizjosa — nawiązanie do podejrzliwości i lęku o własne życie, z których słynął Dionizjos I: tyran greckiego miasta Syrakuzy, położonego na Sycylii; przen. urządzenie podsłuchowe. [przypis edytorski]

— W każdym razie — ciągnął mężczyzna w płaszczu — jesteś niedołągą, bo trzeba ci było udać, iż przyjmujesz zlecenie, byłbyś już teraz w posiadaniu listu; rząd, któremu grożą, byłby ocalony, a ty...

— A ja?... —

— Ha!... A tobie kardynał dałby dyplom szlachecki...

— Powiedział to panu?

— Rozumie się, iż chciał ci sprawić tę niespodziankę.

— Bądź pan spokojny — odrzekł Bonacieux — moja żona ubóstwia mnie, jeszcze czas.

— Dureń! — szepnęła pani Bonacieux.

— Cicho! — rzekł d'Artagnan, ściskając mocniej jej rękę.

— Jak to?... Jeszcze czas? — zapytał mężczyzna w płaszczu.

— Pędzę do Luwru, wywołuję panią Bonacieux, powiem jej, że się namyśliłem, dostaję list i lecę z nim do kardynała.

— To śpiesz się! Ja tu powrócę wkrótce, aby się dowiedzieć, coś uczynił.

I wyszedł.

— Podły! — rzekła pani Bonacieux, stosując jeszcze i to określenie na swojego męża.

— Cicho!... — odezwał się d'Artagnan, coraz mocniej ściskając jej rączkę.

Naraz straszny ryk przerwał uwagę dwojga młodych ludzi.

Był to głos małżonka pani Konstancji, który dostrzegłszy zniknięcie trzosa, darł się na całe gardło, że go okradziono.

— O! Boże!... — zawołała pani Bonacieux. — Gotów poruszyć całą dzielnicę.

Bonacieux krzyczał długo, lecz podobne hałasy, dlatego że często się wówczas powtarzały, nikogo już nie zwabiały na ulicę des Fossoyeurs, a przy tym dom kramarza miał nietęgą reputację.

Widząc więc, że nikt nie przybywa, wybiegł z domu, krzycząc nieustannie, i było już tylko słychać jego głos, oddalający się w kierunku ulicy du Bac.

— A teraz, kiedy już poszedł sobie, na pana kolej, abyś wyszedł — rzekła pani Bonacieux. — Odwagi, a przede wszystkim roztropności. Pamiętaj, że teraz należysz do królowej.

— Do niej i do ciebie! — zawołał d'Artagnan. — Bądź spokojna, piękna Konstancjo, stanę się godny jej wdzięczności; lecz czy powrócę godny twojej miłości?

Młoda kobieta odpowiedziała mu na to żywym rumieńcem, który okraślił jej lica.

W kilka chwil potem d'Artagnan wyszedł osłonięty szerokim płaszczem.

Pani Bonacieux powiodła za nim rozkochanymi oczyma, lecz skoro zniknął przy zakręcie ulicy, padła na kolana i złożyła ręce.

— O! Boże!... — zawołała. — Weź w swoją opiekę królową i nie opuszczaj mnie!

ROZDZIAŁ XIX. PLAN WYPRAWY

D'Artagnan udał się wprost do pana de Tréville. Rozważył, iż za chwilę kardynał uprzedzony zostanie przez tego potępieńca, który widocznie był jego agentem, i słusznie sądził, iż nie ma czasu do stracenia. Serce młodzieńca radością było wezbrane.

Zdarzała mu się sposobność, w której były jednocześnie sława i pieniądze do zdobycia, a na domiar czynniki te, jak gdyby na zachętę, zbliżały go do kobiety, którą ubóstwiał. Wypadek więcej czynił dla niego, niżby śmiał żądać od Opatrzności.

Pan de Tréville znajdował się w salonie, jak zwykle otoczony szlachtą.

D'Artagnan, którego znano jako dobrze widzianego, udał się prosto do gabinetu i poleciał, aby dano znać, iż czeka w sprawie nader ważnej.

Po upływie pięciu minut wszedł pan de Tréville.

Na pierwszy rzut oka zacny kapitan poznał z oblicza, na którym malowała się radość, że rzeczywiście zaszło coś niezwykłego.

Przez całą drogę d'Artagnan stawiał sobie pytanie: czy wypadało zwierzyć się panu de Tréville, czy też żądać tylko udzielenia odeń pozwolenia na zupełnie swobodne działanie w tajemnej sprawie? Lecz pan de Tréville tak nieskończenie dobry był dla niego, a sam tak oddany królowi i królowej, tak serdecznie przy tym nienawidził kardynała, że młodzieniec postanowił opowiedzieć mu wszystko.

— Żądałeś widzenia mnie, mój młody przyjacielu? — odezwał się pan de Tréville.

— Tak, panie — rzekł d'Artagnan. — I mam nadzieję, iż pan mi przebaczy, że go trudzę, gdy się dowiesz, o co tu chodzi.

— Mów więc, słucham.

— Chodzi tu ni mniej, ni więcej — rzekł d'Artagnan, zniżając głos — o cześć, a może nawet i o życie królowej.

— Co mówisz?... — zagadnął pan de Tréville, potoczywszy wzrokiem dokoła, dla upewnienia się, czy są sami, i skupiając badawcze spojrzenie na d'Artagnanie.

— Mówię panu, iż wypadek uczynił mnie panem tajemnicy...

— Którą spodziewam się, młodzieńcze, iż zachowasz kosztem twojego życia.

— Ale winienem powierzyć ją panu, bo jedynie ty możesz mi dopomóc w spełnieniu zlecenia, które otrzymałem od Jej Królewskiej Mości.

— Czy tajemnica ta do ciebie należy?

— Nie, panie, lecz do królowej.

— A czyś upoważniony do powierzenia mi jej?

— Nie, panie, zlecono mi najgłębszą tajemnicę.

— Dlaczegoż więc chcesz ją zdradzić przede mną?...

— Ponieważ, mówię, bez pana nie mogę nic zrobić, a lękam się, byś nie odmówił mi łaski, której przychodzę żądać, jeżeli nie będziesz wiedział, w jakim celu o nią proszę.

— Zachowaj tę tajemnicę, młodzieńcze, i mów, czego pragniesz.

— Pragnę, abyś pan otrzymał dla mnie od pana des Essarts dwutygodniowy urlop.

— Kiedy?

— Jeszcze tej nocy.

— Opuszczasz Paryż?

— Jadę z poleceniem.

— Czy możesz mi powiedzieć dokąd?

— Do Londynu.

— Czy komuś zależy na tym, abyś się tam nie dostał?

— Sądzę, iż kardynał dałby wszystko na świecie, aby mi w tym przeszkodzić.

— Sam jedziesz?

— Sam.

— W takim razie nie dojedziesz nawet do Bondy²³⁷. Ja ci to mówię, słowo de Tréville.

— Dlaczego?

— Każą cię zamordować.

— Umrę, spełniając swój obowiązek.

— Lecz posłannictwo twoje nie będzie spełnione.

— To prawda — zauważył d'Artagnan.

— Wierź mi — ciągnął dalej de Tréville — w przedsięwzięciach tego rodzaju tylko jeden na czterech może dotrzeć do miejsca.

— A! Masz pan słuszność — rzekł d'Artagnan — lecz znasz przecie Atosa, Portosa i Aramisa i wiesz, czy mogę nimi rozporządzać.

— Ale nie powierź im tajemnicy, której i ja nie chcę znać.

— Raz na zawsze przysięgliśmy sobie ślepe zaufanie i wierność bez granic; wreszcie pan może im powiedzieć, iż ufasz mi zupełnie, a tak samo jak pan i oni mi zawierzą.

— Mogę każdemu z nich posłać dwutygodniowy urlop, nic więcej; Atosowi, któremu dolega rana, aby udał się do wód w Forges²³⁸; zaś Portosowi i Aramisowi, aby towarzyszyli przyjacielowi, który potrzebuje ich pomocy w chorobie. Doręczenie urlopu będzie dowodem, że upoważniam ich do podróży.

— Dzięki, panie, jesteś nieskończenie dobry.

— Idź więc do nich natychmiast i niech wszystko będzie tej nocy gotowe. A!... Napisz mi zaraz prośbę do pana des Essarts. Być może, iż miałeś szpiega za piętami, a w takim razie odwiedziny twoje znane są już kardynałowi, będą tym przynajmniej uprawnione.

D'Artagnan napisał prośbę, a pan de Tréville, biorąc ją do ręki, zaręczył, że przed drugą po północy cztery urlopy zostaną przesłane do własnych mieszkań muszkietarów.

²³⁷ Bondy — miejscowość i gmina we Francji; przedmieście Paryża. [przypis edytorski]

²³⁸ Forges-les-Eaux — gmina w regionie Normandia w płn. Francji; znana z występowania na jej terenie leczniczych wód termalnych. [przypis edytorski]

— Zechciej pan odesłać mój do Atosa — rzekł d'Artagnan. — Przy powrocie do siebie lękam się jakiego zdradzieckiego spotkania.

— Bądź spokojny. Bywaj zdrow i szczęśliwej drogi! Ale! Ale! — rzekł de Tréville, przywołując go z powrotem.

D'Artagnan zawrócił.

— A masz ty pieniądze?

D'Artagnan zabrzęczał trzosem w kieszeni.

— Ale czy dosyć? — zapytał de Tréville.

— Trzysta pistoli.

— To dobrze, można z tym na koniec świata zajechać; ruszaj więc.

D'Artagnan pożegnał pana de Tréville, który podał mu rękę, młodzieniec uścisnął ją z szacunkiem i wdzięcznością.

Odkąd przybył do Paryża, mógł tylko poszczycić się tym niezrównanym człowiekiem, którego w każdym wypadku znajdował zawsze zacnym, prawym i wielkim.

Najpierw udał się do Aramisa, a nie był u niego od owego pamiętnego wieczoru, kiedy śledził panią Bonacieux.

Co więcej, ile razy go odtąd widział, spostrzegał głęboki smutek rozlany na jego obliczu.

Tego wieczora również Aramis siedział chmurny i zamyślony.

D'Artagnan zagadnął go o tę ponurą melancholię, lecz Aramis zwał wszystko na komentarze nad osiemnastym rozdziałem świętego Augustyna, które był zmuszony napisać na następny tydzień i to, jak mówił, tak go wielce zajmowało.

Gdy rozmawiali już jakiś czas, wszedł służący pana de Tréville, niosąc zapieczętowane papiery.

— Cóż to takiego? — zapytał Aramis.

— Urlop, żądany przez pana — odrzekł lokaj.

— Przeze mnie? Ja wcale nie żądałem urlopu.

— Nic nie mów, tylko bierz — odezwał się d'Artagnan. — Ty, przyjacielu, masz pół pistola za fatygę; podziękuj bardzo panu de Tréville od pana Aramisa. Ruszaj.

Służący skłonił się nisko i wyszedł.

— Cóż to znaczy? — zapytał Aramis.

— Wybieraj się w dwutygodniową podróż i chodź ze mną.

— Ależ ja teraz właśnie nie mogę wyjechać z Paryża, nie wiedząc...

Aramis zaciął się.

— Co się z nią stało, nieprawdaż? — dokończył d'Artagnan.

— Z kim? — podchwycił Aramis.

— Z damą, która tu była, z damą o haftowanej chusteczce.

— Kto ci o tym powiedział? — zawołał Aramis, błędąc jak chusta.

— Widziałem ją.

— I ty wiesz, kim ona jest?

— Domyślam się przynajmniej.

— Słuchaj — rzekł Aramis — skoro tyle rzeczy już ci wiadomo, może wiesz także, co się z nią stało?

— Sądzę, iż powróciła do Tours.

— Do Tours? A tak, więc znasz ją widocznie. Lecz jak mogła tam powrócić, nie powiedziawszy mi o tym ani słowa?

— Obawiała się, aby jej nie aresztowano.

— Czemu nie napisała do mnie?

— Bo lękała się skompromitować tym ciebie.

— D'Artagnanie, życie mi zwracasz! — zawołał Aramis. — Sądziłem już, że mną wzgardzono, że mnie zdradzono. Tak szczęśliwy się czułem, ujrawszy ją znowu! Nie mogłem uwierzyć, aby narażała swoją wolność dla mnie; a jednak jaka przyczyna sprowadzić ją mogła do Paryża?

— Przyczyna, dla której dziś wyruszamy do Londynu.

— A cóż to za przyczyna? — zapytał Aramis.

— Dowiesz się o niej kiedyś, Aramisie; na teraz chcę naśladować powściągliwość w mowie siostrzenicy doktora.

Aramis uśmiechnął się, przypomniał sobie bowiem bajkę opowiedzianą przyjaciółom.
— Dobrze! Skoro więc wyjechała z Paryża, a ty pewny tego jesteś, d'Artagnanie, nic mnie już nie zatrzymuje i gotów jestem z tobą pojechać... Dokądże teraz idziesz?

— Do Atosa, ale proszę cię, śpiesz się, bo dużo czasu już straciliśmy. Zawołaj Bazina.

— Czy i on z nami pojedzie?

— Może. W każdym razie byłoby dobrze, ażeby z nami poszedł do Atosa.

Aramis przywołał Bazina i rozkazał mu podążyć za nimi do Atosa.

— Chodźmy — rzekł, biorąc płaszcz, szpadę i trzy pistolety i otwierając wszystkie szufladki, aby przekonać się, czy nie znajdzie w nich choć kilku zabłąkanych pistoli.

Przekonawszy się ostatecznie, że poszukiwania te są zbyteczne, ruszył za d'Artagnanem, rozmyślając, w jaki sposób młody kadet z gwardii tak dobrze jak i on wiedział, kim była ta dama, której udzielił gościnności u siebie, i że wiedział jeszcze lepiej od niego, co się z nią stało.

Wychodząc, Aramis położył rękę na ramieniu d'Artagnana i wpatrzywszy się w niego badawczo, rzekł:

— Nie mówiłeś o niej nikomu?

— Nikomu w świecie.

— Ani Atosowi, ani Portosowi nawet?

— Nie pisałem ani słówka.

— Tym lepiej.

Aramis, już zupełnie spokojny, siedł obok d'Artagnana, wkrótce obydwaj przybyli do Atosa.

Zastali go z urlopem w jednej i listem od pana de Tréville w drugiej ręce.

— Czy nie moglibyście mnie objaśnić, co znaczy ten urlop i ten list, który odebrałem?
— zapytał ich zdziwiony.

Mój drogi Atosie, i ja chciałbym, skoro twoje zdrowie koniecznie tego wymaga, abys mógł odpocząć przez parę tygodni. Wybierz się więc do wód w Forges lub dokąd ci się podoba, i powróć należycie do zdrowia. Dobrze ci życzący Tréville

— List ten i urlop znaczą, Atosie, że trzeba jechać ze mną.

— Do wód w Forges?

— Wszystko jedno dokąd.

— W służbie króla?

— Króla i królowej, bo czyż nie jesteśmy sługami Ich Królewskich Mości?

W tej chwili wszedł Portos.

— Co, u licha — rzekł — dziwne rzeczy się dzieją. Odkądże to w muszkietierach udzielają ludziom urlopów, gdy o nie wcale nie proszą?

— Odtąd, odkąd mają przyjaciół, którzy żądają tego w ich imieniu — rzekł d'Artagnan.

— A! A! — zawołał Portos. — Widocznie coś tu nowego się święci?

— Tak — rzekł Aramis — jedziemy.

— Dokąd?

— Na honor, nie mam pojęcia — odezwał się Atos — zapytaj d'Artagnana.

— Do Londynu, panowie — odrzekł tenże.

— Do Londynu! — wykrzyknął Portos. — A cóż my tam będziemy robili?

— Tego właśnie nie mogę wam powiedzieć, trzeba mi zaufać.

— Ależ na taką podróż potrzeba pieniędzy — dodał Portos — a ja ich nie mam wcale.

— Ani ja — odezwał się Aramis.

— Ani ja — rzekł Atos.

— Ja mam — odparł d'Artagnan, wyciągając swój skarb z kieszeni i kładąc go na stole. — Trzos ten zawiera trzysta pistoli; każdy z nas weźmie po siedemdziesiąt pięć. To wystarczy, aby zajechać do Londynu i powrócić stamtąd. Zresztą, bądźcie spokojni, nie wszyscy my tam dojedziemy.

— A to czemu?

— Bo według wszelkiego prawdopodobieństwa niektórzy z nas pozostaną w drodze.

— Czyż to jakaś wyprawa wojenna?

— I to najniebezpieczniejsza, oznajmiam wam, moi panowie.
— Masz tobie! Lecz jeżeli mamy iść na śmierć, chciałbym przynajmniej wiedzieć, dlaczego — rzekł Portos.

— O! Dużo na tym skorzystasz — odezwał się Atos.

— Jednakże i ja jestem tego zdania co Portos — rzekł Aramis.

— A czy słyszeliście kiedyś, aby król nam zdawał sprawę? Nie; mówi wam ot po prostu: „Panowie, biją się w Gaskonii czy też we Flandrii; idźcie tam bić się!”... I idźcie. Dlaczego? Wszak to was nie obchodzi bynajmniej.

— Słusznie powiada d’Artagnan — przemówił Atos. — Mamy trzy urlopy od pana de Tréville i mamy trzysta pistoli, nie wiem od kogo. Idźmy więc dać się zabić tam, dokąd nas posyłają. Czyż życie warte jest tylu rozpraw? D’Artagnanie, gotów jestem z tobą iść.

— Ja także — rzekł Portos.

— I ja też — dodał Aramis. — Zwłaszcza że chętnie opuszczę Paryż. Potrzebuję rozrywki.

— Tym lepiej! Będziecie jej mieć niemało, moi panowie, bądźcie tego pewni! — podchwycił d’Artagnan.

— No, a teraz, kiedyż jedziemy? — zagadnął Atos.

— Natychmiast — odparł d’Artagnan — nie mamy do stracenia ani chwili.

— Hola! Grimaud, Planchet, Mousqueton, Bazin! — krzyknęli czterej młodzieńcy, przywołując swoich pachołków. — Czyścić nam buty i sprowadzić konie ze stajni pałacowej.

Każdy muszkietier trzymał w stajni ogólnych koszar konia swego i swego pachołka. Wszyscy czterej służący popędzili cwałem.

— A teraz ulóżmy plan wyprawy — odezwał się Portos. — Dokąd jedziemy najpierw?

— Do Calais²³⁹ — odparł d’Artagnan — jest to najprostsza droga do Londynu.

— Niech i tak będzie! — rzekł Portos. — Ale ja bym coś powiedział...

— Mów.

— Czterej mężczyźni podróżujący razem zawsze wyglądają podejrzanie: D’Artagnan da każdemu z nas zlecenie. Ja najprzód wyruszę drogą do Boulogne; we dwie godziny po mnie Atos wypuści się w stronę Amiens; Aramis podąży za nami drogą do Noyon; d’Artagnan zaś pojedzie, któregoś mu się spodoba, w ubraniu Plancheta, gdy tymczasem Planchet uda się za nami, przebrany za d’Artagnana w mundurze gwardzistów.

— Panowie — odezwał się Atos — moim zdaniem nie należy wtajemniczać pachołków w sprawy tego rodzaju. Szlachta nieraz zdradza podobne tajemnice, służba sprzedaje je zawsze.

— Plan Portosa wydaje mi się niepraktyczny z tego względu, iż ja sam nie wiem, jakie zlecenia mogę mu dać. Jestem oddawcą listu, nic więcej. Nie mam i nie mogę stworzyć trzech kopii tego pisma, ponieważ jest zapieczętowane; więc moim zdaniem wypada nam podróżować wspólnie. List ten tu się znajduje, w tej oto kieszeni.

I wskazał, gdzie ma ukryty list.

— Jeżeli zostaną zabity, jeden z was go weźmie i pojedzie dalej. Gdy padnie ten drugi, przyjdzie kolej na innego, i tak dalej. Chodzi przecie o to, aby choć jeden dotarł do miejsca.

— Brawo, d’Artagnanie! Zgadzam się z tobą zupełnie — rzekł Atos. — Nade wszystko należy być konsekwentnym; ja mam się leczyć kąpielami, wy mi będziecie towarzyszyć; jestem wolny. Jeżeli zechcą nas aresztować, pokażę list pana de Tréville, a wy wasze urlopy; jeżeli będą nas napastować, będziemy się razem bronić; jeżeli będą nas sądzić, będziemy utrzymywać do ostatniego, że nie mieliśmy innego zamiaru prócz kąpania się w morzu; pojedynczo nietrudno byłoby nam poradzić, gdy tymczasem czterech mężczyzn razem tworzy już zastęp pokaźny. Uzbrowimy czterech pachołków w pistolety i muszkiety; gdyby nawet armię przeciw nam wysłano, stawimy jej czoło, a ten, który przeżyje, jak mówi d’Artagnan, doręczy list.

— Dobrze powiedział — zawołał Aramis — nieczęsto mówisz, Atosie, lecz gdy się odezwiesz, to już jak święty Jan Złotousty²⁴⁰. Ja przyjmuję plan Atosa. A ty, Portosie?

²³⁹ Calais — miasto i gmina w płn. Francji. [przypis edytorski]

²⁴⁰ Jan Złotousty a. Jan Chryzostom (ok. 350–407) — biskup Konstantynopola, pisarz i słynny kaznodzieja, teolog; święty prawosławny i katolicki. [przypis edytorski]

— Ja także — odrzekł tenże — jeżeli tylko podoba się d'Artagnanowi. On, jako oddawca listu, jest z natury rzeczy wodzem wyprawy; niech postanowi, a my wykonamy.

— A więc! — odezwał się d'Artagnan. — Postanawiam, iż przyjmujemy plan Atosa i że za pół godziny wyruszymy w drogę.

I każdy z nich sięgnawszy ręką do trzosa, wziął siedemdziesiąt pięć pistoli i przygotowywał się do wyjazdu o umówionej godzinie.

ROZDZIAŁ XX. PODRÓŻ

O drugiej nad ranem nasi czterej ochotnicy wyjechali z Paryża przez rogatkę Saint-Denis.

Noc usposabiała ich do milczenia; mimo woli ulegli wpływowi ciemności i wszędzie podejrzewali zasadzki.

Pierwszy brzask dzienny rozwiązał im języki. Wesołość powraca ze słońcem.

Jak gdyby w przeddzień potyczki serca im biły, oczy się świeciły, czuli, że życie, które może im przyjdzie pożegnać, jest bądź co bądź skarbem drogocennym.

Zastęp ich wyglądał nader groźnie.

Kare konie muszkietarów, ich wojenna postawa, miarowy z nawyknięcia chód aż nadto wyraźnie zdradzały ich sekretne incognito.

Za nimi jechali pacholki, zbrojni od stóp do głów.

Wszystko szło jak najlepiej aż do Chantilly, dokąd przybyli około godziny ósmej z rana. Należało spożyć śniadanie. Zatrzymali się przed oberżą, którą zalecał znak przedstawiający świętego Marcina oddającego ubogiemu połowę swojego płaszcza.

Przykazano pacholkom nie rozsiodływać koni i być w pogotowiu do niezwłocznego wyjazdu.

Weszli do sali ogólnej i zasiedli do stołu.

Jakiś szlachcic, przybyły drogą od Dammartin, jadł śniadanie przy tym samym stole. Wdał się z nimi w rozmowę o pogodzie i deszczu; podróżni nasi odpowiadali mu; wypił za ich zdrowie, ci znowu odwzajemnili się mu grzecznością za grzeczność.

Jednak w chwili, gdy Mousqueton oznajmił, że konie gotowe, i zaczęto wstawać od stołu, nieznajomy zaproponował Portosowi wypicie za zdrowie kardynała. Portos zgodził się na to chętnie pod warunkiem, że szlachcic wypije też za zdrowie króla. Nieznajomy odparł mu ostro, że nie zna innego króla prócz Jego Eminencji. Wtedy Portos nawymyślał mu od pijaków, a tamten pochwycił za szpadę.

— Głupstwo zrobiłeś — rzekł Atos. — Trudna rada, nie ma teraz sposobu wycofania się, zabij tego człowieka i dopędź nas, jak możesz najprędzej.

I wszyscy trzej dosiedli koni i puścili się cwałem, a Portos obiecywał swojemu przeciwnikowi, że przedziurawi go wszystkimi pchnięciami znanymi w szermierce.

— Już nas o jednego mniej — rzekł Atos, odjechawszy pięćset kroków.

— Dlaczego ten człowiek przyczepił się do Portosa, a nie do któregoś z nas? — zapytał Aramis.

— Bo Portos krzyczy najgłośniejszym głosem z nas wszystkich, więc wziął go za przywódcę — odrzekł d'Artagnan.

— Zawsze mówiłem, że ten kadet gaskoński jest studnią mądrości — mruknął pod nosem Atos.

I jechali dalej.

W Beauvais zatrzymali się przez dwie godziny dla wytchnienia koni i chcąc zaczekać na Portosa. Jednak po upływie tego czasu, ponieważ ani jego, ani wieści o nim nie było, ruszyli w dalszą drogę.

O milę za Beauvais, w miejscu, gdzie droga wiała się wąwozem pomiędzy wzgórzami, napotkali ośmiu czy dziesięciu ludzi, którzy nie wiadomo po co kopali tu ziemię i w miękkim gruncie tworzyli błotniste kałuże.

Aramis, bojąc się powalania buczków w tych sztucznych trzęsawiskach, zgromił ich ostro.

Atos chciał go powstrzymać, lecz było już za późno.

Robotnicy odpowiedzieli drwinkami.

Wobec takiego zachowania nawet chłodny Atos stracił głowę i na jednego z nich najechał koniem.

Radość, Słońce

Przywódca

Wtedy ludzie ci cofnęli się do przydrożnego rowu i pochwycili ukryte muszkiety.
Wycelowali do naszych siedmiu podróżnych.

Aramisowi kula przebiła ramię, inna utkwiała Mousquetonowi w mięśniu będącym przedłużeniem niższej części krzyża.

Mousqueton spadł z konia, wprawdzie nie dlatego, że jego rana była niebezpieczna, lecz że jej nie mógł obejrzyć i sądził zapewne, że jest groźniejsza.

— To zasadzka — odezwał się d'Artagnan — nie dajmy się wziąć na wędkę! Dalej, w drogę!...

Aramis, choć ranny, chwycił się grzywy konia, który uniósł go za innymi.

Wierzchowiec Mousquetona także ich dognał i galopował w szeregu bez jeźdźca.

— Będziemy mieli konia zapasowego — rzekł Atos.

— Wolalbym kapelusz — odezwał się d'Artagnan — mój zdmuchnęła mi kula. Całe szczęście, na honor, że list się w nim nie znajdował.

— Otóż masz! Gotowi zabić biednego Portosa, jak będzie tamtędy przejeżdżał — zauważył Aramis.

— E!... Gdyby był na nogach, dopędziłby nas już dotąd — rzekł Atos. — Wszystko mi się zdaje, że ten pijak był już trzeźwy przy pojedynku.

I pędzili jeszcze galopem przez parę godzin, choć konie były tak zmęczone, że obawiano się, aby wkrótce nie odmówiły posługi.

Podróżni jechali na przelaj w nadziei, że tym sposobem unikną zaczepki, lecz w Crève-cœur Aramis oświadczył, że dalej nie może jechać.

W istocie trzeba było jego wielkiej odwagi, ukrytej pod elegancką powierzchownością i gładkim obejściem, aby wytrwać aż dotąd.

Co chwila bladł straszliwie i musiano go podtrzymywać na koniu; zasadzono go przed bramą oberży, pozostawiono z nim Bazina, który więcej zawadzał, niż pomagał w utarczce, i puszczono się w drogę w nadziei, że noc będzie można przepędzić w Amiens.

— Do diabła! — zaklął Atos, gdy znów ruszyli w drogę, w składzie zmniejszonym do dwóch panów i tyłuż pachołków. — Do diabła! Już więcej nie dam się złapać i przyrzekam, że nie otworzę gęby ani szpady nie dotknę aż do samego Calais. Przysięgam...

— Nie przysięgajmy!... — odezwał się d'Artagnan. — Pędźmy co tchu, jeżeli tylko przystaną na to nasze konie.

I spinając ostrogami boki wierzchowców, podniecali słabnące w nich siły.

O północy stanęli w Amiens i zatrzymali się w oberży „Pod Złotą Lilią”.

Oberżysta wyglądał na człowieka najuczciwszego pod słońcem, przyjął podróżnych ze świecą w jednej, a szlafmycą²⁴¹ w drugiej ręce; ofiarowywał każdemu z nich osobny śliczny pokoik.

Na nieszczęście dwa te pokoje położone były na przeciwnych krańcach oberży.

D'Artagnan i Atos odmówili. Gospodarz odpowiedział, że nie rozporządzał innymi pokojami godnymi tak wielkich panów; ci zaś oświadczyli, że gotowi są przespać się w izbie ogólnej, choćby na materacu rzuconym na ziemię.

Oberżysta nalegał, oni nie ustąpili; trzeba było nareszcie zrobić tak, jak chcieli.

Ale tylko co przyrzadzili sobie posłanie i zatarasowali drzwi od wewnątrz, gdy ktoś zapukał do okiennicy od podwórza.

Spytali: „kto tam?”, a poznawszy głosy swoich pachołków, otworzyli.

Rzeczywiście byli to Planchet i Grimaud.

— Grimaud sam dopilnuje koni... — odezwał się Planchet — a ja, jeżeli panowie zechcą pozwolić, położę się pod ich drzwiami i będzie pewność, że nikt tutaj nie wejdzie.

— A na czym się położysz? — zapytał d'Artagnan.

— Mam posłanie — odparł Planchet, wskazując na wiązkę słomy.

— A to chodź — rzekł d'Artagnan — może nawet i masz słuszność; twarz tego oberżysty nie bardzo mi się podoba, jest zanadto uprzejmy.

— I mnie także niekoniecznie — odezwał się Atos.

Planchet wdrapał się oknem i położył się w poprzek drzwi, a Grimaud zamknął się w stajni, zaręczając, iż o piątej z rana wraz z końmi będzie gotowy.

²⁴¹szlafmyca (z niem.) — czapka używana dawniej do spania. [przypis edytorski]

Noc upłynęła dość spokojnie, jednakże około drugiej nad ranem ktoś próbował otworzyć drzwi; ponieważ jednak Planchet obudziwszy się, nagle zawołał: „kto tam?”, ten ktoś odpowiedział, że się pomylił, i odszedł.

O czwartej posłyszano okrutny hałas w stajni.

Grimaud chciał zbudzić parobków, a ci zaczęli go bić.

Otworzywszy okno, śpiący w oberży ujrzeli biedaka bez przytomności, z głową rozciętą trzonkiem od widel.

Planchet wyskoczył na podwórze, chcąc siodłać konie, lecz były ochwacone²⁴². Jeden tylko wierzchowiec Mousquetona, który przez kilka godzin odbywał podróż bez jeźdźcy, mógł służyć do dalszej jazdy, jednak przez pomyłkę, trudną do pojęcia, weterynarz, po którego posłano, jak się okazało, aby puścił krew koniowi oberżysty, uczynił to z koniem Mousquetona.

To wszystko stawało się niepokojące, bo ubiegłe przygody mogły być wprawdzie zrządzeniem losu, lecz również wynikiem uknutego z góry planu.

Atos i d'Artagnan pozostali, Planchet tymczasem poszedł się dowiedzieć, czy nie ma gdzieś w pobliżu trzech koni do nabycia.

Przed bramą stały założone dwa konie osiodłane do drogi, wypoczęte i silne. Dobrze się to zdarzyło.

Planchet zapytał, gdzie są ich właściciele. Odpowiedziano mu, że nocowali w oberży i w tej chwili rozliczają się z gospodarzem.

Atos także udał się, aby uregulować rachunek, zaś d'Artagnan i Planchet pozostali w bramie.

Oberżysta siedział w pokoju odległym, na dole, poproszono więc Atosa, aby się tam udał.

Atos, nie podejrzewając nic, przystąpił do oberżysty i wyjął z kieszeni dwa pistole. Oberżysta siedział przy biurku, którego jedna z szufladek była otwarta.

Wziął od Atosa pieniądze i począł je oglądać na wszystkie strony, po czym krzyknął, że są fałszywe, oświadczając, że każe aresztować jego i towarzysza jako podrabiaczy pieniędzy.

— Hultaju — syknął Atos, podchodząc do niego — uszy ci poobcinam.

W tej chwili czterech zbrojnych ludzi wpadło bocznymi drzwiami i rzuciło się na Atosa.

— Schwytano mnie! — krzyknął Atos na całe gardło. — D'Artagnanie, uciekaj! — I strzelił po dwakroć z pistoletu.

D'Artagnan i Planchet, nie w ciemną bici, nie czekając na powtórny rozkaz, odwiązali konie, które stały przed bramą, skoczyli na nie, spięli ostrogami i popędzili cwałem.

— Czy ty wiesz, co się stało z Atosem? — zagadnął w pędzie d'Artagnan Plancheta.

— A! Panie mój! — odparł Planchet. — Widziałem, jak dwa te strzały położyły dwóch ludzi i zdaje mi się, że widziałem także przez szyby, jak rąbał się z innymi.

— Dziśny Atos! — szepnął d'Artagnan. — Ciężko pomyśleć, że muszę go opuścić! Zresztą, kto wie, co nas tu niedługo czeka. Naprzód Planchet, naprzód! Zuch z ciebie, mój chłopcze.

— Ja panu mówiłem — odrzekł tenże — że Pikardyjczycy to taki naród, co go w potrzebie poznaje się dopiero, a teraz na swojej ziemi jestem, to mi ducha dodaje.

I obydwaj sadząc, co koń wyskoczy, przybyli jednym tchem do Saint-Omer.

Tam, zarzuciwszy cugle na ramię, dali wytchnąć koniom, sami przekazali naprędce, stojąc na ulicy, i dalej pocwałowali.

O sto kroków od bram Calais koń d'Artagnana padł; z nozdrzy i oczu rzuciła mu się krew i nie było sposobu ratować. Był jeszcze wierzchowiec Plancheta, lecz i ten się rozparł i niepodobna było zmusić go do dalszej drogi.

Na szczęście mieli już blisko do miasta, porzuciwszy więc swoje wierzchowce na środku drogi, pośpieszyli do portu.

Planchet zwrócił uwagę swego pana na jakiegoś szlachcica idącego ze służącym o jakieś pięćdziesiąt kroków przed nim.

Zrównali się z nim czym prędzej. Wyglądał na mocno zajętego, obuwie miał pokryte pyłem i dopytywał, czy nie mógłby się natychmiast przeprawić na brzeg angielski.

²⁴²ochwacony — o koniu: cierpiący na ochwat, tj. ostre zapalenie kopyta. [przypis edytorski]

— Nic łatwiejszego — odpowiedział właściciel statku gotowego do odpłynięcia — lecz dziś z rana przyszedł rozkaz, aby nie przewozić nikogo bez szczególnego pozwolenia kardynała.

— Ja też je posiadam — rzekł szlachcic, wyjmując papier z kieszeni — oto jest.

— Każ je pan poświadczyć przez naczelnika przystani — rzekł właściciel statku.

— Gdzież znajdę naczelnika?

— Na letnim mieszkaniu.

— A w której to stronie?

— O ćwierć mili od miasta, nawet widać stąd dom, ten dach, pokryty dachówką, pod wzgórzem.

— Bardzo dobrze! — rzekł młody szlachcic.

I skinąwszy na swego służącego, poszedł w tamtą stronę.

D'Artagnan i Planchet udali się za nim w odległości pięciuset kroków.

Wydostawszy się z miasta, d'Artagnan przyśpieszył kroku i zrównał się ze szlachcicem przed samym laskiem.

— Panu, jak mi się zdaje, bardzo pilno? — zagadnął go d'Artagnan.

— Ogromnie, mój panie.

— Bardzo mi przykro — rzekł d'Artagnan — lecz i mnie pilno niezmiernie, chciałem więc prosić pana o wyświadczenie mi przysługi.

— Jakiej?

— Ażebym ja był pierwaj od pana.

— Niepodobna — odparł młody szlachcic — przebyłem sześćdziesiąt mil w ciągu czterdziestu czterech godzin, a jutro w południe muszę być w Londynie.

— Tę samą drogę i ja przebyłem w ciągu czterdziestu godzin, a jutro o dziesiątej rano muszę być w Londynie.

— Mocno mnie to boli, lecz ja przybyłem pierwszy i nie pozwolę się wyprzedzić.

— I mnie bardzo przykro, lecz przybyłem później, a pierwszy tam stanę.

— Sprawa królewska!... — odezwał się szlachcic.

— A moja sprawa osobista!... — odparł d'Artagnan.

— Ależ, o ile mi się zdaje, szukasz pan ze mną zaczepki?

— A cóż pan chcesz, żeby to było, u licha!...

— Czego więc pan żądasz ode mnie?

— Chcesz się pan dowiedzieć?

— Zapewne.

— Otóż żądam rozkazu, który pan masz przy sobie, bo ja go nie posiadam, a jest mi bardzo potrzebny.

— Żartujesz pan chyba?...

— Nie żartuję nigdy!...

— Ustąp mi pan z drogi!...

— Nie przejdiesz!

— Mój ty zuchu, chcesz, abym ci łeb roztrzaskał?... Hola! Lubin! Podaj pistolety.

— Planchecie — odezwał się d'Artagnan — zabierz się do służki, ja biorę na siebie pana.

Ośmielony poprzedniem powodzeniem Planchet rzucił się na Lubina, a ponieważ był krzepki, przewrócił go na wznak i ukląkł mu na piersiach.

— Rób pan, co do pana należy — rzekł Planchet — ja zrobiłem już swoje.

Szlachcic, widząc to, dobył szpady i uderzył na d'Artagnana, lecz trafił na silnego przeciwnika.

W ciągu trzech sekund d'Artagnan zadał mu trzy pchnięcia, mówiąc za każdym:

— To za Atosa, to za Aramisa, a to za Portosa.

Za trzecim pchnięciem szlachcic padł jak kłoda.

D'Artagnan sądził, że umarł, a co najmniej zemdłony. Schylił się, aby zabrać mu rozkaz kardynalski, lecz w chwili gdy sięgnął ręką, aby go zrewidować, ranny, który nie wypuścił z ręki szpady, pchnął go w same piersi, mówiąc:

— A to dla ciebie...

— To dla mnie?... Zobaczmy, czyje na wierzchu!... — krzyknął wściekły d'Artagnan, przybijając go do ziemi czwartym pchnięciem w brzuch.

Bijatyka

Teraz już szlachcic zamknął oczy i zemdlął.

D'Artagnan poszukał w jego kieszeniach i zabrał rozkaz wolnego przejazdu wypisany na imię hrabiego de Wardes.

Następnie, spojrzawszy po raz ostatni na pięknego młodzieńca liczącego zaledwie dwadzieścia pięć lat, którego miał zostawić leżącego bez czucia, a może i bez życia, westchnął nad dziwnym przeznaczeniem doprowadzającym ludzi do wzajemnego tępienia się na rzecz tych, którzy są im zupełnie obcy, a często nie wiedzą nawet o ich istnieniu.

Lecz z tej zadumy wyrwał go Lubin, który wydawał chrapliwe krzyki, wzywające o pomoc.

Planchet ścisnął go z całych sił za gardło.

— Panie — rzekł tenże — jak ja go tak trzymam, to nie krzyczy, ale niech no go popuszczę, zaczyna na nowo. Widzę, że to Normandczyk, a to naród uparty.

— Zaczekaj! — odezwał się d'Artagnan i wzięwszy chustkę, zatkał Lubinowi usta.

— A teraz — rzekł Planchet — przywiążmy go do drzewa.

Skrępowali go sumiennie, hrabiego de Wardes złożyli przy nim, a ponieważ i pan, i sługa leżeli w głębi lasu, a dzień miał się ku schyłkowi, nie ulegało wątpliwości, iż pozostaną tak do następnego dnia.

— A teraz — odezwał się d'Artagnan — do naczelnika.

— Ale pan jest ranny, o ile mi się zdaje? — rzekł Planchet.

— To nic, zajmijmy się tym, co ważniejsze; później pomyślimy o mojej ranie, która zresztą nie wydaje mi się zbyt niebezpieczna.

I puścili się wyciągniętym krokiem w kierunku siedziby urzędnika.

Oznajmiono mu hrabiego de Wardes.

D'Artagnan został wpuszczony.

— Pan masz rozkaz z podpisem kardynała? — zapytał naczelnik.

— Tak, panie, oto jest — odrzekł tenże.

— A! Tak, jest w zupełnym porządku — rzekł naczelnik.

— Rzecz prosta — odrzekł d'Artagnan — należę do jego najwierniejszych.

— Jego Eminencja widocznie chce komuś przeszkodzić w wyjeździe do Anglii.

— Tak, niejakiemu d'Artagnanowi, szlachcicowi bearneskiemu, który wyjechał z Paryża do Londynu wraz ze swymi trzema przyjaciółmi.

— Znasz go pan osobiście? — zapytał naczelnik.

— Kogo?

— A tego d'Artagnana.

— Wybornie.

— Proszę zatem o jego rysopis.

— O! Z przyjemnością.

I d'Artagnan podał co do joty rysopis hrabiego de Wardes.

— A miał kogoś przy sobie?

— Tak, służącego Lubina.

— O! Będziemy ich pilnowali, jeżeli tylko wpadną w nasze ręce. Jego Eminencja może być spokojny, odstawimy ich do Paryża pod dobrą eskortą.

— O! Panie naczelniku, dobrze się zasłużysz kardynałowi.

— Czy pan zobaczysz się z nim po powrocie?

— Bez najmniejszej wątpliwości.

— Powiedz mu, proszę, że jestem jego wiernym sługą.

— Nie omieszka.

Uradowany tym zapewnieniem naczelnik poświadczył rozkaz wolnego przejazdu i zwrócił go d'Artagnanowi.

Ten zaś, nie tracąc czasu na zbyteczne grzeczności, pożegnał naczelnika, dziękując mu, i odszedł.

Wydostawszy się stamtąd, obydwa z Planchetem puścili się pędem, nakładając drogi dla ominięcia lasu, i powrócili inną bramą.

Statek stał jeszcze gotowy do drogi, właściciel zaś oczekiwał w porcie.

— I cóż?... — zagadnął, ujrawszy d'Artagnana.

— Oto moja poświadczona karta — rzekł tenże.

— A ten drugi pan?

— Nie popłynie dzisiaj, lecz proszę być spokojnym, zapłacę za nas obydwóch.

— To ruszajmy — rzekł kapitan.

— Ruszajmy — powtórzył d'Artagnan.

I razem z Planchetem wskoczył do łodzi, a w pięć minut potem stał na pokładzie.

Było to w sam czas, gdyż upłynęli zaledwie pół mili od brzegu, a d'Artagnan ujrzał błysk, a następnie strzał obił się o jego uszy.

Strzelano z armaty na znak zamknięcia portu.

Teraz należało pomyśleć o ranie.

D'Artagnan nie mylił się, na szczęście bynajmniej nie była ona groźna. Ostry koniec szpady natrafił na żebro i ześlizgnął się wzdłuż niego, co więcej, koszula przywarła do rany, z której wydobyło się zaledwie kilka kropel krwi.

Czuł się tylko okrutnie strudzony, na pokładzie położono mu materac, padł na niego i zasnął.

Nazajutrz, skoro świt, znalazł się najwyżej o cztery mile od brzegów Anglii; w nocy był słaby wiatr i płynęli wolno.

O dziesiątej z rana statek zarzucił kotwicę w porcie Dover²⁴³.

O wpół do jedenastej d'Artagnan stanął na ziemi angielskiej, mówiąc:

— Jestem nareszcie!

Nie koniec na tym; trzeba było dostać się do Londynu.

W Anglii poczta była dobra. D'Artagnan z Planchetem wzięli po podjeźdźku, pocztylion²⁴⁴ popędził przed nimi; w cztery godziny stanęli u bram stolicy.

Nasz Gaskończyk nie znał ani miasta, ani języka. Napisał wszakże na kawałku papieru nazwisko Buckinghama, a każdy mógł wskazać drogę do pałacu księcia.

Ksiązę był w Windsorze²⁴⁵ na polowaniu z królem.

D'Artagnan zażądał widzenia się z zaufanym pokojowcem księcia, który podróżując ze swoim panem, wybornie mówił po francusku; powiedział mu, że przybywa z Paryża w sprawie, w której idzie o życie lub śmierć, i że jest zmuszony natychmiast mówić z jego panem.

Stanowczość, z jaką wyrażał się d'Artagnan, przekonała Patryka — takie było imię tego pokojowca.

Kazał osiodłać dwa konie i podjął się przewodniczyć młodemu gwardziście. Plancheta zaś zsadzono z siodła, zesztyniałego jak kij.

Biedny chłopak gonił już ostatkami sił; d'Artagnan wydawał się być z żelaza.

Przybywszy do zamku, rozpytywano się; król i Buckingham polowali z sokołami o milę stamtąd. W pół godziny niespełna znaleźli się w miejscu oznaczonym.

Patryk usłyszał głos swego pana, przywołujący sokoła.

— Kogo mam oznajmić Jego Księżęcej Mości? — zapytał d'Artagnana.

— Młodego człowieka, który pewnego wieczora szukał z nim zaczepki na Pont Neuf przy latarni Samarytanki.

— Dziwna rekomendacja!

— Przekonasz się pan, że taka dobra, jak każda inna.

Patryk puścił konia galopem, dotarł do księcia i oznajmił mu w powyższych słowach, że oczekuje go jakiś wysłaniec.

Buckingham poznał d'Artagnana od razu i domyślając się, że we Francji zaszło coś, o czym chcą mu dać wiadomość, zapytał tylko, gdzie jest ten, który przynosi nowiny, a ujrawszy z daleka mundur gwardii królewskiej, spiął konia ostrogami i popędził prosto do niego.

Dyskretny Patryk pozostał na uboczu.

— Czy nie zdarzyło się królowej jakieś nieszczęście? — zawołał Buckingham, całą myśl i uczucie swoje przelewając to w pytanie.

— Nie sędzę. Przypuszczam jednak, iż znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie, z którego jedynie Wasza Miłość może ją wybawić.

²⁴³ *Dover* — miasto portowe w pld.-wsch. Anglii, w hrabstwie Kent; położone naprzeciw wybrzeża Francji w największej części kanału La Manche, oddalone o 33 km od kontynentu. [przypis edytorski]

²⁴⁴ *pocztylion* (daw.) — woźnica pojazdu pocztowego. [przypis edytorski]

²⁴⁵ *Windsor* — angielskie miasto na zachód od Londynu; słynne z Zamku Windsor, rezydencji królów Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

— Ja?... — zawołał Buckingham. — Byłbym tyle szczęśliwy, abym mógł stać się jej przydatny w czymkolwiek! Mów! Mów! Proszę!

— Oto list — rzekł d'Artagnan.

— List! Od kogo?...

— Od Jej Królewskiej Mości, jak mi się zdaje.

— Od królowej — rzekł Buckingham, błędąc tak straszliwie, że d'Artagnan sądził, iż mdleje.

I złamał pieczęć.

— Co znaczy to przetarte miejsce? — zapytał, pokazując d'Artagnanowi dziurę na wylot w liście.

— A! A! — odparł tenże. — Nie widziałem tego. To szpada hrabiego de Wardes przedziurawiła list przy pchnięciu mnie w piersi.

— Jesteś pan raniony? — zapytał Buckingham, zrywając pieczęć.

— O! Nic to — rzekł d'Artagnan — lekkie draśnięcie.

— Boże sprawiedliwy! O czym ja się dowiaduję! — wykrzyknął książę. — Patryk! Pozostań tutaj, a raczej towarzysz królowi wszędzie i powiedz, że błagam go pokornie, aby mi wybaczył, lecz sprawa wielkiej wagi powołuje mnie do Londynu. Jedźmy, panie, jedźmy!

I puścili się obaj galopem drogą do stolicy.

ROZDZIAŁ XXI. HRABINA DE WINTER

Przez drogę książę kazał opowiadać sobie wszystko, o czym wiedział d'Artagnan.

Porównując to, co słyszał z ust młodzieńca, ze wspomnieniami własnymi, mógł sobie wytworzyć dokładne pojęcie o ważności położenia, którego wreszcie list królowej, jakkolwiek krótki i niejasny, dawał niemyślną miarę.

Lecz to go dziwiło najmocniej, że kardynałowi, pomimo wszelkich zabiegów, nie udało się zatrzymać młodzieńca w drodze. Gdy objawił swoje zdziwienie, wtedy d'Artagnan opowiedział mu o przedsięwziętych ostrożnościach i jak dzięki poświęceniu trzech przyjaciół, których pozostawił skrwawionych po drodze, dostał się nareszcie do Anglii kosztem pchnięcia szpadą, które przebiło list królowej, a które oddał panu de Wardes z lichwiarskim procentem.

Słuchając tego opowiadania pełnego prostoty, książę ze zdziwieniem spoglądał na młodzieńca, jak gdyby nie mógł pojąć, aby tyle roztropności, odwagi i poświęcenia mogło się łączyć z twarzą mającą najwyżej dwadzieścia lat.

Konie pędziły jak wicher, tak że w kilka minut jeźdźcy stanęli u bram Londynu.

D'Artagnan myślał, że wjeżdżając do miasta, książę zwolni biegu swego wierzchowca, lecz on pędził co koń wyskoczy, nie troszcząc się o tych, których znalazłszy na drodze, niemiłosiernie trutował.

W istocie, kiedy przejeżdżali przez starą część miasta, zdarzyło się parę takich wypadków; Buckingham jednak nie obejrzał się nawet za tymi, których roztratował w przejeździe. D'Artagnan podążał za nim wśród krzyków, bardzo podobnych do złorzeczeń.

Wjechawszy w dziedziniec pałacowy, Buckingham zeskoczył z siodła i nie troszcząc się o konia, zarzucił mu cugle na szyję i pędem wbiegł na ganek.

D'Artagnan poszedł za jego przykładem, jednak z pewnym niepokojem o te szlachetne zwierzęta, których wartość miał już sposobność ocenić. Uspokoił się przecie, zobaczywszy, że z kuchni i stajni wypadło kilku służących, aby natychmiast zaopiekować się końmi.

Książę biegł tak szybko, że d'Artagnan z trudnością mógł za nim zdążyć.

Przebył kilka salonów tak wspaniałych, o jakich panowie francuscy pojęcia nawet nie mieli, i dostał się na koniec do sypialni będącej wytworem najwyższego gustu i bogactwa.

We framudze tego pokoju znajdowały się drzwi przybrane draperią, które książę otworzył złotym kluczem zawieszonym u szyi na złotym łańcuszku.

D'Artagnan przez dyskrecję pozostał w tyle, Buckingham zaś w chwili gdy miał przestąpić próg, odwrócił się i widząc wahanie młodzieńca, rzekł doń:

— Pójdź, a skoro będziesz miał szczęście stanąć przed królową, opowiedz jej, co tu widziałeś.

D'Artagnan, ośmielony wezwaniem, poszedł za księciem, który zamknął za nim drzwi.

Znaleźli się w kapliczce wybitej perską materią, haftowaną złotem, i oświetlonej cudownie gorejącymi świecami.

Powyżej pewnego rodzaju ołtarza, pod baldachimem z błękitnego aksamitu, przybranym w białe i czerwone pióra, był umieszczony naturalnej wielkości portret przedstawiający Annę Austriacką, tak zadziwiająco podobny, że zjawisko to wyrwało okrzyk z piersi d'Artagnana.

Na ołtarzu, poniżej portretu, stała skrzyneczka z zapinkami diamentowymi.

Książę przystąpił do ołtarza, przyklęknął, następnie otworzył skrzyneczkę.

— Patrz pan — rzekł doń, wyjmując z niej wielką kokardę z błękitnej wstążki, iskrzącą się brylantami. — Patrz pan, oto są te nieocenione zapinki, z którymi, przysięgłem sobie, będę pochowany. Królowa dała mi je, królowa mi je odbiera; wola jej, jak boska, niech będzie spełniona we wszystkim.

I całował jedną po drugiej zapinkę, z którymi miał się rozłączyć.

Naraz krzyknął straszliwie.

— Co się stało? — zapytał niespokojny d'Artagnan. — Co ci się stało, milordzie?

— Wszystko stracone — zawołał Buckingham, blednąc jak trup — brakuje dwóch zapinek, zostało ich tylko dziesięć.

— Milordzie, miałebyś je zgubić, a może przypuszczasz, że ci je skradziono?

— Skradziono mi je — odparł książę — a cios ten od kardynała pochodzi. Patrzaj pan, wstążki, na których były przymocowane, zostały nożyczkami ucięte.

— Może milord się domyśla, kto dokonał kradzieży?... Kto wie, czy nie znajdują się one jeszcze w jego ręku.

— Zaczekaj! Zaczekaj! — zawołał książę. — Raz tylko miałem na sobie te zapinki, a było to tydzień temu w Windsorze na balu u króla. Hrabina de Winter, z którą się poróżniłem dawniej, pogodziła się ze mną tego wieczora. Zbliżenie to było zemstą kobiety zazdrosnej. Nie widziałem jej odtąd. Ona jest agentką kardynała.

— Miałeby kardynał mieć agentów we wszystkich stronach świata! — zawołał d'Artagnan.

— O! Tak, tak — rzekł Buckingham, zgrzytając zębami ze złości — tak!... Straszny z niego przeciwnik. A na kiedy ten bal jest oznaczony?

— Na przyszły poniedziałek.

— Na przyszły poniedziałek!... To więcej czasu, niż nam potrzeba. Patryk! — zawołał książę, otwierając drzwi od kapliczki. — Patryk!

Zaufany pokojowiec stawiał się natychmiast.

— Mojego jubilera i sekretarza!

Pokojowiec zniknął szybko i w milczeniu, które znamionowało nawyknięcie do ślepego posłuszeństwa, bez żadnych uwag.

Chociaż jubiler pierwszy był wezwany, sekretarz zjawił się wprzód od niego. Rzeczą prostą, mieszkał w pałacu.

Zastał on Buckinghama w sypialnym pokoju przy stole, pisaćcego własnoręcznie rozkazy.

— Panie Jackson — rzekł doń — udasz się natychmiast do lorda-kanclerza i powiesz, że polecam mu wykonać te rozkazy. Żądam, aby zaraz zostały ogłoszone.

— Ale, Jaśnie Panie, jeżeli lord-kanclerz zapyta o powody, jakie mogły skłonić Waszą Miłość do tak niezwykłych środków, cóż ja jemu odpowiem?

— Że tak mi się podoba, że nie jestem obowiązany z zachceń swoich zdawać komukolwiek sprawę.

— Więc kanclerz odpowiedź taką ma udzielić i Jego Królewskiej Mości — odparł sekretarz z uśmiechem — a gdyby przypadkiem przyszła królowi ciekawość dowiedzieć się, dlaczego żaden statek nie może wypłynąć z portów Wielkiej Brytanii?

— Masz słuszość — odrzekł Buckingham — mógłby pomyśleć, że zamierzam wypowiedzieć wojnę i że to pierwszy nieprzyjacielski krok przeciw Francji.

Sekretarz skłonił się i wyszedł.

— Z tej strony jesteście już zapewnieni — rzekł Buckingham, zwracając się do d'Artagnana. — Jeżeli zapinki wysłane miały być do Francji, przybędą tam później niż pan.

— Jak to?

Kradzież, Klejnot, Zemsta

Sluga, Pan

— Każę nie wypuszczać statków znajdujących się obecnie w portach Jego Królewskiej Mości i bez szczególnego pozwolenia żaden z nich nie poważy się podnieść kotwicy.

D'Artagnan patrzył z osłupieniem na człowieka, który nieograniczoną władzą, daną mu w zaufaniu przez króla, posługiwał się dla zaspokojenia fantazji miłosnych.

Miłość, Szaleństwo,
Władza, Zdrada, Naród

Buckingham odgadnął z wyrazu twarzy młodzieńca, co działo się w jego myśli, i uśmiechnął się.

— Tak — ciągnął dalej — tak, gdyż Anna Austriacka jest moją rzeczywistą królową; na jej jedno słowo gotów jestem zdradzić swój kraj, króla, mojego Boga bym zdradził. Chciała, abym nie posyłał protestantom w La Rochelle obiecanej im przeze mnie pomocy, i uczyniłem tak. Nie dotrzymam słowa, to mniejsza, lecz pozostałem posłuszny jej życzeniom. Czyż nie byłem wspaniale wynagrodzony za moje posłuszeństwo, powiedz sam... Widzisz, temu to zawdzięczam ten portret.

D'Artagnan nie mógł wyjść z podziwu na jakiej to nikłej i niewidzialnej nitce zawieszone zostają losy całego narodu i życie tylu ludzi.

Gdy stał tak zadumany głęboko, wszedł jubiler.

Był to Irlandczyk, bardzo biegły w swej sztuce, który sam przyznawał, że zarabiał na księciu de Buckingham sto tysięcy liwrów rocznie.

— Panie O'Reilly — rzekł książę, prowadząc go do kaplicy — obejrzyj te diamentowe zapinki i powiedz mi, ile każda z nich jest warta.

Jubiler jednym rzutem oka ocenił ich niepospolitą oprawę, obliczył wartość diamentów i odparł bez zająknienia:

— Tysiąc pięćset pistoli sztuka, milordzie.

— Ile dni potrzeba na zrobienie dwóch takich zapinek? Widzisz, że ich tu brakuje.

— Osiem dni, milordzie.

— Zapłacę trzy tysiące pistoli za sztukę, a muszę je mieć pojutrze.

— Milord będzie je miał.

— Nieoceniony z ciebie człowiek, panie O'Reilly, lecz tego nie dosyć; zapinki nie mogą być powierzone nikomu, trzeba, aby zostały zrobione w tym pałacu.

— Niepodobieństwo, milordzie, ja mogę je tylko wykonać tak, iż nie będzie różnicy między nowymi a dawniejszymi.

— Dobrze, kochany panie O'Reilly, ale dlatego też jesteś moim więźniem i teraz już choćbyś chciał wyjść z mego pałacu, nie możesz; poddaj się więc losowi. Powiedz mi nazwiska swoich pomocników, których będziesz potrzebował, i wskaż mi narzędzia, jakie mają ci przynieść.

Jubiler znał księcia, wiedział, iż wszelkie uwagi byłyby daremne, zdecydował się więc od razu.

— Czy będzie mi wolno zawiadomić moją żonę? — zapytał.

— O! Możesz się nawet z nią widzieć, kochany panie O'Reilly. Uspokój się, twoja niewola będzie przyjemna, a ponieważ każdy trud wymaga nagrody, oto kwit na tysiąc pistoli, niezależnie od tego, ile mają kosztować dwie zapinki, abyś puścił w niepamięć przykrość, jaką ci wyrządzam.

D'Artagnan przechodził z podziwu w podziw wobec tego ministra, który pełnymi garściami przerzucał ludźmi i milionami.

Jubiler napisał do żony, dołączając do listu kwit na tysiąc pistoli i zobowiązując, aby w zamian przysłała mu najrzęczniejszego ucznia, garnitur²⁴⁶ diamentów z oznaczeniem wagi i wartości oraz potrzebne mu narzędzia według dołączonego wykazu.

Buckingham poprowadził jubilera do przeznaczonego mu pokoju, który w ciągu pół godziny został przestoczony w pracownię.

Następnie rozstawił warty przy wszystkich drzwiach z rozkazem, aby nikomu nie było wolno przestąpić progu, z wyjątkiem pokojowca Patryka.

Zbytecznym byłoby dodawać, że O'Reilly'emu i jego pomocnikowi zabroniono się oddalać z jakiegokolwiek powodu.

Załatwiwszy się z tym, książę odezwał się do d'Artagnana:

²⁴⁶*garnitur* — tu: zestaw przedmiotów służących do jednego celu i stanowiących pewną całość. [przypis edytorski]

— A teraz, mój młody przyjacielu — rzekł — Anglia należy tylko do nas dwóch. Czegoś żądasz, czego pragniesz?

— Łóżka — odparł gwardzista — przyznaję, że jak teraz jest ono jedyną rzeczą, której potrzebuję najwięcej.

Buckingham dał mu gabinet przyległy do jego pokoju.

Chciał mieć go pod ręką nie dlatego, bo mu nie dowierzał, lecz pragnął mieć kogoś, z kim mógłby bezustannie mówić o królowej.

Godzinę później w Londynie został ogłoszony rozkaz niewypuszczania z portów żadnego statku do Francji ani nawet statku pocztowego przewożącego listy.

W oczach wszystkich było to wypowiedzeniem wojny pomiędzy dwoma królestwami.

Trzeciego dnia o jedenastej rano dwie diamentowe zapinki były już gotowe i tak doskonale naśladowane, tak podobne, że sam Buckingham nie był w stanie odróżnić nowych od dawniejszych i nawet najbieglejsi znawcy równie jak on mogliby być oszukani.

Zaraz więc kazał wezwać d'Artagnana.

— Słuchaj pan — rzekł — oto zapinki diamentowe, po które przyjechałeś, a bądźże mi świadkiem, że spełniłem wszystko, co tylko było w ludzkiej mocy.

— Bądź spokojny, milordzie, opowiem, co widziałem. Lecz książę, oddajesz mi zapinki bez szkatułki?

— Ona by ci tylko zawadzała, a dla mnie tym droższą jest, skoro sama mi tylko pozostaje. Powiesz, że ją zachowałem.

— Dosłownie zlecenie wasze spełnię, milordzie.

— A teraz — odezwał się Buckingham, patrząc bystro na młodzieńca — czym ci się zdołam uiścić z długu?

D'Artagnan zaczerwienił się aż po białka oczu.

Zrozumiał, że książę szuka sposobu zmuszenia go do przyjęcia czegoś, a myśl, że krew towarzyszy i jego własna miałaby być zapłacona złotem angielskim, obudziła w nim wstręt.

— Porozumiejmy się, milordzie — odrzekł — a najpierw rozważmy fakty należycie, aby uniknąć pomyłki. Jestem w służbie króla i królowej Francji i należę do oddziału gwardii pana des Essarts, który, zarówno jak jego szwagier, pan de Tréville, jest nade wszystko przywiązany do tronu. Wszystko, co spełniłem, to jedynie dla królowej, a nie dla Waszej Miłości. Co więcej, może byłbym niczego nie dokonał, gdyby mi nie szło o przypodobanie się damie mego serca, która jest dla mnie tym, czym dla was królowa.

— Zapewne — odrzekł książę z uśmiechem — i zdaje mi się nawet, że znam tę osobkę, jest to...

— Milordzie, nie wymówiłem jej imienia — przerwał z żywością młodzieniec.

— Słusznie — podchwycił książę — jej więc winienem wdzięczność za twoje poświęcenie.

— Nie przeczę, milordzie, bo właśnie w tym czasie, gdy się zanoszą na wojnę, przyznaję, że widzę w Waszej Miłości tylko Anglika, a więc wroga, którego wolałbym spotkać na polu bitwy aniżeli w parku windsorskim lub korytarzach Luwru; nie przeszkodzi mi to wszelako wykonać sumiennie zlecenia i, jeżeli zajdzie potrzeba, dać się zabić, byle je wiernie spełnić.

— U nas jest przysłowie: „Hardy jak Szkot” — mruknął Buckingham.

— A u nas: „Hardy jak Gaskończyk” — odrzekł d'Artagnan. — Gaskończycy są Szkotami Francji.

Z tymi słowami skłonił się księciu i zabierał się do odwrotu.

— Cóż znowu?... Idziesz już sobie?... Którędy?... W jaki sposób?...

— A prawda!

— Panie, odpuść! Ci Francuzi zawsze są pewni siebie!

— Zapomniałem, że Anglia jest wyspą, a wy królem na niej, milordzie.

— Udaj się do portu, zapytaj o dwumasztowiec „Sund” i doręcz ten list kapitanowi; on cię zaprowadzi do małej przystani, gdzie na pewno nie spodziewają się ciebie, a dokąd zwykle przybijają tylko statki rybackie.

— Jak się nazywa ta przystań?...

— Saint-Valery. Ale czekaj, gdy tam przybędziesz, idź do nędznej oberży bez nazwy i znaku, prawdziwej nory dla majtków; trudno ci się będzie omylić, jest tam tylko jedna.

— A potem?

— Zapytasz tam o gospodarza i powiesz mu: „*Forward*²⁴⁷”.

— Co ma znaczyć?...

— Naprzód! Jest to hasło. On ci da konia osiodłanego i wskaże drogę, na której znajdziesz następne cztery przeprzęgi²⁴⁸. Jeżeli chcesz, zostaw każdemu z nich swój adres w Paryżu, a te cztery konie podążą za tobą; dwa z nich już znasz. Wierz mi, reszta nie będzie od nich gorsza. Te cztery konie są przybrane jak na wojnę. Choćbyś był najdumniejszy, nie odmówisz przyjęcia jednego z nich, a do przyjęcia innych nakłonisz swoich trzech towarzyszy, choćby się na nich później mieli bić z nami. Dla Anglika cel uświęca środki, tak przynajmniej utrzymujecie wy, Francuzi, wszak prawda?

— Dobrze, milordzie, przyjmuję — rzekł d’Artagnan — i, da Bóg, dobry użytek uczynimy z waszego podarku.

— A teraz podaj mi rękę, młodzieńcze. Niedługo może spotkamy się na polu bitwy, lecz tuszę sobie, że zanim to nastąpi, rozstajemy się jak przyjaciele.

— Tak, milordzie, lecz z nadzieją, iż wkrótce zostaniemy wrogami.

— Bądź spokojny, przyrzekam ci.

— Liczę na wasze słowo, milordzie.

D’Artagnan pożegnał nareszcie księcia i udał się z pośpiechem do portu.

Na wprost Tower of London²⁴⁹ zastał wskazany statek; oddał kapitanowi list, ten kazał go poświadczyć przez naczelnika przystani i rozwinął żagle natychmiast.

Oczekiwało tam pięćdziesiąt statków gotowych do drogi.

Przepływając obok jednego z nich, d’Artagnanowi zdawało się, że poznaje kobietę widzianą w Meung — tę, którą ów nieznany szlachcic nazywał milady, a która tak piękną wydała się d’Artagnanowi, ale skutkiem wartkiego prądu rzeki i silnego powiewu wiatru jego okręt tak szybko pruł wody, iż za chwilę stracili się z oczu.

Nazajutrz o dziewiątej z rana wylądowano w Saint-Valery.

D’Artagnan udał się prosto do wskazanej oberży, poznał ją od razu po krzykach wydobywających się z jej wnętrza.

Rozprawiano o wojnie między Anglią i Francją jako o rzeczy bliskiej i niewątpliwej, a weseli majtkowie hulaszczą się bawili.

D’Artagnan przecisnął się przez ciżbę, dotarł do gospodarza i wymówił umówione „*Forward*”.

Gospodarz w tej chwili skinął, aby szedł za nim, i zaprowadził go do stajni, gdzie koń w pełnym rynsztunku czekał na niego, i zapytał d’Artagnana, czy nie potrzebuje jeszcze czegoś więcej.

— Potrzebuję dowiedzieć się, którędy mam jechać — odparł tenże.

— Udać się pan stąd do Blangy, a z Blangy do Neufchâtel. Tam zajedź do oberży „Pod Złotą Broną”, daj hasło oberżyscie, a znajdziesz także konia gotowego do podróży.

— Co się należy? — zapytał d’Artagnan.

— Wszystko już sowicie zapłacone. W drogę, mój panie, i niech cię Bóg prowadzi!

— Amen! — dokończył młodzieniec, puszczając się galopem.

Cztery godziny później był już w Neufchâtel.

Pilnował się ściśle danych mu zleceń; tutaj, jak w Saint-Valery, zastał oczekującego wierzchowca; chciał zabrać pistolety z poprzedniego siodła, lecz w olstrach²⁵⁰ u konia znalazł inne.

— Jaki jest pański adres w Paryżu?

— Pałac gwardii oddziału pana des Essarts.

— Dobrze — odpowiedziano.

— Którędy mam jechać? — zapytał z kolei d’Artagnan.

— Drogą do Rouen, lecz miasto należy zostawić na prawo. W wiosce d’Écouis zatrzymasz się pan przed jedyną oberżą „Pod Talarem Francuskim”. Niech pana nie zraża jej powierzchowność, w stajni znajdzie się koń nie gorszy od tego.

²⁴⁷*forward* (ang.) — naprzód. [przypis edytorski]

²⁴⁸*przeprzęg* a. *przeprząg* — stacja, na której zmieniano konie w zaprzęgu. [przypis edytorski]

²⁴⁹*Tower of London* (ang.: wieża londyńska) — budowla wzniesiona jako twierdza obronna i siedziba monarchów Anglii; służyła przez wieki jako pilnie strzeżone więzienie (i skarbiec), do którego dostęp był jedynie od strony rzeki. [przypis edytorski]

²⁵⁰*olstro* — skórzany futerał na pistolety, podwieszany przy siodle. [przypis edytorski]

— Hasło to samo?
— Zawsze to samo.
— Żegnaj, panie gospodarzu!
— Szczęśliwej drogi, dostojny panie. Może czegoś potrzebujesz?
D'Artagnan przecząco potrząsnął głową i spiąwszy konia ostrogą, ruszył z kopyta.
W d'Écouis powtórzyło się to samo.

Zastał gospodarza również uprzejmego, konia rączego²⁵¹ i wypoczętego; zostawił tam swój adres i popędził do Pontoise.

Tam zmienił wierzchowca po raz ostatni, a o dziesiątej wpadł jak wicher na dziedziniec pałacu pana de Tréville.

W ciągu dwunastu godzin przebył sześćdziesiąt mil francuskich.

Pan de Tréville przyjął go, jak gdyby rozstali się dopiero z rana, ale ściskając rękę mocniej niż zazwyczaj, oznajmił mu, że oddział pana des Essarts jest na służbie w Luwrze i że może udać się na swoje stanowisko.

ROZDZIAŁ XXII. BALET MERLAISON

Następnego dnia w całym Paryżu mówiono tylko o balu, który panowie urzędnicy miejscy wydali na cześć króla i królowej, a w którym Ich Królewskie Moście mieli tańczyć balet Merlaison, będący ulubionym tańcem króla.

Od tygodnia wszystko w ratuszu przygotowywano do tego uroczystego wieczoru.

Stolarze miejscy ustawiali trybuny, na których miały zająć miejsca zaproszone damy; kupcy korzenni przyozdobili salony dwustu świecami z białego wosku, co w owych czasach było niesłychanym zbytkiem; wreszcie zamówiono dwudziestu skrzypków za cenę podwójną, z racji, jak świadczy kronika, że mieli rzępolić całą noc.

O dziesiątej z rana niejaki pan de La Coste, chorąży gwardii królewskiej, po nim dwóch oficerów i kilku łuczników zażądali od pisarza miejskiego, nazwiskiem Clément, kluczy od wszystkich drzwi pokoi i sal ratusza.

Klucze te wręczone im zostały natychmiast. Przy każdym z nich była karta z oznaczeniem, jakie drzwi otwierał, a od tej chwili pan de La Coste miał poleconą straż nad wszystkimi wejściami i przejściami pałacu.

O jedenastej nadszedł znowu Duhallier, kapitan gwardii, prowadząc za sobą pięćdziesięciu łuczników, których porozstawiał w ratuszu pod wyznaczonymi im drzwiami.

O trzeciej przybyły dwa oddziały straży — jedna francuska, druga szwajcarska. Oddział francuski składał się w połowie z podkomendnych pana Duhalliera, a w połowie z podkomendnych pana des Essarts.

O szóstej wieczorem zaczęli zjeżdżać się zaproszeni. W miarę jak przybywali, rozmieszczano ich w wielkiej sali w przygotowanych wzniesieniach.

O dziewiątej zjawiła się pani prezydentowa miasta. Jako osoba zajmująca pierwsze po królowej miejsce w uroczystości powitana została przez dostojników miasta i zasiadła w łoży naprzeciw tej, którą miała zająć królowa.

O dziesiątej w małej sali od strony kościoła świętego Jana, przed srebrnym bufetem strzeżonym przez czterech łuczników, zastawiono kolację dla króla, składającą się z konfitur.

O północy rozległy się niezliczone okrzyki na cześć króla, który zbliżał się ulicami prowadzącymi z Luwru do ratusza, teraz uiluminowanymi latarniami w przeróżnych kolorach.

Panowie urzędnicy miejscy, przybrani w płócienne szaty, poprzedzani przez sześciu policjantów z pochodniami, wyruszyli co tchu naprzeciw królowi i spotkali go na schodach, gdzie starszy cechu kupieckiego składał mu hołd i dzięki za przybycie, na co Jego Królewska Mość odpowiedział, zwalając swoje opóźnienie na kardynała, z którego winy dopiero teraz przybywa, gdyż zatrzymał go do godziny jedenastej roztrząsaniem spraw państwowych.

²⁵¹rączy — szybki w biegu. [przypis edytorski]

Jego Królewska Mość w stroju balowym znajdował się w towarzystwie hrabiego de Soissons²⁵², wielkiego jałmużnika, księcia de Longueville, księcia d'Elbeuf²⁵³, hrabiego d'Harcourt²⁵⁴, hrabiego de La Roche-Guyon, pana de Liancourt, pana de Baradas, hrabiego de Cramail i kawalera de Souveray.

Wszyscy zauważyli, że jakaś troska osiadła na czole królewskim.

Osobny gabinet przygotowany był dla króla, a osobny dla brata królewskiego. W każdym z nich gotowe były ubrania.

Tak samo przysposobiono wszystko dla królowej i dla pani prezydentowej.

Panowie i panie, należący do świty królewskiej, mieli się ubierać po dwie osoby razem w pokojach przeznaczonych na ten cel.

Król, zanim wszedł do gabinetu, wydał rozkaz, ażeby go zawiadomiono o przybyciu kardynała.

W pół godziny po ukazaniu się króla nowe okrzyki oznajmiły przybycie królowej.

Panowie urzędnicy wyruszyli znów na spotkanie dostojnego gościa.

Królowa weszła do sali. Zauważono, iż również jak król miała wygląd smutny, a nade wszystko znużony.

W chwili gdy wchodziła, opuszczone dotąd firanki małej łoży rozchyliły się, a spoza nich wyjrzało blade oblicze kardynała przybranego w strój hiszpański.

Utkwił wzrok w oczach królowej, a szatański uśmiech okolił jego usta. Nie miała na sobie diamentowych zapinek.

Królowa zatrzymała się chwilę, aby przyjąć powitania panów miejskich i odpowiedzieć na ukłony dam.

Naraz w drzwiach sali zjawił się król, a za nim kardynał. Ten mówił coś z cicha do niego, a król był śmiertelnie błądy.

Bez maski, mając na sobie zaledwie narzucony kaftan z niezawiazanymi wstążkami, król przebił się przez tłumy, stanął przed królową i odezwał się zmienionym głosem:

— Pani, dlaczego nie masz na sobie zapinek diamentowych, skoro wiesz przecie, że przyjemnie byłoby mi je widzieć?

Królowa potoczyła wzrokiem dokoła i ujrzała za sobą kardynała z piekielnym uśmiechem na ustach.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła niepewnym głosem — nie wzięłam ich, gdyż lękałam się, ażeby w takim tłoku nie uległy jakiemuś wypadkowi.

— Źle zrobiłaś, pani. Jeżeli ci je dałem, to abyś się w nie ubierała. Mówię ci, że źle zrobiłaś...

Głos króla drżał z gniewu; wszyscy ze zdziwieniem patrzyli i słuchali, nie pojmując, co to miało znaczyć.

— Najjaśniejszy Panie — odezwała się królowa — mogę posłać po nie do Luwru, gdzie się znajdują, i życzenia Waszej królewskiej Mości zostaną spełnione.

— Zrób tak, pani, i to jak można najprędzej, gdyż za godzinę zaczną się tańce.

Królowa skłoniła głowę z uległością i poszła za damami, które miały zaprowadzić ją do gabinetu przygotowanego dla niej.

Król zaś udał się do swego gabinetu. W sali nastąpiło chwilowe zamieszanie i niepokój.

Wszyscy zdołali spostrzec, że coś zaszło pomiędzy królewską parą; lecz tak cicho mówili oboje, a przez uszanowanie każdy się usunął, nikt zatem nic nie słyszał.

Skrzypki rzępoliły co siłą, lecz nikt na nie nie zważał.

Pierwszy wyszedł król ze swego gabinetu.

Miał na sobie wytworny strój myśliwski, a brat królewski i inni panowie byli ubrani podobnie. Królowi ten strój najbardziej pasował, wyglądał w nim rzeczywiście jak najpierwszy dostojnik swego królestwa.

Kardynał podeszedł do króla i oddał mu pudełeczko. Król otworzył je, znalazł dwie zapinki diamentowe.

²⁵²hrabia de Soissons, właśc. *Ludwik de Bourbon* (1604–1641) — jedyny syn Karola de Bourbon, hrabiego Soissons; kuzyn króla Ludwika XIII. [przypis edytorski]

²⁵³książę d'Elbeuf, właśc. *Charles II* (1596–1657) — francuski szlachcic, lojalny sługa króla Ludwika XIII. [przypis edytorski]

²⁵⁴hrabia d'Harcourt, właśc. *Henri de Lorraine* (1601–1666) — francuski szlachcic, brał udział w oblężeniu La Rochelle. [przypis edytorski]

— Co to ma znaczyć? — zapytał kardynała.

— Nic — odrzekł tenże — ale jeżeli królowa ukaże się w zapinkach, o czym pozwałam sobie wątpić, przelicz je, Najjaśniejszy Panie, a jeżeli będzie ich tylko dziesięć, zapytaj Jej Królewską Mość, kto mógł jej te dwie wykraść.

Król badawczo spojrzął na kardynała, lecz nie miał czasu na pytanie. Z ust obecnych wyrwał się okrzyk uwielbienia.

Jeżeli król był najpiękniejszym mężczyzną w królestwie, królowa niezaprzeczenie była najpiękniejszą kobietą we Francji.

W istocie, strój łowiecki precyzyjnie podkreślił jej urodę. Miała pilśniowy²⁵⁵ kapelusik z błękitnymi piórami, obcisły surducik z perłowego aksamitu, spięty diamentowymi guzikami, błękitną atlasową spódniczkę, haftowaną srebrem. Na lewym ramieniu iskrzyły się zapinki podtrzymywane węzłem tego koloru, co pióra i spódniczka.

Król zadrzał z radości, a kardynał zatrząsł się z gniewu. Ponieważ jednak stali z daleka od królowej, nie mogli żadną miarą policzyć zapinek.

Królowa je miała, lecz czy było ich dziesięć czy dwanaście?...

W tej chwili skrzypki dały znak do rozpoczęcia baletu. Król podszedł do panizydentowej, z którą miał tańczyć, a brat królewski do królowej.

Stanęli we właściwych miejscach i rozpoczęto taniec z figurami.

Król tańczył naprzeciw królowej, a za każdym razem, gdy się z nią mijał, pożerał oczami zapinki, nie mogąc się ich doliczyć.

Czoło kardynała oblewał zimny pot.

Balet ciągnął się całą godzinę, składał się on z szesnastu figur.

Skończył się nareszcie wśród ogólnych zachwytów i oklasków. Każdy z tańczących odprowadził swoją damę na miejsce; król zaś, skorzystawszy z przywileju opuszczenia damy tam, gdzie stanęli, czym prędzej zbliżył się do królowej.

— Dzięki ci, pani — rzekł — za względy, jakie okazałaś dla moich życzeń, lecz zdaje mi się, iż brakuje ci dwóch zapinek, i oto je pani odnoszę.

Z tymi słowami podał królowej dwie zapinki oddane mu przez kardynała.

— Jak to? Najjaśniejszy Panie — zawołała królowa, udając najwyższe zdziwienie — dodajesz mi jeszcze dwie zapinki, to będę ich miała już czternaście.

Rzeczywiście król naliczył dwanaście brylantów na ramieniu królowej.

Przywołał kardynała.

— Cóż to ma znaczyć, panie kardynale? — zapytał go król surowo.

— To znaczy, Najjaśniejszy Panie — odparł tenże — iż pragnąłem, aby królowa przyjęła ode mnie te zapinki, a nie śmiać ofiarować ich sam, uciekłem się do tego sposobu.

— Tym bardziej jestem wdzięczna Waszej Eminencji — odrzekła królowa z uśmiechem dowodzącym, że nie dała się złapać na tę tak mądrze obmyślaną grzeczność kardynała — a przekonana jestem, iż te dwie zapinki więcej cię kosztują, niż kosztowały tamte dwanaście Jego Królewską Mość.

Pożegnawszy następnie króla i kardynała, skierowała się w stronę pokoju, w którym się ubierała i gdzie miała się rozebrać.

Cała uwaga, jaką przy zaczęciu tego rozdziału zmuszeni byliśmy zwrócić na dostojne osobistości przez nas wprowadzone, oddaliła nas na chwilę od tego, któremu Anna Austriacka zawdzięczała swój niesłychany triumf, jaki odniosła nad kardynałem.

Człowiek ten, zapomniany, nieznany, zagubiony w tłumie zalegającym jedno z wejść do sali, przypatrywał się stamtąd scenie zrozumiałej jedynie dla czterech osób: króla, królowej, Jego Eminencji i dla niego.

Królowa powróciła do swego pokoju, d'Artagnan zaś gotował się do odejścia, gdy uczuł na ramieniu lekkie dotknięcie.

Obejrzał się i spostrzegł młodą kobietę dającą mu znak, aby szedł za nią.

Jej twarz była ukryta pod czarną, aksamitną maską, lecz pomimo tej ostrożności, przedsięwziętej raczej dla innych niż dla niego, poznał od razu swoją zwykłą przewodniczkę, zręczną i dowcipną panią Bonacieux.

Dwór, Strój, Uroda

Taniec

²⁵⁵*pilśniowy* — zrobiony z pilśni: gęstego, zbitego materiału otrzymywanego z wełny lub sierści króliczej, najczęściej itp. [przypis edytorski]

W przeddzień mogli zaledwie na siebie spojrzeć w loży szwajcara²⁵⁶ Germaina, dokąd d'Artagnan kazał ją wezwać.

Jej zaś tak śpieszno było zanieść królowej dobrą nowinę o szczęśliwym powrocie wysłańca, że kochankowie zdołali zamienić ze sobą zaledwie parę słów.

Udał się więc d'Artagnan za panią Bonacieux, podniecony dwoistym uczuciem — miłości i ciekawości.

Przez całą drogę, w miarę jak korytarze stawały się coraz bezludniejsze, d'Artagnan chciał ją pochwycić, zatrzymać, bodaj chwilę na nią popatrzeć; lecz ona, jak lekka ptaszyna, wymykała mu się z rąk, a gdy chciał do niej przemówić, z wyrazem rozkazującym, a pełnym wdzięku kładła mu na usta paluszek, co przypominało, że jest pod panowaniem tej, której winien ślepe posłuszeństwo, a która nie pozwalała ani trochę się zbliżyć.

Nareszcie, po paru minutach kołowania, otworzyła drzwi i wprowadziła młodzieńca do zupełnie ciemnego gabinetu. Dając mu nowy znak milczenia, otworzyła ukryte za draperią drugie drzwi, przez które wpadło światło jaskrawe, i zniknęła.

D'Artagnan stał nieruchomy przez chwilę, zadając sobie pytanie, gdzie się znajduje, lecz wkrótce promyk światła wpadający do pokoju, a z nim ciepłe i wonne powietrze, które go owiało, rozmowa kilku kobiet odzywających się z szacunkiem i elegancją zarazem, po kilkakroć powtórzone słowo „Królewska Mość”, dowiodły mu jasno, iż znajduje się w gabinecie przytykającym do pokoju królowej.

Stał więc w cieniu i czekał.

Królowa była widocznie wesoła i uszczęśliwiona, co zdawało się mocno dziwić otaczające je osoby, które przywykły widzieć ją z wiekuistą troską na czole.

To radosne uczucie składała na karb pięknej uroczystości i przyjemności, jaką sprawił jej balet, a ponieważ nie wolno przeczyć królowej, czy się uśmiecha, czy płacze, unoszono się ogólnie nad uprzejmością panów urzędników miasta Paryża.

D'Artagnan, chociaż wcale nie znał królowej, odróżnił jednak jej głos pomiędzy innymi, najpierw po lekkim cudzoziemskim akcencie, nareszcie po mimowolnej wyniosłości, z jaką wyrażają się zwykle ludzie piastujący najwyższą władzę.

Słyszał, jak zbliżała i oddalała się od otwartych drzwi, parę razy nawet widział cień jej postaci przesłaniający światło.

Nareszcie spoza draperii wysunęła się ręka precyzyjnych kształtów i białości; zrozumiał, że to jest nagroda dla niego. Padł na kolana, ujął tę rękę i złożył na niej pełen uszanowania pocałunek.

Ręka usunęła się następnie, pozostawiając mu przedmiot, w którym rozpoznał pierścień.

W tej chwili drzwi się zamknęły i znalazł się pogrążony w ciemności.

D'Artagnan włożył na palec pierścioneć i znowu czekał.

Widoczne było, że nie wszystko jeszcze skończone.

Po nagrodzie za wierność nadchodziła nagroda za jego miłość.

Zresztą balet był skończony, lecz zabawa zaledwie rozpoczęta.

Kolacja miała być o trzeciej, a zegar na wieży św. Jana wydzwonił przed chwilą trzy kwadranse do drugiej.

W istocie głosy zaczęły cichnąć w sąsiednim pokoju, nareszcie oddaliły się zupełnie.

Na koniec drzwi pokoju, w którym stał d'Artagnan, otworzyły się znowu i ukazała się w nich pani Bonacieux.

— A! Jesteś nareszcie! — zawołał d'Artagnan.

— Cicho — rzekła młoda kobieta, kładąc swą rączkę na ustach młodzieńca. — Cicho! I wychodź, kórędy przyszedłeś.

— Lecz gdzie i kiedy znowu cię ujrę? — zagadnął d'Artagnan gorączkowo.

— Powie ci to bilecik, który wróciwszy, zastaniesz u siebie. Odejdź już, odejdź!

To mówiąc, otworzyła drzwi prowadzące na korytarz i wypchnęła go z gabinetu.

Był posłuszny jak dziecko, bez najmniejszego oporu i trudności, co dowodzi, że naprawdę był zakochany.

Miłość niespełniona

Władza

Miłość

²⁵⁶szwajcar (daw.) — odźwierny, człowiek pełniący służbę przy wejściu do budynku. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ XXIII. SCHADZKA

D'Artagnan pędem powrócił do siebie, a chociaż była już trzecia w nocy i miał do przebycia najgorsze dzielnice Paryża, nie wydarzyło mu się jednak nic złego.

Wiadomo, iż jest jakiś bożek strzegący pijaków i zakochanych.

Miłość, Pijaństwo

Zastał uchylone drzwi wejściowe, wszedł na schody i zapukał leciutko w sposób umówiony między nim a służącym.

Planchet, którego odprowadził z ratusza przed dwiema godzinami z zaleceniem, aby na niego czekał, otworzył drzwi.

— Czy przyniesiono list do mnie? — zapytał żywo.

— Nikt nie przynosił listu — odpowiedział Planchet — lecz jest tu taki, który nie wiadomo skąd sam się wziął.

— Co przez to rozumiesz, błaznie?

— Chcę powiedzieć, że wróciwszy, zastałem w pana pokoju na stole list, chociaż klucz od mieszkania miałem ciągle w kieszeni i na chwilę nie wyjmowałem go stamtąd.

— A gdzie on jest?

— Zostawiłem go tam, gdzie leżał. To coś nadprzyrodzonego, żeby listy w ten sposób przychodziły do ludzi. Gdyby chociaż okno było otwarte lub uchylone, to nie mówię; lecz gdzie tam, wszystko szczelnie było zamknięte. Panie, strzeż się, w tym jest jakaś nieczysta siła.

W trakcie tej rozmowy młodzieniec wskoczył do pokoju i rozerwał list.

Był on od pani Bonacieux i zawierał te słowa:

Gorące podziękowania czekają na ciebie. Bądź dziś wieczorem o godzinie dziesiątej w Saint-Cloud przed pawilonem, który się wznosi na rogu domu pana d'Estrées. K. B.

D'Artagnan czytając, uczył w sercu taki skurcz rozkoszy, jaki dręczy i uszczęśliwia zarazem serca kochanków.

Był to pierwszy w życiu bilecik i pierwsza schadzka, jaką mu wyznaczono.

Jego serce, wezbrane upajającą rozkoszą, zdawało się zamierać pod nawałem szczęścia, na wstępie do tego raju ziemskiego, który zwie się miłością.

Miłość, Raj

— A co?... Panie — odezwał się Planchet, widząc go płonącego i blednącego kolejno — a co? Wszak zgadłem, że to jakaś sprawa nieczysta?

— Mylisz się, Planchetku, a na dowód masz talara i wypij za moje zdrowie.

— Dziękuję panu za talara i przyrzekam spełnić święcie jego rozkazy, lecz to nie dowód, żeby listy, które dostają się do zamkniętych domów...

— Spadają z nieba, mój drogi; z nieba prościuteńko.

— Więc jest pan bardzo zadowolony?

— Drogi Planchetku, jestem najszczęśliwszym z ludzi!

— Mogę więc skorzystać z pańskiego szczęścia i położyć się spać?

— I owszem, kładź się.

— Oby wszystkie błogosławieństwa nieba spadły na pana, lecz Bogiem a prawdą, że ten list...

I Planchet oddalił się, potrząsając głową z powątpiewaniem, którego szczodrość d'Artagnana nie była w stanie rozproszyć.

Pozostawszy sam, D'Artagnan znowu zaczął odczytywać bilecik, obcałował każdą literkę skreśloną ręką swojej ślicznej kochanki.

Położył się nareszcie i zasnął, snując sny złote.

O siódmej z rana zerwał się na równe nogi i zawołał Plancheta, który na powtórne wezwanie otworzył drzwi i zjawił się z twarzą, na której zalegała jeszcze chmura wczorajszych niepokojów.

— Planchecie — rzekł doń d'Artagnan — wychodzę prawdopodobnie na cały dzień, więc jesteś wolny do siódmej wieczorem; lecz o tej godzinie bądź w pogotowiu i miej dwa konie.

— Masz tobie! Znowu nam mają podziurawić skórę!

— Zabierzesz ze sobą muszkiet i pistolety.

— A co? Nie mówiłem? — wykrzyknął Planchet. — Byłem tego pewny! Przekłety list!

— Nie bój się, głupcze, idzie tu po prostu o przejażdżkę dla przyjemności.

— Zapewne! Tak jak tamta, gdzie kule gradem padały, a pułapki wyrastały spod ziemi!...

— Zresztą, jeżeli tchórzysz, panie Planchecie — przerwał mu d'Artagnan — obejdę się bez ciebie; wolę podróżować sam aniżeli mieć towarzysza, który trzęsie się ze strachu.

— Pan mi ubliża — rzekł Planchet — a o ile mi się zdaje, widział mnie pan w gorących wypadkach.

— Widziałem, lecz sądziłem, iż za jednym razem wyszafowałeś całą swoją odwagę.

— Zobaczysz pan, że znajdzie się ona jeszcze w potrzebie; ale proszę pana, nie trwój jej zbyt, jeżeli pan chce, aby wystarczyła na dłużej.

— A jak myślisz, czy masz jej jakikolwiek zapasik na dzisiejszy wieczór?

— Spodziewam się.

— A zatem liczę na ciebie.

— Będę gotów o oznaczonej godzinie, lecz ja myślałem, że pan miał tylko jednego konia w stajni gwardyjskiej.

— Być może, iż w tej chwili jest tylko jeden, lecz wieczorem będzie ich cztery — rzekł d'Artagnan i skinąwszy Planchetowi głową, wyszedł.

Pan Bonacieux stał w drzwiach swego mieszkania. D'Artagnan chciał go ominąć, nie mówiąc nic do niego, lecz małżonek Konstancji tak mu się słodko i dobrodusznie uklonił, że w ten sposób zniewolił swego lokatora nie tylko do odwzajemnienia się, lecz i do zawiązania rozmowy.

Jakże tu wreszcie nie mieć choć odrobiny pobłażania dla męża, którego żona wyznaczyła schadzke.

Zbliżył się więc do niego z miną jak najbardziej uprzejmą.

Rzecz prosta, iż rozmowa zesła na uwięzienie biedaka.

Bonacieux nie wiedząc, że d'Artagnan wysłuchał jego rozmowę z nieznajomym z Meung, opowiedział młodemu lokatorowi o prześladowaniach tego potwora, pana de Laffemas, którego nie przestawał tytułować katem kardynalskim, przy czym rozwodził się obszernie o Bastylii, ryglach, zasuwkach, okienkach, kratkach i przyrządach torturowych.

D'Artagnan słuchał z przykłądną uwagą, nareszcie, gdy właściciel domu skończył mówić, odezwał się:

— A czy wiesz pan już, kto porwał panią Bonacieux? Nie zapomniałem bowiem, iż tej właśnie przykrej okoliczności zawdzięczam szczęście poznania pana.

— O!... — odrzekł Bonacieux. — Mieli się oni dobrze na baczności i nie powiedzieli mi tego, a żona przysięga na wszystkie świętości, że nic o tym nie wie. Ale cóż to się działo z panem podczas ubiegłych dni? — ciągnął dalej Bonacieux z miną najdobroduszniejszą. — Nie widywałem ani pana, ani przyjaciół pańskich, a sądzę, iż nie na bruku paryskim zebrałeś ten kurz, który wczoraj wieczorem Planchet z butów pańskich omiatał.

— Masz słuszność, drogi panie Bonacieux, moi przyjaciele i ja odbyliśmy małą podróż.

— Daleko?

— O! Mój Boże! Zaledwie czterdzieści mil, odprowadziliśmy pana Atosa do wód w Forges, gdzie moi przyjaciele zostali.

— A pan powróciłeś, nieprawdaż? — mówił dalej Bonacieux, przybierając najzłośliwszy wyraz twarzy, jaki mógł. — Taki piękny chłopiec jak pan nie dostaje długiego urlopu od kochanki. Z wielką niecierpliwością byliśmy oczekiwani w Paryżu, nieprawdaż?

— Słowo daję, nie przeczę — odparł młodzieniec ze śmiechem — a mówię to tym bardziej, bo widzę, że nic się przed panem nie ukryje. Tak, byłem oczekiwany i bardzo niecierpliwie, zaręczam.

Lekka chmurka przemknęła po czole kramarza, lecz tak lekka, że d'Artagnan jej nie dostrzegł.

— I zostaniemy sownie wynagrodzeni za pośpiech? — ciągnął kramarz z lekkim wzruszeniem w głosie, wzruszeniem, którego także nie zauważył d'Artagnan, jak i poprzedniej chmury, która zaciemniła oblicze godnego człowieka.

— A!... Bodajbyś pan był dobrym prorokiem! — zawołał d'Artagnan wesoło.

Zdrada

Uroda, Kochanek

— El!... Ja pytam tylko dlatego, aby wiedzieć, czy późno pan wrócisz?
— A na co ci to pytanie, gospodarzu drogi? — podchwycił d'Artagnan. — Czy chcesz czekać na mnie?

— Nie, ale od czasu mojego uwięzienia i kradzieży dokonanej w moim domu, gdy ktoś otworzy drzwi, strach mnie przejmuję, a szczególnie w nocy. Cóż chcesz, u licha! Nie jestem żołnierzem!

— Nie przejmuj się pan więc, jeżeli wrócę o pierwszej, drugiej lub trzeciej nad ranem. A jeżeli wcale się nie zjawię, także się nie przerażaj.

Zapowiedź ta przyprawiła pana Bonacieux o taką błądź, że d'Artagnan nie mógł już jej nie spostrzec i spytał o przyczynę.

— Nic, nic — odrzekł Bonacieux. — Widzisz pan, ja od czasu moich nieszczęść ulegam nagłym osłabieniom, a w tej chwili właśnie uczulem dreszcze. Nie zważaj pan na to i zajmij się raczej swoim szczęściem.

— Nie brak mi tego zajęcia, bo jestem szczęśliwy.

— Jeszcze nie, zaczekaj trochę, sam przecież mówiłeś, że to dopiero wieczorem.

— Da Bóg, wieczór ten nadejdzie, może i pan oczekujesz go z równą niecierpliwością. Może pani Bonacieux ma odwiedzić gniazdo małżeńskie?

— Pani Bonacieux będzie dzisiejszego wieczora zajęta — odparł małżonek z powagą — zatrzymuje ją w Luwrze jej obowiązek.

— Tym gorzej dla ciebie, drogi gospodarzu, tym gorzej. Ja, gdy jestem szczęśliwy, chciałbym cały świat takim widzieć, ha! Widocznie to niemożliwe.

I śmiejąc się na całe gardło z żartu, który, jak sądził, sam tylko rozumie, pożegnał kramarza.

— Przyjemnej zabawy! — odezwał się głosem grobowym Bonacieux.

D'Artagnan był za daleko, aby mógł usłyszeć, a choćby nawet i usłyszał, nie zwróciłby na te słowa uwagi, tak miał rozpromieniony umysł na myśl o tym, co go czekało.

Poszedł prosto do pałacu pana de Tréville. Przypominamy sobie, że wczorajsze odwiedziny trwały krótko i nie dały żadnego wyjaśnienia.

Zastał pana de Tréville wielce rozradowanego.

Na balu król i królowa byli dla niego uprzejmi nad wyraz. Zaś kardynał był okrutnie kwaśny.

Richelieu, pod pozorem niedyspozycji, wymknął się z balu o pierwszej. Ich Królewskie Mości bawili się do szóstej z rana.

— A teraz — odezwał się pan de Tréville zniżonym głosem i rozglądając się po wszystkich kątach pokoju dla przekonania się, czy są zupełnie sami — a teraz o tobie pomówmy, mój drogi. Jasne jest, iż twój szczęśliwy powrót przyczynił się do rozradowania króla, triumfu królowej i pogiębienia kardynała. Otóż musisz się mieć na baczności.

— A czegoż mam się lękać — odparł d'Artagnan — dopóki będę miał szczęście cieszyć się łaską Ich Królewskich Mości?

— Wszystkiego, wierź mi. Kardynał nie jest człowiekiem, który by zapomniał, że wywiedziono go w pole, i nie omieszką załatwić rachunków z winowajcą, a zdaje mi się, że jest nim pewien znajomy mój, Gaskończyk.

— Czy pan sądzi, że kardynał również wie tyle, co i pan, że wiadomo mu o mojej bytności w Londynie?

— Do diabła!... Byłeś w Londynie? Czyż to stamtąd wywiozłeś ten piękny diament błyszczący na twoim palcu? Strzeż się, drogi d'Artagnanie, dar nieprzyjaciela to niedobra rzecz; opiewają to pewne wiersze łacińskie... Poczekaj no...

— Tak, niezawodnie — odparł d'Artagnan, który nie był nigdy w stanie wpakować sobie do głowy najpierwszych zasad łaciny, czym do rozpacz przywodził swego nauczyciela — tak, zapewne, muszą być jakieś wiersze, które się do tego stosują.

— Z pewnością, że są — odparł pan de Tréville, który miał pociąg do literatury — cytował mi je niedawno pan de Benserade²⁵⁷... Zaraz, zaraz... poczekaj... A! Wiem już:

Dar, Klejnot, Wróg

²⁵⁷ Benserade, Isaac de (ok. 1613–1691) — francuski poeta i dramaturg. [przypis edytorski]

Co ma znaczyć: „Nie dowierzaj nieprzyjacielowi, nawet gdy cię obdarza”.

— Diament ten nie od nieprzyjaciela, lecz od królowej pochodzi — rzekł na to d'Artagnan.

— Od królowej! O! O!... — odezwał się de Tréville. — W istocie to klejnot prawdziwie królewski, wart tysiąc pistoli jak jeden grosz. Przez kogóż miała ci go doręczyć?

— Sama mi go dała.

— Gdzie?...

— W gabinecie przyległym do pokoju, w którym zmieniała ubranie.

— W jaki sposób?

— Podając mi rękę do pocałowania.

— Pocałowałeś w rękę królową!... — wykrzyknął de Tréville, wpatrując się w d'Artagnana.

— Jej Królewska Mość zrobiła mi zaszczyt, wyświadczać mi tę łaskę.

— I to przy świadkach? Niebaczna!... Po trzykroć niebaczna!...

— Uspokój się, panie, nikt tego nie widział — rzekł d'Artagnan.

I opowiedział, jak to się stało.

— O, kobiety! O, kobiety!... — zawołał stary żołnierz. — Znam ja waszą wyobraźnię romantyczną; wszystko, co na tajemnicę zakrawa, zachwyca was. A zatem nie widziałeś nic więcej prócz ramienia i mógłbyś, spotkawszy królową, nie poznać jej, a ona także zobaczywszy ciebie, nie wiedziałaby, kim jesteś?

— Zapewne, lecz dzięki temu klejnotowi... — podjął młodzieniec.

— Słuchaj — rzekł pan de Tréville — czy chcesz, abym ci dał radę, dobrą radę przyjacielską?

— Zaszczyt mi pan zrobi — odpowiedział d'Artagnan.

— Słuchaj więc: idź do pierwszego lepszego jublera i sprzedaj ten diament za cenę, jaką ci ofiaruje, a choćby był nawet Żydem, dostaniesz zawsze osiemset pistoli za niego. Pieniądze są bez nazwy, a pierścień ten posiada ją, i to straszną, która może zdradzić tego, co go nosi.

— Sprzedać go? Pierścień od mojej monarchini? Nigdy! — zawołał d'Artagnan.

— Obróć go więc kamieniem pod spód, biedny szaleńcze, wiadomo bowiem, iż kadet gaskoński nie znajduje podobnych klejnotów w skarbcu swojej matki.

— Myślisz więc, panie, iż mam się czego obawiać?... — zagadnął d'Artagnan.

— Można by powiedzieć, młodzieńcze, że ten, co zasypia na minie, której lont jest zapalony, w porównaniu z tobą może uważać się za bezpieczniejszego.

— Do diabła! — rzekł d'Artagnan, którego przekonująca mowa pana de Tréville zaczęła niepokoić. — Do diabła! Co tu począć?

— Przede wszystkim mieć się bez ustanku na baczności. Kardynał ma pamięć zawziętą, a rękę sięgającą daleko; wierzej mi, że on ci wypłata figla.

— Ale jakiego?...

— E, czy ja wiem!... Posiada on wszystkie sztuczki diabelskie, którymi się posługuje! Co najmniej może cię spotkać to, że cię uwiężą.

— Jak to?! Poważono by się uwięzić człowieka zostającego w służbie Jego Królewskiej Mości?

— O! Przecież z Atosem nie robiono ceremonii. W każdym razie wierzej człowiekowi, który trzydzieści lat spędził na dworze; nie zasypia spokojny, albo jesteś zgubiony. Przeciwnie, ja ci to mówię, wszędzie upatruj wroga. Gdy będzie szukał z tobą zaczepki, unikaj go, choćby to było dziesięcioletnie dziecko; jeżeli zostaniesz napadnięty czy w nocy, czy w dzień, bez żadnego wstydu rejteruj²⁵⁹; gdy będziesz przechodzić przez most, pilnuj desek, aby się pod tobą nie zapadły; gdy będziesz iść koło budującego się domu, patrz w górę, aby cegła nie spadła ci na głowę; jeśli będziesz późno powracał, każ iść za sobą służącemu i uzbroj go, jeżeli jesteś go pewny. Nie ufaj nikomu: przyjacielowi, bratu, kochance, a nade wszystko tej ostatniej.

Tajemnica, Wyobraźnia

Niebezpieczeństwo

²⁵⁸ *Timeo Danaos et dona ferentes* (łac.) — obawiam się Greków, nawet gdy niosą dary; łacińska sentencja, fragment *Eneidy* Wergiliusza (II, 49); nawiązanie do zdradzieckiego „daru”, jakim był koń trojański. [przypis edytorski]

²⁵⁹ *rejterować* — uciekać, wycofywać się. [przypis edytorski]

D'Artagnan spochmurniał.

— Kochance! — powtórzył machinalnie. — A czemuż jej więcej niż komu innemu?

— Bo kochanka jest jednym z najulubieńszych środków kardynała, jednym z najskuteczniejszych. Kobieta sprzeda się za osiem pistoli, dowodem Dalila²⁶⁰. Znasz pewnie Stary Testament, co?

D'Artagnan pomyślał o dzisiejszym spotkaniu z panią Bonacieux; lecz na pochwałę naszego bohatera musimy przyznać, że złe wyobrażenie pana de Tréville o kobietach w ogólności nie natchnęło go najmniejszym podejrzeniem co do jego pięknej gosposi.

— Ale, ale — mówił dalej pan de Tréville — a co się stało z twoimi trzema towarzyszami?

— Chciałem właśnie zapytać pana, czy nie ma o nich jakiejś wiadomości?

— Żadnej a żadnej.

— Ja zostawiłem ich po drodze: Portosa w Chantilly z pojedynkiem na karku; Aramis w Crèvecoeur z kulą w ramieniu; Atosa na koniec w Amiens, pod ciężarem zarzutu o fałszerstwo pieniędzy.

— A widzisz! — odezwał się pan de Tréville. — A jakżeś ty tego uniknął?

— Cudem, muszę to przyznać, za pomocą pchnięcia szpadą w piersi i przygwożdżenia na drodze do Calais, jak motyla do ściany, hrabiego de Wardes.

— A co, jeszcze jeden dowód! De Wardes to stronnik kardynała, a krewny Rocheforta. Słuchaj, mój drogi, przychodzi mi pewna myśl.

— Niech pan mówi, słucham.

— Będąc na twoim miejscu, zrobiłbym jedną rzecz.

— Jaką?

— Skoro Jego Eminencja każe cię szukać w Paryżu, ja po cichu wróciłbym do Pikardii i postarałbym się dostać języka o moich trzech przyjaciółach. Cóż, u diabła! Przecie zasługują na ten dowód troskliwości z twojej strony.

— Dobra pańska rada, jadę jutro.

— Jutro! A czemu nie dzisiaj?

— Dzisiaj zatrzymuje mnie nader ważna sprawa.

— A! Młokosie! Młokosie! Pewno jakieś miłostki? Powtarzam ci, strzeż się! Kobieta zgubiła nas wszystkich, co do jednego, i gubi nas jeszcze tak samo. Wierź mi, jedź dzisiaj.

— Niepodobna.

— Dafeś więc tam słowo.

— Tak, panie.

— Ha! To już trudno; lecz przyrzeknij mi, że jeżeli nie zostaniesz zabity tej nocy, jutro wyjedziesz.

— Przyrzekam.

— Czy potrzebujesz pieniędzy?

— Chyba że nie, mam pięćdziesiąt pistoli. Tyle, ile mi właśnie potrzeba.

— A twoi towarzysze?

— Myślę, że im także nie zbywa. Każdy z nas wyjeżdżając z Paryża, miał w kieszeni po siedemdziesiąt pięć pistoli.

— Czy zobaczę cię jeszcze przed wyjazdem?

— Pewnie już nie, chybaży zaszło coś nowego...

— Zatem szczęśliwej drogi!

— Dziękuję panu.

I pożegnał pana de Tréville więcej wzruszony niż kiedykolwiek jego prawdziwie ojcowską pieczołowitością dla muszkietierów.

Zaszedł jeszcze do Atosa, Portosa i Aramisa. Żaden z nich nie powrócił. Służących także nie było i nic nie wiadano ani o jednych, ani o drugich.

Mógłby wprowadzić dowiedzieć się czegoś od ich kochanek, lecz nie znalazł damy Portosa, a tym bardziej Aramisa; Atos zaś nie miał jej wcale.

Mijając koszarę gwardyjskie, zajął do stajni — trzy konie były już na miejscu.

²⁶⁰ Dalila — kochanka biblijnego Samsona, która, przekupiona przez wrogów, podstępem obcięła mu włosy, a tym samym pozbawiła siły. [przypis edytorski]

Planchet, osłupiały, czyścił je zgrzeblem²⁶¹.

— A! Panie — odezwał się Planchet, zobaczywszy d'Artagnana — jakże się cieszę, że pana zobaczyłem!

— A to dlaczego, Planchetku?... — zagadnął młodzieniec.

— Czy pan dowierza naszemu gospodarzowi, panu Bonacieux?

— Ja? Ani odrobinę.

— O! To bardzo dobrze!...

— Ale skąd to pytanie?

— Skąd? Że kiedy pan z nim rozmawiał, ja się przypatrywałem, nie podsłuchując, broń Boże. O! Panie, twarz mu się mieniła okropnie...

— Doprawdy!

— Pan był zajęty odebraniem listu i nie zwrócił na to uwagi, lecz ja, któremu dziwne przedostanie się tego listu do nas dało do myślenia, ja nie straciłem ani jednej z jego min.

— Jakież to były miny?

— Zdradzieckie, proszę pana.

— Doprawdy?

— Co więcej, skoro tylko pan się z nim pożegnał i zniknął na zakręcie ulicy, on także porwał kapelusz, zamknął drzwi na klucz i popędził w przeciwną stronę.

— Masz słuszość, Planchecie, to bardzo podejrzanie wygląda, ale nie lękaj się, nie zapłacimy komornego, dopóki wszystko nie wyjaśni się należycie.

— Pan żartuje teraz, a zobaczy pan...

— Cóż ty chcesz; to, co zapisano tam w górze, musi się spełnić!

— Więc pan nie zrzeka się dzisiejszej przejażdżki wieczornej?

— Przeciwnie, im więcej mam na pieńku z panem Bonacieux, tym usilniej pragnę stawić się na schadzce, jaką mi oznaczył list, który cię o taki niepokój przyprawił.

— Ha, kiedy pan tak chce...

— Nieodwołalnie, mój miły, bądź zatem tutaj w pogotowiu; o dziesiątej zajdę po ciebie.

Widząc, że nie ma sposobu powstrzymać pana od zamierzonego projektu, Planchet westchnął głęboko i zaczął z całych sił skrobać zgrzeblem trzeciego konia.

D'Artagnan zaś, jako chłopiec nader przezorny, udał się na obiad do owego księdza gaskońskiego, który onego czasu, kiedy trzech przyjaciół przechodzili ciężkie chwile, pożywił ich na śniadanie czekoladą.

ROZDZIAŁ XXIV. PAWILON

O dziewiątej d'Artagnan był już w koszarach gwardii; Plancheta zastał gotowego. Czwarty koń już przybył.

Planchet był uzbrojony w muszkiet i pistolet.

D'Artagnan miał szpadę i dwa pistolety zatknięte za pas.

Każdy dosiadł konia i wymknęli się po cichu.

Noc już zapadła, nikt ich wyjeżdżających nie widział.

Planchet pozostał z tyłu i o dziesięć kroków podążał za panem.

Przebyli w poprzek bulwary i przez bramę de la Conférence wydostali się na drogę prowadzącą do Saint-Cloud, o wiele piękniejszą niż dzisiaj.

W mieście Planchet trzymał się w przyzwoitej odległości, którą sobie nakazał; lecz w miarę, jak droga zaczynała być pusta i głucha, pomaleńku zaczął się zbliżać, tak że gdy wjechali do Lasku Bulońskiego²⁶², znalazł się przy boku swego pana.

Trudno nam zataić, co prawda, iż kołysanie się drzew olbrzymich, łamanie się światła księżycowego w gęstych i ciemnych zaroślach wprawiało go w niemały niepokój.

D'Artagnan spostrzegł to, że coś dziwnego dzieje się z jego pacholkiem.

— A co?... Mości Planchecie — zapytał — co się dzieje z tobą?

— Czy pan nie uważa, iż te drzewa podobne są do ogromnych kościołów?

— A to dlaczego?

²⁶¹zgrzebło — szczotka przeznaczona do oczyszczania sierści zwierząt. [przypis edytorski]

²⁶²Lasek Buloński — park położony w 16. dzielnicy Paryża, dawniej słynny z pojedynków. [przypis edytorski]

— Bo pod ich sklepieniem, jak i w kościele, człowiek nie ma śmiałości odezwać się głośno.

— Czy dlatego, że strach cię przejmuję, Planchecie?

— Tak, panie, strach, aby ktoś nie usłyszał.

— Czemu? Rozmowa nasza jest przecie pobożna, drogi Planchecie, nikt by jej nie mógł nic zarzucić.

— A! Panie! — odrzekł Planchet, powracając do swej myśli zasadniczej. — Ten Bonacieux ma coś ponurego w oczach i wstrętnego w poruszeniu ust!

— Co cię zmusza, u diabła, myśleć o panu Bonacieux?

— Panie, człowiek nie myśli o tym, o czym chce, ale o tym, o czym musi!

— E! Tchórz z ciebie, Planchetku.

— Panie, nie trzeba mieszać przezorności z tchórzostwem; przezorność jest cnotą.

— A ty cnotliwy jesteś, wszak tak, Planchecie?

— O! Panie, czy to nie lufa muszkietu błysnęła tam w dali? Może byśmy głowy schylili?

— Doprawdy... — mruknął d'Artagnan, przypominając sobie przestrogi pana de Tréville — doprawdy, to bydlę i mnie w końcu nabawi strachu.

I puścił konia klusem.

Planchet uczynił to samo i jak cień swego pana klusował tuż przy nim.

— Czy całą noc będziemy tak jechać? — zapytał.

— Nie, Planchecie, bo ty już jesteś na miejscu.

— Ja? Już na miejscu? A pan?...

— Ja pójdę jeszcze kilka kroków dalej.

— I pan zostawi mnie samego zupełnie?

— Boisz się, Planchecie?

— Nie, lecz zwracam pańską uwagę, że zanosi się na bardzo zimną noc. Chłody nabawiają reumatyzmu, a służący, który cierpi na tę chorobę, jest do niczego, zwłaszcza dla tak prędkiego pana.

— Dobrze!... Jeżeli ci zimno, zajedziesz do jednej z tych karczem, które tam widzisz, i jutro o szóstej rano czekaj na mnie przed bramą.

— Proszę pana, przepiłem i przejadłem uczciwie talara, którego mi dziś rano dałeś; nie mam więc nawet podłego su na wypadek zziębnięcia.

— Masz tu pół pistola. Bywaj zdrow, do jutra.

I zeskoczył z konia, cugle rzucił Planchetowi i owinąwszy się płaszczem, szybko się oddalił.

— Boże, jakże mi zimno! — zawołał Planchet, skoro tylko stracił z oczu swego pana; a ponieważ pilno mu było się rozgrzać, zapukał czym prędzej do drzwi domu zdobnego we wszelkie pozory podmiejskiej karczmy.

D'Artagnan, który skierował się poprzeczną ścieżką, siedł dopóty, dopóki nie dotarł do Saint-Cloud.

Zamiast jednak trzymać się głównego traktu, zaszedł od tyłu pałacu, zapuścił się w bardzo ustronny zaułek i znalazł się wkrótce wprost oznaczonego pawilonu.

Było to miejsce zupełnie puste. Wielki mur, w którego rogu stał pawilon, stanowił jeden bok uliczki, a z drugiego boku żywopłot dzielił ją od ogródka, w którego głębi stała mizerna chałupka.

D'Artagnan stawiał się na schadzke, ponieważ jednak nie wskazano mu umówionego znaku, którym oznajmiłby swoją obecność, więc czekał.

Cisza panowała wokoło, sądzić mógł, iż go sto mil przedziela od stolicy.

Oparł się o płot plecami, bacznie wypierw obejrzawszy się poza siebie.

Za płotem, ogrodem i chałupką szare i nieprzejrane mgły otaczały swymi zwojami tę bezmierną przestrzeń, w której zasypiał Paryż, tę otchłań rozwartą, bezbrzeżną, gdzie połyskiwało kilka światełek jak gwiazdy.

W oczach d'Artagnana jednak wszystko przybierało kształty rozkoszne, każda myśl śmiała się do niego, ciemności nieprzebite stawały się przezroczyste.

Istotnie, po upływie kilku chwil na wieży Saint-Cloud odwieczny dzwon wyrzucił ze swej ryczącej paszczy dziesięć powolnych uderzeń.

Kondycja ludzka

Tchórzostwo, Cnota

Sługa, Pan, Choroba

Dźwięk

Głos spiżu²⁶³ zabrzmiał grobowym jękiem, który się rozplynął w ciemnościach nocy. Każde z tych uderzeń jednakże, tworząc godzinę tak upragnioną, cudowną harmonią dźwięczało w sercu młodzieńca.

Oczy miał utkwione w stojący w narożniku muru pawilonik, którego wszystkie okna były przysłonięte okiennicami, z wyjątkiem jednego na pierwszym piętrze.

Z okna tego dobywało się łagodne światło srebrzące korony kilku razem stojących lip.

Z pewnością poza tymi szybami, tak mile jaśniejącymi, oczekuje go piękna pani Bonacieux.

Kołysany tą myślą pełną słodyczy, z całą cierpliwością czekał jeszcze pół godziny z wzrokiem utkwionym w to rozkoszne mieszkanko, gdzie dostrzegał część sufitu o listewkach złożonych, znamionujących elegancję, i reszty pokoju.

Dzwon zegara wieżowego wybił wpół do jedenastej.

Tym razem odgłos ten nie wiadomo dlaczego przejął go zimnym dreszczem. Może przenikał go chłód i wrażenie czysto fizyczne przypisał uczuciom moralnym.

Potem zaczął przypuszczać, iż może źle przeczytał, że schadzka może była oznaczona na jedenastą. Podszedł do okna, stanął w promieniu światła, dobył list z kieszeni i jeszcze raz przebiegł go oczami.

Nie omylił się bynajmniej — oznaczona była godzina dziesiąta. Powrócił na stanowisko poprzednie; milczenie to i samotność poczynają go niepokoić.

Wybiła jedenasta.

Strach go przejął nie na żarty, czy pani Bonacieux nie wydarzyło się coś złego.

Klasnął po trzykroć w dłoń, jak zwykle dają sobie znaki zakochani, lecz nikt mu nie odpowiedział.

Nawet echo milczało.

Wtedy pomyślał ze złością, że może młoda kobieta, oczekując na niego, usnęła.

Podszedł do muru i usiłował się nań wdrapać, lecz tynk był świeży i gładki.

Daremnie połamał sobie paznokcie.

Naraz zwrócił uwagę na drzewa, wciąż srebrzone światłem, a ponieważ jedno z nich wyciągało ku drodze konary, pomyślał, że spośród nich mógłby łatwo zapuścić wzrok do wnętrza pawilonu.

Drzewo było do tego podatne. Zresztą d'Artagnan miał lat dwadzieścia zaledwie, nie zapomniał więc jeszcze ćwiczeń szkolnych.

W mgnieniu oka znalazł się pośród gałęzi i przez przejrzyste szyby zagłębił wzrok do wnętrza pokoju.

Zgroza przejęła go dreszczem od stóp do głowy.

Łagodne światło z przyćmionej lampy oświetlało scenę przerażającego nieładu.

Jedna z szyb była stłuczona, drzwi pokoju wysadzone i na pół złamane wisiały na zawiasie; stół, który widocznie był zastawiony wytworną kolacją, leżał na ziemi; karafki w kawałkach, zdeptane owoce zalegały posadzkę; wszystko w tym pokoju świadczyło o gwałtownej i rozpaczliwej walce.

Zdało mu się nawet, że w tym dziwnym nieładzie odróżnia strzępy ubrania i krwawe plamy na obrusie i frankach.

Z pośpiechem zsunął się na ziemię ze strasznie bijącym sercem, chcąc się przekonać, czy nie znajdzie jeszcze innych śladów niecnego gwałtu.

A w ciszy nocnej wciąż błyszczało spokojne i łagodne światło.

Wtedy d'Artagnan spostrzegł, czego nie zauważył poprzednio, że ziemia, wydeptana i miejscami rozrzucona, miała na sobie ślady ludzkich stóp i kopyt końskich. Koła powozu, przybyłego widocznie od strony Paryża, wyłobily na pulchnej ziemi głęboką bruzdę równoległą z pawilonem, zataczając ją z powrotem ku miastu.

Szukając dalej, znalazł przy murze podartą rękawiczkę kobiecą.

Była to jedna z tych wonnych rękawiczek, za jakimi przepadają kochankowie, gdy mogą je zerwać z pięknej, ukochanej rączki.

Zimny pot kroplisty oblewał mu czoło, boleść okrutna ścisnęła serce, oddech stawał się szybki; a jednak dla własnego uspokojenia powtarzał sobie, iż ten pawilon niekoniecznie musi mieć łączność z panią Bonacieux, że ona oznaczyła mu schadzkę przed pawi-

²⁶³spiż — stop miedzi, cynku i cyny. [przypis edytorski]

lonem, a nie w pawilonie, i służba, a prawdopodobnie zazdrość małżonka, zatrzymały ją w Paryżu.

Jednak te wszystkie rozumowania zostały zdruzgotane, zniweczone uczuciem niewytłumaczonego bólu, który w pewnych chwilach życia opanowuje całą naszą istotę i woła nam w duszy, i tętni w uszach ponurym głosem, że wielkie nieszczęście nad nami krąży.

Wtedy ogarnęło go szaleństwo. Pobiegł drogą, skąd przybył, i dotarłszy do promu, wypytał przewoźnika.

Ten mu powiedział, że około siódmej wieczorem przeprowił przez rzekę kobietę zakrytą czarnym płaszczem tak, jak gdyby zależało jej na tym niezmiennie, aby nie była poznana; i właśnie z powodu tych ostrożności tym większą zwracał na nią uwagę i przekonał się, że jest młoda i piękna.

W owych czasach dużo młodych i ładnych kobiet, starając się nie być poznanymi, przybywało do Saint-Cloud, jednakże d'Artagnan nie wątpił ani na chwilę, że to była pani Bonacieux.

Korzystając ze światła lampki migocącej w chatce przewoźnika, raz jeszcze odczytał bilecik pięknej Konstancji, aby upewnić się, że nie jest w błędzie, że w Saint-Cloud, a nie gdzie indziej oznaczona była schadzka, przed pawilonem pana d'Estrées, a nie na żadnej innej ulicy.

Wszystko tak się składało, aby mu dowieść, że przeczucia jego nie były mylne.

Co tchu w piersiach wrócił do zamku. Zdawało mu się, że pod jego nieobecność coś nowego mogło zajść w pawilonie i że nastąpi jakieś wyjaśnienie.

W uliczce ta sama pustka, to samo łagodne i spokojne światło rozlewało się z jedynego okna.

Wtedy przyszło mu na myśl, że ta niema rudera widziała coś niezawodnie, a może powiedzieć by także była w stanie.

Drzwi ogrodu były zamknięte, przesadził więc płot i pomimo ujadania psa na łańcuchu zbliżył się do chaty.

Zrazu nikt nie odpowiedział na pukanie. Milczenie grobowe panowało w chatce, jak i w pawilonie; lecz gdy zaczął się do niej dobijać, posłyszał lekki szelest wewnątrz, tak lękliwy, jakby obawiał się zdradzić.

Przestał się więc dobijać, prosił z wyrazem takiego niepokoju, przerażenia i zarazem pieszczoty w głosie, że był w stanie natchnąć ufnością nawet największego tchórza.

Nareszcie uchyliła się stara, spróchniała okiennica i zamknęła natychmiast, gdy tylko światło dymiącej lampki palącej się w kącie oświeciło szarfę, rękojeść szpady i kolby pistoletów d'Artagnana.

Jakkolwiek stało się to nader szybko, miał jednak czas dostrzec siwą głowę starca.

— Na imię boskie! Zaklinam was — zawołał — wysłuchajcie mnie! Czekalem tu na kogoś i doczekać się nie mogę, umieram z niepokoju. Miałożby się tu wydarzyć jakieś nieszczęście? Powiedzcie.

Okno otworzyło się powoli i znowu ta sama twarz się ukazała; lecz bledsza jeszcze niż za pierwszym razem.

D'Artagnan prostodusznie, nieledwie z imienia, opowiedział swoją historię; jak przed tym pawilonem miał schadzkę z młodą kobietą i jak nie mogąc się jej doczekać, wdrapał się na lipę, a stamtąd przy świetle lampy ujrzał poprzewracane sprzęty w pokoju.

Starzec wysłuchał go z uwagą, potakując, a gdy d'Artagnan skończył, potrząsnął głową z miną złowrobną.

— Cóż to ma znaczyć? — zawołał d'Artagnan. — Na Boga, błagam cię, tłumacz się jaśniej.

— O! Panie — odezwał się starzec — o nic mnie nie pytaj; bo gdybym opowiedział ci, co widziałem, nie wyszłoby mi na dobre z pewnością.

— Więc widziałeś? — podchwycił d'Artagnan. — W takim razie zaklinam cię! — ciągnął dalej, kładąc mu pistola. — Powiedz mi, powiedz, coś widział, a słowo szlacheckie ci daję, że ani słówka jednego nie uronię z mojego serca.

Tyle szczerości i bólu wyrzyło się na twarzy d'Artagnana, że starzec skinął na znak, iż zacznie mówić, i odezwał się cichym głosem:

— Blisko dziewiętej było, gdy usłyszałem turkot na ulicy, a pragnąc dowiedzieć się, co by to mogło być, podszedłem do moich drzwi i poznałem, że ktoś usiłuje wejść. Po-

Rozpacz

nieważ jestem ubogi i nie lękam się złodziei, otworzyłem drzwi do chaty i ujrzałem trzech mężczyzn stojących w pobliżu. Za nimi tuż w cieniu stała dwukonna karetą i konie wierzchowe. Należały one niechybnie do trzech mężczyzn, którzy przyjechali wierzchem.

— A! Łaskawi panowie — zawołałem — czego żądacie?

— Musisz mieć drabinę? — odezwał się do mnie ten, który wyglądał na przywódcę eskorty.

— Mam, panie, do zbierania owoców.

— Daj ją nam i wracaj do siebie, masz za fatygę talara; pamiętaj tylko, że jeśli słówko choć piśniesz, co będziesz widział i słyszał, gdyż jestem pewny, że będziesz patrzeć i słuchać pomimo naszych gróźb, zginiesz niechybnie.

To mówiąc, rzucił mi talara i zabrał drabinę.

Rozumie się, że zamknąwszy za nim furtkę, udałem, iż wracam do domu. Wyszedłem jednak tylnymi drzwiami i przemknąwszy w ciemnościach, dostałem się do tej gęstwiny bżów, spośród której niewidziany mogłem się wszystkiemu należycie przypatrzeć.

Trzej panowie rozkazali powozowi podjechać cichutko, wywlekli z niego małego, grubego, kusego, siwawego człowieka, ciemno i nędznie odzianego, który z ostrożnością wszedł na drabinę, ponurym wejrzeniem ogarnął wnętrze pokoju, zeszedł powoli i mruknął stłumionym głosem:

— Ona!

Po czym ten, który przemawiał do mnie, otworzył drzwi pawilonu kluczem, zamknął je za sobą i zniknął; jednocześnie dwóch innych weszło na drabinę.

Gruby staruszek stanął przy drzwiczkach karety, stangret²⁶⁴ trzymał lejce, a lokaj konie za uzdy.

Naraz przeraźliwy krzyk rozległ się w pawilonie.

Jakaś kobieta przyskoczyła do okna, otworzyła je, jak gdyby chciała rzucić się z niego. Lecz gdy spostrzegła dwóch mężczyzn, odskoczyła w tył; ci rzucili się za nią do pokoju.

Wtedy nic już nie widziałem, lecz słyszałem trzask łamanych sprzętów. Kobieta krzyczała i wołała ratunku. Lecz wkrótce wszystko ucichło; trzech mężczyzn zbliżyli się do okna, unosząc na rękach kobietę; dwóch z nich zeszło po drabinie. Umieścili kobietę w karecie, a przy niej siadł staruszek; ten, który wprzód pozostał w pawilonie, zamknął okno i po chwili wyszedł drzwiami, i z uwagą popatrzył, czy rzeczywiście kobieta znajduje się w karecie. Jego dwaj towarzysze czekali nań, siedząc już na koniach, i on też zaraz wskoczył na siodło. Służący usadowił się przy woźnicy. Karetą, eskortowaną przez trzech jeźdźców, popędziła cwałem i wszystko się skończyło. Od tej chwili nic już nie widziałem ani nie słyszałem.

Zgnębiony tą straszną nowiną d'Artagnan oniemiał i zdrtwiał, a całe piekło gniewu i zazdrości targało mu serce.

— Lecz, wielmożny panie — ciągnął dalej starzec, na którym ta niema rozpacz sprawiła większe wrażenie niż krzyki i płacze — nie martw się tak bardzo, nie zabili ci jej, to najważniejsze.

— Nie wiesz, kto był przywódcą tej piekielnej wyprawy?

— Nie znam go wcale.

— Lecz mogłeś mu się przyjrzeć, skoro mówił do ciebie.

— A! To pan chce wiedzieć, jak wyglądał z twarzy?

— Tak.

— Wysoki, suchy, opalony, wąsy czarne, oczy czarne, postawa pańska.

— To on! I znowu on!... — wykrzyknął d'Artagnan. — To zły duch mój, widocznie!

A ten drugi?

— Który?

— Ten mały.

— O! To, ręczyć mogę, nie żaden pan. Nie miał nawet szpady, a tamci traktowali go per noga²⁶⁵.

— Jakiś lokaj — mruknął d'Artagnan. — A! Biedna, nieszczęśliwa kobieta! Co oni z nią zrobili?

²⁶⁴stangret — służący powożący końmi w bryczce, karecie. [przypis edytorski]

²⁶⁵traktować kogoś per noga — lekceważyć. [przypis edytorski]

— Przrzekł mi pan zachować tajemnicę — odezwał się staruszek.

— Bądź spokojny, przrzekam ci raz jeszcze, jestem szlachcicem, słowo szlacheckie nad wszystko waży, a ja ci je daję.

D'Artagnan ze zranioną duszą powlókł się do promu.

Chwilami nie chciał wierzyć, aby to była pani Bonacieux, i nadzieja wstępowała mu w serce, że jutro w Luwrze odnajdzie ją.

To znowu przerażająca myśl go gnębiła, czy to nie intryga miłosna, czy nie zazdrośnik jakiś zaszedłszy ją, kazał porwać.

Błąkał się w domysłach, dręczył, rozpaczał.

— O! Gdyby byli moi przyjaciele! — zawołał z głębi duszy. — Miałbym chociaż nadzieję odnalezienia jej. Lecz kto wie, co tu z nimi się dzieje?

Północ już się zbliżała; trzeba było odnaleźć Plancheta.

Zaglądał kolejno do wszystkich karczem, w jakich się świeciło, ale w żadnej go nie zastał.

Gdy zaszedł do szóstej, przyszło mu na myśl, iż poszukiwania te mogą być bez skutku, gdyż kazał mu czekać na siebie o szóstej z rana dopiero, a teraz miał wszelkie prawo znajdować się, gdzie chciał.

Zresztą i to mu przyszło do głowy, że jeśli pozostanie bliżej miejsca porwania, prędzej pochwyti nitkę tego tajemniczego węża.

Otóż w szóstej karczmie, jak mówiliśmy, d'Artagnan zatrzymał się, zażądał butelki wina przedniego gatunku, wsparł się na łokciach w najciemniejszym kącie stołu i postanowił przeczekać do dnia.

Lecz i tym razem jego nadzieje okazały się płonne.

Chociaż słuch wyteżał pilnie wśród przekleństw, rozpustnych piosenek i wymysłów, jakimi obsypywali się robotnicy, pacholkiwie i furmani²⁶⁶ tworzący to zaszczytne towarzystwo, do którego i on należał mimowolnie, nie usłyszał nic takiego, co by mogło go naprowadzić na ślad ukochanej kobiety.

Wysączywszy z nudów butelkę, aby nie obudzić podejrzeń, rad nierad umieścił się, jak mógł, w swym kącie, aby jako tako się przespać.

Nie zapominajmy, iż d'Artagnan liczył lat dwadzieścia i że w tym wieku sen ma swoje niezwalczone prawa, których domaga się gwałtownie nawet od serc najbardziej zrozpaczonych.

Nad ranem około szóstej przebudził się znużony, co zwykle bywa po źle spędzonej nocy. Niewiele czasu zabrało mu ubranie.

Pomacał kieszenie, żeby sprawdzić, czy nie skorzystano z jego snu, aby go okraść, a znalazłszy trzos na miejscu i pistolety za pasem, wstał, zapłacił za wino i wyszedł w nadziei, że z rana uda mu się prędzej odnaleźć pacholka.

Rzeczywiście, najpierwszą osobą, która mu wpadła w oczy przez szarawe mgły poranka, był czcigodny Planchet, czekający nań przed bramą małej, pochyłej karczemki, którą d'Artagnan pominął w nocnych poszukiwaniach.

Planchet trzymał za uzdę dwa konie.

ROZDZIAŁ XXV. PORTOS

D'Artagnan, zamiast powrócić wprost do siebie, zsiadł z konia przed bramą pana de Tréville i wbiegł szybko na schody.

Tym razem postanowił opowiedzieć o wszystkim, co zaszło.

Pan de Tréville bez wątpienia nie poskąpi mu dobrych rad w tej sprawie, a widując się codziennie z królową, może będzie mógł zasięgnąć od niej wiadomości o nieszczęśliwej kobiecie, której z pewnością kazano drogo zapłacić za przywiązanie do jej pani.

Pan de Tréville wysłuchał opowiadania młodzieńca z powagą świadczącą, iż w całej tej sprawie widział coś więcej niż samą przygodę miłosną, a gdy d'Artagnan skończył nareszcie, wyrzekł:

— Hm!... Wszystko to o miłą czuć Jego Eminencją.

— Lecz co tu robić? — zapytał d'Artagnan.

²⁶⁶ *furman* — woźnica; osoba kierująca końmi zaprzężonymi do wozu, bryczki itp. [przypis edytorski]

— Nic, nic zgola, jak na teraz tylko opuścić Paryż, jak ci to już mówiłem, i to jak można najprędzej. Zobaczą się z królową, opowiem jej szczegóły zniknięcia tej biednej kobiety, które posłużą za wskazówkę, a za twoim powrotem może będę miał dla ciebie lepszą nowinę. Zaufaj mi.

D'Artagnan wiedział, że pan de Tréville, choć był Gaskończykiem, nie czynił próżnych obietnic, a zawsze więcej robił, aniżeli przyrzekał.

Więc pełen wdzięczności za przeszłą i przyszłą opiekę, d'Artagnan pożegnał go, a zacny dowódca, który czuł żywą sympatię dla odważnego i śmiałego młodzieńca, serdecznie uściskał mu rękę, życząc szczęśliwej podróży.

Gotów wprowadzić w czyn rady pana de Tréville, poszedł od razu do swego mieszkania, aby spakować tłumoczek²⁶⁷ podróżny.

W pobliżu domu spostrzegł pana Bonacieux stojącego w ubraniu rannym na progu swego domostwa.

Przyszło mu na myśl wszystko, co przezorny Planchet mówił mu o złowrogich minach gospodarza, i począł mu się przypatrywać z większą niż dotąd uwagą.

W istocie, pominąwszy żółtawą i chorobliwą bladłość dowodzącą ulania żółci, co mogło być wreszcie przypadkowe, d'Artagnan dostrzegł coś ponuro-przewrotnego w zmarszczkach jego oblicza.

Oszust nie tak się śmieje jak człowiek uczciwy, innymi łzami płacze obłudnik, a innymi człowiek dobrej wiary. Każdy fałsz jest maską i choćby najbardziej artystycznie była zrobiona, zawsze można ją odróżnić od szczerzej twarzy.

D'Artagnanowi zdało się więc, że pan Bonacieux nosi maskę, i to jedną z najwstrętniejszych pod słońcem.

Wskutek tych spostrzeżeń, przejęty odrazą dla tego człowieka, chciał przejść, nawet nie odezwawszy się do niego, gdy Bonacieux, tak samo jak poprzedniego dnia, zaczął go pierwszy.

— Cóż to! Młodzieńcze — przemówił doń — widocznie hulamy sobie po nocy? Siódma godzina rano!... A pan, widzę, zmieniasz porządek rzeczy, powracasz wtedy, gdy inni wychodzą.

— Pan nie zasługujesz na taką wymówkę, mości Bonacieux — odrzekł d'Artagnan — jesteś wzorem porządnym ludzi. Co prawda, gdy się ma ładną żonkę, nie potrzeba uganiać się za szczęściem, ono samo przychodzi; wszak prawda, panie Bonacieux?

Ten zbłądził jak śmierć i wykrzywił usta uśmiechem.

— O! O!... — odezwał się Bonacieux. — Dowcipniś z pana. Lecz gdzież to, u diabła, włóczyłeś się tak po nocy, mój młody panie? Widocznie manowce²⁶⁸ były niezbyt wygodne.

D'Artagnan spojrział na swoje strasznie zabłocone buty, lecz jednocześnie przeniósł wzrok na trzewiki i pończochy kramarza. Rzecz by można, że je ktoś w tej samej kałuży unurzał; jedno i drugie nosiły na sobie ten sam kolor błota.

Nagła myśl strzeliła do głowy d'Artagnana.

Ów mały, gruby, siwiejący człowiek, tak jakby lokaj, ciemno ubrany, lekceważony przez ludzi noszących szpady, to musiał być Bonacieux we własnej osobie. Mąż przewodniczył porwaniu małżonki.

Szalona ochota wzięła d'Artagnana, aby porwać kramarza za gardło i zdusić go na miejscu, lecz, mówiliśmy już, był on chłopcem nader roztropnym, więc się powstrzymał.

Jednakże twarz tak mu się dziwnie zmieniła, że Bonacieux przeraził się wielce i chciał się chyłkiem od niego wymknąć; ponieważ wszakże stał na wprost połowy drzwi, która była zamknięta, rad nieraż musiał pozostać na miejscu.

— A!... Mój łaskawco, żarty ze mnie stroisz — rzekł d'Artagnan — ale zdaje mi się, że jeżeli moje buty potrzebują gąbki, tym bardziej twoje trzewiki i pończochy aż proszą o oczyszczenie. Miałżebyś i pan także, mości Bonacieux, szastać²⁶⁹ się po nocy?... Do licha!... Byłoby to nie do darowania człowiekowi w twym wieku, tym bardziej tobie, co masz ładną i młodą żonkę.

Kłamstwo, Łzy, Fałsz,
Maska

Żona, Uroda, Szczęście

²⁶⁷tłumoczek — worek. [przypis edytorski]

²⁶⁸manowce — kręte, błędne drogi; bezdroża. [przypis edytorski]

²⁶⁹szastać się — odwiedzać różne miejsca. [przypis edytorski]

— O!... Uchowaj mnie Boże — odparł Bonacieux — ale wczoraj byłem aż w Saint-Mandé, aby się wywiedzieć o służącą, bez której nie mogę się obejść, a ponieważ miałem złą drogę, zabłądziłem się tak okropnie i nie miałem jeszcze czasu oczyścić ubrania.

Wspomniane przez Bonacieux miejsce wycieczki stało się nowym dowodem popierającym podejrzenia d'Artagnana.

Powiedział, że był w Saint-Mandé, dlatego tylko, że znajdowało się ono w stronie wprost przeciwnej niż Saint-Cloud.

Przypuszczenie to było pierwszą pociechą w tym razie. Jeżeli Bonacieux wiedział, gdzie jest jego żona, można było, używszy nadzwyczajnych środków, zmusić kramarza do rozwiązania języka, można było wyrwać z niego tajemnicę. Należało tylko przypuszczenie to zamienić w pewność.

— Wybacz mi, drogi panie Bonacieux, że pozwalam sobie być z tobą bez ceremonii, lecz nic tak nie pobudza pragnienia jak bezsenność, szalenie chce mi się pić. Pozwól mi napić się u siebie wody, wszak to sąsiadowi uchodzi.

I nie czekając na przyzwolenie, wpadł do pokoju gospodarza i spojrzał nieznacznie na łóżko.

Stało nietknięte. Bonacieux nie kładł się tej nocy.

Wrócił więc do domu niedawno. Towarzyszył zatem żonie do miejsca, dokąd ją miano zawieźć, lub przynajmniej do pierwszej stacji.

— Dzięki, mości Bonacieux — rzekł d'Artagnan, wychylając szklankę wody — to wszystko, czego żądałem od ciebie. Teraz idę do siebie, każę Planchetowi oczyścić buty, a gdy się z nimi załatwi, przyślę go tutaj, jeżeli zechcesz, aby wyszczotkował i twoje trzewiki.

I zostawił kramarza osłupiałego tym pożegnaniem i zadającego sobie pytanie, czy wypadkiem nie pokpił sam własnej sprawy.

Na schodach d'Artagnan spotkał Plancheta bardzo pomieszanego.

— O! Panie!... — zawołał, ujrawszy d'Artagnana. — Nie mogłem doczekać się pana, znów coś nowego mamy!...

— Cóż tam znowu?... — pytał d'Artagnan.

— O, założyłbym się o sto tysięcy, że pan nie zgadnie, jaką miałem wizytę podczas pańskiej nieobecności.

— Kiedyż to było?

— Pół godziny temu, kiedy pan był u pana de Tréville.

— I któż to był taki?... Mówże!...

— Pan de Cavois.

— Pan de Cavois?

— We własnej osobie.

— Dowódca gwardii Jego Eminencji?

— On sam.

— Przyszedł mnie aresztować?

— Ja tak samo przypuszczam, proszę pana, pomimo że miał układną²⁷⁰ minę.

— Mówisz, że miał taką minę?

— Słodki był jak miód.

— Doprawdy?...

— Powiedział, że przychodzi od Jego Eminencji, który bardzo panu sprzyja, i chce zabrać pana ze sobą do Palais-Royal²⁷¹.

— A cóżeś mu odpowiedział?...

— Że to niepodobna, bo pana nie ma w domu, jak sam to mógł widzieć.

— Cóż on na to?

— Mówił, żeby pan nie omieszkał dziś jeszcze zejść do niego, a potem dodał cichutko: „Powiedz twemu panu, że Jego Eminencja jest dobrze usposobiony do niego i że prawdopodobnie jego los zależy od widzenia się z kardynałem”.

— Jak na kardynała, to niezbyt zręczne sidła... — odrzekł młodzieniec z uśmiechem.

²⁷⁰układny — bardzo uprzejmy, niekiedy przesadnie. [przypis edytorski]

²⁷¹Palais-Royal — pałac w centrum Paryża, 150 m na północ od Luwru, wybudowany XVII w. dla kardynała Richelieu; niekiedy nazywany także Palais-Cardinal. [przypis edytorski]

— Ja też, widząc w tym zasadzkę, odpowiedziałem, że pan będzie niepokieszony po swoim powrocie.

— Dokądże pojechał? — zapytał pan de Cavois.

— Do Troyes w Szampanii²⁷² — odrzekłem.

— Kiedy wyjechał?

— Wczoraj wieczorem.

— Planchetku mój miły — przerwał mu d'Artagnan — prawdziwie nieoceniony z ciebie człowiek.

— Pojmuje pan, pomyślałem sobie, że w razie gdyby pan chciał widzieć się z panem de Cavois, mam zawsze czas odwołać swoje słowa i powiedzieć, że pan nie wyjeżdżał; w takim razie kłamcą byłbym ja, a ponieważ nie jestem szlachcicem, wolno mi zatem kłamać.

— Uspokój się, nie stracisz opinii człowieka prawdomównego, za kwadrans wyjeżdżamy.

— I ja to chciałem panu poradzić. A dokąd jedziemy, jeżeli wolno zapytać?

— W stronę przeciwną tej, którą wymienileś. Czy ci zresztą nie pilno dowiedzieć się czegoś o Grimaudzie, Mousquetonie i Bazinie, tak jak mnie o Atosie, Portosie i Aramisie?

— Zapewne, proszę pana, i pojedę, dokąd mi rozkażesz; powietrze na prowincji, jak mi się zdaje, będzie dla nas zdrowsze niż powietrze paryskie.

— Więc spakuj rzeczy i jedźmy. Ja wyruszam naprzód z rękami w kieszeniach, żeby nie domyślano się niczego. Ty podążysz za mną do koszar gwardyjskich. Ale, Planchecie, miałeś rację co do naszego gospodarza, to straszny szubrawiec²⁷³.

— O! Panie, skoro ja mówię, to niech mi pan wierzy; ja się znam na ludziach!... Ho! Ho!

Zgodnie z projektem d'Artagnan wyruszył pierwszy i aby nie mieć sobie nic do zarzucenia, zaszedł jeszcze po raz ostatni do mieszkania swoich trzech przyjaciół.

Nie było żadnej wiadomości. Jedynie dla Aramisa zastał list przesycony wonnościami, a pisany drobnutkim i wytwornym charakterem. Zabrał go ze sobą.

W dziesięć minut zjawił się Planchet w stajniach koszar gwardyjskich. Aby nie tracić czasu, d'Artagnan sam już konia swego osiodłał.

— Tak, dobrze — odezwał się do Plancheta, gdy przytroczył mu tłumoczek do siodła. — Teraz siodlaj tamte trzy konie i ruszajmy w drogę.

— Czy dlatego, panie, abyśmy prędzej jechali, chcesz, by każdy z nas miał dwa konie? — zauważył Planchet z przebiegłą miną.

— Niepotrzebne żarty, Planchetku — odrzekł d'Artagnan. — Przy pomocy tych czterech koni będziemy mogli przywieźć naszych trzech przyjaciół, jeżeli odnajdziemy ich jeszcze żywych.

— Doprawdy szczególniejsze byłoby to szczęście — odpowiedział Planchet — a zresztą nie trzeba nigdy tracić nadziei w miłosierdzie Boskie.

— Amen!... — zakończył d'Artagnan, dosiadając konia.

I wyjechali z koszar gwardyjskich, każdy w inną stronę, jeden z nich bowiem przez rogatki de la Villette²⁷⁴, a drugi przez Montmartre²⁷⁵, zjechać się zaś mieli za Saint-Denis.

Ten strategiczny wybieg, wykonany z wszelką ścisłością, został uwieczniony pożądanym skutkiem. Obydwaj wjechali razem do Pierrefitte.

Trzeba przyznać, że Planchet był o wiele odważniejszy we dnie niż w nocy. Pomimo to wrodzona przezorność nie opuszczała go na chwilę; nie zapomniał najmniejszej okoliczności ubocznej z poprzedniej podróży i kogo tylko spotkał, uważał za wroga.

Z tego wynikało, że nieustannie chwytął za kapelusz, czym ściągał na siebie surową naganę ze strony d'Artagnana, który się lękał, aby dzięki tej zbytecznej grzeczności nie wzięto go za chudopacholskiego²⁷⁶ sługę.

²⁷² Szampania — historyczna prowincja w płn.-wsch. Francji, słynna z produkcji win musujących, nazywanych od nazwy tej krainy. [przypis edytorski]

²⁷³ szubrawiec (daw.) — łajdak, łotr, człowiek nieuczciwy. [przypis edytorski]

²⁷⁴ brama de la Villette — jedna z bram Paryża, położona w obszarze La Villette, w 19. dzielnicy; miejsce pozwalające przekroczyć granicę administracyjne miasta. [przypis edytorski]

²⁷⁵ Montmartre — historyczna dzielnica w płn. części Paryża, położona na wzgórzu o tej samej nazwie w 18. dzielnicy miasta. [przypis edytorski]

²⁷⁶ chudopacholski — przym. od chudopacholek: ubogi szlachcic. [przypis edytorski]

Czy przejezdnych wzruszała owa uprzejmość Plancheta, czy też nie było czatów rozstawionych na ich drodze, dość że nasi podróżni dostali się bez najmniejszego wypadku do Chantilly i zatrzymali się w hotelu Grand-Saint-Martin, tam gdzie gościli podczas pierwszej podróży.

Oberżysta, zobaczywszy młodzieńca z pachołkiem prowadzącym dwa luźne konie, wyszedł pełen szacunku na spotkanie.

D'Artagnan, ujechawszy od razu kilkanaście mil, uznał za stosowne wypocząć i dowiedzieć się, czy znajdzie tu jeszcze Portosa.

Zresztą niezbyt roztropnie byłoby pytać od razu, co się stało z muszkietierem. Po namyśle d'Artagnan, o nic nie pytając, zsiadł z konia i polecił go swemu służącemu; wszedł do niewielkiego pokoju przeznaczonego dla tych, co sami być chcieli, i zażądał butelki najlepszego wina oraz śniadania jak można najwykwintniejszego, co spotęgowało jeszcze bardziej dobre pojęcie gospodarza o podróżnym, powzięte z pierwszego wejrzenia.

Obsłużono go z cudowną szybkością.

Do pułku gwardii zaciągnano najpierwszą szlachtę z królestwa, d'Artagnan więc, mający przy sobie służącego i cztery przepyszne konie, nie mógł, pomimo skromnego munduru, nie wywrzeć wrażenia.

Oberżysta sam pragnął mu usłużyć, co d'Artagnan widząc, rozkazał podać dwa kieliszki i rozpoczął następującą rozmowę:

— Na honor, mój drogi gospodarzu — rzekł, napelniając kieliszki — zażądałem najlepszego wina, jakie masz, a jeżeli mnie oszukałeś, sam będziesz ukarany tym, czym zgrzeszyłeś, bo nie cierpię pić sam i musisz mi dotrzymać kompanii. Pijmy zatem! No, dalej! Za czyje zdrowie będziemy pić, aby nie zranić niczyjej miłości własnej? Niechaj będzie za pomyślność twojego zakładu.

— Wasza dostojność czyni mi zaszczyt — odrzekł oberżysta — serdecznie dziękuję za pańskie dobre życzenia.

— Lecz nie chcę wprowadzić cię w błąd i z góry wyznaję, iż więcej w tym jest egoizmu, niż przypuszczasz. Jedynie te zakłady mają powodzenie, w których goście są dobrze przyjmowani. W hotelach, gdzie wszystko bezładnie idzie, podróżny pada ofiarą wad i niedostatków gospodarza. Ja, co dużo podróżuję, szczególnie tą drogą, chciałbym, ażeby wszyscy oberżyści robili majątki.

— Istotnie, zdaje mi się, że nie po raz pierwszy mam szczęście pana oglądać.

— Ba! Przejeżdżałem tędy do Chantilly co najmniej dziesięć razy, a trzy lub cztery zatrzymałem się u pana. Zaraz... byłem tu dziesięć czy dwanaście dni temu, odprowadzałem przyjaciół muszkietierów, a właśnie jeden z nich pokłócił się z jakimś nieznajomym człowiekiem, który, nie wiadomo dlaczego, szukał zaczepki.

— A tak! Prawda, przypominam sobie. Czy nie o panu Portosie Wasza Dostojność chce mówić?

— Tak właśnie nazywa się mój towarzysz podróży. Boże! Drogi gospodarzu, powiedz mi, miałożby spotkać go jakie nieszczęście?

— Wasza Dostojność pamięta zapewne, że nie mógł się puścić w dalszą drogę.

— Rzeczywiście, przyrzekł podążyć za nami i nie widzieliśmy go więcej.

— Zaszczycił nas, pozostając tutaj.

— Jak to? Zrobił wam ten zaszczyt?

— Tak, panie, w tym oto zajeździe; i nawet jesteśmy mocno zaniepokojeni pod pewnymi względami.

— Pod jakimi?

— Pod względem porobionych kosztów.

— Cóż znowu! On je wszystkie zapłaci...

— A! Panie, balsam pociechy wlewasz mi w serce! Dużo już dotąd daliśmy naprzód, a jeszcze dzisiaj felczer²⁷⁷ nam oznajmił, że ponieważ pan Portos nie płaci, będzie poszukiwał należności od nas, bo to ja po niego posyłałem.

— Czyż Portos raniony?

— Nie wiem, jak mam powiedzieć.

— Jak to, nie wiesz pan?... Powinieneś lepiej wiedzieć o tym niż ktokolwiek.

Szantaż, Strach

²⁷⁷felczer — osoba wykonująca proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

— Zapewne, lecz w naszym stanie nie można rozpowiadać wszystkiego, o czym się wie, nade wszystko, gdy nam zastrzeżono, że nasze uszy będą odpowiadać za język.

— A czy ja mogę widzieć się z Portosem?

— I owszem, wejdź pan na piętro, zapukaj do numeru jeden. Proszę tylko oznajmić, że to pan.

— Dlaczego?

— Bo mogłoby pana spotkać nieszczęście.

— Jakie?

— Pan Portos mógłby przypuszczać, że to ktoś z domowników, i w przystępie złości przesyłby pana szpadą lub w łeb palnął, broń Boże!

— Cóżeście mu zawinili?

— Żądaliśmy zapłaty.

— A! Do licha, rozumiem; żądanie podobne on bardzo źle widzi, gdy nie jest przy pieniądzach, lecz o ile wiem, powinien je mieć.

— Takie i nasze było zdanie. A ponieważ w naszym domu panuje porządek i rachunki zamykamy co tydzień, przedstawiliśmy mu spis wydatków, lecz widocznie trafiliśmy na złą chwilę, gdyż za pierwszym słowem odesłał nas do wszystkich diabłów. Co prawda, grał poprzedniego dnia.

— Jak to, z kim?

— A! Mój Boże, a bo ja wiem?... Z jakimś panem przejeżdżnym, któremu zaproponował partię lancknehta²⁷⁸.

— A! Biedak, musiał wszystko przegrać.

— Wszystko, i konia nawet, bo gdy tamten miał się już ku odjazdowi, przekonaliśmy się, że jego lokaj siodłał konia pana Portosa. Zrobiliśmy mu wtedy uwagę, lecz odpowiedzieli nam, że miesza się nie do swoich rzeczy, że nam nic do tego, ponieważ ten koń jest jego własnością. Natychmiast daliśmy znać panu Portosowi o tym, co się dzieje, a on kazał nam odpowiedzieć, że trzeba być błaznami, aby wątpić w słowo szlacheckie, i że skoro tamten szlachcic mówi, że koń należy do niego, to tak musi być i basta.

— Zawsze ten sam — mruknął d'Artagnan.

— Wtedy — mówił dalej gospodarz — kazałem mu powiedzieć, że skoro nie możemy się porozumieć co do zapłaty, nie tracę nadziei, że zechce przynajmniej wyświadczyć łaskę mojemu koledze spod „Złotego Orła” i jemu także da coś zarobić. Ale pan Portos odpowiedział mi, że moja oberża jest najlepsza i życzy sobie w niej pozostać. Odpowiedź ta była dla mnie zbyt pochlebna, więc nie mogłem nalegać, ażeby się wyniósł; poprzestałem tylko na prośbie, aby ustąpił mi swego pokoju, który jest najładniejszy ze wszystkich, a zadowolili się milutkim gabinecikiem na trzecim piętrze. Na to pan Portos odpowiedział mi, że oczekuje łada chwila przybycia swojej kochanki, jednej z najznakomitszych dam dworu, więc powinienem zrozumieć, że pokój zaszczycony jego pobylem jest aż nadto mierny dla takiej osoby. Pomimo całkowitego uznania dla prawdziwości jego słów czułem się w obowiązku obstawać przy swoim. Ale nie mogło być o tym ani mowy. Położył pistolet przy łóżku, oświadczając, iż za pierwszym słowem o jakichkolwiek przenosinach palnie w łeb temu, kto poważy się wtrącać. I odtąd już nikt nie postąpił u niego, prócz jego pacholka.

— Jest tu więc i Mousqueton?

— Jest, panie... w pięć dni po wyjeździe powrócił mocno skwaszony, widocznie i on miał w podróży nieprzyjemności. Na nieszczęście zwawszy jest od swego pana i dla niego to wszystko do góry nogami przewraca, a przypuszczając, że gdyby prosił, mógłby doznać odmowy, więc bez prośzenia bierze, co mu się podoba.

— Tak, ja zawsze widziałem w Mousquetonie wierność i przebiegłość niepospolitą — odpowiedział d'Artagnan.

— Być może, ale jeżeli z taką wiernością i przebiegłością będę miał cztery razy do roku do czynienia, sam pójdę z torbami.

— Bynajmniej, przecie Portos zapłaci.

— Hm!... — mruknął z powątpiewaniem oberżysta.

²⁷⁸lancknecht — hazardowa gra w karty popularna do początku XX w. [przypis edytorski]

— Jest on ulubieńcem wielkiej pani, która nie pozostawi go w kłopotcie o taką drobnostkę, jaką jest panu dłużny.

— Gdybym śmiało powiedzieć, co myślę o tym wszystkim...

— Jak to, co myślisz?

— Co wiem, raczej.

— A cóż pan wiesz?

— I czego jestem nawet pewny.

— Czego?... Doprawdy ciekawym.

— Powiedziałbym, że znam tę wielką panią.

— Pan?

— Tak, ja.

— Skądże ją poznałeś?

— O!... Panie, gdybym mógł zaufać pańskiej dyskrecji.

— Mów pan, a słowem szlacheckim ci ręczę, że nie będziesz żałował zaufania.

— Pojmuje pan, że niepokój do wielu rzeczy popycha.

— Jakżeś pan postąpił?

— O!... Najpierw nic takiego nie zrobiłem, do czego nie miałby prawa wierzyciel.

— Więc?

— Pan Portos dał nam list do owej księżnej i kazał wrzucić go do skrzynki pocztowej. Pacholka jego jeszcze nie było. Ponieważ nie wychodził z pokoju, zmuszony był obarczać nas swoimi zleceniami.

— Cóż dalej?

— Zamiast wrzucić ów list do skrzynki, co niezbyt pewne bywa, skorzystałem z tego, że jeden z moich posługaczy jechał do Paryża i rozkazałem wręczyć bilecik samej księżnej. Było to spełnieniem życzeń pana Portosa, który nam list ten tak polecał. Nieprawdaż?

— Niby...

— I czy wie pan, kto jest owa wielka dama?

— Nie, słyszałem o niej tylko od Portosa.

— Wie pan, kto jest ta niby księżna?

— Mówiłem przecie, że nie znam jej wcale.

— To stara prokuratorowa, niejaka pani Coquenard, mająca lat pięćdziesiąt co najmniej, a udaje jeszcze zazdrosną. Ja od razu się dziwiłem, że jakaś księżniczka mieszka przy ulicy aux Ours.

— Skądże pan wiesz?

— Bo gdy odebrała list, wpadła w okrutny gniew, wykrzykując, że pan Portos jest wietrznikiem²⁷⁹ i że pewnie o jakąś kobietę bił się i został raniony.

— Więc on raniony?

— A! Boże!... Tom się wygadał!...

— Powiedziałeś pan, że Portos jest ranny?

— Tak, ale srodcie zabronił mi o tym mówić!

— Czemuż to?

— Ha!... Bo się przechwalał, że nadzieje na rożen tego jegomościa, z którym go pan w kłótni zostawił, a pomimo całej jego junakierii²⁸⁰, jegomość ów od razu go z nóg zwałił. Pan Portos więc, człowiek pełen pychy, tylko swoją księżną chciał rozczulić opowieścią o przygodzie, ale przed nikim nie chce się przyznać, że został pokłuty rapierem.

— Więc to rany przykuły go do łóżka?

— Mistrzowskie pchnięcie, zaręczam panu. Rogatą duszę ma pański przyjaciel.

— Byłeś pan przy tym obecnym?

— O!... Wszystko to trwało zaledwie chwilę, może mi pan wierzyć. Stanęli naprzeciw siebie. Nieznajomy szybko się zwinął i natarł tak niespodzianie, że zanim pan Portos zdołał odbić, żelazo przeciwnika utkwilo mu w piersi na trzy cale. Upadł na wznak. Korzystając z tego, nieznajomy oparł mu na gardle koniec rapiera; pan Portos, widząc się na łasce przeciwnika, uznał się za pokonanego. Wtedy nieznajomy spytał go o nazwisko,

Strach

Pojedynek

²⁷⁹wietrznik (daw.) — mężczyzna niestały w uczuciach. [przypis edytorski]

²⁸⁰junakieria — śmiałość, zadziorność. [przypis edytorski]

a dowiedziawszy się, że ma z Portosem, a nie z d'Artagnanem do czynienia, pomógł mu dźwignąć się, odprowadził do oberży, sam wsiadł na konia i odjechał.

— To on miał do d'Artagnana urazę?

— Widocznie.

— A czy wiesz, co się z nim stało?

— Nie... widziałem go po raz pierwszy i odtąd nie pokazał się więcej.

— Wybornie... wiem już, co wiedzieć chciałem. Mówiłeś pan, że pokój Portosa znajduje się na pierwszym piętrze, numer jeden?

— Tak, panie, najpiękniejszy w całej oberży; pokój, który miałbym sposobność dzieścić razy wynająć.

— Ba!... Nie kłopotz się pan — odezwał się z uśmiechem d'Artagnan — Portos uiszcza zapłatę pieniędzmi księżnej Coquenard.

— O!... Panie, prokuratorowa czy księżna, byle tylko rozluźniła supły swego worka, wszystko to dla mnie jedno; ale ona dała tu odpowiedź stanowczą, że dosyć już ma tych wymagań i wiarołomstwa pana Portosa i że mu złamanego szeląga nie przyśle.

— A czy powtórzyłeś tę odpowiedź swemu gościowi?

— Boże uchowaj!... Byłby się dowiedział, w jaki sposób wywiązaliśmy się z jego zlecenia.

— Więc on ciągle jeszcze czeka na pieniądze?

— Tak!... Wczoraj jeszcze pisał, ale tym razem służący oddał list na pocztę.

— Powiadasz pan, że prokuratorowa jest brzydka i stara?

— Co najmniej pięćdziesięcioletnia i wcale nie piękna, jak mówił mi Pathaud.

— W takim razie możesz być spokojny, da się ona zmiękczyć; a zresztą, niewielkie rzeczy musi ci być Portos dłużny.

— Jak to, niewielkie! Dwadzieścia pistoli, jak dotąd, nie licząc doktora. On sobie niczego nie żałuje, widać, że przyzwyczajony do wygod.

— To chociaż go ona opuści, znajdą się jeszcze przyjaciele, zaręczam. Pozbądź się wszelkich obaw, gospodarzu drogi, i nie ustawaj w pieczołowitości, jakiej jego stan wymaga.

— Obiecał mi pan pary z ust nie wypuścić o prokuratorowej i o ranie.

— Masz na to moje słowo.

— Bo widzi pan, on gotów, by mnie zabić!

— Nie lękaj się; nie taki on straszny, jak się wydaje.

To powiedziawszy, d'Artagnan poszedł na górę, pozostawiając gospodarza uspokojonego pod dwoma względami, o które najmocniej mu chodziło — o dług i swoje życie.

Zapukał do drzwi najpokaźniej się przedstawiających, a oznaczonych wielkim, czarnym numerem.

Gdy odpowiedziano, wszedł.

Portos, leżąc na łóżku, grał z Mousquetonem w lancknehta, aby nie wychodzić z wprawy, a przed ogniem obracał się rożen obładowany kuropatwami, zaś po dwóch rogach wielkiego komina, na rozżarzonych węglach, wrzały dwa tygle²⁸¹, z których wydobywała się lechąca powonienie para potrawy z ryb i królika.

Prócz tego stół do pisania i komoda zastawione były wypróżnionymi butelkami.

Na widok przyjaciela Portos krzyknął radośnie, a Mousqueton, powstawszy z uszanowaniem, ustąpił miejsca i poszedł zajrzeć do tygli, nad którymi zdawał się mieć osobliwszy nadzór.

— A! Na Boga! To ty?... — zawołał Portos do d'Artagnana. — Witaj mi i wybacz, że nie wstaję na twoje spotkanie. Ale nie wiem, czy wiesz, co mi się przytrafiło? — dodał niespokojnie, patrząc na d'Artagnana.

— Nie wiem.

— Nie mówił ci gospodarz?

— Zapytałem go o ciebie i prosto przychodzę.

Portos odetchnął swobodnie.

— A cóż ci się przytrafiło, drogi Portosie? — kończył d'Artagnan.

Jedzenie

²⁸¹tygiel — ogniotrwałe naczynie. [przypis edytorski]

— Nacieralem na przeciwnika, któremu już trzy pchnięcia rapierem zadałem i chciałem czwartym z nim skończyć, gdy wtem nastąpiłem na kamień i zwichnąłem nogę w kolanie.

— Doprawdy?

— Słowo honoru! Szczęście tego łajdaka, bo byłbym go ubił na miejscu.

— I cóż się z nim stało?

— Alboż ja wiem?... Miał już dosyć, nie czekając reszty, odjechał... Lecz co się stało z tobą, drogi d'Artagnanie?

— Zatem zwichnięcie nogi zatrzymuje cię w łóżku, drogi Portosie? — ciągnął dalej d'Artagnan.

— A! Boże mój, to niewielkie rzeczy, za kilka dni już wstanę.

— Czemuż nie kazałeś przenieść się do Paryża? Tutaj musi ci być okrutnie nudno.

— Miałem ten zamiar, lecz muszę ci coś wyznać, drogi kolego.

— Co takiego?

— Widzisz, jak ci mówiłem, nudziłem się straszliwie, a w kieszeni miałem owe siedemdziesiąt pięć pistoli, które przypadły mi z podziału, więc dla rozrywki kazałem poprosić do siebie przejezdnego szlachcica i zaproponowałem mu partyjkę gry w kości. Nie wzdragał się, a siedemdziesiąt pięć pistoli powędrowało z mojej do jego kieszeni, nie licząc konia, którego zabrał na przykładkę²⁸². Lecz co się dzieje z tobą, mój drogi d'Artagnanie?

— Cóż chcesz, kochany Portosie, niepodobna mieć wszystkiego, znasz przecie przysłowie: „Nieszczęśliwy w grze, szczęśliwy w miłości”. Jesteś zbyt kochany, aby fortuna nie mściła się za to. Ale co cię obchodzi jej niełaska, czyż nie masz, szczęśliwy człowieku, swojej księżniczki, która niechybnie pośpieszy ci z pomocą?

— Widzisz, mój drogi, ponieważ gram nieszczęśliwie — mówił Portos z najswobodniejszą miną — pisałem do niej, aby mi przysłała kilkadziesiąt ludwików²⁸³, których mi bardzo potrzeba ze względu na położenie, w jakim się znajduję...

— I cóż?

— Musiała wyjechać do swoich dóbr, bo mi nie odpowiada.

— Doprawdy?

— Ani słówka. Wczoraj wyprawilem drugą odezwę, gorętszą jeszcze od poprzedniej. Lecz, skoro cię widzę, najdroższy, pomówmy o tobie. Przyznaję, iż zaczynałem niepokoić się o ciebie.

— Ale twój gospodarz dobrze się z tobą obchodzi widocznie — mówił d'Artagnan, wskazując pełne rondle i próżne butelki.

— Ujdzie od biedy! Ujdzie!... — odparł Portos. — Kilka dni temu przyniósł mi gbur rachunek, ale go razem z nim za drzwi wyrzuciłem, w ten sposób jestem tu jakby na prawach zwyczajcy albo zdobywcy. Widzisz też, że bojąc się zostać wyparty ze stanowiska, trzymam się ciągle pod bronią.

— Jednakże — śmiejąc się, zauważył d'Artagnan — zdaje mi się, że od czasu do czasu robisz wycieczki.

I wskazał palcem na rondle i butelki.

— Niestety! To nie ja!... Nędzne zwichnięcie trzyma mnie w łóżku; Mousqueton się tylko wymyka i znosi żywność. Mousquetonie, mój miły — mówił Portos, zwracając się do pacholka — widzisz przecie, że przybyły nam posiłki, trzeba przysporzyć prowiantów.

— Mousquetonie — odezwał się d'Artagnan — musisz mi wyświadczyć przysługę.

— Jaką, proszę pana?

— Udziel Planchetowi swoich wiadomości i przepisów, bo mogę i ja kiedyś znaleźć się obłączony, a nie gniewałbym się wcale, gdybym wtedy używał wygód, jakimi otaczasz swojego pana.

— O! Boże, nic łatwiejszego, proszę pana. Potrzeba do tego tylko trochę sprytu i wprawy. Wychowałem się na wsi, a ojciec mój w chwilach wolnych od zajęć polował na cudzych gruntach.

— A z resztą czasu co robił?

— Panie, trudnił się rzemiosłem bardzo przyjemnym, według mego zdania.

²⁸²przykładka (daw.) — dokładka. [przypis edytorski]

²⁸³ludwik — luidor; złota moneta francuska z podobizną króla. [przypis edytorski]

— Jakim?

— Ponieważ były to czasy wojen katolików z hugenotami i widział, że jedni tępią drugich, a czynią to w imię religii, wytworzył sobie wiarę pośrednią, która mu pozwalała być raz katolikiem, to znowu hugenotem. Przechadzał się zwykle ze strzelbą na ramieniu za płotami przy drogach, a gdy zobaczył katolika nadchodzącego pojedynczo, wtedy religia protestancka brała górę w jego umyśle. Kierował lufę w stronę wędrowca, a gdy przypuścił go na dziesięć kroków, rozpoczynał przemowę kończącą się zazwyczaj zrzeczeniem się trzosa ze strony przechodnia pragnącego zachować życie. Rozumie się, że gdy hugenota znowu spotkał, taka wysoka gorliwość katolicka go przejmowała, że nie mógł pojąć, jak przed kwadransiem odważył się wątpić o wyższości naszej świętej wiary. Ja, panie, jestem katolikiem, ale mój ojciec, wierny swoim zasadom, starszego brata zrobił hugenotem.

— Jakże skończył ten pełen zacności człowiek? — zapytał d'Artagnan.

— O!... Najnieszczęśliwiej jak tylko być może, proszę pana. Pewnego razu na drodze zakłęsły²⁸⁴ wpadł między hugenota i katolika, z którymi miał już raz do czynienia. Spiknęli się na biedaka i powiesili go na przydrożnym drzewie, po czym jeszcze przyszli do karczmy, w której piliśmy z bratem, i przechwalali się tym, co zrobili.

— A cóż wy na to? — zagadnął d'Artagnan.

— Pozwolił mi się im wygadać — odparł Mousqueton. — Potem, gdy wyszli z karczmy i każdy z nich udał się w swoją stronę, brat mój zaczął się w drodze na katolika, a ja na protestanta, i załatwiliśmy się z nimi przejęci uwielbieniem dla przenikliwości naszego biednego ojca, który był tyle przezorny, że wychował nas każdego w innej religii.

— O!... Z tego, co mówisz, Mousquetonie, widzę rzeczywiście, że to był nie lada dziarski człowiek. Zatem, jak powiadasz, pocziwiec ten zajmował się w chwilach wolnych polowaniem na cudzych gruntach?

— Tak, panie... on mnie nauczył robić sieci na zające i króliki i zastawiać wędki. Dlatego też widząc, że ten kapcan²⁸⁵ oberżysta pasie nas prostym mięsiskiem jak jakie wółczęgi, co mogłoby zaszkodzić i tak osłabionym żołądkom naszym, spróbowałem dawnego rzemiosła. Spaceruję od niechcenia po lasach książęcych, zastawiam na przemykach siatki; czasami spoczywam nad stawami Jego Książęcej Mości i leżąc spokojnie, zapuszczam wędkę na ryby. Teraz, dziękować Bogu, nie brak nam, jak pan widzi, kuropatw i królików, karpi i węgorzy, co wszystko jest posiłkiem strawnym i zdrowym, jak chorym przystoi.

— Lecz kto wam dostarcza wina, czyżby gospodarz?

— Niby on i nie on.

— Nie rozumiem.

— On go co prawda dostarcza, jednakże nie wie o tym spotykającym go zaszczycie.

— Wytlumacz się jaśniej, Mousquetonie, twoje opowiadanie jest pełne pouczających rzeczy.

— Otóż tak, proszę pana. Przypadek zrządził, że w jednej z moich wędrówek spotkałem pewnego Hiszpana, który dużo zwiedził świata, a między innymi i drugą półkulę.

— Jaki może być związek antypodów²⁸⁶ z butelkami stojącymi na stole i komodzie?

— Cierpliwości, panie, na każdą rzecz przyjdzie kolej.

— Słusznie, polegam więc na tobie, Mousquetonie, i słucham.

— Ów Hiszpan miał służącego, który towarzyszył mu w podróży do Meksyku. Służący był moim ziomkiem, przystaliśmy więc od razu do siebie, zwłaszcza że nasze usposobienia zgadzały się najzupełniej. Nade wszystko lubiliśmy polować, on mi więc opowiadał, jak to w pampasach²⁸⁷ krajowcy polują na tygrysy i bawoły z pętlicami²⁸⁸ po prostu, które zarzucają na karki tych zwierząt. Nie mogłem zrazu uwierzyć, jak można dojść do takiej wprawy, aby z odległości dwudziestu lub trzydziestu kroków trafić końcem liny tam, gdzie się chce, lecz wobec dowodów trzeba było dać się przekonać prawdziwości opowiadania. Mój przyjaciel stawiał z dala od siebie butelkę i za każdym zamachem chwycił ją pętlicą za szyjkę. Oddałem się więc i ja tym ćwiczeniom, a ponieważ natura nie poskąpiła mi

Religia, Podstęp, Ojciec,
Wiara

Morderstwo, Zemsta

Polowanie, Kradzież

²⁸⁴zakłęsły — zapadły, wklęsły. [przypis edytorski]

²⁸⁵kapcan (obelż.) — niedołęga. [przypis edytorski]

²⁸⁶antypody — obszary po przeciwnej stronie kuli ziemskiej. [przypis edytorski]

²⁸⁷pampasy — południowoamerykańskie stepy. [przypis edytorski]

²⁸⁸pętlica (daw.) — pętla. [przypis edytorski]

pewnych zdolności, zarzucam dziś lasso tak dobrze, jak gdybym był człowiekiem z nowego świata. Otóż, pojmuje pan? Nasz gospodarz posiada dobrze zaopatrzoną piwnicę, a klucz od niej trzyma przy sobie, ale z tej piwnicy wychodzi okienko. Tamtędy więc zarzucam sznur, a ponieważ doszedłem, gdzie jest najlepszy kącik, więc z niego wyciągam. Pojmuje pan teraz, jaki związek mają rozstawione tu butelki z antypodami. Zechciej pan teraz spróbować naszego wina i powiedz nam bez uprzedzenia, co o nim myślisz.

— Dziękuję ci, mój drogi, tylko co jadłem śniadanie.

— A zatem — odezwał się Portos — podaj jedzenie na stół, Mousquetonie, a gdy my będziemy jedli, d'Artagnan opowie, co się z nim działo w ciągu dziesięciu dni, odkąd nas opuścił.

— Najchętniej — rzekł d'Artagnan, a gdy Portos i Mousqueton zjadali z łączywością rekonwalescentów i serdecznym braterstwem, jakie wytwarza wspólność nieszczęścia, opowiedział, jak raniony Aramis musiał pozostać w Crevecoeur, jak w Amiens zostawił Atosa w opałach z czterema ludźmi posądzającymi go o fałszerstwo pieniędzy, i jak on, d'Artagnan, zmuszony był naszpikować szpadą hrabiego de Wardes, aby się przedostać do Anglii.

Na tym zakończył zwierzenia, dodając jedynie, że za powrotem z Wielkiej Brytanii przyprowadził cztery przepyszne konie, z których jeden był dla niego, a reszta dla jego przyjaciół, i że przeznaczony dla Portosa stoi w stajni hotelowej.

Na to wszedł Planchet i oznajmił, że konie wypoczęły dostatecznie i mogą zająć na nocleg do Clermont.

Ponieważ d'Artagnan uspokoił się o Portosa, a pilno mu było dowiedzieć się o innych, uściślił choremu rękę, oznajmiając, że puszcza się w dalszą drogę na poszukiwania. A zresztą będzie tędy powracał za jakiś tydzień, jeżeli więc zastanie jeszcze Portosa w hotelu Grand-Saint-Martin, zabierze go wtedy z sobą.

Portos odpowiedział, że według wszelkiego prawdopodobieństwa zwichnięcie nogi nie pozwoli mu wyruszyć w ciągu tego czasu. A przy tym musi pozostać w Chantilly, aby doczekać się odpowiedzi od swojej księżnej.

D'Artagnan złożył mu życzenia, ażeby odpowiedź była pomyślna i nie dała na siebie długo czekać; i jeszcze raz poleciwszy Mousquetonowi Portosa, zapłacił swój rachunek i wyruszył w dalszą drogę z Planchetem, który uwolnił się od jednego z prowadzonych luzem koni.

ROZDZIAŁ XXVI. ROZPRAWY ARAMISA

D'Artagnan nie wspominał Portosowi ani o jego ranie, ani tym bardziej o prokuratorowej.

Był to bowiem młody, lecz bardzo mądry chłopiec. Udawał, że święcie wierzy we wszystko, co mu opowiadał chępliwy muszkietier, bo rozumiał, że nie ma przyjaźni, która by wytrzymała próbę podchwyconej tajemnicy, zwłaszcza gdy tajemnica taka może zranić miłość własną człowieka. Zresztą, zawsze się zdobywa moralną wyższość nad tymi, których się zna na wylot. D'Artagnan, zdecydowany dla przyszłych celów zrobić z przyjaciół narzędzia swojej fortuny, nie odrzucał sposobności pochwycenia niewidzialnych nici, przy pomocy których mógłby nimi kierować.

A jednak przez całą drogę głęboki smutek ścisnął mu serce — myślał nieustannie o ładnej pani Bonacieux mającej go nagrodzić za poświęcenie; dodajmy wszelako, że jego smutek nie tyle pochodził z żalu za utratą szczęścia, ile z obawy, czy nie spotkało jej nieszczęście.

Nie wątpił ani na chwilę, iż padła ofiarą zemsty kardynała, a wiadomo, że Eminencja mścił się okrutnie.

Jak się to stało, że on sam znalazł łaskę w oczach ministra, nie miał o tym pojęcia.

Nic tak nie skraca czasu i drogi jak myśl, która pochłania wszelkie władze umysłowe zamysłonego.

Byt zewnętrzny człowieka podobny jest wtedy do uśpienia, w którym myśl owa staje się sennym widziadłem. Pod jej wpływem czas traci miarę, przestrzeń granice, człowiek wyrusza wtedy z jednego miejsca, przybywa na inne i nic więcej. Z przebytej odległości nie pozostaje w pamięci nic prócz mglistych zmaconych obrazów, drzew, gór i widoków.

Tajemnica, Przyjaźń

Czas, Kondycja ludzka,
Wspomnienia

D'Artagnan, opanowany taką stałą myślą, puścił wodze koniowi i tak przebył przestrzeń kilkumilową, dzielącą Crèvecoeur od Chantilly, nie zdając sobie sprawy z niczego, co spotykał po drodze.

Opamiętał się na miejscu zaledwie i otrząsnął się z zadumy, dostrzegłszy oberżę, w której zostawił Aramisa.

Zatrzymał konia przed bramą.

Tym razem nie oberżysta, lecz jego żona wyszła na spotkanie. D'Artagnan, jako fizjonomista²⁸⁹, objął od jednego spojrzenia pogodne oblicze pani domu i przeczuł, że nie będzie potrzebował nic ukrywać przed nią, że może zaufać tej twarzy pełnej słodyczy.

— Moja dobra pani — zagadnął — czy nie mogłabyś mi powiedzieć, co się stało z jednym z moich przyjaciół, którego byliśmy zmuszeni zostawić tutaj przed dwunastoma dniami?

— Z pięknym młodzieńcem około dwudziestu trzech lat, łagodnym, miłym, przystojnym?

— Tak, tak, a co więcej, rannym w ramię.

— A! Nie ruszył się stąd, proszę pana.

— A! Kochana pani, na Boga! — zawołał d'Artagnan, zsiadając z konia i rzucając cugle Planchetowi. — Powracasz mi życie. Gdzież jest drogi Aramis? Niech go uściskam. Pilno mi go zobaczyć.

— Wybacz pan, lecz wątpię, aby mógł przyjąć cię w tej chwili.

— Dlaczego? Miałaby jaką damę u siebie?

— Jezu Nazareński!... Co też pan mówi!... Biedny chłopczyna!... Żadnej damy nie ma u niego.

— Więc ktoś tam jest?

— Proboszcz z Montdidier i przełożony jezuitów z Amiens.

— Boże mój!... — zawołał d'Artagnan. — Miałoby mu się tak pogorszyć?

— Wcale nie, mój panie, ale wskutek choroby spłynęła nań łaska i postanowił wstąpić do stanu duchownego.

— Prawda — odparł d'Artagnan — zapomniałem, że on jest muszkietierem tylko tymczasowo.

— Czy pan chce koniecznie się z nim zobaczyć?

— Więcej niż kiedykolwiek.

— Niechże pan wejdzie na podwórze, potem na schody na prawo; drugie piętro, numer pięć.

D'Artagnan pobiegł co tchu we wskazanym kierunku.

Lecz nie tak łatwo było dostać się do przyszłego kapłana — podwoje Aramisa nie mniej były strzeżone od ogrodów Armidy²⁹⁰; Bazin stał w korytarzu na straży i zagroził mu przejście z tym więcej nieustraszoną odwagą, iż po długoletnich próbach widział się nareszcie bliskim celów, do których dążył niezachwianie.

Bowiem jego marzeniem było służyć duchownemu i czekał z niecierpliwością chwili, uśmiechającej mu się w przyszłości, kiedy Aramis zrzuci mundur, a przywdzieje sutannę.

Ta obietnica, powtarzana codziennie, zatrzymała go jedynie w służbie u muszkietera, która, jak mówił, przyprowadzi by go mogła niechybnie o utratę zbawienia.

Bazin więc znajdował się u szczytu szczęścia. Tym razem już, według wszelkiego prawdopodobieństwa, jego pan nie cofnie się przed powołaniem.

Nagromadzone cierpienia moralne i fizyczne wywarły skutek tak długo oczekiwany. Aramis, złamany dolegliwością ciała i ducha, szukał dla swej myśli ucieczki w religii, uważając za przestrożę niebios podwójny cios, jaki weń ugodził — zniknięcie kochanki i otrzymanie rany.

Łatwo pojąć, jak nieprzyjemne w takich warunkach musiało być dla Bazina zjawienie się d'Artagnana, mogące znów rzucić Aramisa w wir rzeczy światowych, jakim się oddawał dotychczas.

²⁸⁹fizjonomista — osoba odczytująca charakter osoby z jej twarzy. [przypis edytorski]

²⁹⁰Armida — postać z poematu Torquata Tassa *Jerozolima wyzwolona*; czarodziejka o wyjątkowej urodzie, która wykorzystywała swoje magiczne zdolności przeciwko rycerzom krucjaty, a zjawiała się, wychodząc z drzewa. [przypis edytorski]

Bazin postanowił więc mężnie bronić przystępu do swego pana, a że zdradzony przez właścicielkę oberży nie mógł mówić o nieobecności Aramisa w domu, usiłował dowieść przybyłemu, że najwyższą niedyskrecją byłoby zamącać jego panu pobożne rozprawy trwające od rana, a mogące się skończyć zaledwie wieczorem.

D'Artagnan jednak mało sobie robił z wymowy pana Bazina, a nie chcąc się wdawać w sprzeczkę z pachołkiem swego kolegi, jedną ręką odsunął go na bok, a drugą nacisnął klamkę numer pięć.

Drzwi ustąpiły i stanął w pokoju.

Aramis w czarnym surducie, z głową przybraną w okrągłą i płaską czapeczkę, mocno przypominającą krymkę²⁹¹, siedział przy stole zavalonym papierami i wielkimi foliałami²⁹².

Po prawej ręce miał przełożonego jezuitów, po lewej proboszcza z Montdidier.

Firanki zapuszczone u okien rzucały tajemniczy cień, pobudzający do bogobojnych rozmyślań.

Wszystkie przedmioty mogące na pierwszy rzut oka zdradzić mieszkanie młodzieńca, a nade wszystko muszkietera, znikły jak zaczarowane.

Bazin, nie chcąc widocznie budzić w swym panu światowych myśli, schował szpadę, pistolety, kapelusz z piórami, hafty, koronki i tym podobne przybory.

Natomiast, jak się zdawało d'Artagnanowi, w najciemniejszym kącie wisiała na ścianie dyscyplina.

Na szelest, jaki sprawiło otwarcie drzwi, Aramis podniósł głowę i poznał od razu przyjaciela.

Lecz, ku wielkiemu zdziwieniu d'Artagnana, zjawienie się jego nie wywarło na muszkieterze wielkiego wrażenia, tak dalece umysł jego oderwany był od rzeczy tego świata.

— Dzień dobry, drogi d'Artagnanie; wierzę ci, iż cię widzę z przyjemnością.

— I ja tak samo — odparł d'Artagnan — lecz dotąd jeszcze nie jestem pewny, czy to Aramisa mam przed oczami.

— On we własnej swojej osobie, mój kochany. I cóż ci mogło nasunąć tę wątpliwość?

— Obawiałem się, czy nie zabłądziłem przypadkiem, wchodząc do pokoju jakiegoś duchownego; później znów, zobaczywszy cię w towarzystwie tych dwóch panów, sądziłem, że jesteś niebezpiecznie chory.

Dwaj czarno ubrani panowie zrozumiałwszy przymówkę d'Artagnana, objęli go groźnym spojrzeniem, co nie przeraziło go wcale.

— Przeszkadzam ci może, drogi Aramisie — ciągnął dalej d'Artagnan — bo zapewne spowiadasz się przed tymi panami?

Aramis lekko się zarumienił.

— Ty miałbyś mi przeszkadzać? Wcale nie, mój drogi, słowo najświętsze ci daję; a najlepszy dowód, iż czuję się szczęśliwy, widząc cię całego i zdrowego.

„Nareszcie — pomyślał d'Artagnan — jeszcze nic nie jest stracone”.

— Bo ten pan, który jest moim przyjacielem — kończył Aramis z namaszczeniem, wskazując księżom d'Artagnana — uniknął wielkiego niebezpieczeństwa.

— Wielbij Boga, panie — odpowiedzieli tamci, równocześnie chyląc głowy.

— I ja Go wielbię, przewielebni ojcowie — odpowiedział młodzieniec, kiwając głową.

— Przychodzisz w porę, drogi d'Artagnanie — odezwał się Aramis — gdyż możesz w naszych rozprawach wyjaśnić niejedną rzecz swoimi światłymi poglądami. Pan rektor z Amiens, szanowny proboszcz z Montdidier i ja rozprawialiśmy nad pewnymi kwestiami teologicznymi, których znaczenie pochłania nasze umysły od dawna; rad bym usłyszeć też twoje zdanie.

— Zdanie wojskowego jest pozbawione znaczenia — odrzekł d'Artagnan, doznając niepokoju z takiego obrotu rzeczy — i wierzę ci, że możesz polegać w zupełności na wiedzy tych panów.

Ci znowu skłonili się równocześnie.

²⁹¹krymka — czapeczka bez daszka. [przypis edytorski]

²⁹²foliał (daw.) — księga o dużym formacie. [przypis edytorski]

— Przeciwnie — odparł Aramis — i twój sąd będzie dla nas cenny. Rzecz ma się tak: pan rektor jest zdania, że moja rozprawa winna być nade wszystko dogmatyczna i dydaktyczna.

— Rozprawa twoja!... Ty piszesz teraz rozprawę?...

— Tak — odpowiedział jezuita — rozprawa jest niezbędna do egzaminu poprzedzającego wyświęcenie.

— Wyświęcenie!... — wykrzyknął d'Artagnan, który nie dawał wiary temu, co mówili Bazin i oberżystka. — Wyświęcenie!...

I powiódł osłupiałym wzrokiem po trzech osobach, które miał przed sobą.

— Zatem — ciągnął Aramis, z wdziękiem rozpierając się w fotelu i przypatrując się z upodobaniem swojej rączce białej i pulchnej jak u kobiety (a podnosił ją do góry, aby krew z niej zbiegła) — jak już słyszałeś, zatem, d'Artagnanie, pan rektor chciałby, aby moja rozprawa była dogmatyczna, a ja znowu chcę, ażeby była utworem myśli mojej, to jest idealna. Dlatego wielbny przełożony zaproponował mi przedmiot, nieopracowany dotąd, w którym znajdę materiał do wspaniałej rozprawy:

„*Utraque manus in benedicendo clericis inferioribus necessaria est*”²⁹³.

D'Artagnan, którego erudycję znamy, ani się zmarszczył na ten cytat, równie jak onego czasu, gdy pan de Tréville wyjechał z podobnym z powodu podarku, którego podejrzewał, że pochodzi od Buckinghama.

— To ma znaczyć — ciągnął Aramis, chcąc mu ułatwić zrozumienie: „Kapłanom niższym obydwie ręce są niezbędne, gdy dają błogosławieństwo”.

— Przedmiot zachwycający! — zawołał jezuita.

— Zachwycający i dogmatyczny! — powtórzył proboszcz, który, prawie tak samo silny w łacinie jak d'Artagnan, przyglądał się bacznie jezuitcie, by słowo w słowo za nim powtarzać wszystko jakby jego echo.

Pośród tych zachwytów ludzi w sutannach d'Artagnan pozostał najzupełniej obojętny.

— Godny podziwu! *Prorsus admirabile!* — ciągnął dalej Aramis. — Lecz wymaga głębokich studiów nad Ojcami Kościoła²⁹⁴ i Biblią. Z całą pokorą wyznałem tym uczonym eklezjastom²⁹⁵, że bezsenne noce w kordegardzie²⁹⁶ i służba królewska zmusiły mnie poniekąd do zaniedbania nauki. Łatwiej więc poszłoby mi, *facilius natans*, z przedmiotem według własnego wyboru, z przedmiotem, który wobec ciężkich zagadnień teologicznych byłby tym, czym moralność jest w metafizyce i filozofii.

D'Artagnan nudził się okrutnie, jak również i proboszcz.

— Pyszne *exordium*!²⁹⁷ — zawołał jezuita.

— *Exordium!* — powtórzył proboszcz, aby coś powiedzieć.

— *Quemadmodum inter caeteris...*²⁹⁸

Aramis rzucił okiem na d'Artagnana i zobaczył go ziewającego tak, że o mało mu nie wyskoczyły szczęki ze stawów.

— Mówmy po francusku, mój ojciec — rzekł do jezuity. — Pan d'Artagnan więcej zasmakuje w naszych słowach.

— Tak, jestem znużony drogą — powiedział d'Artagnan — więc nie mogę pochwycić tej łaciny.

— Zgoda — rzekł jezuita, gdy proboszcz w uniesieniu radości zwrócił na d'Artagnana wejrzenie wyrażające najwyższą wdzięczność. — Otóż słuchajcie, jaki z tej glossy²⁹⁹ można wyciągnąć wniosek: Mojżesz, sługa Boży... on jest tylko sługą, rozumiecie panowie!... Mojżesz błogosławi obydwoma rękami; każe sobie podtrzymywać dwie ręce, gdy Hebrajczycy biją swoich nieprzyjaciół — błogosławi zatem obydwoma rękami... Zresztą, co mówi Ewangelia: *imponit manus*, a nie *manum*. Kładzie ręce, a nie rękę.

²⁹³ *Utraque manus in benedicendo clericis inferioribus necessaria est* (łac.) — duchowni z niższymi święceniami powinni używać dwóch rąk do udzielania błogosławieństw. [przypis edytorski]

²⁹⁴ *Ojciec Kościoła* — pisarz wczesnochrześcijański ważny dla ukształtowania się doktryny, uznany przez Kościół katolicki autorytet w sprawach wiary. [przypis edytorski]

²⁹⁵ *eklezjasta* — duchowny. [przypis edytorski]

²⁹⁶ *kordegarda* — wartownia straży pałacowej. [przypis edytorski]

²⁹⁷ *exordium* (łac.) — początek. [przypis edytorski]

²⁹⁸ *Quemadmodum inter caeteris...* (łac.) — tak jak i inni. [przypis edytorski]

²⁹⁹ *glossa* — uwaga, komentarz. [przypis edytorski]

— Kładzie ręce — powtórzył z gestem proboszcz.
— A święty Piotr, którego następcami są papieże, przeciwnie: *porrige digitos*. Wystawiajcie palce. Pojąłeś pan teraz?

— Zapewne — odrzekł, rozkoszując się Aramis — lecz jest to nader subtelne.

— Palce! — począł znowu jezuita. — Święty Piotr błogosławi palcami. Iloż palcami błogosławi? Trzema: jednym dla Ojca, drugim dla Syna, trzecim dla Ducha Świętego.

Wszyscy się przeżegnali. D'Artagnan czuł się obowiązany pójść za ich przykładem.

— Papież jest następcą świętego Piotra i przedstawia trzy boskie władze. Reszta hierarchii duchownej, *ordines inferiores*³⁰⁰, błogosławi w imieniu świętych archaniołów i aniołów. Najniżsi klerycy, jak to diakoni i zakrystiani, błogosławią kropidłem, które przedstawia nieskończoną ilość palców błogosławiących. Oto uproszczenie przedmiotu, *argumentum omni denudatum ornamento*³⁰¹. Zrobiłbym z tego — kończył jezuita — dwa tomy tej objętości.

I porwany zapalem uderzył w świętego Chryzostoma *in folio*³⁰², pod którego ciężarem stół się ugiął.

D'Artagnan drgnął.

— Zapewne — odezwał się Aramis — oddaję sprawiedliwość wszelkim pięknościom tego tematu, lecz jednocześnie uważam go za zbyt trudny. Co do mnie, wybrałem tekst następujący: *Non inutile est desiderium in oblatione* albo, co lepiej będzie: Trochę żalu nie zawadzi w ofierze Panu.

— Stój, ani słowa! — zakrzyczał jezuita. — Bo teza ta trąci herezją; zdanie podobne znajduje się w *Augustinusie* heretyka Janseniusza³⁰³, którego księga prędzej czy później zostanie spalona rękami kata. Miej się na baczności, młody przyjacielu; dążysz do zasad fałszywych, zgubisz się, młodzieńcze!

— Zgubisz się — powtórzył proboszcz, smutnie kiwając głową.

— Poruszasz tę sławną sprawę wolnej woli będącą śmiertelnym szkopułem. Dajesz ucho podszeptom pelagian³⁰⁴ i półpelagian.

— Ależ, Ojcie Wielbny... — bąknął Aramis, ogłuszony nieco gradem argumentów spadających mu na głowę.

— Jakże mi dowiediesz — przerwał jezuita — że kto się Bogu oddaje, powinien żałować świata? Posłuchaj przecie tego ze wszech stron niezbitego rozumowania: Bóg jest Bogiem, a świat jest diabłem. Żałować świata, znaczy żałować diabła, taki stąd wniosek wypływa.

Bóg, Diabeł

— I ja mówię to samo — przywtórzył proboszcz.

— Ależ, zmiłujcie się!... — począł znowu Aramis.

— *Desideras diabolium*³⁰⁵, nieszczęsny! — zakrzyczał jezuita.

— On diabła żałuje! A! Młodzieńcze! — odezwał się proboszcz z jękiem. — Nie żałuj diabła, błagam cię.

D'Artagnan czuł, że głupieje; zdawało mu się, że jest w domu wariatów i że sam zwariuje jak ci, na których patrzył.

Ale zmuszony był milczeć, nie rozumiejąc języka, którym wobec niego mówiono.

— Proszę mnie jednak wysłuchać — odezwał się Aramis grzecznie, z pewnym przecie zniecierpliwieniem — ja nie mówię, abym żałował; nie, nigdy bym nie wygłosił zdania niezgadającego się z powszechną wiarą.

Jezuita wzniosł ręce ku niebu, proboszcz wyciągnął je jeszcze wyżej.

³⁰⁰*ordines inferiores* (łac.) — niższego rzędu. [przypis edytorski]

³⁰¹*argumentum omni denudatum ornamento* (łac.) — argument ten pozbawiony jest wszelkich ozdób. [przypis edytorski]

³⁰²*in folio* (łac.) — o książce: w formacie złożonego na pół arkusza drukarskiego; ogólnie: wielkich rozmiarów. [przypis edytorski]

³⁰³*in Augustinusie heretyka Janseniusza* — chodzi o główne dzieło Janseniusza (1585–1638), flamandzkiego teologa katolickiego, wydane w 1640, traktujące o łasce w ujęciu Augustyna, które zostało potępione przez Kościół. [przypis edytorski]

³⁰⁴*pelagianin* — wyznawca pelagianizmu: nurtu teologicznego wczesnego chrześcijaństwa, którego pierwszym propagatorem był Pelagiusz (ok. 360–ok. 435), głoszącego, że grzech Adama i Ewy nie wpłynął na ich potomków, nie skaził natury ludzkiej i że człowiek, jako stworzony przez Boga i mający wolną wolę, jest zdolny sam z siebie przewyczyć grzech. [przypis edytorski]

³⁰⁵*Desideras diabolium* (łac.) — pożądasz diabła. [przypis edytorski]

— Więc nie, ale przynajmniej na to się zgódźcie, że nie przystoi ofiarowywać Panu tego, do czego jesteśmy najzupełniej zniechęceni. Czy mam słuszność, d'Artagnanie?

— Ja myślę, że masz, do diabła starego! — zawołał tenże.

Proboszcz z jezuitą podskoczyli na krzesłach.

— Oto mój punkt wyjścia i oto mój wniosek: świat nie jest bez powabu, porzucam go, zatem spełniam ofiarę; Pismo zaś twierdzi stanowczo: czyńcie ofiary Panu.

— To prawda — odezwali się przeciwnicy jak jeden.

— A zresztą — mówił dalej Aramis, szczypiąc się w ucho, aby zróżnować, jak trząsł rękami, ażeby zbieleły — a zresztą, na ten temat ułożyłem wiersz, który w zeszłym roku przedstawiłem panu Voiture³⁰⁶, a podobał mu się nieskończenie.

— Wiersze! — wyrzekł jezuita z pogardą.

— Wiersze! — powtórzył proboszcz bezmyślnie.

— Powiedzże je, powiedz — zawołał d'Artagnan — to nas cokolwiek rozerwie.

— O nie, bo one są w duchu religijnym — odparł Aramis — jest to wierszowana teologia.

— Tam do diabła — mruknął d'Artagnan.

— Posłuchajcie — rzekł Aramis ze skromną minką, nie bez cechy pewnej obłudy.

Wy, co za szczęściem przyszedł tęsknicie,
Wlokąc dni smutne w ciężkiej niedoli,
Umilknie żal wasz, co w sercu boli,
Gdy go w ofierze Bogu złożycie,
Wy, co tęsknicie.

D'Artagnanowi i proboszczowi wiersz podobał się widocznie.

Jezuita obstawał przy swoim zdaniu.

— Strzeż się światowości w stylu teologicznym. Święty Augustyn o tym mówi: *Severus sit clericorum sermo*³⁰⁷.

— Tak, ażeby kazanie było jasne — powtórzył proboszcz.

— Otóż — przerwał z pośpiechem jezuita, widząc, że jego akolita³⁰⁸ zaczyna się błąkać — otóż twoja teza podoba się damom i nic więcej. Będzie ona miała powodzenie tylko takie, jak obrona praw pana Patru³⁰⁹.

— Dałby Bóg!... — zawołał z uniesieniem Aramis.

— A widzisz! — zakrzyczał jezuita. — Świat wielkim głosem mówi do ciebie, *altissima voce*. Dążysz do świata, mój przyjacielu, i drżę o ciebie, aby łaska nie pozostała bez skutku.

— Uspokój się, ojciec wielbny, ja za siebie odpowiadam.

— Zarozumiałość światowa!

— Ja siebie znam, mój ojciec, moje postanowienie jest nieodwołalne.

— Obstajesz więc przy rozwinięciu swojej tezy?...

— Czuję się powołany do tej, a nie do innej; będę ją dalej prowadził i mam nadzieję, że jutro będziesz, ojciec wielbny, zadowolony z poprawek, jakie według twoich wskazówek w niej poczynię.

— Pracuj powoli — odezwał się proboszcz — pozostawiamy cię w wysmienitym usposobieniu.

— Tak, tak, grunt posiany dobrze — rzekł jezuita — nie ma obawy, aby część tego ziarna padła na skałę i aby ptaki niebieskie wybrały, co zostanie, *aves coelitcomederunt illam*.

— Niech cię zaraza pochłonie razem z twoją łaciną! — mruknął d'Artagnan, tracąc cierpliwość.

— Z Bogiem, mój synu — rzekł proboszcz — do widzenia jutro.

— Do jutra, zuchwalcze młody — odezwał się jezuita — obiecujesz być jedną z światłości kościoła; daj Boże, by światłość ta nie zamieniła się w ogień trawiący!

³⁰⁶ Voiture, Vincent (1597–1648) — francuski poeta, związany z dworem Ludwika XIII. [przypis edytorski]

³⁰⁷ Severus sit clericorum sermo (łac.) — niech słowa duchowieństwa będą surowe. [przypis edytorski]

³⁰⁸ akolita — pomocnik kapłana, posługujący podczas obrządków religijnych. [przypis edytorski]

³⁰⁹ Patru, Olivier (1604–1681) — francuski prawnik i pisarz. [przypis edytorski]

D'Artagnan, który w ciągu tej godziny gryzł sobie paznokcie z niecierpliwością, teraz już napoczął ciało.

Dwie sutanny powstały, pożegnały Aramisa i d'Artagnana i skierowały się ku drzwiom.

Bazin, który tam stał i słuchał tego sporu z pobożną radością, poskoczył ku nim, wziął brewiarz proboszcza i mszał³¹⁰ jezuitę i szedł przed nimi w postawie pełnej szacunku, torując im drogę.

Aramis sprowadził ich aż na dół i powrócił natychmiast do d'Artagnana, którego zastał jeszcze zamyślonego.

Znalazłszy się sam na sam, dwaj przyjaciele milczeli pomieszani; jeden z nich musiał jednak przerwać to milczenie, a d'Artagnan jakby zostawiał przyjacielowi ten zaszczyt:

— Widzisz — odezwał się Aramis — zastajesz mnie nawróconego do pojęć stanowiących moje podstawowe zasady.

— Tak, zostałeś dotknięty łaską skuteczną, jak mówił przed chwilą ten pan.

— O!... Od dawna już postanowiłem sobie usunąć się od świata; musiałeś mnie słyszeć, jak mówiłem o tym, nieprawdaż, mój drogi?...

— Nie przeczę, ale muszę wyznać, brałem to za żarty.

— Ja miałbym z takich rzeczy żartować!... O!... D'Artagnanie!...

— Ba!... Przecież i ze śmierci można żartować.

— To źle, d'Artagnanie, gdyż śmierć jest bramą prowadzącą do zguby lub do zbawienia.

— Zgoda, lecz nie rozprawiamy o teologii, jeżeli łaska, Aramisie; pewnie ci jej wystarczy na dzisiaj. Co do mnie, zapomniałem nawet tej odrobiny łaciny, której nie umiałem nigdy; zresztą, muszę ci wyznać, że dziś od rana nic w ustach nie miałem i głodny jestem jak wszyscy diabli.

— Usiądziemy natychmiast do obiadu, mój drogi, tylko pamiętaj, że to dzisiaj piątek. W takim dniu nie powinienem ani jeść mięsa, ani patrzeć na nie. Jeżeli zechcesz poprzestać na moim obiedzie, składa się on z warzyw i owoców...

— Co rozumiesz przez te warzywa? — zapytał z niepokojem d'Artagnan.

— Szpinak — odparł Aramis — dla ciebie jednak dodam jaj, chociaż to ważne wykroczenie przeciw regule, bo jaja są mięsem, skoro powstają z nich kurczęta.

— Uczta niezbyt smakowita, lecz mniejsza o to. Aby z tobą pozostać, zniosę i ją chętnie.

— Jestem ci wdzięczny za poświęcenie — odparł Aramis — lecz jeśli nie będziesz miał korzyści dla ciała, bądź przekonany, że twój duch wielce się umocni.

— Więc ty, Aramisie, stanowczo wstępujesz do stanu duchownego? Co powiedzą przyjaciele nasi, co pan de Tréville na to powie? Osądzą cię i mieć będą za zbiega, uprzedzam cię.

— Ależ ja nie wstępuję, tylko powracam do stanu duchownego. Właściwie zbiegłem z kościoła dla świata, wiesz przecie, że przymus najcięższy zadałem sobie, wdziwając kaptan muszkieterski.

— Ja nie wiem o niczym.

— Nie wiesz, w jaki sposób opuściłem seminarium?

— Nie, ale to nic a nic nie szkodzi.

— Oto moja historia; zresztą Pismo Święte mówi: „Spowiadajcie się jedni przed drugimi³¹¹”; a ja tobie się spowiadam, d'Artagnanie.

— Ja zaś daję ci rozgrzeszenie z góry; widzisz, że dobry ze mnie człowieczyzna.

— Nie żartuj z rzeczy świętych, mój drogi.

— Więc mów, słucham cię.

— Byłem w seminarium od dziewiątego roku mego życia. Trzech dni brakowało mi do dwudziestu, miałem zostać księdzem i już miało być po wszystkim. Pewnego wieczora udałem się, według zwyczaju, do jednego domu, który odwiedzałem z przyjemnością; co chcesz, jest się młodym i słabym. Wtem pewien oficer, który patrzył na mnie okiem

Śmierć, Żart

Jedzenie, Religia, Obyczaje

Korzyść, Ciało, Dusza

³¹⁰mszał — podstawowa księga liturgiczna w Kościele katolickim, według której odprawiana jest msza. [przypis edytorski]

³¹¹Spowiadajcie się jedni przed drugimi — Jk 5, 16. [przypis edytorski]

zawistnym, gdy czytywałem *Żywoty Świętych* pani tego domu, wszedł nagle, nie opowiadawszy się wcale. Właśnie tego wieczora tłumaczyłem jej ustęp o Judycie³¹² i wykladałem wiersz po wierszu tej damie prawiącej mi najróżniejsze komplementy. Pochylona nad moim ramieniem, czytała razem ze mną. Postawa jej, zbyt swobodna, przyznając, obraziła oficera; nie wyrzekł słowa, lecz gdy wyszedłem, pobił za mną, a dopędziwszy mnie, powiedział:

— Mości księżulku, a lubisz ty kiję?

— Nie mogę tego powiedzieć, mój panie — odrzekłem — ponieważ dotąd nikt nie považał się częstować mnie nimi.

— Słuchaj więc!... Mości księżulku, jeżeli noga twoja postanie w domu, w którym zastałem cię tego wieczora, ja, ja ci je proponuję!

Zbladłem okropnie i nogi pode mną drżały, szukałem odpowiedzi, nie znalazłem jej, zamilkłem.

Oficer na nią czekał, a widząc, że nic nie mówię, począł się śmiać; obrócił się do mnie plecami i wszedł do domu.

Jestem szlachcicem i krew mam burzliwą, jak to mogłeś zauważyć, drogi d'Artagnanie; obelga była straszna, jakkolwiek nieznana światu, i czułem, jak rozdzierała mi serce w kawały. Oświadczyłem moim przełożonym, że nie czuję się godnie przygotowany do przyjęcia święcenia i na moje żądanie odłożono ceremonię na rok. Udałem się do najlepszego fechtmistrza w Paryżu, zrobiłem z nim umowę o codzienne lekcje fechtunku i przez cały rok je brałem. Potem, w rocznicę dnia, kiedy zostałem znieważony, zawiesiłem na kołku sutannę, ubrałem się i jak skończony kawaler udałem się na bal, który wydawała jedna z przyjaznych mi dam, gdzie wiedziałem, że zastanę mojego jegomościa. Było to przy ulicy Francs-Bourgeois, tuż przy La Force. Rzeczywiście, mój oficer tam był. Podszedłem ku niemu, gdy śpiewał żałośliwie miłosną pieśń, czule spoglądając na jedną z kobiet, i przerwałem mu w samym środku drugiej strofki.

— Mój panie — rzekłem — czy zabronisz mi jeszcze powrócić do pewnego domu przy ulicy Payenne i czy obilbyś mnie kijem, gdyby mi przyszła fantazja nie być ci posłusznym?

Oficer spojrział na mnie zdziwiony, a potem rzekł:

— Czego pan chcesz ode mnie, nie znam cię wcale.

— Jestem księżulkiem, który czytuje *Żywoty Świętych* i tłumaczy *Judytę* rymami.

— A! A!... Przypominam sobie — rzekł drwiąco oficer. — Czego chcesz ode mnie, mój panie?

— Chcę, byś znalazł swobodną chwilkę na niewielką przechadzkę.

— Jutro z rana i to z całą przyjemnością, jeżeli żadasz.

— Nie jutro rano, lecz natychmiast, jeżeli łaska.

— Kiedy wymagasz koniecznie...

— Rozumie się, że wymagam.

— To chodźmy!... A wam, łaskawe panie — przemówił oficer — niech to wcale nie przeszkadza. Za chwilę tego pana wyprawię na tamten świat i powrócę dokończyć ostatnią strofkę.

Wyszliśmy.

— Zaprowadziłem go na ulicę Payenne, w to miejsce, gdzie przed rokiem o tej samej godzinie powiedział mi grzeczne słówko, które ci powtórzyłem. Księżyc świecił przecudnie. Ujęliśmy za szpady i po pierwszym posunięciu lewej nogi przed prawą położyłem go trupem.

— Do diabła!... — mruknął d'Artagnan.

— Potem — ciągnął dalej Aramis — ponieważ damy nie mogły doczekać się śpiewaka, a znaleziono go na ulicy Payenne przebitego na wylot, domyślono się, że to ja go tak urządziłem, i wynikł z tego skandal. Byłem zmuszony zrzec się sutanny na pewien czas. Atos, którego poznałem w tej epoce, i Portos, który poza lekcjami fechtunku nauczył

³¹²*Judyta* — bohaterka biblijnej *Księgi Judyty*, ocaliła rodzinne miasto przed Asyryjczykami: udała się do obozu wrogów, żeby uwodzić ich wodza Holofernesa, a kiedy podczas wspólnej uczyty upił się i zasnął, zabiła go. [przypis edytorski]

mnie kilku znakomitych pchnięć, skłonili mnie do postarania się o kaftan muszkieterski. Król bardzo kochał mojego ojca, zabitego podczas oblężenia Arras³¹³, udzielono mi więc łaski. Otóż pojmujesz, że teraz przyszła chwila mojego powrotu na łono kościoła.

— A czemuż to teraz bardziej niż wczoraj lub jutro? Cóż ci się przytrafiło takiego dzisiaj, że ci podobne myśli ponure przychodzą do głowy?

— Rana ta, drogi d'Artagnanie, stała się dla mnie przestrogą niebios.

— Rana? Ba! Wszak zagoiła się już nieledwie i przekonany jestem, że dzisiaj nie ona jest sprawczynią twojego cierpienia.

— A cóż by innego być mogło?... — zapytał Aramis, czerwieniąc się.

— Ty, Aramisie, masz ranę, lecz w sercu; jest ona dotkliwsza i krwawiąca, a zadała ci ją kobieta.

W oczach Aramisa błysnęły ognie.

— A!... — odezwał się, pokrywając lekceważeniem wzruszenie. — Nie wspominaj mi o takich rzeczach. Ja miałbym o tym myśleć?! Cierpieć z miłości?! *Vanitas vanitatum*.³¹⁴ Miałebym, jak przypuszczasz, zawrócić sobie głowę? I dla kogo? Dla jakiejś tam gryzетки³¹⁵, pokojówki, której nadskakiwałem, stojąc na kwaterze? Pfe!

— Wybacz, drogi Aramisie, lecz zdawało mi się, iż mierzyłeś wyżej.

— Wyżej. A czymże jestem, abym się miał o to kusić? Biednym muszkietерem, nędznym, nieznanym i zbytecznym na świecie?

— Aramisie, Aramisie — zawołał d'Artagnan, patrząc z powątpiewaniem na przyjaciela.

— Z prochu powstałem i w proch się obracam. Życie jest pełne poniżeń i bólu — mówił dalej, chmurząc się — wszystkie nici łączące je ze szczęściem rwą się jedna po drugiej w rękę człowieka, a najsłabsze są nici złote. O! Mój drogi — prawil Aramis z odcieniem goryczy — wierzaj mi, ukrywaj rany, jeśli będziesz je kiedykolwiek mieć. Milczenie jest ostatnią rozkoszą nieszczęśliwych. Strzeż się, aby ktokolwiek miał wpaść na ślad twoich cierpień, ciekawi wyciągają na zewnątrz nasze łzy, jak muchy wysysają krew z ranionego łosia.

— Niestety!... Drogi mój! — rzekł d'Artagnan, wzdychając głęboko. — To, o czym mówisz, jest moją historią.

— Co takiego?

— Tak. Kobietę kochaną, uwielbianą przeze mnie, porwano mi przemocą. Nie wiem, gdzie się znajduje, dokąd ją zabrano; może uwięziono, może już nie żyje.

— Ale masz przynajmniej tę pociechę, iż możesz powiedzieć, że nie porzuciła cię dobrowolnie. Jeśli nie daje znaku życia, zapewne dlatego jedynie, że wszelkie porozumiewanie się z tobą jest jej wzbronione, gdy tymczasem...

— Gdy tymczasem?...

— Nic — odparł Aramis — nic!

— A więc wyrzekasz się świata na zawsze; twoje postanowienie jest nieodwołalne?

— Na zawsze. Dziś jesteś mi druhem; jutro cieniem tylko będziesz dla mnie, a nawet przestaniesz istnieć zupełnie. Świat to grób, nic więcej.

— Do diabła! To, co mi prawisz, jest wcale niewesołe.

— Cóż chcesz, powołanie pociąga mnie, porywa.

D'Artagnan uśmiechnął się i milczał.

Aramis mówił dalej:

— A jednak, dopóki wiąże mnie jeszcze coś z ziemią, chciałbym pomówić o tobie, o naszych przyjaciółach.

— A ja — rzekł d'Artagnan — wolałbym pomówić o tobie, lecz widzę cię oderwanego od wszystkiego. Miłość ci obrzydła, przyjaźń cieniem się stała, a świat w grób się zamienił.

— Niestety! I ty tak będziesz myślał — rzekł z westchnieniem Aramis.

Życie jako wędrówka,
Cierpienie, Milczenie

³¹³Arras — miasto w płn. Francji; od końca XV w. stanowiło część należących do Hiszpanii Niderlandów; w 1640 miało miejsce oblężenie Arras przez wojska francuskie, które zakończyło się zdobyciem miasta i trwałym włączeniem do Francji. [przypis edytorski]

³¹⁴*Vanitas vanitatum!* (łac.) — marność nad marnościami (Koh 1,2). [przypis edytorski]

³¹⁵gryzетка (daw., z fr. *gris*: szary; *griset*: tania, szara tkanina ubraniowa) — we Francji: młoda dziewczyna pracująca jako szwaczka, ekspedientka, modystka; nazwa od koloru odzieży noszonej z konieczności przez takie osoby. [przypis edytorski]

— Nie mówmy więc o tym i spalmy ten list, który na pewno oznajmia ci nowe wiarołomstwo jakiejś tam gryzетки czy pokojówki.

— Jaki list? — żywo zapytał Aramis.

— List, który przysłano dla ciebie podczas twojej nieobecności i oddano mi go, abym ci przekazał.

— Od kogo?

— A!... Pewnie od jakiej zrozpaczonej pokojówki lub gryzетки nieszczęsnej; może to służebna pani de Chevreuse, która musiała z panią do Tours powrócić i dla zadania szyku użyła papieru wyperfumowanego i zapieczętowała list koroną książęcą.

— Co ty wygadujesz?...

— Masz tobie! Musiałem go zgubić — rzekł żartobliwie młodzieniec, udając, że szuka.
— To całe szczęście, że świat jest grobem, ludzie, a rozumie się i kobiety, tylko cieniem, a miłość uczuciem, które budzi tylko wstręt.

— O! D'Artagnanie, d'Artagnanie! — zawołał Aramis. — Zabijasz mnie!...

— A! Jest, nareszcie! — wykrzyknął d'Artagnan i wyjął list z kieszeni.

Aramis skoczył, porwał, przeczytał, pochłonął go raczej; twarz mu jaśniała szczęściem.

— Piękny styl ma widocznie służebna — zauważył od niechcienia oddawca.

— Dziękuję ci, d'Artagnanie! — zawołał oszalały z radości Aramis. — Ona musiała do Tours powrócić; nie jest mi niewierna, kocha mnie niezmiennie. Chodź, niech cię uściskam, przyjacielu, szczęście mnie przygniata!

I poczęli tańczyć obydwa wokół świętego Chryzostoma, tratując kartki rozprawy, które pospadały na podłogę.

W tej chwili wszedł Bazin ze szpinakiem i jajecznicą.

— Wynos się, pókiś cały — krzyknął Aramis, ciskając w niego swoją okrągłą czapkę — wracaj, skąd przyszedłeś, zabieraj te obrzydliwe jarzyny! Każ podać zająca szpi-kowanego, kapłona³¹⁶ tłustego, pieczeń baranią z czosnkiem i cztery butelki starego bur-gunda³¹⁷.

Bazin, nie rozumiejąc, co to ma znaczyć, tak się zagapił na swego pana, że w tym jego ponurym zdziwieniu jajecznica zsunęła mu się na szpinak, a następnie wszystko razem na podłogę.

— Nadszedł właśnie czas, abyś poświęcił swoją istność³¹⁸ królowi królów — odezwał się d'Artagnan — jeżeli chcesz zrobić mi grzeczność: *Non inutile desiderium in oblatione*.

— Idź do diabła z twoją łaciną! Mój drogi d'Artagnanie, pijmy zdrowo, pijmy, co się zmieści, i opowiadaj mi, co tam słychać u naszych.

ROZDZIAŁ XXVII. ŻONA ATOSA

— Teraz pozostaje nam tylko dowiedzieć się czegoś o Atosie — odezwał się d'Artagnan do skaczącego z radości Aramisa, gdy mu opowiedział, co zaszło w stolicy od czasu ich wyjazdu, bo po samym obiedzie zapomnieli jeden o rozprawie, drugi o przebytych trudach.

— Czy sądzisz, że go spotkało jakieś nieszczęście? — zapytał Aramis. — Atos jest rozważny, dzielny i zręcznie włada szpadą.

— Tak, i nikt tak jak ja nie może ocenić jego odwagi i zręczności, lecz ja wolę iść ze szpadą na lance³¹⁹ aniżeli na kije i obawiam się, aby Atos nie został zbity przez gawiedź. Ten motłoch wali mocno i nieprędko przestaje. Dlatego właśnie chciałbym jak najprędzej wyruszyć w dalszą drogę.

— Ja rad bym ci towarzyszyć — rzekł Aramis — chociaż nie czuję się na siłach, aby dosiąść konia. Próbowalem się biczować wczoraj dyscypliną, którą tu widzisz na ścianie, ale srogi ból przeszkodził mi w tym pobożnym ćwiczeniu.

— Bo też, mój drogi, kto widział leczyć postrzał uderzeniami rzemienia; ale ty chory byłeś, a choroba osłabia umysł, dlatego uniewinniam cię, mój drogi.

— Kiedyż myślisz odjechać?

³¹⁶kapłon — kastrowany kogut, tuczony na mięso. [przypis edytorski]

³¹⁷burgund — francuskie wino z Burgundii. [przypis edytorski]

³¹⁸istność — istnienie. [przypis edytorski]

³¹⁹lanca — włócznia. [przypis edytorski]

— Jutro, skoro świt; odpocznij sobie tej nocy, a jutro, jeżeli będziesz w stanie, pojedziemy razem.

— Dobranoc więc — rzekł Aramis — bo jakkolwiek żelazne masz siły, czujesz zapewne potrzebę spoczynku.

Nazajutrz, gdy d'Artagnan wszedł do pokoju Aramisa, zastał go wyglądającego oknem.

— Czemu się tak przypatrujesz? — zapytał go d'Artagnan.

— Na honor! Podziwiam te trzy wspaniałe konie, które chłopcy stajenni trzymają za cugle; wszak to rozkosz królewska podróżować na takich wierzchowcach.

— Będziesz używał tej rozkoszy, drogi Aramisie. Jeden z tych koni należy do ciebie.

— Co mówisz? A któryż?

— Którego sobie wybierzesz: żadnemu z nich nie daję pierwszeństwa.

— A ten bogaty czaprak³²⁰ na nim czy także mój?

— Rozumie się.

— Żartujesz chyba, d'Artagnanie.

— Przestałem żartować, odkąd mówisz po francusku.

— Więc to moje te strzemiona złożone, czaprak aksamitny, to siodło wykładane srebrem?

— Twoje własne, jak ten koń, który grzebie ziemię, jest mój, a ten, który się wspina, należy do Atosa.

— Niech cię diabli!... Wspaniałe bestyjki!...

— Rad jestem, że ci się podobały.

— Czy to od króla ten dar pochodzi?

— Pewno, że nie od kardynała; lecz co masz się głowić, od kogo pochodzą, dość, że jeden z nich należy do ciebie.

— Biorę tego, którego trzyma rudy parobek.

— Pysznie!

— Boże wielki!... — wykrzyknął Aramis. — Z radości nie czuję bólu; wsiałbym na tego konia choćby z kulami za skórą. A! Co za strzemiona!... Hola! Bazin, chodź tu natychmiast!

Milczący i ponury Bazin stanął na progu.

— Moją szpadę wpakować do pochwy, wyprostować kapelusz, płaszcz oczyścić, nabić pistolety! — zawołał Aramis.

— Ostatnie rozporządzenie zbyteczne — przerwał mu d'Artagnan — w olstrach są pistolety nabite.

Bazin ciężko westchnął.

— Cóż tam, mości Bazinie, uspokój się — rzekł d'Artagnan — w rozmaitych warunkach zdobywa się królestwo niebieskie.

— Mój pan był już takim dobrym teologiem!... — wyszlochał Bazin. — Byłby został biskupem, a może kardynałem!...

— Słuchaj, mój biedny Bazinie, zastanów się troszeczkę! Na co się zdało być księdzem, proszę? Wojny się przez to nie unika; widzisz przecież, że kardynał ma odbyć pierwszą kampanię z szyszakiem³²¹ na głowie i halabardą w ręku; pan de Nogaret de La Valette³²² jest także kardynałem, a zapytaj jego lokaja, ile razy skubał dlań szarpie³²³.

— Niestety! — westchnął Bazin. — Wiem ja, panie, o tym; wszystko na świecie przewróciło się do góry nogami.

Tak rozmawiając, wszyscy trzej zeszli na dziedziniec.

— Potrzymaj mi strzemie, Bazinie — zawołał Aramis.

I wskoczył lekko na siodło z właściwą sobie zręcznością, lecz gdy szlachetne zwierzę wspięło się kilka razy i zmieniło krok, odnowił się nieznośny ból Aramisa, muszkietier zbladł i począł się chwiać.

D'Artagnan, który to przewidywał, nie tracił go z oczu, skoczył doń, pochwycił w ramiona i zaprowadził do pokoju.

³²⁰czaprak — tkanina umieszczana pod końskim siodłem. [przypis edytorski]

³²¹szyszak — rodzaj stożkowatego hełmu bez przyłbicy. [przypis edytorski]

³²²Nogaret d'Épernon de La Valette, Louis de (1593–1639) — francuski kardynał; jałmużnik na dworze Ludwika XIII. [przypis edytorski]

³²³szarpie (daw.) — bandaże z porwanych materiałów. [przypis edytorski]

— Tak musi być, drogi Aramisie, trzeba, abyś nabrał sił, odpocznij — rzekł — sam pojedę szukać Atosa.

— Tyś człowiek ze spiżu — rzekł doń Aramis.

— Wcale nie, szczęście mi tylko sprzyja; lecz co tu będziesz robił, czekając na mnie? Spodziewam się, że nie glossy o palcach i błogosławieństwach, co?...

Aramis uśmiechnął się.

— Będę pisał wiersze — odparł.

— Zapewne wierszyki wyperfumowane zapachem, jaki miał liścik służebnej pani de Chevreuse. Naucz Bazina prozodii³²⁴, to go pocieszy. A co do konia, jeźdź na nim po troszę, to się przyzwyczaisz.

— O! Nie troszcz się, zastaniesz mnie gotowego do drogi.

Rozstali się, a w dziesięć minut potem d'Artagnan, polecivszy Bazinowi i oberżystce przyjaciela, kłusował w kierunku Amiens.

Co się tam dzieje z Atosem? Może nie znajdzie go wcale?...

Pozostawił go w okolicznościach bardzo krytycznych. Atos mógł być zwyciężony.

Myśl ta czoło mu zachmurzyła; d'Artagnanowi z piersi dobywało się westchnienie, a chęć zemsty opanowywała mu serce.

Atos był najstarszym z jego przyjaciół i dlatego na pozór najmniej zbliżony do niego upodobaniami i dążeniami.

Pomimo to przedkładał go stanowczo nad innych.

Jego szlachetna i wyróżniająca się postawa, te błyski wielkości tryskające od czasu do czasu z cienia, w którym tak chętnie się ukrywał, ta niezrównana łatwość w obejściu czyniąca go towarzyszem najmielszym pod słońcem, rozum i uszczypliwa wesołość, odwaga, którą można było poczytać za ślepą, gdyby nie była wynikiem najwyższej zimnej krwi, tyle przymiotów wywoływało więcej niż szacunek, więcej niż przyjaźń ze strony d'Artagnana, budziły one w nim najwyższe uwielbienie.

Istotnie, w zestawieniu nawet z panem de Tréville, pełnym elegancji i szlachetności dworzaninem, Atos w swoich szczęśliwszych chwilach porównanie z nim mógł korzystnie wytrzymać.

Był on wzrostu średniego, lecz tak kształtny i pięknie zbudowany, że gdy nieraz szedł w zapasy z Portosem olbrzym ten, którego siła weszła w przysłowie pomiędzy muszkietierami, zmuszony był ugiąć się przed nim.

Głowa jego o przenikliwym wejrzeniu, nos prosty i broda zarysowana jak u Brutusa³²⁵ posiadały wyraz wzniosły i słodki zarazem; ręce, o które nie dbał bynajmniej, wprawiały w rozpacz Aramisa, który pielęgnował swoje, posiłkując się niezliczoną ilością maści migdałowej i wonnych olejków; głos jego brzmiał przejmująco i zarazem dźwięcznie.

Przy tym było w nim coś nieokreślonego, co oznaczało głęboką znajomość wyższego świata, świetną ogładę towarzyską; ta natura rodowa, która pomimo jego wiedzy przebijala się w każdym postępku.

Gdy chodziło o ucztę, Atos urządzał ją lepiej niż każdy inny światowiec, rozmieszczając zaproszonych według zasad odziedziczonych po przodkach albo według tych, jakie zawdzięczali sami sobie.

Gdy szło o heraldykę³²⁶, Atos znał wszystkie rodziny szlacheckie w królestwie, ich genealogie, związki, herby oraz ich pochodzenie. Były mu też znane najdrobniejsze szczegóły etykiety; wiedział, jakie przywileje przysługiwały wielkim właścicielom ziemskim, był tak biegły w sztuce łowieckiej i sokolnictwie, że pewnego razu w rozmowie wielce zadziwił Ludwika XIII, który w tym był nie lada mistrzem.

Jak wszyscy wielcy panowie z owej epoki był z niego niezrównany jeździec i szermierz. Nadto takie miał wykształcenie umysłowe nawet pod względem nauk scholastycznych³²⁷, że cytaty łacińskie Aramisa wywoływały uśmiech na jego ustach, gdy Portos tylko uda-

³²⁴ *prozodia* — nauka o budowie wiersza. [przypis edytorski]

³²⁵ *Lucjusz Juniusz Brutus* (ok. 540–509 p.n.e.) — rzymski polityk, pierwszy konsul Rzymu. [przypis edytorski]

³²⁶ *heraldyka* — nauka o herbach i rodach szlacheckich. [przypis edytorski]

³²⁷ *scholastyczny* — odnoszący się do scholastyki: średniowiecznej filozofii, która starała się wywieść prawdy dotyczące świata z dogmatów religijnych. [przypis edytorski]

wał, że je rozumie. Parę też razy, ku wielkiemu zdziwieniu towarzyszy, poprawił Aramis w języku łacińskim.

Prawość jego była niewzruszona w tym wieku, kiedy ludzie trudniący się wojennym rzemiosłem wchodzili w układy ze swoim sumieniem i wiarą, a ubodzy z siódmym przykazaniem boskim.

Ten Atos był to zaiste człowiek niepowszedni.

A jednak bywało, iż ta wybrana natura, ten piękny twór boski, ten wykwit doskonałości skłaniał się nieznacznie ku materializmowi jak starcy ku zniedołężnieniu ciała i ducha.

Atos w chwilach upadku moralnego, co się przytrafiało nierzadko, zaćmiewał w sobie świetlane strony, które zapadały wtedy jakby w ciemnościach nocnych.

Wtedy znikał półbożek, a pozostawał zaledwie człowiek. Głowa opadała mu na piersi, blask oczu przygasał, słowa trudno było z niego wydobyć, całymi godzinami wpatrywał się w butelkę i kielich albo w Grimauda, który, przyzwyczajony rozumieć jego rozkazy na migi, czytał w zamarłym spojrzeniu pana najmniejsze jego życzenie, spełniając je natychmiast.

W takich razach, choćby był w towarzystwie swoich przyjaciół, zaledwie jednym słowem, i to z wysiłkiem, mieszał się do ogólnej rozmowy.

Natomiast pił za czterech, a jedynym objawem tych libacji było silniejsze ściągnięcie brwi i bardziej ponury smutek.

D'Artagnan, którego znamy z umysłu badawczego i przenikliwego, daremnie usiłował odgadnąć przyczynę takiego upadku ducha ani nie mógł poznać okoliczności, które stan ten sprowadzały. Atos nie odbierał żadnych listów, a każdy jego postępek był znany przyjaciołom.

Trudno przypuścić, aby wino mogło sprowadzać ten smutek, bo pił właśnie wtedy, gdy chciał go przemóc, lecz to lekarstwo czyniło go jeszcze bardziej ponurym.

Nie można było również przypisywać grze tych napadów czarnej melancholii, bo przeciwnie, gdy Portos śpiewał lub klął siarczyście zależnie od szczęścia, Atos przy wygranej lub przegranej pozostawał jednakowo niewzruszony.

Widziano, jak w klubie muszkieterskim wygrał pewnego wieczora tysiąc pistoli, a następnie przegrał wszystko aż do pasa haftowanego złotem, w który stroił się na wielkie uroczystości, później odegrał się na nowo, a nawet zyskał jeszcze sto pistoli, a jednak jego piękne brwi nie drgnęły ani na chwilę, ręce nie straciły perłowej białości i nie przestał rozmawiać nader przyjemnie i spokojnie.

Melancholii jego nie można było też przypisać wpływowi atmosferycznym, jak to bywa z Anglikami, gdyż smutek ten stawał się cięższy zwykle przy nadchodzącej najpiękniejszej porze roku. Czerwiec i sierpień były najstraszniejszymi miesiącami dla Atosa.

O chwilę obecną nie troszczył się wcale, wzruszał ramionami, gdy mówiono o przeszłości; zatem jego tajemnica tkwiła w przeszłości, jak to mówiono ogólnikowo d'Artagnanowi.

Ten odcień tajemnicy otaczał całą jego osobę i czynił go jeszcze bardziej zajmującym człowiekiem, bo ani jego oczy, ani usta nic nigdy nie zdradziły nawet w najwyższym upojeniu trunkiem, choćby go zarzucano najzręczniejszymi pytaniami.

— Tak... — rozmyślał d'Artagnan — biedny Atos może już nie żyje w tej chwili, i to z mojej winy, bo ja wciągnąłem go w tę sprawę, której nawet nie znał z początku.

— A my, panie — odpowiedział Planchet — prawdopodobnie zawdzięczamy mu życie. Pamięta pan, jak krzyczał: „Uciekaj, d'Artagnanie, jestem schwytany!”. I wystrzeliwszy z dwóch pistoletów, jak okrutnie łomotał szpadą! Mógłby kto myśleć, że dwudziestu ludzi tam było, a raczej dwudziestu zażartych diabłów.

Słowa te zdwoiły zapał d'Artagnana, popędzał konia, który nie potrzebując bynajmniej zachęty, unosił jeźdźca galopem.

Około jedenastej z rana pokazały się wieże Amiens; o wpół do dwunastej stanęli przed bramą przekłętą oberży.

Smutek, Alkohol

D'Artagnan rozmyślał już nieraz nad zemstą na przewrotnym oberżyście. Wszedł do oberży w kapeluszu naciśniętym na oczy, z lewą dłonią na rękojeści szpady, a prawą śmigając w powietrzu szpicrutą³²⁸.

— Poznajesz mnie pan? — odezwał się do gospodarza, podchodzącego ku niemu z powitaniem.

— Nie mam tego zaszczytu, jaśnie panie — odparł tenże, olśniony świetnymi końmi d'Artagnana.

— A! Więc nie znasz mnie wcale?

— Nie, jaśnie panie.

— No, no, dwa słowa przywróć ci pamięć. Co zrobiłeś z tym szlachetnym panem, któremu przed dwoma tygodniami miałeś tyle czelności zarzucić fałszowanie pieniędzy?

Oberżysta zbłądł, bo d'Artagnan przybrał postawę najgroźniejszą, jaką mógł, Planchet zaś naśladował swego pana.

— O! Jaśnie panie, nie wspominaj mi o tym — zawołał gospodarz płaczliwym głosem. — Boże wielki! Jakże ja błąd mój okupiłem drogo. O! Ja nieszczęsny!...

— Czy powiesz mi, czy nie? Co się z nim stało?

— Jaśnie panie, zechciej mnie wysłuchać i zmiłuj się nade mną. Raczej usiąść, jeżeli łaska!

D'Artagnan, niemy z gniewu i niepokoju, zasiadł groźny jak sędzia. Planchet wsparł się na poręczu fotela, przybierając postawę wyniosłą.

— Rzecz tak się miała, jaśnie panie — począł oberżysta, trzęsąc się ze strachu — bo teraz poznaję pana. Pan odjechałeś wtedy, gdy miałem ten nieszczęsny zatarg ze szlachcicem, o którym mowa.

— Tak, to ja. Widzisz więc, że nie możesz spodziewać się przebaczenia, jeżeli nie powiesz mi całej prawdy.

— Raczej mnie wysłuchać, panie, a dowiesz się o wszystkim.

— Słucham.

— Zostałem uprzedzony przez władzę, że wytrawny fałszerz pieniędzy przybędzie do mojej oberży z kilkoma towarzyszami, a wszyscy przebrani będą za gwardzystów albo za muszkieterów. Konie, służba, nawet osoby jaśnie panów podane mi zostały w rysopisie.

— Cóż dalej? — rzekł d'Artagnan, domyślając się, skąd pochodził dokładny rysopis.

— Zgodnie więc z rozporządzeniem władzy, która przysłała mi posiłki w liczbie sześciu ludzi, przedsięwziąłem środki, jakie uważałem za konieczne dla zabezpieczenia się przeciw fałszerzom pieniędzy.

— Jeszcze?... — krzyknął d'Artagnan, któremu słowo „fałszerz” strasznie słuch drażniło.

— Wybacz, jaśnie panie, że wymawiam to brzydkie słowo, lecz ono właśnie służy mi za usprawiedliwienie. Władza napędziła mi strachu, a wiadomo, że mizerny oberżysta dbać winien o jej względy.

— Czy dowiem się już raz, czy nie, gdzie jest ten szlachcic, co się z nim stało? Umarł? Czy żyje?

— Cierpliwości, jaśnie panie, zaraz skończę. Stała się więc rzecz panu wiadoma — dodał obłudnie gospodarz, co nie uszło uwagi d'Artagnana i zdawało się usprawiedliwiać podejrzenie. — Przyjaciół pana bronił się rozpaczliwie. Pacholek jego, który nieszczęściem nieprzewidzianym zaczął wysłańców władzy, bo to oni przebrani byli za chłopców stajennych...

— A! Łajdaki!... — krzyknął d'Artagnan. — Zmówiliście się wszyscy! Dziwna rzecz, żeś dotąd nie wytępił was co do nogi.

— Nie, jaśnie panie, nie było między nami żadnej zмовy, jak się pan wkrótce przekonasz. Przyjaciół pański (przepraszam, iż nie tytułuję go czcigodnym imieniem, jakie nosi, lecz jest mi ono nieznane), przyjaciel pański, uczyniwszy niezdolnymi do walki dwóch ludzi dwoma strzałami pistoletu, począł się cofać, broniąc się szpadą, którą okaleczył jeszcze jednego z moich ludzi, a mnie ogłuszył płazem³²⁹.

³²⁸szpicruta — elastyczny pręt pokryty skórą lub pleciony z rzemienia, używany do poganiania konia. [przypis edytorski]

³²⁹płaz — płaska strona miecza, szabli lub innej broni białej. [przypis edytorski]

— Ty kacie przeklęty, skończysz już raz? — krzyknął d'Artagnan. — Gdzież Atos, co się z Atosem stało?

— Cofając się, jak rzekłem jaśnie panu, trafił na schody do piwnicy, gdzie drzwi były otwarte, porwał klucz z zamka i zatarasował się wewnątrz. Ponieważ stamtąd nie ma innego wyjścia, pozostawiono go w spokoju.

— Tak, nie szło im o zabicie, chciano go tylko uwięzić.

— Boże sprawiedliwy! Uwięzić, jaśnie panie? Ależ on sam się uwięził, przysięgam. Najpierw spisał się nie lada, jednego zabił na miejscu, a dwóch ciężko poranił. Trupa i rannych zabrali ich towarzysze. Odtąd oczy moje ich nie widziały ani uszy o nich nie słyszały. Ja sam, skoro odzyskałem zmysły, poszedłem do gubernatora i opowiedziałem mu wszystko, pytając, co z więźniem mam począć. Gubernator wyglądał, jakby spadł z księżycy; powiedział mi, że pierwszy raz o tym słyszy, że dane mi rozkazy nie wyszły od niego i że gdybym się powążył wspomnieć o tym komu, że starcie to z jego wiedzą nastąpiło, każe mnie po prostu powiesić. Pomyliłem się widocznie, uwięziłem niewinnego, a winowajca umknął szczęśliwie.

— Ale cóż Atos? — zakrzyczał znowu d'Artagnan, którego zniecierpliwienie potęgowało zaniedbanie tej sprawy przez władzę. — Co się stało z Atosem?

— Ponieważ pilno mi było oczyścić się z winy przed więźniem — ciągnął dalej oberżysta — wybrałem się do piwnicy, aby go uwolnić. A! Panie, to chyba nie człowiek, to diabeł wcielony. Gdy zaproponowałem, że go wypuszczę na wolność, oświadczył, iż widzi w tym zastawione sidła i że zanim wyjdzie, musi postawić swe warunki. Odpowiedziałem mu z pokorą, nie mogłem bowiem ukrywać przed sobą, że wdałem się w nietęgą sprawę, podnosząc rękę na muszkietera Jego Królewskiej Mości, powiedziałem mu więc, że podaję się warunkom w zupełności. „Najpierw — rzekł on — żądam, aby powrócono mi mojego pacholka w pełnym uzbrojeniu”. Rozkaz ten spełniliśmy z pośpiechem, bo, pojmuje pan, gotowi byliśmy na wszelkie rozkazy pańskiego przyjaciela. Pan Grimaud (ten powiedział nam swoje nazwisko, chociaż mówi tak mało), pan Grimaud został wpuszczony do piwnicy, choć był mocno ranny, i znowu zatarasowali drzwi, wyprawiając nas z rozkazem, ażebyśmy siedzieli w sklepie.

— Lecz gdzież jest Atos nareszcie?

— W piwnicy, proszę pana.

— Jak to, nieszczęsny, dotąd jeszcze w piwnicy go trzymasz?

— Wielki Boże! Nie, panie! My mielibyśmy go trzymać! Pan nie wie, co on tam narobił. O! Gdyby pan mógł wywabić go stamtąd, byłbym mu wdzięczny dozgonnie i czcił jak swego patrona.

— Więc ja go zastanę w piwnicy?...

— Rozumie się, proszę pana, uparł się i nie wychodzi. Codziennie podają mu przez okienko na widłach chleb i mięso na żądanie. Ale, niestety! On czego innego spożywa więcej. Pewnego razu spróbowałem tam wejść z dwoma chłopcami moimi, lecz uniósł się wściekłością okrutną. Posłyszałem odgłos pistoletów nabijanych i muszkietu, który ładował jego służący. A na zapytanie nasze, jakie mają zamiary, pan odpowiedział, że we dwóch ze swoim służącym rozporządzają czterdziestoma strzałami i że wypalą je do ostatniego, zanim dozwolą, aby czyja bądź noga powstała w piwnicy. Wtedy, panie, zaniósłem skargę do gubernatora, a ten odpowiedział, że dobrze mi tak i że będę miał na drugi raz naukę, jak to niebezpiecznie ubliżać wielkim panom, którzy raczą u mnie popasać.

— W ten sposób od tego czasu?... — przerwał d'Artagnan, dusząc się od śmiechu z płaczliwej miny gospodarza.

— W ten sposób od tego czasu, panie, pędzimy najsmutniejsze życie pod słońcem. Bo trzeba panu wiedzieć, iż wszystkie nasze zapasy są w piwnicy; jest tam wino w butelkach i w beczkach, oliwa, korzenie, słonina i salcesony, a ponieważ wstęp jest nam wzbroniony, zmuszeni jesteśmy odmawiać podróżnym naszym napitku i jedzenia, i w ten sposób zajazd nasz z każdym dniem chyli się do upadku. Tydzień jeszcze z tym dobrodziejem w piwnicy, a przepadniemy z kretesem.

— I dobrze ci tak, hultaju!... Łatwo ci było poznać, że jesteśmy ludźmi znakomitymi, a nie żadnymi fałszerzami, nieprawdaż?

— Tak, panie, to prawda — rzekł oberżysta. — O! O!... Słyszysz pan?... Znowu wpada w wściekłość!

— Musiano go zaniepokoić — zauważył d'Artagnan.
— Ależ nie mogło być inaczej! — wykrzyknął oberżysta. — Przybyło do nas właśnie dwóch panów angielskich.

— Cóż stąd?...

— Anglicy lubią dobre wino, jak panu wiadomo. Ci zażądali najlepszego. Moja żona pewnie zaniósła prośbę do pana Atosa o pozwolenie wejścia do piwnicy dla zadośćuczynienia żądaniu tych panów, a on, jak zwykle, odmówił. A! Na miłosierdzie boskie!... Słyszysz pan, jaka wrzawa?

D'Artagnan usłyszał istotnie straszny rumor od strony piwnicy.

Powstał i poprowadzony przez gospodarza załamującego ręce i mając za sobą Plancheta z odwiedzionym kurkiem u muszkietu, podszedł do miejsca, gdzie rozgrywała się scena.

Dwaj Anglicy byli w rozpacz, zrobili kawał drogi i umierali z głodu i pragnienia.

— Ależ to tyrania oczywista!... — mówili płynnie po francusku, z lekkim tylko odcieniem cudzoziemskim. — Ażeby ten skończony wariat nie dał porządnym ludziom wina skosztować. Nuże³³⁰, wyważmy drzwi, a jak się wścieknie, ha!... W łeb mu palniemy!

— Z wolna, panowie, z wolna!... — odezwał się d'Artagnan, wyjmując pistolety zza pasa. — Na to ja nie pozwolę.

— Dobrze, dobrze — odezwał się zza drzwi spokojny głos Atosa — niech mi się tu pokażą ci zjadacze niewiniątek, zobaczymy, co z tego będzie.

Anglicy, jakkolwiek nie wyglądali na tchórzów, spojrzeli po sobie z wahaniem, jakby w piwnicy tej siedział ludożerca zgłodniały, bohater-olbrzym z bajek ludowych, do którego pieczary nikt przystąpić nie mógł bezkarnie.

Nastąpiła chwila milczenia; nareszcie wstyd im się było cofać i większy z nich junak zszedł kilka stopni na dół i tak silnie kopnął nogą w drzwi, że ustąpiłby nawet mur.

— Planchecie — krzyknął d'Artagnan, odwodząc kurki u pistoletów — ja biorę na siebie tego u góry, a ty weź tego na dole. Chcecie bitwy, panowie! Niech będzie bitwa!

— Boże mój!... — zawołał Atos basowym głosem. — Słyszysz d'Artagnana, jak mi się zdaje.

— Nie mylisz się — odrzekł d'Artagnan, podnosząc głos — ja sam, drogi kolego.

— Pysznie! — rzekł Atos. — Zabierzemy się do tych wywalaczy drzwi.

Anglicy pochwycili szpady, lecz byli wzięci we dwa ognie.

Zawahali się jeszcze; jednakże, jak poprzednio, duma zwyciężyła i pod powtórny kopnięciem drzwi rozpręły się na dwoje.

— Usuń się, d'Artagnanie, usuń się — wołał Atos. — Usuń się, bo strzele!

— Panowie! — odezwał się d'Artagnan, którego nigdy nie odstępowała rozwaga. — Panowie! Zastanówcie się!... Cierpliwości, Atosie! W złą sprawę wdajecie się, panowie, możecie się zasypać. Ja z moim pacholkiem damy do was trzy strzały, z piwnicy dostaniecie tyleż, a jeszcze pozostają nam szpady, którymi ja i mój przyjaciel władamy niezgorzej. Mnie przypada załatwienie naszej wspólnej sprawy. Słowem moim wam ręczę, że niedługo będziecie mieli czym ugasić pragnienie.

— Jeżeli się coś znajdzie — mruknął drwiąco Atos.

Oberżysta zimny pot wystąpił na plecy.

— Jak to, jeżeli się coś znajdzie? — wyszeptał.

— Co, u diabła! Przecież coś musi jeszcze być — odparł d'Artagnan. — Uspokój się, we dwóch nie wypili chyba całej piwnicy. Szpady do pochwy, panowie!

— A pan pistolety za pas!

— Najchętniej.

I d'Artagnan dał przykład. Zwrócił się następnie do Plancheta z rozkazem opuszczenia kurka u muszkietu.

Anglicy dali się przekonać i mrużąc, schowali szpady. Opowiedziano im historię uwięzienia Atosa. A ponieważ pochodzili z dobrej szlachty, całą winę zrzucili na oberżystę.

— A teraz, panowie — zakończył d'Artagnan — wracajcie do siebie, a ja zaręczam, że za dziesięć minut przyniosą wam, czego dusza zapagnie.

Anglicy skłonili się i wyszli.

— No, mój drogi Atosie, otwórz mi, proszę, skoro sam pozostałem.

³³⁰nuże — okrzyk oznaczający poganianie: dalej, szybciej. [przypis edytorski]

— Zaraz, zaraz, natychmiast!... — odparł Atos.

Wtedy rozległ się odgłos odrzucanych kolejno klepek i bali, które upadały z jękiem; była to barykada Atosa, którą obleżony własnoręcznie niweczył.

Po chwili drzwi wypadły i ukazała się blada twarz Atosa, który szybkim rzutem oka zbadał otoczenie.

D'Artagnan rzucił mu się w objęcia i ścisnął serdecznie; na koniec miał go wyciągnąć z tej jamy wilgotnej.

Wtedy dopiero spostrzegł, że Atos chwieje się na nogach.

— Ranny jesteś?... — zapytał.

— Ja? Uchowaj Boże!... Pijany jestem jak bela, nic więcej, a nie ma człowieka pod słońcem, który by na to usilnie pracował. Jak Bóg żywy! Gospodarzu mój! Wypiłem na siebie samego sto pięćdziesiąt butelek chyba.

— Litości!... Jeżeli choć połowę tego wypił pacholek, jestem zrujnowany.

— Grimaud jest sługą dobrego domu i nie poważyłby się przejmować moich zwyczajów. Pił prosto z beczki; patrz, zdaje mi się, że zapomniał wsadzić szpont³³¹? Słyszycie? Leje się!...

D'Artagnan parsknął śmiechem, który dreszcze oberżysty zamienił w gorączkę.

Jednocześnie Grimaud wyłonił się z cienia poza plecami pana swego, z muszkietem na ramieniu; głowa mu się trzęsła, wyglądał jak pijany satyr z obrazu Rubensa³³².

Polany był z przodu i z tyłu tłustym płynem, w którym gospodarz poznał swoją naj lepszą oliwę.

Pochód przeciągnął przez główną salę i rozgospodarował się w najlepszym pokoju z całej oberży, zajęтым przez d'Artagnana na mocy pierwszeństwa.

Tymczasem oberżysta z żoną wpadli z lampkami w rękach do piwnicy, nieprzystępnej im od tak dawna, a widok przerażający przedstawił się ich oczom.

Poza fortyfikacją, w której Atos uczynił wyłom, aby się przedostać, złożoną z klepek, desek i próżnych antałków³³³, nagromadzonych według wszelkich zasad strategii, tarzały się po ziemi w kałużach oliwy i wina poogryzane kości od szynek, stos potłuczonych butelek zalegał lewy kąt piwnicy, a beczka, której kran pozostał otwarty, traciła tym otworem ostatnie krople krwi.

Obraz zniszczenia i śmierci, według słów starożytnego poety, roztoczył się na polu bitwy.

Z pięćdziesięciu salcesonów, zawieszonych u pułapu³³⁴, zostało zaledwie dziesięć.

Wtedy ryki rozpaczły oberżysty i jego małżonki przebiły sklepienia piwnicy i sam d'Artagnan czuł się nimi wzruszony. Atos nawet się nie obejrzał.

Wreszcie rozpacz zamieniła się w wściekłość. Uzbroiwszy się w rożen, oszalały oberżysta wpadł do pokoju dwóch przyjaciół.

— Wina!... — odezwał się Atos, ujrawszy go.

— Wina?! — wykrzyknął gospodarz osłupiały. — Wina?!... Ależ wypileś go pan przeszło za sto pistoli; jestem człowiekiem zrujnowanym, zgubionym!...

— Ba! — rzekł Atos. — Mieliliśmy ciągle pragnienie.

— Gdybyście chociaż na tym poprzestali, ale potłukliście wszystkie butelki.

— Popchnęliście mnie na nie i potłukły się. Twoja wina.

— Moja oliwa przepadła...

— Oliwa to cudowny balsam na rany, biedny Grimaud musiał opatrywać te, które mu zadałeś.

— Salcesony pożarte...

— Zatręśnienie szczurów w tej piwnicy.

— Pan mi za to zapłacisz!... — krzyczał oberżysta zrozpaczony.

— Błźnie!... — krzyknął Atos, powstając, lecz opadł zaraz na krzesło; dał miarę swoich sił.

³³¹szpont (daw.) — pokrywka. [przypis edytorski]

³³²pijany satyr z obrazu Rubensa — chodzi o obraz *Bachanalia* autorstwa flamandzkiego malarza Petera Paula Rubensa (1577–1640); przedstawia pijanego Sylena i satyrów, kompanów boga Bachusa podczas bachanalii. [przypis edytorski]

³³³antalek — beczulka na wino lub piwo. [przypis edytorski]

³³⁴pułap (daw.) — drewniany strop albo sufit. [przypis edytorski]

D'Artagnan przyszedł mu na pomoc, wznosząc szpicrutę do góry.

Oberżysta cofnął się, zalany łzami.

— To cię nauczy — rzekł d'Artagnan — obchodzić się grzeczniej z gośćmi, których ci Pan Bóg zsyła.

— Pan Bóg!... Prędkiej diabeł!...

— Mój drogi — zaczął d'Artagnan — jeżeli nam będziesz skrzeczał nad głową, zamkniemy się w piwnicy we czterech i zobaczymy sami, czy naprawdę spustoszenie jest tak wielkie, jak mówisz.

— Wyznaję, panowie! Zawiniłem, lecz dla każdego grzesznika jest zmiłowanie. Jesteście jaśnie panami, a ja mizernym oberżystą, będziecie mieli litość nade mną.

— A! Skoro tak będziesz mówił — odezwał się Atos — serce mi się krajać gotowe, a łzy potoczą się z oczu jak wino z twoich antalków. Nie taki diabeł straszny, jak go malują, zbliż się tu i porozmawiajmy.

Oberżysta postąpił niespokojny.

— Chodź, kiedy ci mówię, nie bój się — kończył Atos. — Pamiętasz, gdy miałem ci płacić, położyłem na stole sakiewkę?

— Tak, jaśnie panie.

— Sakiewka ta zawierała sześćdziesiąt pistoli... Gdzież ona jest?

— Znajduje się w kancelarii sądowej, jaśnie panie, powiedziano, że to fałszywa moneta.

— Każ więc sobie ją oddać i weź te sześćdziesiąt pistoli.

— Jaśnie pan wie przecież, że co do kancelarii sądowej wpadnie, to i przypadnie. Gdybyż to były pieniądze fałszywe, byłaby jeszcze nadzieja, lecz skoro są dobre...

— Ułóżcie się tam, mój zuchu, to już mnie nie obchodzi, tym bardziej że nie mam ani grosza więcej.

— Czekajcie!... — odezwał się d'Artagnan. — Gdzie jest koń Atosa?

— W stajni.

— Co może być wart?...

— Pięćdziesiąt pistoli najwyżej.

— Wart osiemdziesiąt?... Weź go i koniec.

— Co znowu?... Konia mojego sprzedajesz, mojego Bajazeta³³⁵?... A na czym ja na wojnę pojedę, czy na Grimaudzie?

— Przyprowadziłem ci innego — rzekł d'Artagnan.

— Innego?

— I to wspaniałego — zawołał gospodarz.

— Skoro jest inny, piękniejszy i młodszy, zabierz starego, a dawaj pić.

— Ale jakiego wina? — zapytał gospodarz całkiem rozpozgodzony.

— Tego, co stoi w głębi przy krokwiach³³⁶; będzie tam jeszcze dwadzieścia pięć butelek, reszta się potłukła, gdy upadłem. Przynieś mi sześć.

— To piorun, nie człowiek — szepnął na stronie oberżysta — jeżeli posiedzi tu dwa tygodnie, a będzie płacił, co wypije, stanę na nogi, jak się należy.

— A nie zapomnij — dodał d'Artagnan — zanieść cztery butelki tego samego wina dwom panom angielskim.

— Tymczasem — rzekł Atos — zanim przyniosą nam wina, d'Artagnanie, opowiedz mi, co słyhać z naszymi, jestem bardzo ciekawy.

D'Artagnan opowiedział mu, jak zastał Portosa w łóżku ze zwichniętą nogą, Aramisa zaś za stołem pomiędzy dwoma teologami.

Przy końcu opowiadania wszedł gospodarz z żądanymi butelkami i szynką, która na szczęście znajdowała się poza obrębem piwnicy.

— Dobrze — rzekł Atos, napełniając dwa kieliszki — ten za zdrowie Portosa... a ten za Aramisa. Lecz co tobie, przyjacielu? Masz taką grobową minę...

— Niestety! — westchnął d'Artagnan. — Ponieważ jestem najniezwyklejszym człowiekiem na ziemi!

— Ty, niezwykłości?... Ciekawy jestem, co to za niezwykłość? Powiedz!...

Grzech

³³⁵Bajazet, dziś: *Bajazyd* (1354–1403) — sułtan osmański, nosił przydomek Błyskawica. [przypis edytorski]

³³⁶krokiew — pochyła belka podtrzymująca dach. [przypis edytorski]

— Później — rzekł d'Artagnan.
— A to czemu? Może myślisz, że pijany, d'Artagnanie? Zapamiętaj to sobie, moja myśl nigdy nie jest tak jasna, jak przy winie. Mów... słucham cię obydwoma uszami.

Alkohol

D'Artagnan opowiedział swoją przygodę z panią Bonacieux.

Atos wysłuchał go z całym spokojem, a gdy skończył, powiedział:

— Nędza, wszystko nędza!...

Takie było jego przysłowie.

— Ty wszystko nazywasz nędzą, mój drogi!... — przerwał d'Artagnan. — Nie przystoi ci tak mówić, tobie, który nie kochałeś nigdy.

Przypasłe oczy Atosa zapłonęły nagle, lecz ogień ten przemknął jak błyskawica; przesłoniła je zwykła pomroka smutku.

— Prawda — rzekł spokojnie — ja nigdy nie kochałem.

— Widzisz więc, ty masz serce z kamienia i źle robisz, będąc tak surowy dla nas, co mamy czułe serca.

— Czułe, strzałą przeszyte serca!... — zadeklamował Atos.

— Co mówisz?...

— Mówię, że miłość jest loterią, na której wygrywający zdobywa śmierć! Twoje szczęście, żeś przegrał, wierź mi, mój drogi. A jeśli chcesz posłuchać mojej rady, przegrywaj zawsze.

Miłość, Gra

— Zdawało się, że ona mnie tak kocha!

— Zdawało ci się.

— O! Ona mnie kochała!

— Dziecko! Nie ma mężczyzny, który by w to nie wierzył, i nie ma takiego, który by się nie zawiódł.

— Z wyjątkiem ciebie, boś nie miał nigdy kochanki.

— To prawda — odparł Atos po chwili milczenia. — Ja... ja nie miałem jej nigdy. Pijmy!

— Skoro taki filozof z ciebie, naucz mnie!... Wspomóż!... Potrzebuję nauki i pociechy.

— Pociechy? W czym?

— W moim nieszczęściu.

— Śmiech bierze na twoje nieszczęście — rzekł Atos, wzruszając ramionami. — Ciekawy jestem, co byś powiedział, gdybym ci opowiedział pewną przygodę miłosną.

— Twoją?

— Lub któregoś z moich przyjaciół, mniejsza o to.

— Powiedz mi, powiedz!...

Alkohol

— Pijmy, lepiej zrobimy.

— Pij i opowiadaj.

— Ha! Dobrze — rzekł Atos, wychylając i napełniając kieliszek — te dwie rzeczy nieźle chodzą w parze.

— Słucham.

Atos zamyślił się; im dłużej to trwało, bladł coraz mocniej. Znajdował się on w tym stadium odurzenia, w którym pospolici pijacy padają znużeni snem. On nie spał, marzył tylko głośno. To pijackie junactwo miało w sobie coś przerażającego.

— Koniecznie chcesz? — zapytał.

— Proszę... — odrzekł d'Artagnan.

— Niech się stanie, czego żądasz.

— Jeden z moich przyjaciół... rozumiesz, nie ja — rzekł, przerywając sobie z ponurym śmiechem — pewien hrabia z mojej prowincji, czyli z Berry, szlachetnie urodzony jak jaki Dandolo lub Montmorency, rozkochał się, mając dwadzieścia pięć lat, w szesnastoletniej dziewczynie, pięknej jak anioł. Spoza niewinności dziecięcej przebijał umysł żywy, umysł niekobiecy, poetyczny; mało powiedzieć, że podobała się... upajała. Żyła ona w małym miasteczku, przy bracie, który był proboszczem.

W tych stronach oboje byli nowymi przybyszami. Skąd? Nikt nie wiedział. Lecz że była piękna, a jej brat świątobliwy, nikomu na myśl nie przyszło pytać, skąd się wzięli.

Zresztą krążyły pogłoski, jakoby byli dobrego pochodzenia. Mój przyjaciel, który był panem na całą okolicę, mógł uwieść ją lub wziąć przemocą, zależało to od jego woli, wolno

mu było!... Któż by się był ujął za cudzoziemcami, za nieznanymi?... Na nieszczęście był to człowiek uczciwy, poślubił ją. Głupiec, dureń, niedołęga!...

— Dlaczego? Skoro ją kochał? — zapytał d'Artagnan.

— Zaczekaj — mówił Atos. — Wprowadził ją do swojego zamku i uczynił z niej najpierwszą damę w okolicy. A trzeba jej przyznać, że umiała utrzymać się na stanowisku.

— Co dalej? — pytał d'Artagnan.

— Otóż! Gdy była na polowaniu z małżonkiem — ciągnął Atos głosem przytłumionym, mówiąc coraz szybciej — spadła z konia i zemdlała. Hrabia rzucił się jej na ratunek, a ponieważ cisnęły ją suknie, przeciął je sztyltem i odsłonił ramiona. Zgadnij, co na jednym z nich było, d'Artagnanie? — rzekł Atos, wybuchając strasznym śmiechem.

— Skądże mogę wiedzieć?

— Kwiat lilii! — powiedział Atos. — Była napiętnowana.

I duszkiem wychylił kielich trzymany w ręku.

— To zgroza!... — wykrzyknął d'Artagnan. — Co ty mówisz?

— Prawdę!... Anioł był szatanem. Nieszczęsna dziewczyna była złodziejką.

— Cóż wtedy zrobił hrabia?

— Był wielkim panem, miał w dobrach swoich prawo życia i śmierci, podarł do reszty suknie hrabiny, związał jej ręce na plecach i powiesił na drzewie.

— O nieba!... Atosie!... Morderstwo!... — krzyknął d'Artagnan.

— Tak, morderstwo, nic więcej... — rzekł Atos błądzący jak śmierć. — Ale wina nam braknie, jak mi się zdaje.

I porwał ostatnią butelkę za szyjkę, przyłożył do ust, wychylił duszkiem jakby zwyczajny kieliszek.

Potem opuścił głowę na dłonie; d'Artagnan stał przed nim przejęty grozą.

— Wyleczyło mnie to z kobiet pięknych, poetycznych i rozkochanych — rzekł, powstając, zaniechawszy w dalszym ciągu apologii³³⁷ hrabiego. — Daj ci Boże to samo! Pijmy!

— Umarła więc?... — wyjąkał d'Artagnan.

— Do licha!... — przerwał mu Atos. — Dawajże kieliszek. Szynki, chamiel! — krzyknął Atos. — Nie możemy już pić!

— Co się stało z jej bratem? — począł lękliwie d'Artagnan.

— Z bratem?... — odparł Atos.

— Tak, z tym księdzem.

— O! Dowadywałem się o niego, aby go także pochwycić; ale uprzedził mnie, o dzień wcześniej opuścił probostwo...

— Czy przynajmniej dowiedziano się, kim był ten nędznik?

— Bez wątpienia!... Był to pierwszy kochanek i współnik dziewczyny, zacna osobistość udająca proboszcza, dlatego może, aby wydać za mąż swoją kochankę i w ten sposób los jej zabezpieczyć. Spodziewam się, że został poćwiartowany.

— O! Boże mój!... Boże!... — odezwał się d'Artagnan, oszołomiony tą straszną opowieścią.

— Spróbujże tej szynki, d'Artagnanie, wyśmienita — rzekł Atos, krojąc olbrzymi kawał i kładąc mu na talerz. — Szkoda, że chociaż czterech takich nie było w piwnicy! Wypiłbym o pięćdziesiąt butelek więcej.

D'Artagnan nie mógł dłużej znieść tej rozmowy, czuł, że przyprawiliby go o szaleństwo.

Oparł głowę na rękach, udając, że zasypia.

— Teraz młodzień nie umie pić!... — rzekł Atos, patrząc na niego z politowaniem. — A jednak lepszy ten jest od wielu innych...

³³⁷apologia — obrona (a zazwyczaj jednocześnie pochwała) jakiejś osoby lub poglądu. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/trzej-muszkietierowie-tom-i>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Dumas, Trzej Muszkietierowie, Tom I, Nakładem Biblioteki Rodzinnej, Warszawa 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Śląską z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BŚ.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Paulina Dubielecka, Piotr Kowalik.

ISBN 978-83-288-0595-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.